



Oriana Fallaci Podróż po Ameryce

Włochy mają swojego Toma Wolfe'a, Gaya Talese, Huntera Thompsona. To znaczy kronikarza potrafiącego opowiedzieć o zjawiskach natury obyczajowej za pomocą narzędzi przynależnych literaturze pięknej. Nasz Tom Wolfe nazywa się Oriana Fallaci, jak dowodzi *Podróż po Ameryce*.

Alessandro Gnocchi, „Il Giornale”

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od wydawcy

CZĘŚĆ PIERWSZA

POCZTÓWKI Z NOWEGO JORKU (1965)

AMERYKA OCZAMI WŁOSZKI

Z powodu taksówki można nawet zacząć strzelać

Miejsce w piekle pięć na cztery

Właścicielka z Hongkongu

Miły brunecik o imieniu Eddie

Opowiada mi o Liz w zamęcie Long Beach

Kwestia czynszu

Koktajl na cześć Shirley, która nie lubi butów

AKCJA WODA

Idź do klasztoru, Gordonie

Chihuahua zostaje

Trzydziesto-, czterdziestoletnia panna młoda

Okropne staruszki

Jack Daniel's z Sinatrą

Rewolwer przychodzi pocztą

ZABIJĘ JACKA JACKSONA

Telefonistki mówią do ciebie „moja kapustko”

Dom podobnie jak mąż

Ktoś mnie śledzi

Nurkowie w barze

Nawet Liza Minelli kupuje brokuły

Pani czy panna?

Mąż Sybil, dawniej Burton, nie mówi „hej”

Deszcz i łzy

CZY MOŻNA? NAZYWAM SIĘ JOHN

Ściskając dłonie, można zostać burmistrzem

Tylko przystojni wygrywają wybory

Go, Johnny, go!

*Jakikolwiek miałibyście problem
Powiem o tym Johnowi Lindsayowi*

CZĘŚĆ DRUGA

WŚRÓD GWIAZD (HOUSTON, HOLLYWOOD, NOWY JORK, 1965)

OJCOWSKI METEORYT

Przed lotem na Księżyc trzeba zmyć naczynia

Piechur w kosmosie nie lubi historii

Astronauta to za mało; lepiej dżokej

Wielkie tajemnice planety Loren

Scott Carpenter: kompleks kosmosu

Czy to Courrèges?

OSTATNIE „TAK” VADIMA

Co o tym sądzi panna młoda

I Vadim

WYKLĘCI Z HOLLYWOOD

Co za pomysł, Shirley

Miasteczko zamieszkane przez samochody

Bradbury nie poznaje Marsa

„Jesteśmy nowym Cesarstwem Rzymskim”

ROZMOWA PRZY BASENIE

Leslie: para oczu jak u wiewiórki

Świat, gdzie żyje się po to, by wyeliminować wszelki wysiłek

Koncert z abażuru

Brakuje jej duchów

Nic, co można by pamiętać, nic, z powodu czego można by cierpieć

RÓWNIEŻ GWIAZDY MAJĄ MATKI

Sekret szczęśliwego związku króla i królowej

Star system jest zawsze modny

Wszyscy równi w strachu

Kraj sportowców, nie kochanków

Murzyńskie matki nie składają podań

Bilet powrotny do piekła

KSIĘŻNICZKI NA WYBIEGU

W piekle, ale samochodem

Łóżko Zsy Zsy Gabor na sprzedaż

Neapol i Capri na dziewiątym piętrze

Na powitanie mówią ciao

Ich wysokości w biustonoszach

CZĘŚĆ TRZECIA W PODRÓŻY Z SHIRLEY (1965)

WYRUSZAMY NA PODBÓJ ZACHODU
Żółte ciężarówki jadą przez pustynię niczym Siódmy Pułk Kawalerii
Amerykańskie miasta widma sprzed pół wieku są smutniejsze niż Pompeje
i Herkulanum

ZA GARŚĆ ALIMENTÓW
SZLAK INDIAN NAVAJO
OSTATNI KOWBOJ
STRACH W MOSKWIE
NA TAMTYM BRZEGU ARNO W ALABAMIE

CZĘŚĆ CZWARTA MIGAWKI (1966)

AMERYKANIE TO WARIACI
MARKSISTA W NOWYM JORKU

CZĘŚĆ PIĄTA REPORTAŻ NA TEMAT AMERYKAŃSKICH *TEENAGERS* (1966)

Nota dla czytelnika
STRASZNI NIELETNI
WITAMINY I DŁUGOWŁOSI

CZĘŚĆ SZÓSTA LISTY DO NACZELNEGO (1967)

AFTRA MNIE OBRONI
CIA KICHA W MOIM TELEFONIE
POPROSILI MNIE O JAJECZKO
JAK PALIĆ BANANA
WIZYTA U LEKARZA W AMERYKAŃSKIM STYLU

PODPALANIE HOTELU SUROWO WZBRONIONE

Bibliografia

Indeks nazwisk



Oriana Fallaci
Podróż po Ameryce

Świat Książki

Tytuł oryginału
VIAGGIO IN AMERICA

Wydawca
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja i indeks
Joanna Popiołek

Korekta
Ewa Grabowska
Mirosława Kostrzyńska

© 2014–2016 Rizzoli Libri S.p.A. / Rizzoli, Milan
Copyright © for the Polish translation by Joanna Ugniewska, 2016

Artykuły zamieszczone w tej książce były publikowane na łamach „L’Europeo”: „L’America vista da un’italiana”, 25 lipca 1965; „Operazione acqua”, 1 sierpnia 1965; „Ucciderò Jack Jackson”, 8 sierpnia 1965; „Permette? Il mio nome è John”, 15 sierpnia 1965; „Il meteorite di papà”, 29 sierpnia 1965, „Ecco l’ultimo sì di Vadim”, 29 sierpnia 1965, „I dannati di Hollywood”, 12 września 1965; „Conversazione in piscina”, 26 września 1965; „Anche i divi hanno una mamma”, 3 października 1965; „Principesse in passerella”, 10 października 1965; „Partiamo alla conquista del West”, 7 listopada 1965; „Il sentiero dei Navajo”, 21 listopada 1965; „L’ultimo cowboy”, 28 listopada 1965; „Paura a Mosca”, 5 grudnia 1965; „Oltrarno in Alabama”, 19 grudnia 1965; „Gli americani sono matti”, 24 lutego 1966; „Un marxista a New York”, 13 października 1966; „I minorenni terribili”, 10 lutego 1966; „Vitamine e capelli”, 17 lutego 1967; „L’AFTRA mi protegge”, 16 marca 1967; „La CIA starnutisce nel mio telefono”, 23 marca 1967; „Mi hanno chiesto un uovo”, 6 kwietnia 1967; „Come si fuma una banana”, 13 kwietnia 1967; „Visita medica all’americana”, 29 czerwca 1967

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-424-5

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Od wydawcy

W 1965 roku Oriana Fallaci jest już sławna. Coraz więcej czytelników śledzi jej artykuły drukowane na łamach „L’Europeo”, a ich przekłady ukazują się w czołowej zagranicznej prasie. Jej książki stają się bestsellerami. Wywiady, które przeprowadza z gwiazdami kina, charakteryzuje typowy dla niej bezceremonialny ton. Daleko jeszcze do odważnych reportaży z Wietnamu, lecz Oriana ujawnia już nadzwyczajną zdolność trafiania w sedno, umiejętność jego odkrywania. Dowodzi tego reportaż na temat NASA; Fallaci, zafascynowana programami podboju kosmosu, w 1963 i 1964 roku spędza całe tygodnie w towarzystwie astronautów, przepytuje techników z bazy kosmicznej, przeprowadza wywiady z naukowcami. Na podstawie zebranego materiału wydaje w 1965 roku swoją piątą książkę *Se il Sole muore* (Kiedy Słońce umiera), która od razu odnosi sukces i do której Rizzoli sprzedaje prawa autorskie w wielu krajach. „Nikt przed Orianą nie opisał astronautów w taki sposób, jednocześnie z podziwem, ironią i koleżeńskim przymrużeniem oka”^[1], komentuje Cristina De Stefano w biografii *Oriana Fallaci. Portret kobiety*. Dla niej, już od dzieciństwa niestrudzonej czytelniczki powieści Jules’a Verne’a, tamci mężczyźni w skafandrach kosmicznych, którzy poddają się wyczerpującym treningom, żeby polecieć na Księżyc, są współczesnymi gwiazdami.

Oriana i amerykańskie marzenie: Nowy Jork Già, niezapomnianej bohaterki jej pierwszej powieści *Penelopa na wojnie*, pisanej długo i wydanej w 1962 roku, już jej nie wystarcza; rozległość i złożoność Stanów Zjednoczonych skłaniają ją do opowiedzenia o tym kraju na podstawie bezpośrednich obserwacji prowadzonych w trakcie podróży. Powstaje w ten sposób seria reportaży dla „L’Europeo”, Ameryka oczami Włoszki, zebranych po raz pierwszy w tej książce. Był to czas, który okaże się decydujący dla twórczości Fallaci, rodzaj punktu zwrotnego, który pozwoli jej przejść od ironicznego i uszczypliwego stylu, jakim opisała star system, do wyczerpującej analizy najbardziej zajmujących

ją tematów; obejmować one będą w najbliższych latach równowagę geopolityczną, potępienie wszelkiej formy władzy, chęć zrozumienia świata i ludzi.

Pierwsze trzy części książki, którym zostały nadane tytuły *Pocztówki z Nowego Jorku*, *Wśród gwiazd*, *W podróży z Shirley*, obejmują miesiące od lipca do grudnia 1965 roku. Od tego czasu minęło pół wieku, lecz niezależność myśli i poczucie humoru Oriany są nadal uderzające. Czytane teraz razem, teksty te składają się na prawdziwą narrację podróżniczą. Opowieść zaczyna się od zabawnego przedstawienia rozmaitych obliczy Nowego Jorku: malutkie mieszkanka; łatwość, z jaką można zdobyć broń palną; zagrożenia, na które wystawione są przede wszystkim kobiety, nawet we własnym domu (z sarkazmem, który dziś uznano by za niepoprawny, Oriana antycypuje zjawisko stalkingu); dynamika kampanii wyborczej Johna Lindsaya, kandydata na burmistrza (w uszczypliwym tonie Oriana przywołuje jego deklarację wygłoszoną podczas niestrudzonego ściskania na ulicy dłoni mieszkańców: „Jakikolwiek miałibyście problem, przystanek autobusowy, stacja metra, jakiś kłopot, powiedzcie o tym Johnowi”).

Nadzwyczajne portrety aktorów i gwiazd, takich jak Richard Burton i Liz Taylor oraz jej poprzedni mąż, niepokieszony Eddie Fisher; fascynujące spotkanie z uroczą Shirley MacLaine, która przed wyruszeniem z Orianą w podróż samochodem *on the road*, przygotowuje się do promocji swojej książki, mającej zainicjować jej karierę jako autorki bestsellerów: książka wyjdzie w 1970 roku pod tytułem *Don't Fall Off the Mountain*, tutaj jednak występuje pod roboczym tytułem *Lepiej chodzić bez butów*.

I jeszcze legendarny Xavier Cugat, w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku gospodarz włoskich programów rozrywkowych nadawanych w sobotnie wieczory, razem ze swoją zmysłową małżonką Abbe Lane i ich pieskami chihuahua, a także bardziej wyrafinowani Roger Vadim i Jane Fonda, którzy pobrali się w Las Vegas. Oriana jest wśród czternaściorga gości zaproszonych na tę ekskluzywną uroczystość ślubną, nikt nie mógł jeszcze przewidzieć, że przyjaźń między paniami skończy się z powodu skrajnie odmiennych poglądów na wojnę w Wietnamie i temu zerwaniu nic już nie będzie mogło zaradzić, jak wspomina sama Fallaci we *Wściekłości i dumie*.

Obserwowanie gwiazd zakłada również wizytę w Houston, „przedsionku podróży na Księżyc, antycypacji naszej przyszłości”; są tam sceny z życia rodzinnego astronautów, atmosfera miast niebędących Nowym Jorkiem, prowincjonalizm tego kraju („Czy kłóciła się pani z ojcem?” – pyta Oriany, nieskorej do przyłączenia się do modlitwy przed jedzeniem, żona astronauty Dicka Gordona), spotkanie w Los Angeles z ulubionym pisarzem Rayem Bradburym, mistrzem science fiction, który jako środka lokomocji używa roweru; a także pobyt w Hollywood, gdzie nudzą ją pogawędki nad basenem, wyczerpują godziny bezczynności spędzane w słońcu (w opisach Fallaci czuje się wyraźnie temperaturę opowiadania Johna Cheevera *Pływak*).

Całkiem inny rytm i inna energia objawiają się w podróży samochodem z Shirley MacLaine, wiodącej szlakiem – w odwrotnym wprawdzie kierunku – dawnych pionierów, którzy wyruszyli z Wirginii do Kalifornii. W oczach tej florenckiej pionierki pustynia przywołuje podbój Zachodu, lecz oznacza również nieuchronne odkrycie tego, że „Ameryka jest pusta, pusta na przynajmniej jednej trzeciej swojej powierzchni, niezamieszkana. I pogrążona w ciszy”. Światła wzdłuż drogi to zapowiedź fałszywych obietnic w postaci neonów na fasadach wielkich hoteli w Las Vegas, tym „magnesie, który przyciąga ludzi nieodpowiedzialnych, szalonych”. Ale prawdziwą niespodzianką jest znalezienie jakiejś części własnego domu w najbardziej odległych miejscach, a to za sprawą nazw, jakie emigranci z Europy nadali nowym osadom: od Paryża w Arkansas przez Moskwę w Tennessee aż do Florencji w Alabamie. Pozostaje ponura atmosfera Południa, mimo bezkresnego piękna jego krajobrazów, przygnębienie w obliczu segregacji rasowej, kulturowego zacofania współistniejącego z innowacją i postępem: „Cóż to za dziwny kraj Ameryka, cóż za niepojęty sfinks. Dotarliśmy prawie do końca naszej podróży, ale ja nic z niej nie zrozumiałam” – oznajmia Oriana, podziwiając obywatelską pasję Shirley, jej nieuleganie powszechnie wyznawanym zasadom.

W opowieści Oriany o Ameryce w czwartej części książki nie mogło zabraknąć relacji z wizyt dwóch niezwykłych podróżników, jakimi byli Cesare Zavattini i Pier Paolo Pasolini: Cesare Zavattini przyjechał w lutym, a Pier Paolo Pasolini w październiku 1966 roku, i ich przyjazne portrety Oriana nakreśliła z ogromną przenikliwością.

Piąta część zawiera nadzwyczajny reportaż na temat amerykańskich nastolatków, który ukazał się w dwóch odcinkach na łamach „L’Europeo” w lutym 1966 roku. Oriana dostrzega bliską zmianę i przeczuwa, że aby zrozumieć społeczeństwo, trzeba rozmawiać z młodymi. Rejestruje ich nastroje i komentuje zachowanie, dając naprawdę ważne świadectwo stanu ich świadomości tuż przed wybuchem ruchów studenckich, feminizmu i rewolucji seksualnej.

Tom uzupełnia, w szóstej części, wybór „Listów z Ameryki”, tutaj noszący tytuł „Listy do naczelnego”, które Fallaci ogłasza między marcem a czerwcem 1967 roku, jak zawsze w „L’Europeo”. Powraca styl błyskotliwej dziennikarki, lekki, skłonny do paradoksu. Oriana darowuje nam chwile dobrego humoru i wywołuje uśmiech, chociaż jej korespondencję zamyka osobista notatka, jak zwykle prorocza.

W listopadzie tego samego roku Fallaci ląduje w Sajgonie, otrzymawszy od redaktora naczelnego tygodnika zadanie śledzenia konfliktu w Wietnamie; rozpoczyna się jej kariera korespondentki wojennej w południowo-wschodniej Azji, trwająca w sumie osiem lat, podczas której przeprowadza wywiady, doświadcza miłości i cierpień. Pozwolą jej one przejść do Historii.

We wstępie z 2009 roku do nowego wydania *Inszallah* Gianni Riotta napisał: „Była Oriana włoska, ale była też Oriana amerykańska... nie zapominajcie o żadnej z nich, żadnej”.

1 C. De Stefano, *Oriana Fallaci. Portret kobiety*, przeł. A. Pawłowska-Zampino, Sonia Draga, Warszawa 2014, s. 139 (przyp. tłum.).

CZĘŚĆ PIERWSZA

POCZTÓWKI Z NOWEGO JORKU
(1965)

AMERYKA OCZAMI WŁOSZKI

Nowy Jork, lipiec

Z powodu taksówki można nawet zacząć strzelać

Ledwie zdążyłam przejść przez kontrolę celną na lotnisku imienia Johna F. Kennedy'ego, a już dostrzegam Shirley MacLaine, która przyleciała z Hollywood i kłóci się właśnie z kierowcą taksówki. W Nowym Jorku trwa strajk taksówkarzy i do nielicznych łamistrajków strzela się z rewolweru albo obrzuca ich kamieniami, taksówka ma taką samą wartość, jak rower podczas wojny w Europie: taksówkarz jest równie arogancki, jak ktoś, kto pożyczył ci niegdyś rower.

– Albo ty, albo walizka – mówi, wskazując bagaż, z którym przyjechała Shirley, a kolejka ludzi liczących na to, że zajmą jej miejsce, obserwuje scenę beznamyślnie, w milczeniu; mniej zainteresowana, niż gdyby oglądała film w telewizji.

– Ale walizka jest ze mną, a ja jestem z walizką – odpowiada Shirley MacLaine oburzona.

– Albo ty, albo walizka – powtarza z uporem taksówkarz.

Albo ja, albo ty. Moje życie albo twoje. Albo wsiądę do taksówki ja, albo wsiądziesz do taksówki ty. Jeśli będziesz musiała iść pieszo, jeśli zgubisz walizkę, jeśli zdechniesz, nic mnie to, moja droga, nie obchodzi: Chrystus umarł dwa tysiące lat temu. Walcząc w napięciu o przetrwanie, Shirley wibruje jak stalowa struna, jej oczy ciskają błyskawice, nie zamierza ustąpić; kiedy ją wołam, proponując, że ją podwiozę, nawet mnie nie słyszy. Trzeba siłą wcisnąć jej do rąk bukiet kwiatów, by ją przekonać, że Chrystus nie umarł, czasami na chwilę zmartwychwstaje: Duilio, mój kolega fotograf, przyjechał po mnie z bukietem róż.

– Masz, Shirley, ty je weź.

Shirley ma łzy w oczach, patrzy na nas, jakbyśmy byli aniołami, dobrymi wróżkami, duchami, w końcu wybucha:

– Co do diabła robisz w Ameryce? Głupia wariatko, nie wiesz, że tu jest piekło? Jedź z powrotem!

Shirley wcale się nie zmieniła od dnia, w którym ją poznałam we Włoszech i który stał się początkiem naszej przyjaźni. Włosy raz rude, raz blond, obecnie są czarne, trzy z jej słynnych krogulczych paznokci się złamały, ale buntowniczość pozostała niezmienną, podobnie jak nienawiść do Nowego Jorku. Nie należy zapominać, powiada, że mniej więcej dwa lata wcześniej w tym mieście przez ponad pół godziny dżgano pewną kobietę nożem w obecności trzydziestu pięciu osób, które z okien przyglądały się scenie, nie kiwnąwszy nawet palcem, nie wydając z siebie krzyku ani nie wzywając policji.

– Przyglądały się nieruchomo, w milczeniu, mniej zainteresowane, niż gdyby oglądały film w telewizji; tej samej zimy przytrafiło mi się coś podobnego. Szłam Park Avenue, wcześniej spadł śnieg i chodnik zamienił się w lodowisko. *Please*, powtarzałam, *please*, pomóżcie mi, *please*, podnieście mnie, wezwijcie karetkę, lekarza, *please!* Ale oni przechodzili obok i nie robili nic, nie mówili nic. Żeby nie tracić czasu, rozumiesz, żeby nie zrobić sobie krzywdy, nie przewrócić się razem ze mną. Albo ja, albo ty. Albo moje życie, albo twoje. Leżałam tak przez dwadzieścia minut i nikt nie podał mi ręki, nie spojrzął na mnie; w końcu dowlokłam się sama, pomagając sobie rękami, do bramy i tu potrzeba było kolejnych dwudziestu minut, a każda minuta trwała wieczność, aby udowodnić portierowi, że nie jestem pijana ani pod wpływem narkotyków, tylko jestem kobietą, która złamała nogę. Jednym słowem, po co do diabła tu przyjechałaś?

Następnie zwraca się do Duilia:

– A ty? Po diabła tu przyjechałaś?

– Mnie Ameryka się podoba – odpowiada Duilio. – I podoba mi się Nowy Jork. Ameryka jest jak służba wojskowa: trzeba ją zaliczyć. Wszyscy powinni zaliczyć Amerykę po dwudziestym pierwszym roku życia albo przynajmniej Nowy Jork. Na kimś, kto mieszka w Paryżu albo w Rzymie, albo w Mediolanie, Nowy Jork robi takie samo wrażenie, jak na jakimś kalabryjskim rekrucie Paryż albo Rzym, albo Mediolan. Kiedy musisz się bronić, przetrwać, stajesz się inteligentniejszy.

– I chudszy – dodaje. – Strasznie schudłeś. Jesteś na diecie?

– Jaka tam dieta – odpowiada Duilio. – Tutaj rekrut traci pół kilograma

tygodniowo. Jestem tu od pół roku, więc policz: schudłem dwanaście kilogramów. Jeśli przetrwam kolejne pół roku, schudnę jeszcze dwanaście.

Bez wstrząsów, bez podskakiwania nasz samochód pędzi parkwayem Manhattanu i teraz jedzie wzdłuż miejskiego cmentarza, długiego na sześć mil. Sześć mil łodyg krzyży i płyt nagrobnych, jedne tuż obok drugich, bez przerwy, bez żadnego odstępu, nie ma na świecie dłuższego cmentarza niż ten, wydaje się, że cała ludzkość jest tam pochowana, za każdym razem, kiedy wracam do piekła i jadę wzdłuż tego cmentarza, zamykam oczy i chciałabym krzyczeć, uciekać; może Shirley ma rację, jeśli tutaj zostanie, mnie również zabiją. Ale dodaję sobie odwagi i zostaję: jestem przecież u siebie. Amerigo Vespucci był florentczykiem, Giovanni da Verrazzano pochodził z Val di Greve w Chianti. Mam prawo tu być, zobaczyć, jaką krzywdę wyrządzono Ameryce, jak mi ją zniszczono. Mam prawo wiedzieć, kim są Amerykanie, czy są szczęśliwi, czy nie, czy są łajdakami, czy ludźmi przyzwoitymi. Mam prawo słuchać ich, obserwować, podglądać. Jeśli mnie nie wykończą, albo aż do dnia, kiedy to się stanie, wszystko wam będę opowiadać za pośrednictwem tego mojego dziennika.

Miejsce w piekle pięć na cztery

Kiedy przyjeżdżam do piekła, mieszkam zwykle w hotelu albo motelu. Tylko raz jeden, wiele lat temu, zdarzyło mi się dzielić dom z pewną dziewczyną z Greenwich Village, ale dziewczyna była Francuzką, Village jest w europejskim stylu, a zatem to się nie liczy. W prawdziwym mieszkaniu, amerykańskim mieszkaniu wyłącznie dla mnie, nigdy nie byłam; stąd ogarniająca mnie nerwowość, kiedy wchodzę, eskortowana przez Shirley i Duilia, pod numer dwieście dwadzieścia na Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Nigdy nie widziałam podobnego mieszkania, nawet na zdjęciu: znalazł je dla mnie przyjaciel z NBC i wiem jedynie, że jego wynajęcie kosztuje dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie plus opłaty. Drobnostka, jeśli pomyślę, że jest położone w Upper East Side, to znaczy na wschód od Piątej Alei. Jak wiedzą to

nawet dzieci, Piąta Aleja stanowi niewidzialny mur, który pod względem politycznym, światowym, ekonomicznym dzieli Nowy Jork na Upper East Side i Upper West Side tak, że podobnie jak istnieje Berlin Wschodni i Berlin Zachodni, istnieje wschodni i zachodni Nowy Jork. Podczas gdy jednak w Berlinie część wschodnia jest bardziej postępowa i biedna, a część zachodnia bardziej reakcyjna i bogata, w Nowym Jorku część zachodnia jest bardziej postępowa i biedna, a część wschodnia bardziej reakcyjna i bogata. Odnosi się to wszakże jedynie do terenów między Dziewięćdziesiątą a Czterdziestą Ulicą; poza nimi bowiem część wschodnia staje się (jak w Berlinie) bardziej postępowa i biedna, część zachodnia zaś bardziej reakcyjna i bogata. A teraz uwaga. Między Dziewięćdziesiątą a Czterdziestą nie można mieszkać, gdzie się chce, trzeba mieszkać w rejonie między Pięćdziesiątą a Siedemdziesiątą, najwyżej Osiemdziesiątą. Naturalnie nikt nikogo nie zmusza, aby mieszkał między Pięćdziesiątą a Siedemdziesiątą, to jest wolny kraj, demokratyczny, o zdrowych zasadach, lecz kto nie mieszka między Pięćdziesiątą a Siedemdziesiątą, ten uchodzi za nędzarza albo skąpca. Jeśli poza tym ten ktoś jest kobietą, mieszkanie między Pięćdziesiątą a Siedemdziesiątą przestaje być kwestią nędzy lub skąpstwa, a jest kwestią życia lub śmierci, ponieważ tylko między Pięćdziesiątą a Siedemdziesiątą są budynki pilnowane przez uzbrojonego portiera, który przepytuje i przeszukuje wszystkich wchodzących, by zapobiec najpopularniejszej dyscyplinie sportowej w Nowym Jorku: polega ona na dostaniu się do mieszkania kobiety i uduszeniu jej we śnie albo i kiedy się obudzi, kto wie dlaczego. Za taki przywilej bycia pilnowaną przez uzbrojonego portiera trzeba płacić, no właśnie, dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie: drobnostka, zgoda, ale jest to również suma, za którą spodziewałam się znaleźć mieszkanie duże, eleganckie, ze wszystkimi wygodami. Po czym otwieram drzwi i dowiaduję się, że moje mieszkanie to pokój pięć na cztery.

W głębi jest spore okno, pod oknem łóżko przerobione z dużego tapczanu, na prawo od łóżka komoda w stylu szwedzkim, po lewej stronie znajdują się półki na książki, przed nimi ogrodowy żelazny stolik pomalowany na biało, na stoliku telewizor, a obok dwa krzesła. Nic więcej. Drzwi skrywają szafę w ścianie: malutką. Inne drzwi prowadzą do łazienki: malutkiej. Jeszcze inne do kuchni: malutkiej. Szafa,

łazienka, kuchnia mają razem nie więcej niż sześć metrów kwadratowych, z czego wynika, że życie przeciętnego amerykańskiego obywatela toczy się na dwudziestu sześciu metrach kwadratowych: tyle ma łazienka w moim wiejskim domu. Wybucham płaczem w ramionach Duilia i Shirley. Ale zaraz potem się otrząsam, przypominam sobie o Giovannim da Verrazzano i Amerigu Vespuccim, moich przodkach, i oświadczam stanowczo, że muszę wyprawić się w kosmos, wylądować na Księżycu, wyemigrować na inne planety, żeby zmieścić tam moje ubrania, moje książki, być może czynsze są tam niskie.

Właścicielka z Hongkongu

Właścicielka mojego mieszkania przebywa w Hongkongu i z jej fotografii na ścianie wnioskuję, że jest brunetką w wieku między trzydzieści pięć a czterdzieści lat, ma okrągłe oczy i wąskie wargi, złośliwe. Zostawiła dla mnie list, dobrze widoczny na łóżku, pisze w nim, że nie wie, jak długo zostanie w Hongkongu: może dwa miesiące, może trzy, może cztery; pewne jest tylko, że przed wyjazdem wyśle mi telegram, żebym w ciągu doby spakowała swoje rzeczy. Tymczasem mam natychmiast zapłacić jej czynsz i przesyłać codziennie pocztę, z gazetami włącznie, drogą lotniczą, za pośrednictwem American Express w Hongkongu. Przykazuje, żebym nie zniszczyła telewizora, nie używała gramofonu, nie wpuściła do domu pluskiew, karaluchów, komarów: Nowy Jork pełen jest pluskiew, karaluchów, komarów, lecz w tym mieszkaniu nigdy nie było pluskiew, karaluchów, komarów, ponieważ ona wyrzuca śmieci dwa razy dziennie do spalarni, i jeśli po powrocie zostanie choćby jedną pluskwę, jednego karalucha czy komara, będzie to oznaczało, że nie wyrzucałam śmieci dwa razy dziennie.

Nowy Jork, dodaje kobieta z Hongkongu, pełen jest również maniaków seksualnych, złodziei, morderców: niech pani zatem nie otwiera drzwi bez wiedzy portiera. Nocą mam przekręcać dwukrotnie klucz w drzwiach i jeśli mam pieniądze, powinnam sobie kupić

rewolwer. Rewolwer kupuje się, zamawiając listownie, proszę nie mieć skrupułów przed użyciem go, ponieważ jeśli zabiję w obronie koniecznej, zostanę uniewinniona bez procesu. Kobieta z Hongkongu ubolewa, że nie może mi wynająć również rewolweru, ale pożyczyła go (za opłatą) przyjaciółce. Kobieta z Hongkongu jest kobietą romantyczną: wszędzie są kwiaty z papieru, materiału, plastiku, aksamitne róże, satynowe kwiaty jaśminu, nylonowe słoneczniki, jedwabne kokardy i niezliczone przedmioty w kształcie serca. Ramki są w kształcie serca, lustra są w kształcie serca, talerze są w kształcie serca, mydełka są w kształcie serca, w kolorze czerwonym. W łazience jedno z tych mydełek w kształcie serca spada mi na podłogę i pęka.

– Och, nie martw się – mówi Shirley. – Na dole, w drugistorze, mają takich mnóstwo. Dobrze w Ameryce jest to, że kiedy serce pęka, idzie się do drugstore’u i kupuje nowe.

Miły brunecik o imieniu Eddie

On nie, on tak nie sądzi. On, czyli Eddie Fisher, były mąż Elizabeth Taylor; spotykam go w NBC, gdzie poszłam podziękować przyjacielowi za to, że znalazł mi mieszkanie takie wygodne, takie przyjemne i takie tanie. W NBC przystępują właśnie do nagrywania najbardziej popularnego w Ameryce programu *Tonight Show*, nadawanego co wieczór o dziesiątej trzydzięci we wszystkich pięćdziesięciu stanach; mistrzem ceremonii jest gwiazdor, który nazywa się Johnny Carson. Johnny Carson przeprowadza co wieczór wywiad z aktorami, pisarzami, politykami, gangsterami, jednodniowymi celebrytami, ludźmi nieznanymi, a w zeszłym roku, z powodu ukazania się mojej książki po angielsku, przeprowadził wywiad także ze mną, co okazało się kompletną katastrofą. Nie spodobał mu się mój punkt widzenia na amerykańskie kobiety, których ulubionym pożywieniem jest, jak twierdzą, amerykański mężczyzna: pożerany przez swoją prawowitą żonę albo prawowitą matkę, które następnie z kości nieboszczyka wznoszą drapacze chmur. Jeszcze mniej spodobał mu się mój punkt widzenia na amerykańskich mężczyzn: bezbronnych baranków, jak

twierdzą, którzy w oczekiwaniu, aż zostaną wydani na pożarcie swoim żonom i matkom, żyją w niewoli porównywalnej jedynie do niewoli muzułmanek okrytych od stóp do głowy burką.

– Moja droga, nie widzę, żebym miał na sobie jakąś burkę – rozzłościł się Johnny Carson.

– Pan tego nie widzi, ale ja widzę – odpowiedziałam. Wśród publiczności ktoś się roześmiał, ktoś inny zawołał:

– Świetnie ci w niej, Johnny.

I tak zostaliśmy nieprzyjaciółmi.

Przechodząc koło mnie za kulisami *Tonight Show*, gwiazdor mi się nie kłania i udaje, że nie widzi ręki, którą wyciągam na znak zawieszenia broni.

– Chyba jest wściekły – komentuje przystojny młody człowiek z dużą głową, całą w ciemnych lokach, elegancki, bardzo szczupły, niewiele wyższy ode mnie. Istotnie, mogę patrzeć mu w oczy, nie zadzierając głowy. Jego oczy są również czarne, smutne i zarazem żywe. Pośrodku jest nos, spory, odrobinę haczykowany, jak u Żydów, dziwne, że go nie rozpoznaję, że myślę natomiast, jak bardzo przypomina postać z *Le dernier des Justes* (Ostatni ze Sprawiedliwych), powieści André Schwarza-Barta.

– Tak, jest wściekły – potwierdzam.

– Dlaczego?

Tłumaczę mu, uśmiecha się.

– Właśnie, tak o nas myślą inni: że jesteśmy słabymi mężczyznami, niczym bezbronne baranki. To niewiarygodne, jak łagodność może być często mylona ze słabością. Ktoś usiłuje być dobry, miły, na przykład wobec kobiety, którą kocha, usiłuje ją zrozumieć, usprawiedliwić, a ona pierwsza mówi: jesteś słaby, słaby. Wiem o tym, bo przydarzyło mi się coś podobnego. Chciałem, żeby o mnie mówiono: prawdziwy z niego dżentelmen, ale mówi się o mnie: słaby.

Młodzieniec jest sympatyczny; wszystko, włącznie z niskim, przytłumionym głosem, budzi czułość, szacunek.

– Jak pan powiedział, że się nazywa? – pytam go.

– Nie powiedziałem – mówi. – Nazywam się Eddie Fisher.

Rozmawiamy jeszcze przez jakiś czas, występuje w show jako ostatni, więc zdąży mi oznajmić, że jutro wieczorem śpiewa w Long Beach:

może przyjdę go posłuchać? Zjemy razem kolację i porozmawiamy o moich punktach widzenia; jeśli chcę, przyśle po mnie po południu. Okej? Okej. Trzymam pod pachą egzemplarz „L’Europeo”, zabiera mi go.

– Co to jest?

– Tygodnik, dla którego pracuję.

Przerzuca kartki, w środku jest zdjęcie Elizabeth Taylor w kostiumie kąpielowym.

– Znam ją – uśmiecha się – ją trochę znam.

I nagle oczy giną mu w mnóstwie drobnych zmarszczek, szczęki się zaciskają, to już nie chłopak, lecz trzydziestosześcioletni mężczyzna, któremu złamano serce i nie można odkupić go w drugstwie. Chciałabym coś powiedzieć, na przykład, że nie zamierzałam poruszać tego tematu, nawet go nie rozpoznałam, ale reżyser woła:

– Eddie, twoja kolej.

– Okej, już idę. A więc do jutra – mówi. – Niech pani zostawi swój adres w Waldorf Astorii, pošlę po panią po południu. – Potem wychodzi na scenę, znika.

Elizabeth Taylor wyleciała dziś rano z Burtonem do Los Angeles. Będę jednak musiała skierować jutro rozmowę na Elizabeth Taylor. Ale jak? Na jego miejscu posłałabym do diabła każdego, kto spróbowałby to zrobić.

Opowiada mi o Liz w zamęcie Long Beach

Long Beach leży o godzinę i trzy kwadransy jazdy samochodem od centrum Manhattanu i jest czymś pośrednim między Ostią a Viareggio: długą plażą z wieloma kabinami. Oblewa ją morze, szare i groźne, latem pełno w nim rekinów i kąpać się trzeba w basenie. Na ogół jest tu mnóstwo ludzi, dziś jednak pada deszcz i nikt nie pojawi się aż do wieczora, kiedy Eddie Fisher zaśpiewa. Na plaży jesteśmy tylko my dwoje i rozmawiamy o Elizabeth Taylor.

– Wiele osób czuje się niepewnie, kiedy wymienia przy mnie jej imię – mówi – i myśli, że chcę zapomnieć. Ale nie można zapomnieć tego, co było, istniało. To jak wrzucić kawałek drewna do wody, ot tak. Wcześniej

czy później wypłynie na powierzchnię. – Pochyliła się, podnosi kawałek drewna, wrzuca go do wody i drewno unosi się na powierzchni. – Elizabeth istnieje, istniała, nie mogę jej zapomnieć, nie zapominam jej. Nigdy jej nie zapomnę: była mimo wszystko największą miłością mojego życia. – Przygląda się długo kawałkowi drewna na wodzie. – Teraz już jej nie kocham, zupełnie przestałem ją kochać. Nasze spotkania, zresztą rzadkie, nigdy nie są przyjazne, nigdy, a jednak nie budzą we mnie niepokoju. Patrzę na nią po prostu i zastanawiam się, jak mogłem ją kochać, to prawda, że miłość zaślepia.

– Jest bardzo piękna – mówię.

– Tak, jest bardzo piękna – przytakuje – ale nie jest kobietą, jest małą dziewczynką. Dziewczynką rozpuszczoną nadmiernym powodzeniem. Dostała wszystko i domaga się coraz więcej: domaga się, by świat leżał u jej stóp, chciałaby, aby wszyscy przed nią klękali, pragnęłaby dostać księżyc i narzeka, jeśli się go jej nie da. Dokładnie tak jak dzieci: nie jest inteligentna. Jej inteligencja, kiedy się objawia, jest infantylna i na dłuższą metę staje się to męczące, zabija w niej nawet urodę. To znaczy staje się tak męczące, że już nawet nie zauważasz, jaka jest piękna, a jeśli zauważasz, to tylko po to, by pomyśleć, jak mało liczy się w jej wypadku uroda. Nie, to nie mogło trwać między mną a Elizabeth. Stało się, co miało się stać, żałuję tylko, że stało się tak, a nie inaczej. W sposób tak wulgarny, banalny.

– A więc dlaczego nie zgodził się pan na rozwód? Mówiono mi, że rozwód w Meksyku jest nieważny w Stanach Zjednoczonych.

– Nie, nie jest. To rozwód jednostronny, nie wyraziłem zgody i w świetle prawa jesteśmy nadal mężem i żoną. Ale to nie dlatego, że zależy mi na byciu jej mężem. Z powodu...

– Z powodów finansowych?

– Nie, te można uregulować i po rozwodzie. Należy mi się procent od dochodów z *Kleopatry*, umowa została zawarta przez wytwórnię filmową, dla której oboje pracujemy: wcześniej czy później będzie musiała dać mi te pięć procent. Zresztą nie zależy mi na pieniądzu, mam je. Wystarczą mi aż do śmierci, a poza tym mogę się bez nich świetnie obejść; mój ojciec robił walizki, spędziłem dzieciństwo, pracując jako ogrodnik, bieda nigdy mnie nie przerażała. Powód jest inny.

– Jaki?

– Liza. Córka, którą Elizabeth miała z Toddem. Adoptowałem tę dziewczynkę, kocham ją, jak gdyby była moim dzieckiem, brakuje mi jej, jak gdyby była moim dzieckiem; a ona nie pozwala mi się nawet z nią zobaczyć. Nie tylko: chce zmienić jej nazwisko, chce ją nazwać Liza Burton. Jednym słowem, czy wydaje się to pani czymś do zniesienia, czy wydaje się to pani możliwe, by przy każdym małżeństwie Elizabeth ta dziewczynka zmieniała nazwisko? Była Lizą Todd, została Lizą Fisher, teraz miałyby zostać Lizą Burton. A jak się będzie nazywać biedna Liza na skutek kolejnego kaprysu matki? Nie zgodzę się na rozwód, dopóki nie będę pewny, że Liza pozostanie moją córką. Lizą Fisher, adoptowaną córką Eddiego Fishera.

Teraz zmarszczki wokół oczu są głębokie i każda jest małą studnią zalegającej goryczy. Mówię mu to, unosi brew.

– Oczywiście, nie jestem już tak naiwny jak kiedyś, zrozumiałem wreszcie, że nie można zawsze dawać, trzeba również otrzymywać, bo w przeciwnym razie źródło wyschnie. Ale nie jestem zgorzkniały, wręcz przeciwnie. Kocham życie bardziej, niż kiedykolwiek je kochałem, bawię się życiem, jak nigdy się nie bawiłem, nie wiem już, czym jest strach. Żyłem zawsze w strachu, domyślałem się, że to dlatego, iż jestem Żydem; i nagle już się nie boję. Czuję się silny i spokojny.

– Nie ma pan nawet wyrzutów sumienia, niczego pan nie żałuje?

– Nie. Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym wszystko, co już raz zrobiłem. Włącznie z poślubieniem Debbie, włącznie z poślubieniem Elizabeth. Z Debbie też się nie układało, ale gdybym nie ożenił się z Debbie, nie miałbym dwójki cudownych dzieci, nie ożeniłbym się być może z Elizabeth. Gdybym nie ożenił się z Elizabeth, nie wydorosłałbym wreszcie i nie zapomniał o strachu. Wszystko się dzieje, bo tak być musi, wszystko ma swoją przyczynę. I nic się nie poradzi na to, że wszystko ma także swoją cenę. – Pauza. – Chcę się znowu ożenić. Chcę tego najbardziej na świecie; praca mi nie wystarcza, sukces mi nie wystarcza, nie mogę skakać z kwiatka na kwiatek. To nie ma sensu, potrzebuję dzielić życie z inną osobą, być jej wierny. Byłem wierny Debbie, dopóki nasze małżeństwo trwało, byłem wierny Elizabeth, dopóki nasze małżeństwo trwało. Amerykanie są tacy purytańscy, a jednak mają zawsze kochanki, ja nigdy nie miałem kochanki. Urodziłem się po to,

aby być mężem; ach, gdybym potrafił się zakochać. Kłopot w tym, że nie potrafię się już zakochać.

Po kolacji, jest już północ, Fisher wchodzi na scenę w Malibu Beach Club w Long Beach. Płacą mu sześć milionów za dziewięćdziesiąt minut śpiewania i z Long Island w Nowym Jorku przyjechało tysiąc pięćset osób: parking dla samochodów jest jedną wielką żelazną taflą. Głos Fishera, wykształcony, przepiękny, brzmi mocno; tysiąc pięćset osób szaleje, zmusza go do śpiewania do drugiej w nocy. O drugiej, kiedy mówi: dosyć, proszę was, jestem wykończony, zdejmuje marynarkę i jego koszula jest mokra od potu, jego kędziory wyglądają jak zmoczone ulewą. Tysiąc pięćset osób chciałoby go nieść triumfalnie na ramionach, podbiega jednak do niego od razu sześciu policjantów, żeby go chronić. Policjanci są wysocy i potężnie zbudowani, zamykają go w klatce ze splecionych muskularnych ramion i tam w środku nie tkwi już słaby człowiek zarabiający sześć milionów za wieczór, lecz przegrany ponownie chłopczyk. Nagle spoza tej klatki z muskularnych ramion chłopczyk dostrzega mnie, wyciąga do mnie rączkę, krzyczy:

– *Ciao, Little Italy, ciao!*

I wydaje się naprawdę ostatnim ze Sprawiedliwych w chwili, kiedy go wyprowadzają, a on płacze, nie dlatego, że go wyprowadzają, lecz dlatego, że widział, jak wyrywa się motylowi skrzydła.

Kwestia czynszu

Są ludzie, którzy się nie poddają; ale wyrywanie sobie nawzajem skrzydeł to tutaj kolejny bardzo popularny sport i trzeba się do niego przyzwyczaić. Tym bardziej że nie ma w nim nic trudnego: wystarczy kontrola nad nerwami, brak współczucia, brutalność. W Malibu Beach ktoś mnie komuś przedstawia, ten drugi ktoś pyta:

– Jest pani Włoszką, proszę mi więc powiedzieć, dlaczego w Rzymie jest tyle prostytutek na ulicy?

– Dlatego – odpowiadam – że nie mają pieniędzy, by kupić sobie mieszkanie, tak jak prostytutki w Nowym Jorku.

Koktajl na cześć Shirley, która nie lubi butów

Odpowiedź podoba się Shirley, z którą spędzam ostatnią dobę jej pobytu w Nowym Jorku.

– Brawo, i pamiętaj, że nasze prawo głosi: Skuj-mordę-zanim-ktoś-skuje-ją-tobie.

Shirley, jeszcze o tym nie wspomniałam, przyjechała promować książkę, którą właśnie pisze, a której roboczy tytuł brzmi *Lepiej chodzić bez butów*. U szczytu kariery aktorskiej, właśnie teraz, kiedy zarabia sumy tak astronomiczne, że można je określić jako niemoralne, spostrzegła, że kino przestało ją bawić, i chce zostać dziennikarką i pisarką. Marguerite Higgins, wybitna reportażystka, która dostała nagrodę Pulitzera za swoje korespondencje z wojny koreańskiej, udziela jej lekcji dziennikarstwa; Sam Shaw, słynny fotograf, uczy ją, jak posługiwać się aparatami Leica i Nikon. Kiedy będzie gotowa do nowego zawodu, mówi mi Shirley, przejedziemy razem Stany Zjednoczone i zrobimy wielki reportaż na cztery ręce. Tymczasem pisze *Lepiej chodzić bez butów* i z tego powodu złamała sobie trzy ze swoich słynnych paznokci:

– Połamalam je na tych przeklętych klawiszach tej przekłetej olivetti.

Książka jest mniej więcej historią pewnej Amerykanki, która lubi podróżować, szalonej kobiety wędrującej po świecie: Afryce, Rosji, Europie, Azji, pakującej się w najbardziej niewiarygodne historie: raz zatrzymuje ją wraz z jej przewodnikiem w Himalajach grupa rebeliantów zamierzających ją rozstrzelać, raz spędza tydzień w paryskim burdelu, żeby przekonać się, jak on funkcjonuje, raz zamyka się na trzy dni i trzy noce w auli Uniwersytetu Moskiewskiego, żeby dyskutować ze studentami o filozofii i religii.

– Ale wszystko to naprawdę się pani przydarzyło? – pyta przeprowadzający z nią wywiad dziennikarz „New York World Telegram”.

– Oczywiście – wykrzykuje Shirley.

– Tylko pani muszą się takie rzeczy przydarzać? – pyta dziennikarz.

– Cóż – odpowiada Shirley.

Dziennikarz nie wydaje się przekonany. Nie wie, że rzeczy

przydarzają się temu, kto ich szuka i kto na nie zasługuje, jak powiadał Malaparte. Albo może, w istocie, przydarzają się wszystkim, tyle że jedni je dostrzegają, a inni nie.

– Jak przyszedł pani do głowy pomysł, by napisać tę książkę? – upiera się dziennikarz.

– Powiem panu – mówi Shirley. – Byłam na obiedzie u Małgorzaty...

– Jakiej Małgorzaty?

– Księżniczki Małgorzaty, jest jakaś inna Małgorzata?

– Przyjaźni się pani z księżniczką Małgorzatą?

– To nie ja przyjaźnię się z nią, to ona przyjaźni się ze mną.

– A na czym to polega?

– No cóż, kiedy jestem w Londynie, zaprasza mnie na obiad i idę do niej, ten Buckingham Palace czy-jak-mu-tam jest taki śliczny i kucharz jest świetny.

– Pani żartuje.

– A to czemu? Spędziłam również dwa tygodnie w zamku lorda Mountbattena: zaprosił mnie, a ja powiedziałam, tak, dziękuję. Chciałam się przekonać, czy sobie poradzę z kimś takim.

– I poradziła sobie pani?

– Och, to nic trudnego, wie pan. Wystarczy wyciągnąć szyję, zacisnąć wargi i wypowiadać od czasu do czasu zdanie w stylu: trzysta lat temu mój przodek... Cóż, wszyscy mają jakiegoś przodka, nieprawdaż?

Koktajl, jaki wydał jej wydawca z okazji powstawania *Lepiej chodzić bez butów*, odbywa się w nowym modnym klubie Arthur. W sali obok trwa inny koktajl na cześć producenta obuwia. Dowiedziawszy się, że piękną kobietą, którą wszyscy proszą o autograf, jest Shirley McLaine, producent obuwia zdjął buty i przyszedł się jej pokłonić. Jest opuchnięty i gruby, z fioletową twarzą z powodu nadmiernej skłonności do alkoholu. Mówi, że bardzo lubi książki, bo są dekoracyjne, i w tym roku ustawił w swojej bibliotece książki za dwa tysiące dolarów. A raczej za dwa tysiące pięćset. Pięćset dolarów wydał na przecięcie książek na pół. Półki są płytkie, książki za bardzo wystawały; stanąwszy przed dylematem, czy kupić inne półki, czy przeciąć książki na pół, zdecydował się przeciąć książki na pół. Elektryczną piłą.

AKCJA WODA

Nowy Jork, lipiec

Ten pobyt w Nowym Jorku jest pełen pułapek, zasadzek. Wcale nie dlatego, że Ava Gardner zaraz się tu zjawi, a „Newsweek”, jedyny czytany przez nią tygodnik, opisuje awanturę, która wybuchła między nami w Madrycie, kiedy odkryłyśmy, że mamy zasadniczo odmienne poglądy na temat dziewictwa kobiet. Wcale nie dlatego, że Robert Kennedy pożałował słów, które powiedział do mnie w grudniu, kiedy go spytałam, czy ma w planach zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych, i teraz Rockefeller robi mu wyrzuty, Johnson się na niego dąsa, Bobby rozpowiada wszystkim wokół, że nie umiem dochować tajemnicy i że dopóki żyje, nie udzieli mi już żadnego wywiadu. Wcale nie dlatego, że wszyscy wokół zdali sobie sprawę, iż obserwuję ich niczym przedmiot badań, i czują się trochę jak zwierzęta doświadczalne, ale dlatego, że portier mnie śledzi i zauważył, że biorę kąpiel zamiast prysznic, piję wodę zamiast whisky, podlewam regularnie śliczną azalię, którą przysłał mi Eddie Fisher. Faktem jest, że deszczu nie było od marca, zeszłej zimy spadło bardzo mało śniegu i Nowy Jork jest bez wody. Zbiorniki w górach Catskill zawierają zaledwie dwieście czterdzieści siedem miliardów galonów wody, a miasto zużywa codziennie miliard; jeśli więc nie spadnie deszcz albo śnieg, za osiem miesięcy i siedem dni zapas wody się wyczerpie. Osiem miesięcy i siedem dni, wiem, wydaje się wam to dużo i wydaje się wam również dużo dwieście czterdzieści siedem miliardów galonów wody, ale Amerykanom wydaje się, że to mało, bardzo mało. Skoro ich zapasy wystarczą nie więcej niż na dziesięć lat, dwadzieścia lat, Amerykanie czują się niczym chińscy chłopcy w czasie głodu, więc atmosfera robi się dramatyczna. W kościołach katolickich, prezbiteriańskich, luterańskich, episkopalnych, w zborach kongregacjonalistów, metodystów, baptystów, kwaków, w świątyniach buddyjskich, w synagogach, meczetach, kaplicach wszelkich sekt religijnych, a sekt religijnych jest

w Ameryce dwieście sześćdziesiąt dwie, ludzie modlą się o deszcz. Rada miejska bierze pod uwagę możliwość zwrócenia się, podobnie jak w 1950 roku, do Producenta Deszczu, pilota rozsiewającego w niebie odłamki lodu; lód miesza się z chmurami, chmury się skraplają i robi się koniec świata. W 1950 roku burza wyprodukowana przez Producenta wyrwała drzewa, zatopiła domy, zniszczyła farmy, a rada miejska trafiła pod sąd i musiała wypłacić odszkodowanie.

W takiej atmosferze jest oczywiste, że obywateli, a także przybyszy, prosi się o niemarnowanie wody i pełne troski apele oraz groźby kierowane są do nas wszystkich, abyśmy zamiast kąpeli brali prysznic, a najlepiej nic, zamiast wody pili whisky, ale samą, a przede wszystkim nie podlewali kwiatów, ogrodów. Nowojorczycy, zdyscyplinowani, słuchają zaleceń, nie bacząc na skutki, brzydkie zapachy, pijaństwo, śmierć; na Brooklynie pewien stary człowiek się zastrzelił, a przedtem napisał list: „Ogród był jedyną rzeczą, jaką miałem; podlewałem go od czterdziestu lat, codziennie. Przez czterdzieści lat nigdy nie dostałem mandatu, nigdy nie trafiłem do więzienia. Wolę umrzeć wraz z moim ogrodem, niż pójść do więzienia, goodbye”. Ale ja nie jestem zdyscyplinowana, nie jestem nawet mieszkanką Nowego Jorku, dlatego biorę kąpiel, piję wodę i podlewam azalię od Eddiego Fishera; portier oznajmił już, że jeśli będę dalej tak postępować, doniesie na mnie policji, zamknie mnie w tym uroczym miejscu między Dziewiątą a Szóstą Ulicą. W więzieniu. Naprawdę ten pobyt w Nowym Jorku jest pełen pułapek, zasadzek. A wiecie, co jest najstraszniejszą pułapką? NASA podarowała burmistrzowi Robertowi Wagnerowi patent na zamianę uryny w czystą wodę. Stosują podobny system podczas lotów kosmicznych, żeby uniknąć zabierania wody pitnej na pokład statków. Twierdzi, że wypróbowali tę metodę astronauta Edward H. White i James McDivitt. Twierdzi, że otrzymana w ten sposób woda smakuje wyśmienicie.

Idź do klasztoru, Gordonie

Nie wierzę i telefonuję do Gordona Coopera i Pete'a Conrada, dwóch astronautów, którzy wystartują w sierpniu w kolejnym locie Gemini.

Gordon i Pete są moimi bliskimi przyjaciółmi; stali się nimi w ubiegłym roku, kiedy spędzaliśmy wiele czasu razem, bo pisałam książkę o lotach kosmicznych i wraz z Jimem Lovellem, innym kosmonautą, założyliśmy Oriana-Pietro-Giacomo-Rootbeer-Corporation-Limited w celu sprzedaży rootbeera na Księżycu i na Marsie. Rootbeer to obrzydliwy napój, który lubią Amerykanie, ale ponieważ lubią go także Rosjanie i nazywają go piwem, zamierzamy sprzedawać go na Księżycu i Marsie, żeby się wzbogacić i dzięki pieniądzom zyskać władzę: mamy na oku Portugalię, kraj pełen wina, morza i słońca. Ja, Gordo, jak wszyscy go nazywają, i Pete piszemy do siebie nieustannie biznesowe kartki pocztowe i między jednym biznesem a drugim wymieniamy wiadomości, z ostatniej zaś kartki wynika, że obaj są na Przylądku Kennedy'ego, gdzie spędzają czas w symulatorach i tyją. Pete'owi przybyło całe piętnaście funtów, około siedmiu kilogramów, teraz przekracza dopuszczalną w statku kosmicznym wagę i w NASA o niczym innym się nie mówi. Co począć z całym tym balastem? Już lepiej załadować czystą wodę. Dzwonię więc na Przylądek Kennedy'ego i żadnego z nich nie ma w symulatorze, obaj są na basenie w Holiday Inn, mówi Jim. Jim (James Lovell) jest wielkim przyjacielem Pete'a i jeszcze jednym astronautą. Poleci w kosmos razem z Frankiem Bormanem. Północ dawno już minęła, jest prawie druga w nocy i wydaje mi się trochę dziwne, że o tej porze Pete i Gordo nie śpią, lecz nagle Jimowi zmienia się głos i rzeczywiście, to już nie Jim, ale Pete, który wrzeszczy jak opętany: jest na basenie, ponieważ w basenie się pływa, wrzeszczy, a pływając, chudnie, wrzeszczy, żeby schudnąć, ma tylko jedną noc, cały dzień trzymają go w tym przeklętym symulatorze, a co tam słychać w Nowym Jorku?

– Słysząc, że nie ma wody – odpowiadam – i NASA podarowała burmistrzowi Wagnerowi słynną licencję. Pete, naprawdę taka woda jest dobra?

– Guzik dobra! – krzyczy Pete i w tym krzyku jest cała rozpacz świata: za miesiąc przez tydzień, tyle trwa lot, nie będzie pił niczego innego, biedny Pete. Następnie rozmawiam z Gordo, który wydaje mi się przygnębiony: pod koniec lipca zamkną go w klasztorze, tak nazywają techniczno-duchowe rekolekcje przed wylotem. Klasztor znajduje się w Merrit Island, na kosmodromie, z którego w 1970 roku trzej

mężczyźni wylecą w kierunku Księżyca.

Merrit Island jest miastem zamkniętym, gdzie mogą się dostać tylko astronauta i gdzie obowiązuje całkowita klauzura, nader surowa dyscyplina. Posiłki są regularne, podobnie jak godziny snu, nauki; rozrywki są niewinne niczym rozrywki mniszek. Astronauca grają w karty, w piłkę, piszą listy do rodziny, do przyjaciół; w porównaniu z tym zgrupowanie, które Herrera organizuje dla piłkarzy Interu, to prawdziwa orgia.

– Tutaj nie można pić, nie można palić, tyje się i to wszystko – mruczy Gordo.

Tak, jest bez wątpienia przygnębiony: może on również myśli o słynnym patencie na zamianę uryny w czystą wodę. Biedny Gordo. Kiedy tylko obudziłam się dziś rano, poszłam do sklepu alkoholowego, kupiłam skrzynkę szampana Piper-Heidsieck i wysłałam mu ją. Pete'owi natomiast przesałam prezent i liścik od mojej siostry. Prezentem jest popielniczka z Montecatini, a w liściku jest napisane: „Aby się pan przekonał, o ile wygodniej jest żyć na tej starej Ziemi”. NASA mnie znienawidzi, ale czuję, że muszę coś dla nich zrobić. Bohaterstwo drogo kosztuje.

Chihuahua zostaje

Drogo kosztuje również dobroć: miłosną historię tygodnia na tej niewiarygodnej scenie, jaką jest Nowy Jork, opowiada mi Xavier Cugat, mieszkający tuż koło mnie, w sąsiednim wieżowcu. Po rozwodzie z Abbe Lane Cugat przestał być ową pełną życia postacią, która bawiła nas swoim ironicznym uśmieszkiem: skóra na twarzy zwisa mu niczym pognieciony materiał, ramiona wydają się węższe, plecy bardziej zgarbione, stopy cięższe. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat wygląda jak własny ojciec. Spotykam go na ulicy, kiedy wraca do domu, witam się z nim, zaprasza mnie do siebie na kieliszek porto:

– Ale proszę nie zwracać uwagi na moje mieszkanie.

Przypuszczam, że ma na myśli bałagan, nie sposób znaleźć sprzątaczkę, pocieszam go zatem:

– Żeby pan zobaczył u mnie.

– Nie, nie – protestuje Cugat – nie ma żadnego bałaganu.

Następnie otwiera szeroko drzwi penthouse’u, czynsz na oko musi wynosić około miliona miesięcznie, i rozumiem, co ma na myśli: wszystkie pomieszczenia świecą pustkami, z wyjątkiem kuchni, gdzie stoją trzy krzesła i stół. W salonie jest mnóstwo obrazów opartych o ścianę:

– Abbe zabrała nawet lampy, i tak dobrze, że udało mi się uratować obrazy. Dzieła Modiglianiego, wie pani, kosztują trzydzieści milionów każde.

– Rozumiem.

– Zabrała meble z jadalni, sypialni, salonu, wszystko.

– Rozumiem.

– Po czternastu latach, nagle, bez powodu.

– Rozumiem.

– Co mówiło się we Włoszech o moim rozwodzie z Abbe?

– Mówiło się, trochę.

Bierze na ręce modnego pieska chihuahua, głaszcze go, wygłasza długi monolog skierowany raczej do samego siebie niż do mnie.

– Uzasadnienie rozwodu to prawdziwy obłęd: okrucieństwo psychiczne spowodowane zbyt wielkim uczuciem i przesadnymi dowodami czułości. Oświadczyła sędzi, że przytłaczałem ją swoją troskliwością, a ja nie mogłem się nawet bronić: wszystkie dowody przemawiały przeciwko mnie. To prawda, że każdego ranka, każdego ranka w trakcie spędzonych wspólnie czternastu lat przygotowywałem śniadanie i przynosiłem jej do łóżka razem z czerwoną różą. To prawda, że kiedyś na talerzyku z masłem podałem jej brylant, który ważył dekagram; zobaczyła go dzień wcześniej na Piątej Alei, powiedziała, jaki piękny, i uznałem, że będzie miło jej go kupić. Chociaż kosztował dwieście dwadzieścia milionów lirów. Niewiarygodne, wydawała się taka zadowolona. Nigdy nic mi nie mówiła, nigdy się nie skarżyła, zawsze była mi wierna. Potem nagle, bez powodu... Wieczorem miała śpiewać w Hot Springs w Arkansas, wyjechałem o świcie, żeby wszystko przygotować; zawsze tak robiłem, żeby się nie zmęczyła. Kiedy wychodziłem, spała. Zadzwoniłem z lotniska, żeby powiedzieć: czekam zatem na ciebie o piątej, zarezerwuję ci samolot, i wszystko wyglądało

normalnie. Tak, kochanie. Pa, kochana. Pa, kochanie. Ale od dawna już przygotowywała ucieczkę, starannie, niczym lądowanie w Normandii. Nie pojawiła się o piątej i wieczorem spektakl się nie odbył; musiałem zapłacić karę. Wróciłem do domu, nie było jej ubrań, nie było również biżuterii; szafy i szuflady puste. Żadnej wiadomości, żadnego listu. Jej krewni, a ma setki krewnych, mówili: nie wiem, nie wiem, gdzie jest Abbe, nie wiem. Była u swojej matki na Brooklynie, kiedy ją odnalazłem. Nic nie powiedziałem: czy można zmusić do miłości kogoś, kto cię już nie kocha? W czasie procesu oznajmiła, że byłem dla niej za stary, ponad trzydzieści lat różnicy; no cóż, nie wiedziała o tym, kiedy za mnie wychodziła? Czas minął również dla niej.

Głaszczcie znowu chihuahue.

– Co za idiotka! To, że byłem stary, dobrze się dla niej składało: każdy przeżyty przeze mnie dzień to dla niej świetny interes, wszyscy moi przyjaciele rówieśnicy umarli, gdyby była cierpliwa, gdyby poczekała rok, dwa lata, sześć lat, odziedziczyłaby cały majątek, stając się jedną z najbogatszych kobiet w Ameryce. Co za idiotka! Proszę mi wybaczyć, załóżmy, że mi się poszczęści i będę żył do siedemdziesiątki: nie powinna była poczekać? Nie mam dzieci, nie mam nikogo poza dwoma braćmi i tak już bogatymi, zgromadziłem ogromny majątek i komu go zostawię, jakiejś instytucji? Gdyby chociaż Abbe dała mi syna. Ale nie chciała, mówiła, że jeśli wpędzę ją w ciążę, będę musiał zapłacić jej milion dolarów. Chciała tylko być aktorką, poślubiła tamtego faceta wyłącznie po to, żeby zostać aktorką, i nie rozumie, że nigdy jej się to nie uda, bo świat jest pełen takich jak Abbe Lane i beze mnie ona jest nikim. Idiotka! Idiotka! Idiotka! Komu teraz to wszystko zostawię?

– Następnej żonie. Podobno ma się pan ponownie ożenić z młodsiutką Hiszpanką – odpowiadam.

Wzrusza ramionami.

– Charo? Ma dopiero dwadzieścia lat, różnica wieku jest naprawdę przesadna. Proszę pomyśleć: czterdzieści pięć lat. Mógłbym śmiało być jej dziadkiem.

– Ale jesteście razem.

– Chcę ją wylansować. Abbe mówi, że nikogo nie lansuję, więc chcę wylansować Charo. Nawet gdyby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu, nawet gdyby mnie to miało kosztować milion dolarów, Charo

musi zostać gwiazdą.

Trzydziesto-, czterdziestoletnia panna młoda

Czterdzieści kilogramów wagi rozłożone bezczelnie na metrze pięćdziesięciu pięciu wzrostu, buzia ani ładna, ani brzydka pod strzechą utlenionych i bardzo długich włosów, para butów sięgających połowy uda, spodnie bardziej obcisłe od stroju matadora, gitara: to jest Charo. Cugat wypatrzył ją w Sewilli, gdzie występowała w teatrze w spektaklu *Noc iguany*.

– Szukałem żony w wieku około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat – wzdycha – może jakiejś wdowy z licznymi dziećmi, ale trafiła się Charo. Zawsze mi się takie trafiają. I jakby tego było mało, nie są nigdy same; ona również ma dużą rodzinę, ojca, matkę, siostrę, brata. Rodzina nie chciała jej puścić. Uparła się, że ma ją eskortować siostra Carmen. Prawda, Charo?

– *Ola! Olé!* – krzyczy Charo. Potem stuka obcasami, udając, że tańczy flamenco, przymyka powieki ze sztucznymi rzęsami z sierści norek, zaciska zęby i konkluduje: – Zrrr! Zzzzrrr!

Bez wątpienia jest w typie Cugata: Pigmaliona poszukującego wciąż nowych kłopotów.

– Charo, zachowuj się. Charo, opowiedz, jak byłaś w klasztorze – szepcze Cugat.

– *Bueno*. W klasztorze. Byłam dziesięć lat w klasztorze. *Yes*. Bo byłam niedobra, *yes*. Umieścili mnie tam, kiedy miałam cztery lata, a zabrali, kiedy miałam czternaście. Żebym wyszła za mąż. *Yes. I don't want to marry!* Nie chcę wyjść za mąż! *Yo soy* ambitna, *muchissimo* ambitna. Chcę podbić Amerykę. Wieżowce, *televisión*, *las mujeres* w spodniach. Zrr. Zzzzrrr! – Chwila zwątpienia. – Xavier, podbiję ją?

– Podbijesz – zapewnia Cugat – bo ja tego chcę.

– Cugat, naprawdę wiesz, jak podbić Amerykę?

– Oczywiście, że wiem; bo wiem, czym jest Ameryka.

– Czym jest Ameryka, Xavier?

– Ameryka jest miejscem, gdzie przyjechałem w wieku dwunastu lat,

ze skrzypcami w tobołku. Przyjechałem do Nowego Jorku i nie miałem ani centa, nie znałem ani słowa po angielsku. Mój jedyny przyjaciel, Enrico Caruso, umarł. To Caruso poradził mi, żebym przyjechał do Nowego Jorku. W czasie pobytu na Kubie usłyszał, jak gram, byłem wtedy pierwszym skrzypkiem w kubańskiej operze, cudownym dzieckiem, powiedział mi, przyjeżdżaj, i ja przyjechałem, a on wcześniej umarł. Całymi tygodniami spałem na ławce w Central Parku. Teraz przejeżdżam obok tej ławki moim rolls-royce'em. To jest Ameryka.

– Zrrr! Zzzrrr! – powtarza Charo. – Zzzrrr! *I love America!*

– No właśnie, ale komu zostawię mojego rolls-royce'a? Mam trzy rolls-royce'y: jeden tutaj, jeden w Madrycie, jeden w Paryżu; komu zostawię moje trzy rolls-royce'y?

– Zrrr! – komentuje Charo. – Zzzrrr! – Ona nie potrzebuje rolls-royce'ów. Jej ojciec jest bogaty, ona nie chce rolls-royce'a, chce Ameryki. – Xavier, *quieres que canto?*

– Zaśpiewaj, zaśpiewaj – szepcze Cugat, zaprzątnięty swoim dręczącym problemem: rolls-royce'ów w spadku.

Charo stroi gitarę, wyrzuca jak szalona nogi do przodu, potrząsa włosami, gubi jedne rzęsy z sierści norek, które wpadają do lewego wysokiego buta, ale nie zauważa tego, śpiewa słabiutkim głosem:

– *Ahi, ahi, ahi! El mi amor! Ahi, ahi, ahi, el tu amor.*

– Może nie ma zbyt mocnego głosu – mówię do ucha Cugatowi. I mówię to po angielsku: – *Maybe she hasn't too much voice.*

On rozumie: rolls-royce.

– Co? Weźmie pani rolls-royce'a? Chce pani jednego z rolls-royce'ów?

– Nie, nie, panie Cugat, skądże znowu.

– Ależ tak, proszę wziąć, chętnie go pani podaruję.

– Wierzę, panie Cugat, wierzę. Ale ja nie umiem prowadzić, a poza tym podatki, pan rozumie...

– *But you said I take a rolls-royce.* Powiedziała pani, że weźmie jednego rolls-royce'a.

– *No, I said she hasn't too much voice.* Powiedziałam, że nie ma zbyt mocnego głosu.

– Och! – Wydaje się rozczarowany. – Och! Po co głos takiej jak ona? A poza tym Abbe także miała słabiutki głosik: to mnie zawdzięcza głos. Umiała tylko machać nogami, była *chorus girl*, kiedy ją spotkałem. Była

niczym, nic nie umiała robić, nawet chodzić; musiałem nauczyć ją nawet chodzić. W porównaniu z nią Charo ma talent, doświadczenie. Prawda, Charo?

– Zrrr! Zzzrrr! – komentuje przenikliwie Charo.

I już widzę wielki neon z jej nazwiskiem na Times Square, plakaty z jej bezwstydnym drobnym ciałem przed Chinese Theatre w Hollywood. Universal Pictures chce podpisać kontrakt, Danny Kaye zaprosił ją do swojego show w Las Vegas, Dean Martin zaangażował ją do wrześniego programu telewizyjnego.

– Panie Cugat, czy sądzi pan, że Charo będzie kiedyś panu wdzięczna?

– Ani trochę – odpowiada. – Rita Cansino, pardon, Rita Hayworth była mi może wdzięczna? Carmen Miranda była mi może wdzięczna? Abbe Lane była mi może wdzięczna? Kobiety nigdy nie są wdzięczne i od kobiet nigdy nie spodziewam się wdzięczności, nigdy.

– A od mężczyzn?

– Od mężczyzn tak: Frank Sinatra, Dean Martin, Jerry Lewis są mi istotnie bardzo wdzięczni. Kobiety...

Podchodzi do Charo, całuje ją lekko w czoło, zauważa, że rzęsy z sierści norek wpadły do lewego buta, pochyla się, wyciąga rzęsy, usiłuje przykleić je z powrotem do jej powieki; Charo odsuwa się znudzona.

– Panie Cugat – pytam go – czy nigdy nie próbował pan spuścić kobietom lania?

– Lania?!? – dziwi się Cugat.

– Tak, lania.

– Och! – mówi Cugat. I znowu przykleja rzęsy tam, gdzie ich miejsce, znowu Charo odsuwa się znudzona, a na tej niewiarygodnej scenie, jaką jest Nowy Jork, trwa nadal komediowy spektakl.

Okropne staruszki

Jest zresztą wiele form niewdzięczności, prawda? W drugistorze w Centrum Rockefellera spotykam trzy staruszki. Siwiuteńkie, schludne, starannie ubrane: zapach lawendy, szarlotki, słodkie wspomnienie

dzieciństwa. Na głowach mają śliczne kapelusiki ozdobione owocami i kwiatami, ich sukienki są różowe, błękitne, cytrynowe. Patrzą na nie z zachwytem. Lubię starych ludzi, sprawiają, że czuję się lepsza, i rzeczywiście, od razu jestem lepsza: są tu przecież również ludzie mili, ludzie przyzwoici; popatrzcie na nie, jak wędrują po dziale zabawek i kruchymi dłońmi wybierają lalki i kolejki; najwyraźniej dla wnuków. Patrzcie na nie, jak kupują pocztówki z Empire State Building i Statuą Wolności, żeby najwyraźniej wysłać je krewnym. *How do you like it, Jane? How do you like it, Mary? How do you like it, Priscilla? Wonderful! Marvellous! Beautiful!* Babcia Jane, babcia Mary, babcia Priscilla uważają, że wszystko jest wspaniałe, zachwycające, przepiękne; mój pesymizm doprowadziłby je do łez, jestem tego pewna. „Och, moja droga! – wykrzyknęłyby – moja droga! Czemu?”. Teraz trzy staruszki dotarły do działu książek. Biorą je do rąk, przerzucają, oglądają, żeby którąś wybrać. Wśród książek jest jedna z fotografią Johna Kennedy’ego, trzy staruszki nagle się zatrzymują: zapach lawendy, szarlotki, słodkie wspomnienie dzieciństwa. Milkną, z pewnością się wzruszyły; są tu przecież również ludzie mili, ludzie przyzwoici. Potem Jane spluwa na ziemię, Mary prychnie pogardliwie, Priscilla unosi pomarszczony palec i mierzając nim w kierunku fotografii Johna Kennedy’ego, mówi: „Obyś się smażył w piekle na wieczność”.

Jack Daniel’s z Sinatrą

Nie ma co; Nowy Jork to urocze miejsce, ludzie są serdeczni, sympatyczni, uprzejmi, a ja jestem bardzo zadowolona, że tu mieszkam. Wczoraj wieczorem, po teatrze, miałam umówione spotkanie w Jill’s. Jill’s jest małym barem, jakich wiele na Pięćdziesiątej Ulicy, i jedynym powodem, dla którego nie uważa się go za mały bar, jakich wiele, jest to, że bywa tutaj Frank Sinatra; za każdym razem, kiedy zjawia się w mieście. W tym tygodniu, jak powszechnie wiadomo, Sinatra jest w mieście, miał występ w Newport i w Forest Hills, niektórzy mówią, że wziął za wieczór około szesnastu milionów, inni, że około dwudziestu ośmiu. Niezapomniane widowisko: Sinatra przylatuje helikopterem,

osobistym, musicie wiedzieć, helikopter ląduje na scenie, śmigło przypomina ogromny topór do ścinania głów. Ludzie krzyczą; ze strachu, z radości. Potem Sinatra wysiada w towarzystwie swojego ochroniarza, który jest Włochem i nazywa się Frank Pucci, to były bokser ważący sto czterdzieści kilogramów bez ubrania, mówi do ludzi: „Cześć, ludzie”, śpiewa. A ludzie krzyczą; ze strachu, z radości. Potem Sinatra wsiada z powrotem do swojego helikoptera, osobistego, musicie wiedzieć, i wznosi się w niebo jak na obrazie Ghirlandaia przedstawiającym wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, oddala się, znika, idzie do Jill's. Żeby pójść do Jill's, ląduje na dachu Pan Am Building, który jest niedaleko. W Jill's gra orkiestra i stoi wiele czerwonych foteli. Fotele Franka Sinatry są granatowe. Nikt nie może usiąść w granatowych fotelach, ale wszyscy mogą ich dotknąć, tak jak dotyka się dużego palca u stopy posągu św. Piotra w Watykanie. Duży palec u stopy św. Piotra wart jest trzech odpustów, lecz granatowe fotele Sinatry warte są siedmiu odpustów. Oprócz foteli w Jill's są oczywiście drzwi: służą do tego, by przez nie wchodzić i wychodzić. Tylko wtedy jednak, kiedy nie ma Sinatry. Kiedy jednak Sinatra jest... A zatem miałam umówione spotkanie w Jill's. Przyszłam trochę wcześniej i zaraz zjawiał się Sinatra, który jest bardzo chudym i bardzo łysym człowieczkiem z okrągłym brzuszkiem i brylantową spinką przy krawacie. Wraz z Sinatrą przyszedł Frank Pucci, który naprawdę robi wrażenie, i kiedy na niego patrzysz, rozumiesz, dlaczego nikt aż do dziś nie pobił Sinatry, zasługującego na to, bądźmy szczerzy, od czasu do czasu. Frank Sinatra i Frank Pucci usiedli w granatowych fotelach, potem Sinatra zamówił Jacka Daniel'sa, to nie mężczyzna, lecz whisky, i powiedział: „Zaryglujcie drzwi”. Natychmiast kelnerzy pobiegli zarygłować drzwi, niczym służba w zamku, kiedy przyjeżdżał kasztelan i mówił: „Podnieście zwodzony most”. Cudowne uczucie, być tam zamkniętą wraz z Frankiem Sinatrą i Frankiem Puccim, tylko że mój przyjaciel nie przyszedł, zanim kelnerzy z Jill's podnieśli zwodzony most. Przyszedł dwie sekundy później, ale już nic nie dało się zrobić. Mogłam zobaczyć mojego przyjaciela jedynie przez szybę, jak się miotał niczym wariat, domyślałam się, żeby mi powiedzieć: „Wpuść mnie albo wyjdź na zewnątrz”. Ale ja nie mogłam go wpuścić ani wyjść na zewnątrz. Wówczas mój przyjaciel poszedł do budki telefonicznej,

dokładnie naprzeciwko Jill's, i zadzwonił do mnie, do Jill's. Powiedział, że jeśli go nie wpuszczą albo nie pozwolą mi wyjść, wezwie policję, mam to przekazać Frankowi Pucciemu, również Frankowi Sinatrze. Nie przekazałam tego Frankowi Pucciemu, bo się bałam, nie przekazałam tego Frankowi Sinatrze, bo usłyszałby Frank Pucci, przekazałam to jednak Jilly'emu Rizzo. Rizzo nie wierzył własnym uszom, pójść sobie, kiedy jest tu Sinatra, chciał, żebym mu powtórzyła dwukrotnie moją prośbę, i patrzył na mnie, jakbym była wariatką. Dodał jeszcze, że jeśli wyjdę, nie będę mogła wrócić, jednym słowem, upierał się przy powadze mojej decyzji. Decyzja była poważna, zgoda, ale podjęłam ją mimo wszystko. Pozostałam niewzruszona i w końcu kelnerzy opuścili zwodzony most, mogłam pobiec do mojego przyjaciela, który klął na czym świat stoi.

Rewolwer przychodzi pocztą

Nie, nie podoba mi się, jak funkcjonuje to miasto. To miasto jest pełne pułapek, zasadzek. Zaczynam się bać. Żeby przezwyciężyć strach, zamówiłam listownie rewolwer. Kupiłam go w Chicago. Smith & Wesson kaliber 38. Moje pozwolenie na broń dotyczy wprawdzie strzelby, a nie rewolweru, i jest to pozwolenie na broń, które obejmuje tylko polowania w Chianti. Ale firma wysyłkowa poradziła mi, żebym się nie martwiła, pozwolenie na broń jest w Ameryce niepotrzebne, ktokolwiek może kupić rewolwer Smith & Wesson kaliber 38 i nosić go przy sobie. Miejmy nadzieję, że to prawda. Miejmy nadzieję, że przesyłka szybko nadejdzie.

ZABIJĘ JACKA JACKSONA

Nowy Jork, lipiec

Rewolwer dotarł. Był w ślicznej paczce w kolorze cytrynowym z napisem Chicago Smith & Wesson Company, i wręczając mi ją, portier najwyraźniej zobaczył mnie w nowym świetle. Posiadać rewolwer oznacza tutaj tyle samo co posiadać zmywarke, telewizor, telefon, samochód, lodówkę; każdy szanujący się obywatel ma własny rewolwer, żeby się bronić przed napastnikami i tak dalej. Tonem wyrażającym uznanie portier wygłosił kilka uwag na temat pogody, łatwo było się domyśleć, że teraz, kiedy posiadam rewolwer Smith & Wesson kaliber 38, chce się zaprzyjaźnić, ale ja mu nie odpowiedziałam i pobiegłam od razu do mojego mieszkania, żeby obejrzeć ten klejnot, błyszczący, czarny, z dodatkiem dwustu nabojów w pudełkach po pięćdziesiąt sztuk w każdym oraz książeczki z instrukcją, jak załadować i strzelić w serce, w dół brzucha, w nogi, w przeguby rąk napastnika. Następnie spędziłam wieczór na wprawianiu się, jak celować w serce, dół brzucha, w nogi i w przeguby rąk niejakiego Jacka Jacksona. Problem Jacka Jacksona robi się istotnie poważny. Nie przypadkiem postanawiam o nim opowiedzieć, najpierw jednak będzie prolog. W prologu muszę wyjaśnić, że mam, a raczej miałam, przyjaciółkę, która nazywa się Judy Hall. Była nią aż do kryzysu kubańskiego, kiedy wyszła za faceta nazywającego się Jack Jackson, została więc Judy Jackson i zamieszkała pod numerem trzysta dziewięć na Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Tak pisała w liście, dodając, żebym ich odwiedziła, kiedy będę w Nowym Jorku. To samo powtórzyła w kartce, którą dostałam na ubiegłe Boże Narodzenie, i powiadomiła o narodzinach córeczki Priscilli. Koniec prologu. Zaczyna się historia.

Telefonistki mówią do ciebie „moja kapustko”

Zaczyna się tydzień temu, kiedy nagle ogarnia mnie wielka chęć poznania Priscilli i zobaczenia Judy, mam zamiar do niej zadzwonić i zauważam, że nie mam jej numeru, sięgam więc po książkę telefoniczną Manhattanu i niemal mdleję: jest tam prawie dwanaście kolumn Jacksonów mieszkających na Manhattanie, każda kolumna liczy stu dwudziestu Jacksonów, co daje w sumie tysiąc trzystu dwudziestu Jacksonów, z czego aż dwie kolumny zawierają Jacków Jacksonów, to znaczy, że chodzi o dwustu czterdziestu Jacków Jacksonów. Niezbyt wielu w porównaniu ze Smithami, których na Manhattanie jest trzy tysiące trzystu pięćdziesięciu dwóch, Brownami, których jest dwa tysiące ośmiuset trzydziestu ośmiu, Williamsami, których jest dwa tysiące czterystu czterdziestu czterech, a poza tym, jeśli coś działa w Ameryce, to telefon. Nie ma niczego takiego w Ameryce, czego nie można by zrobić przez telefon, z wyjątkiem dziecka, chociaż jestem przekonana, że wkrótce będzie można zrobić przez telefon również dziecko, wykręcając numer i już. Telefon zastępuje pocałunki, obejmowanie, uściski dłoni, przez telefon można się zaręczyć, wziąć ślub, rozwieść się, przez telefon słucha się mszy, kupuje papierosy i biżuterię, odnajduje utraconych przyjaciół; może potrzebna będzie pomoc telefonistek, które tutaj nie są niegrzeczne jak we Włoszech i pomogą ci we wszystkim, mówiąc do ciebie tym swoim słodkim głosem, nazywając cię kochaniem, skarbem, swoją słodką, swoją kapustką.

– Moja kapustko – mówi telefonistka – nie ma żadnego Jacka Jacksona pod numerem trzysta dziewięć na Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej, a dzwonienie do dwustu czterdziestu Jacków Jacksonów byłoby stratą czasu, czas to pieniądz. Czy ta Judy miała jakichś krewnych w Nowym Jorku?

– Tak, o ile wiem, miała matkę: Penelope Hall.

– Okej, kapustko. Jest tylko czternaście Penelop Hall. Mam z nimi połączyć?

– Nie, skądże.

– Okej, kapustko. Czemu więc nie zadzwoni pani do Judy Hall? Jest tylko pięć Judy Hall na Manhattanie.

– Ale moja Judy Hall wyszła za Jacka Jacksona.

– Kapustko moja! Mogła się rozwieść i zamieszkać sama.

– Ale przecież urodziła Priscillę w Boże Narodzenie!
– Mogła urodzić Priscillę po rozwodzie albo rozwieść się po urodzeniu Priscilli. Kapustko, odwagi: oto numery Judy Hall.

Zapisuję numery, dzwonię. Ale pierwsza Judy Hall nie jest moją Judy Hall ani druga, trzecia, czwarta. Piąta ma męski głos.

– Mieszkała tu Judy Hall – odpowiada – ale nie żyje.

– Nie żyje?!

– Tak, zamordowana.

– Zamordowana?!

– Tak, we śnie, pisały o tym wszystkie gazety, nie zdołała nawet wystrzelić ze swojego rewolweru.

– O Boże, wie pan, czy była żoną Jacka Jacksona albo czy się z nim rozwiodła, a może była matką Priscilli?

– Nie, nie; z sekcji zwłok wynikało, że była dziewczyną.

Odkładam słuchawkę, oddycham z ulgą, postanawiam wziąć taksówkę i udać się pod numer trzysta dziewięć Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej. Jeśli Judy i Jack Jacksonowie się przeprowadzili, dowiem się, gdzie teraz mieszkają.

Dom podobnie jak mąż

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent nowojorczyków, to znaczy dziewięć milionów minus dziewięćdziesiąt tysięcy, mieszka tak jak ja w wieżowcach, a każdy wieżowiec ma setki apartamentów. Pod numerem trzysta dziewięć Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej jest ich pięćset sześćdziesiąt. Całkowicie wyposażonych w krzesła, stoły, łóżka, żyrandole, telewizor, wykładzinę, popielniczkę, talerze, szklanki, kuchenkę gazową, odkurzacz, obrazy na ścianach; a powodem tego kompletnego wyposażenia jest to, że w Nowym Jorku zmienia się miejsce zamieszkania z taką samą łatwością, z jaką zmienia się kolor włosów albo żonę, albo męża. W społeczeństwie poszukującym własnej tożsamości, w świecie, gdzie nic nie jest stałe i małżeństwo trwające osiem lat uważa się za bardzo długie, burzy się budynek trzydziestoletni, bo jest już do niczego, samochodu nie używa się nigdy dłużej niż rok,

parę dziurawych butów się wyrzuca, zamiast zanieść je do szewca, również adres podlega nieustannym zmianom; kto mieszka dłużej niż cztery pory roku w jednym miejscu, uważany jest za osobę ekstrawagancką, heretyka. Tylko idiota przywiązuje się do jakiegoś miejsca, osoby; dlatego zawsze nadchodzi dzień, w którym pakuje się walizki i przenosi na inną ulicę, do innej dzielnicy, na inną wyspę, w poszukiwaniu innych miłości, innych przyjaciół. Odnalezienie kogoś staje się zatem niemożliwe. Jeśli ściga cię nieprzyjaciel, jeśli ciąży na tobie jakieś przewinienie, jednym słowem, jeśli chcesz się ukryć, nie musisz wyprawiać się do dżungli: przyjedź do Nowego Jorku. Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie, gdzie mógłbyś się ukryć tak jak w Nowym Jorku, założywszy, że nie podasz do wiadomości adresu i numeru telefonu.

– Judy i Jack Jacksonowie? – mruczy portier. – Nigdy nie znałem Judy i Jacka Jacksonów. Otwiera księgę ze spisem lokatorów, zagląda pod literę J, zamyka. – Nie, nie ma nikogo takiego.

– Nie ma, ale byli.

– Byli, a więc ich nie ma.

– Nie może mi pan jakoś pomóc?

– Musi pani sobie radzić sama.

– Może gdybym poszła na policję...

– Policję? Tu nikt nie musi meldować się policji.

– Do ratusza...

– Ratusza? Mają co innego na głowie.

– Proszę pana...

– Niech pani stąd idzie.

Wsiadam z powrotem do taksówki, taksówka mija Osiemdziesiątą Pierwszą potem Osiemdziesiątą, potem Siedemdziesiątą Dziewiątą, Siedemdziesiątą Ósmą, Siedemdziesiątą Siódmą, Siedemdziesiątą Szóstą, Siedemdziesiątą Piątą, dziesiątki, setki, tysiące domów, mieszkań, wszystkie identyczne, takie same drzwi, takie same klatki schodowe, takie same okna, i gdzieś tam, nie wiadomo za jakimiś drzwiami, nie wiadomo na jakiej klatce schodowej, nie wiadomo za jakim oknem mieszka Judy Jackson, która poślubiła Jacka Jacksona, matka Priscilli Jackson. Teraz wybiorę na chybił trafił jakiegoś Jacka Jacksona i zadzwonię do niego. A potem wybiorę innego i jeszcze innego aż...

Ktoś mnie śledzi

– Halo? Czy mówię z Jackiem Jacksonem, mężem Judy Jackson?

– Nie.

– Halo? Czy mówię z Jackiem Jacksonem, mężem Judy Jackson?

– Nie.

– Halo? Czy mówię z Jackiem Jacksonem, mężem Judy Jackson?

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Tak.

– Tak?! Niech Bóg pana błogosławi, panie Jackson! Nazywam się Oriana, jestem przyjaciółką Judy.

– Cześć, Oriana.

– Niech pan posłucha, panie Jackson...

– Proszę mówić do mnie Jack.

– Niech pan posłucha, Jack...

Wszystko mu opowiadałam, tak bardzo jestem podekscytowana. Słucha mnie, zadaje pytania. Chce wiedzieć, gdzie mieszkam, jaki mam numer telefonu, czy mieszkam sama, czy z kimś, kiedy przyleciałam i kiedy wracam, co robię, gdzie pracuję, wie już o mnie wszystko, naprawdę wszystko, kiedy okazuje się, że Judy, o której mówiliśmy, nie jest Judy Hall, lecz Judy White, a dziewczynka, o której mówiliśmy, nie jest Priscillą, lecz Suzanne, w każdym razie on żyje w separacji z Judy i Suzanne, a ponieważ żyje w separacji z Judy i Suzanne, nudzi się, a ponieważ się nudzi, chciałby przyjść do mnie na kolację i... Odkładałam słuchawkę, pobladła. Telefon dzwoni, to on. Będzie dzwonił wielokrotnie w następnych dniach i to będzie zawsze on. Nie żeby tylko dzwonił; wysłała mi telegramy, pisze do mnie. Raz przyszedł nawet do domu. Powiedział mi o tym portier. Chciał wejść na górę, ale portier mu nie pozwolił. Czekał na mnie przez dłuższy czas na ulicy. Żyję już w koszmarnym lęku, że go spotkam. Usiłuję nie wychodzić nigdy sama, nie wracać nigdy sama. Kiedy wychodzę sama, wracam sama, portier wzywa dla mnie taksówkę i sześć metrów dzielących drzwi wejściowe od taksówki przemierzam szybciej niż rakieta. To okropne i nie wiem już, co robić. Zadzwoiłam na policję i opowiedziałam, co się stało. W odpowiedzi policja spytała mnie, który Jackson z dwustu czterdziestu Jacksonów jest tym Jacksonem, o jakim mówię. Odpowiedziałam: nie

wiem, nie pamiętam, wybrałam go na chybił trafił. Policja skomentowała: nie możemy postawić w stan oskarżenia dwustu trzydziestu dziewięciu niewinnych. Ma rację. Boże, gdybym chociaż mogła wiedzieć, kim jest, jak wygląda. Wydaje mi się, że ktoś mnie nieustannie śledzi, chodzi za mną. Wystarczy, że jakiś mężczyzna na mnie spojrzy, potrąci na skrzyżowaniu, a ja od razu myślę, że to może Jack Jackson. Któregoś dnia mu odpowiem, porozmawiam z nim, wyznaczę mu spotkanie. A potem, kiedy się zjawi, strzelę do niego.

Nurkowie w barze

Zaczyna mi się podobać, jak działa to miasto. Jeśli ktoś ci się naprzykrza, strzelasz do niego. A jeśli do niego nie strzelasz, to zlecasz to komuś innemu. Czego można chcieć więcej? W pewnym barze na Sto Siódmej, gdzie bywają nurkowie i rewolwerowcy, spotkałam nurka, to znaczy jednego z tych, co pracują pod wodą, w milczeniu, i wydają rozkazy rewolwerowcom. Mówił po włosku, mniej więcej, i oznajmił mi, że czyta mnie od lat, szanuje, jeśli będę go potrzebować, mam do niego przyjść. „Czysta przysługa”, kosztuje tysiąc dolarów, jak dla mnie dziewięćset. Odpowiedziałam, że się zastanowię. To niedrogo.

Nawet Liza Minelli kupuje brokuły

Pewnie, najpierw chciałabym wiedzieć, jak zachowują się inne kobiety w Nowym Jorku, i pytam je o to. Dziś wieczór kolej na Lizę Minelli, piosenkarkę i aktorkę, córkę Judy Garland i Vincente Minellego, do którego jest bardzo podobna. W takiej mierze, w jakiej, powiedzmy, Geraldine Chaplin jest podobna do Charliego Chaplina, Jane Fonda do Henry'ego Fondy, Nancy Sinatra do Franka Sinatry; to niezwykle, jak te dziewczyny, które debiutują pod nazwiskiem ojca, dziedziczą po nim również rysy twarzy będące przeciwieństwem rysami męskimi. Liza mieszka na mojej ulicy, dwa domy dalej; spotykam ją zawsze, kiedy idę do drugstore'u, żeby kupić mrożone brokuły. Tutaj brokuły czy

jakąkolwiek inną jarzynę tak właśnie się kupuje: umytą, oczyszczoną, zamrożoną i zamkniętą wraz z przyprawą w plastikowym woreczku. Zagotowujesz wodę, wrzucasz woreczek plastikowy i w pięć minut to, co jest w środku, już jest ugotowane; musisz tylko wyjąć z woreczka i zjeść. Usmażoną cebulę natomiast musisz tylko włożyć do piecyka, żeby ją zagrzać. Podobnie zresztą jak piezonego kurczaka. Wytłumaczyła mi to właśnie Liza, kiedy poszłam ją obejrzeć w musicalu *Flora the Red Menace*, a potem odwiedziłam w jej garderobie i odkryłyśmy, że robimy zakupy w tym samym drugstorze. Dziś wieczór Liza tonie we łzach. W ostatnich dniach musical *Flora the Red Menace* zarabia trochę mniej, około dwudziestu miejsc pozostaje codziennie pustych, gdyż wielu ludzi jest jeszcze nad morzem albo na wsi, i producent, przestraszony, postanowił zamknąć interes: zwolnić wszystkich.

– Ależ to niemożliwe, absurdalne – mówię jej i nie kłamię.

Musical nie jest arcydziełem, fabuła jest dość kretyńska: to historia dziewczyny, która zakochuje się w komuniście i dlatego zostaje komunistką, traci pracę w sklepie, gdzie pracuje, ale szef biura, który jest dobry i ma demokratyczne poglądy, zatrudnia ją na nowo. Ona zaś wyrzeka się komunizmu i wychodzi za niego. Liza jest jednak świetna, ma talent po matce i ojcu, nadzwyczajne wyczucie komizmu, kiedy śpiewa i otwiera szeroko te swoje usta i te swoje oczy, nic więcej cię nie obchodzi; nie przypadkiem jest już jedną z najbardziej oklaskiwanych gwiazd w Nowym Jorku, najbardziej reklamowanych, rozrywanych. Na przyjęcie w Sardi's po jej debiucie przyszli matka i ojciec, nowa żona ojca – Denise, cała Park Avenue.

– Ależ to niemożliwe, absurdalne – powtarzam.

– Absurdalne tak, niemożliwe nie. Skoro żyjemy w tym mieście – popłakuje Liza. – Och, tutaj się nie liczy, jak się nazywasz, kim jesteś, co robisz. Liczą się tylko pieniądze, które przynosisz. W dniu, w którym przyniesiesz ich mniej, gdyż ktoś pojechał nad morze albo na wieś, już nie żyjesz. Tyle się uczyłam, tyle pracowałam, żeby trafić na Broadway; kiedy podnosi się kurtyna, wierz mi, żadne nazwisko się nie liczy. A poza tym posiadanie słynnej matki, dwojga słynnych rodziców zobowiązuje: ludzie myślą, że ty także musisz być dobra. I musisz być dobra. Potrzebowałam dwóch lat, żeby wykształcić głos. Dwa samotne lata w Nowym Jorku; miałam szesnaście lat, kiedy tu przyjechałam.

- Szesnaście lat? I nie bałaś się?
- Nowy Jork nie jest miejscem dla tych, którzy się boją. To miejsce dla tych, którzy walczą.
- I co teraz zrobisz, Lizo? Zostaniesz w Nowym Jorku?
- Oczywiście, że zostanę. Chcesz, żebym wróciła przegrana do Kalifornii? Bo na tym polega przekleństwo tego miasta: kiedy już raz tu przyjedziesz, nie możesz wyjechać przegrana. – Podnosi dziwną buzię, dziecinną, i oświadcza: – Jeśli ten producent nie wznowi na jesieni mojego musicalu...
- Och, tak; podoba mi się, podoba, jak działa to miasto. Szczególnie jeśli chodzi o samotną kobietę.

Pani czy panna?

Jedyną rzeczą, jaką wypomina się tutaj samotnej kobiecie, jest bycie samotną. Kiedy kupujesz bilet lotniczy czy mrożone brokuły, wysyłasz telegram czy dostajesz zaproszenie na przyjęcie, prześladowuje cię jedno groźne pytanie: „Pani czy panna?”. Jeśli powiesz pani, nic się nie dzieje. Jeśli powiesz panna, patrzą na ciebie z wyrzutem, podejrzliwością, nawet gdybyś była Safoną. Jeśli powiesz tak, jak mówiłam ja: „Cóż! Proszę samemu zdecydować!”, oburzają się do tego stopnia, że skłonni są nie sprzedać ci brokułów ani biletu lotniczego. Istotnie, przestałam się przyznawać i ucinam krótko: „Pani!”. Działa to dobrze w wypadku biletu lotniczego, mrożonych brokułów; jeśli jednak zostałaś zaproszona na przyjęcie, nie działa ani trochę, bo prześladowuje cię kolejne groźne pytanie: „Mężatka, rozwiedziona czy wdowa?”. I jeśli odpowiesz, że jesteś mężatką, chcą wiedzieć, kto jest twoim mężem, gdzie przebywa, co robi, dlaczego nie jest z tobą; jeśli powiesz, że wdową albo rozwiedzioną, chcą natychmiast znaleźć ci męża. Operacja mąż polega na przedstawianiu ci podstępnie mnóstwa starych kawalerów, wdowców, rozwodników poszukujących żony, tak żebyś się nie połapała, i po kilku dniach zaczynają cię nękać telefony, zaproszenia na kolację, do teatru, na mecz bejsbolu ze strony wdowców, starych kawalerów, rozwodników, którzy nie tylko są śmiertelnie nudni, ale

mówią wciąż o rodzinie i dzieciach, ubezpieczeniach i pensji. To jest naprawdę straszne, a w dodatku zjawiają się zawsze z orchideą wielką jak kalafior i jeszcze fioletową, z nylonowymi wstążkami, i nie tylko ci ją wręczają, lecz także żądają, abyś przypięła ją sobie z lewej strony; potem z tym kalafiorom przypiętym z lewej strony masz się pokazać na ulicy, w różnych miejscach. Przypnij ją tylko raz, a przydarzy ci się to, co przydarzyło się Sybil Burton, obecnie pani Christopher, a raczej Sybil Burton Christopher, właścicielce Arthura.

Mąż Sybil, dawniej Burton, nie mówi „hej”

Arthur jest modnym nowojorskim klubem. Mieści się pod numerem sto pięćdziesiątym czwartym na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej i nie chodzi się tam nigdy przed północą, nie wychodzi zaś nigdy przed trzecią nad ranem. U Arthura pije się, je, tańczy i nie ubiera nigdy w sposób formalny: wiele wieczorów temu Lauren Bacall przyszła ubrana na czarno, w biżuterii, i wyszła, mówiąc: następnym razem przyjdę w piżamie od Pucciego. Triumfują tam istotnie spodnie typu piżama, wysokie buty od Courrège'a, ubrania w stylu pop-art: tego lata w Nowym Jorku tak się ludzie ubierają, nie możesz nigdzie pójść ubrana przyzwoicie, w czarnej sukience i biżuterii. Triumfują Wild Ones, co znaczy Dzicy: zespół w stylu Beatlesów. Triumfuje pan Jordan Christopher, który jest szefem Dzikich, ma dwadzieścia cztery lata i jest nowym mężem Sybil. Triumfuje wreszcie również Sybil, którą spotykam po raz pierwszy dziś wieczór, drżąc z ciekawości, i oto Sybil: białe włosy jak u osiemdziesięciolatki, tak białe, że fotograf Milton Greene zrobił na ich temat reportaż, stawiając obok niej dziesięć innych kobiet z siwymi włosami, lecz u żadnej z nich nie były tak białe jak u Sybil. Wydaje mi się, że to jest najważniejsza rzecz, jaką można powiedzieć o Sybil, z wyjątkiem faktu, że ma takie białe włosy od dwunastego roku życia, podobnie jak jej bracia i siostry. Co do reszty, Sybil jest trzydziestosześcioletnią kobietą jakich wiele: ma krągłą twarz, opaloną, krągłe nogi, opalone, krągłe ciało, domyślam się, że opalone. Podobno jest inteligentna i może tak jest, sympatyczna, i może tak jest;

rozmowy, jakie prowadzimy dzisiaj, są dość banalne, oczywiste jest, że kiedy dwie osoby spotykają się po raz pierwszy w barze, nie rozmawiają o filozofii czy o Elizabeth Taylor i Richardzie Burtonie. Wypsnęło się jej jedno sympatyczne zdanie:

– Są dwa słowa, których nie znoszę: miłosierdzie i celebryctwo.

Potem Sybil zaczyna mówić o Arthurze, o kłopotach z jego otwarciem, o siedemdziesięciu przyjaciółach, właścicielach Arthura: Dannym Kay, Julie Harris, Leonardzie Bernsteinie, Reksie Harrisonie, Lee Remick, Sammym Davisie juniorze, z których każdy wyłożył równe tysiąc dolarów. Po Arthurze następnym tematem jest życie w Nowym Jorku, które ona bardzo lubi, mrożone brokuły na przykład: „Nie jestem kimś, kogo bawi wybieranie jarzyn u rolnika, mycie ich, nie jestem gospodynią domową”, telefon na przykład: „Uważam, że to nadzwyczajne móc załatwić wszystko przez telefon, interesy, wizyty, zakupy, jestem leniwa, nienawidzę biegania w tę i z powrotem”, życie nocne na przykład: „Uwielbiam kłaść się spać o piątej rano, budzić się po południu”.

Sybil mówi z akcentem walijskim, i podobnie jak Richard powtarza co pięć minut, że nie jest Angielką, lecz Walijką, wydaje się wesoła i można zrozumieć, dlaczego powiedział o niej: „Ja i Liz ogromnie ją podziwialiśmy za sposób, w jaki się zachowała, i jesteśmy głęboko wdzięczni za jej styl, jej eleganckie milczenie, jej godność”. Czego nie można jednak zrozumieć, to dlaczego zrezygnowała z pieniędzy wypłacanych jej przez Richarda, wychodząc powtórnie za mąż; jak to się stało, że dała się oszukać orchidei w kształcie kalafiora.

– Wzięliśmy ślub w niedzielę – mówi – o piątej po południu, w moim apartamencie w Central Parku. Ślubu udzielił mój przyjaciel adwokat, Dzicy byli jedynymi gośćmi, ceremonia trwała pięć minut. W pokoju obok moje córeczki, Jessica i Kate, bawiły się z Lilianą, moją rzymską pokojówką. Jedynymi osobami, które spytałam o radę co do ślubu, były Kate i Liliana. Liliana powiedziała: ależ tak, niech pani za niego wyjdzie. Kate powiedziała: ależ tak, wyjdź za niego, mamó. Kate jest moją najlepszą przyjaciółką, ma siedem lat. Zgoda, myślę, ale co to za typ z tego Jordana?

W tej samej chwili wpada do Arthura czterech chłopaków, niebywale zaniedbanych, niebywale brzydkich, i Sybil oświadcza:

- To są Dzicy.
- Hej – mówi pierwszy Dziki i wyciąga do mnie rękę.
- Hej – mówi drugi Dziki i wyciąga do mnie rękę.
- Hej – mówi trzeci Dziki i wyciąga do mnie rękę.

Czwarty Dziki, który jest najdzikszy ze wszystkich, nic nie mówi i niczego do mnie nie wyciąga, przygląda mi się groźnie i pogardliwie. Ma długą brodę, wiatrówkę, bardzo brudne dżinsy, żuje gumę i wypluwa ją na podłogę, wydaje mi się niemożliwe, że on również daje w prezencie orchidee. A jednak daje. Sybil wychodzi mu naprzeciw, zakochana. Przedstawia mi go:

- Mój mąż, Jordan Christopher.

O Boże. Ogarnęło mnie nagle podejrzenie, że Jack Jackson jest Jordanem Christopherem. Tym gorzej dla niego. Rewolwer już przyszedł.

Deszcz i łzy

A deszcz nadal nie pada. Srebrny sterowiec z napisem „Save Water”, oszczędzajcie wodę, lata nad miastem, już zostało nam tylko dwieście dwadzieścia miliardów galonów wody. W Waszyngtonie szykuje się ustawę zezwalającą na budowę atomowego silnika w Riverhead na Long Island: będzie zamieniał wodę morską w czystą wodę pitną, jego koszt wyniesie sto miliardów lirów. Prezydent Johnson zapowiedział to w telewizji wczoraj wieczorem. Potem spojrzął nam wszystkim w oczy, uniósł palec i polecił, byśmy wytrzymali: w dalszym ciągu mamy się nie myć i tak dalej. Wyglądał jak Churchill, kiedy przemówił do Anglików i rzekł im: „Obiecuję wam krew i łzy”. Wydawał się wzruszony i my również byliśmy wzruszeni. To było piękne. To było naprawdę piękne.

CZY MOŻNA? NAZYWAM SIĘ JOHN

Nowy Jork, sierpień

Zaraz potem, jak zachęcił nas do tego, by wytrzymać w kwestii wody – w dzielnicy włoskiej odbyła się procesja, ale deszcz nie spadł – prezydent Johnson podał nam kilka niepokojących informacji. Powiedział, że w Stanach Zjednoczonych dokonuje się co godzinę jednego morderstwa, gwałtu co dwadzieścia sześć minut, napadu z bronią w ręce co pięć i pół minuty, w 1964 roku popełniono dwa miliony sześćset tysięcy poważnych przestępstw, z czego sześćset tysięcy w Nowym Jorku, dlatego powołał narodową komisję do walki z przestępczością, mianując jej członkiem obecnego burmistrza Nowego Jorku Roberta Wagnera. Zaraz po przemówieniu Johnsona zadzwonił listonosz i wręczył mi niebieską kopertę z listem podpisanym przez panią Gladys Forth w imieniu wszystkich Amerykanów. Pani Gladys Forth ubolewa nad tym, co piszę. Twierdzi, że Nowy Jork jest cudownym miastem, gdzie wszyscy prowadzą cudowne życie, i zastanawia się, dlaczego uważam, że Nowy Jork to piekło. Zaraz po liście pani Gladys Forth zjawił się pan James McLoughlin z McLoughlin Associated Incorporated. Wszedł do mojego gabinetu i spytał mnie, czy może usiąść. Odpowiedziałam, że tak, że może usiąść, i wtedy usiadł, poprawił sobie okulary, które ma podwójne, pogładził się po głowie, którą ma łysą, i spytał mnie, po co przyjechałam do Ameryki. Odpowiedziałam, że przyjechałam do Ameryki, ponieważ uważam, że Ameryka jest bardzo sympatyczna, i wtedy on zapytał, w jakim sensie sympatyczna. Odpowiedziałam sympatyczna i wtedy on powiedział proszę, niech pani wyraża się jaśniej. Wyraziłam się jaśniej i oto, co powiedziałam panu Jamesowi McLoughlinowi z McLoughlin Associated Incorporated i co odnosi się także do pani Gladys Forth, wszystkich Amerykanów, wszystkich Włochów, Francuzów, Chińczyków, Grenlandczyków, żeby to było jasne raz na zawsze. Przede wszystkim, kiedy przyjeżdżam do Ameryki, nikt, z wyjątkiem pana McLoughlina z McLoughlin Associated Incorporated,

nie pyta mnie, po co przyjechałam do Ameryki, jak dzieje się na przykład w Anglii; w Ameryce życzą mi miłego pobytu; i to jest bardzo sympatyczne. Poza tym, kiedy jestem w Ameryce i mówię, że jestem w Ameryce, żeby pisać o Ameryce, nikt mnie nie pyta, co piszę o Ameryce, nikt nie czyta, co telegrafuję, żeby to ocenzurować, jak zdarza się na przykład w Związku Radzieckim; i to jest bardzo sympatyczne. Potem, kiedy artykuły ukażą się w moim tygodniku, mój tygodnik wysyła się do Ameryki i tu sprzedaje się go razem z inną prasą, cokolwiek by tam było napisane, i nikt, nikt nigdy nie zatrzymuje tej prasy w porcie ani na lotnisku, ani na granicy, jak zdarza się na przykład w Hiszpanii; i to jest bardzo sympatyczne. Jest w dodatku sympatyczne, że prezydent Johnson opowiada, iż w Stanach zdarza się jedno morderstwo co godzinę, gwałt co dwadzieścia sześć minut, napad z bronią w rękę co pięć i pół minuty, kradzież samochodu co minutę; i że ja to komentuję. Jest sympatyczne, że pod numerem dwudziestym trzecim Zachodniej Dwudziestej Szóstej Ulicy mieści się komórka amerykańskiej partii komunistycznej, do której każdy może się zapisać, i jest sympatyczne, że taki przyzwoity tygodnik jak „Esquire” publikuje artykuł Romano Mussoliniego, w którym Romano Mussolini oświadcza, że jego ojciec był aniołem i tak dalej. Jest sympatyczne, że pani Gladys Forth ubolewa nad tym, co piszę, nie wypominając mi, że jestem cudzoziemką, i w głębi duszy pojmuję, że Ameryka nie należy tylko do Amerykanów; a zatem mam prawo opowiadać o tym, co jest w porządku, i o tym, co nie jest w porządku. Jest sympatyczne, że pan James McLoughlin z McLoughlin Associated Incorporated zadał sobie trud, by przyjść do mnie, i ze spokojną miną zgłasza swoje pretensje, z jeszcze spokojniejszą miną mnie słucha, przytakuje; to wszystko mieści się w ogólnym pojęciu demokracji, a mnie demokracja się podoba. Po czym pan James McLoughlin z McLoughlin Associated Incorporated wstaje, oświadcza, że nie przyszedł, by zgłaszać jakiegokolwiek pretensje. Skądże znowu, przyszedł jedynie po to, by mnie spytać, czy zgodzę się na podróż gratis po Stanach Zjednoczonych. McLoughlin Associated Incorporated ofiarowuje podróże gratis cudzoziemskim korespondentom, w Ameryce jest około ośmiuset cudzoziemskich korespondentów, z czego dwudziestu czterech ze Związku Radzieckiego, dziewięciu z Czechosłowacji, ośmiu z Węgier,

siedmiu z Albanii i tak dalej, jednym słowem, mam mu odpowiedzieć, czy się zgadzam. Jeśli się zgodzę, mogę i tak pisać, co mi się podoba. Jeśli coś mi się podoba. Do widzenia.

Ściskając dłonie, można zostać burmistrzem

Cóż, zobaczymy. Podoba mi się na przykład sposób prowadzenia kampanii wyborczej w Ameryce. Dla Włoszki nawykłej do wieców z użyciem flag, sztandarów, wieńców laurowych, do polityków chorych na godność, melodramatyczne pozy, pychę, do przemówień pełnych trudnych słów dla wtajemniczonych: świadomość obywatelska, dialektyczna synteza, materializm historyczny, wartość dodana, odchylenia, rewizjonizm, sprzeczności, uchwały protestacyjne, jest to prawdziwe święto: dla uszu i dla oczu. Jednocześnie podoba mi się ten, z którym odkrywam sposób prowadzenia kampanii wyborczej w Ameryce, to znaczy John Lindsay, czterdziestotrzyletni republikanin, o którym Ameryka mówi jako o przyszłym burmistrzu Nowego Jorku. Odkąd przyjechałam, wszyscy mi powtarzają: „Musisz poznać Johna Lindsaya, musisz poznać Johna Lindsaya” i chętnie przyznam, że naprawdę było warto. Nie tylko dlatego, że to bardzo przystojny mężczyzna, ależ jest przystojny, wysoki, atletyczny, jasnowłosy, z tą swoją opaloną twarzą o twardych rysach, oczami jak bławatki, nie rozumiem, dlaczego wybrał karierę polityczną, zamiast tej łatwiejszej, filmowej, Gary Cooper oszalałby z zawiści na jego widok. Wystarczy porozmawiać z nim chwilę, by zrozumieć, że natura i historia same się bronią: po zabójstwie Kennedy’ego rodzi się nowy Kennedy, choćby z nazwiskiem Lindsay. Nie przypadkiem po Waterloo Goldwatera Partia Republikańska trzyma go w zanadrzu na wybory prezydenckie w 1972 roku; kiedy będzie musiał stawić czoło Bobowi Kennedy’emu albo Tedowi Kennedy’emu, jednym słowem, Kennedy’emu, którego rodzina Kennedych i Partia Demokratyczna wyznaczą na kandydata do Białego Domu. Lindsay jest bardziej w stylu Kennedych od Boba i Teda, uderzająco przypomina zamordowanego prezydenta. Identyczny urok osobisty, taka sama sportowa sylwetka, takie samo europejskie

wyrafinowanie: mówi elegancką angielszczyzną, doskonałym francuskim, ubiera się zawsze na granatowo, woli teatr od kina, muzykę klasyczną od jazzu. Identyczne humanistyczne wykształcenie, identyczny sposób przyciągania ludzi i pomysłów. Studiował w Yale, książki nie tylko czyta, ale i pisze, szczególnie historyczne i filozoficzne, pisze również artykuły do tygodników i uprawia krytykę literacką na łamach „New York Timesa”, nie ukrywa swojej niezależności. „Byłem republikaninem wczoraj, jestem nim dzisiaj, będę nim jutro; ale moje poglądy nie są koniecznie zbieżne z poglądami mojej partii i nie ma takiej choćby najdrobniejszej sprawy, co do której zgadzałbym się z Goldwaterem; ja walczę z biedą i na rzecz praw obywatelskich”. Identyczne masońskie więzi rodzinne: jest czterech braci Lindsayów, wszyscy są adwokatami, doświadczonymi politykami, i to im John zawdzięcza, że został czterokrotnie wybrany do Kongresu. George, najstarszy brat, zamknął praktycznie swoją kancelarię adwokacką, żeby zająć się jego karierą; David, brat bliźniak, zamknął ją naprawdę i jest teraz jego cieniem, jego bodyguardem. Uwaga, napisał „Newsweek”, mamy do czynienia z największą operacją polityczną, jaka odbywa się dziś w Ameryce; mógłby to być pierwszy rozdział historii pod tytułem „Narodziny prezydenta”. Jednym słowem, od Johna Kennedy’ego John Lindsay różni się tylko tym, że nie jest miliarderem: bracia Lindsayowie są bogaci, lecz nie są miliarderami; ich ojciec, syn producenta cegieł, który wyemigrował z wyspy Wight w Wielkiej Brytanii, zmarł, będąc posiadaczem jedynie banku szwajcarsko-amerykańskiego. Potrzeba czegoś więcej, zgoda, ale do Wielkiego Dnia brakuje ponad siedmiu lat i na razie ważne jest, aby John został burmistrzem Nowego Jorku. Czyż ratusz Nowego Jorku nie jest może najbardziej upragnionym tronem po Białym Domu? Na czwartym piętrze hotelu Roosevelt, centrali republikanów, pracuje od maja sto dwadzieścia osób i elektroniczny kalkulator. Będą pracować niezmordowanie aż do drugiego listopada. Na wszystkich ścianach wisi ta sama fotografia, która przesładuje mnie z każdego pudełka zapalek, każdej okładki tygodnika, wreszcie ze skrzyżowania Czterdziestej Drugiej i Broadwayu, gdzie zeszłej zimy widniała podobizna Boba Kennedy’ego: przystojnego mężczyzny z napisem „Lindsay for Mayor”, Lindsay na burmistrza. Potem przystojny mężczyzna bez napisu porusza się, idzie w moją stronę,

przedstawia się, zaprasza mnie do swojego samochodu, pokazuje mi, jak się prowadzi kampanię wyborczą w Ameryce: „Let’s go shaking hands”, jedźmy ścisnąć dłonie. Tak, jestem naprawdę zadowolona z tego, że będą ze mnie zadowoleni pan James McLoughlin z McLoughlin Associated Incorporated i pani Gladys Forth. I jestem także zadowolona, że przydam się moim rodakom, chorym na godność, melodramatyczne pozy, pychę, którzy wygłaszają przemówienia dla wtajemniczonych: świadomość obywatelska, dialektyczna synteza, materializm historyczny, wartość dodana, odchylenia, rewizjonizm, sprzeczności, uchwały protestacyjne... Jedźmy ścisnąć dłonie, Johnie Lindsayu.

Tylko przystojni wygrywają wybory

Wszystko jest kwestią zdrowego rozsądku, tak mi się wydaje: zamiast wchodzić na podium, wymagać, żeby ludzie przyszli go słuchać i oklaskiwać, obrażać się, jeśli nie przyjdą, on wsiada w samochód z wielkim napisem „Lindsay for Mayor” i sam wyrusza na poszukiwanie ludzi. Gdziekolwiek by ci ludzie się znajdowali: na ulicy, w supermarketach, w drugstore’ach, na basenach, w salach tanecznych, wszędzie. Przedstawia się każdemu, uśmiecha, ścisną dłoń i: „Czy można? Nazywam się John Lindsay. Czy można? Nazywam się John Lindsay. Czy można? Nazywam się John Lindsay”. Co jest uczciwym sposobem powiedzenia: „Chciałbym, żebyście na mnie głosowali”, bez angażowania do tego ojczyzny, wartości dodanej i Nieznanego Żołnierza. Zresztą Kefauver robił dokładnie to samo, mówił: „Czy można? Nazywam się Kefauver i chciałbym, żebyście na mnie głosowali”. I dzieje się tak codziennie, codziennie przez trzy albo cztery miesiące, nawet pięć; tak jak inni idą do biura, do pracy, on codziennie wstaje, myje się, ubiera i wyrusza, żeby mówić: „Czy można? Nazywam się John Lindsay”. Oczywiście nie wyrusza sam; wyrusza z orszakiem samochodów identycznych jak jego, wyposażonych w radiotelefon, dziennikarzy, współpracowników, fotografów, i jeszcze z zespołem muzycznym, który za każdym razem wyprzedza ten orszak i ma za zadanie przyciągnąć ludzi, robiąc piekielny hałas. Dzisiejszy zespół

składa się z czterech chłopaków: grają na trąbce, puzonie, kontrabasie i perkusji. Jadą na odkrytej ciężarówce i kiedy tylko dotrą na miejsce, do robotniczej dzielnicy Queens, zaczynają grać twista do słów: „Go, Johnny, go! Go, Johnny, go!”. Jazda, Johnny, jazda! Jazda Johnny, jazda! Mnie się to wydaje trochę dziwne, że mężczyzna taki jak John Lindsay, ubrany na granatowo, nawykły do pisania o filozofii, słuchania Verdiego i Vivaldiego, może stawać przed ludźmi, którzy krzyczą: „Jazda, Johnny, jazda!”, ale Lindsayowi nie wydaje się to ani trochę dziwne i po zdjęciu marynarki i podwinięciu rękawów koszuli rusza chodnikiem i zaczyna ścisnąć dłonie: „Czy można? Nazywam się John Lindsay. Czy można? Nazywam się John Lindsay”. Tymczasem z jednego z głośników ktoś krzyczy przez megafon: „Widzicie tego wysokiego, przystojnego mężczyznę z włosami w kolorze piasku, idącego chodnikiem? To John Lindsay, przyszły burmistrz Nowego Jorku. To John Lindsay, który przyszedł uściskać wam dłooón!”. Jedną dłoń, dwie dłonie, sto dłoni wyciąga się w jego stronę, tłum rośnie, starsza kobieta staje przed Johnem Lindsayem i wykrzykuje: „Do diabła, ale z ciebie piękny chłopak! Założę się, że chcesz zostać burmistrzem Nowego Jorku!”. Lindsay uśmiecha się wcale niezakłopotany, dziękuje. Potem podchodzi do mnie, szepcze:

- Wydaje się pani trochę zdziwiona.
- Jestem zdziwiona.
- Dlaczego? We Włoszech tak się nie zachowujecie?
- Niezupełnie.
- Dlaczego?

Myszę o Fanfanim, który usiłuje zdobyć głosy na Zatybrzu, podczas gdy zespół gra „Jazda, Amintore, jazda!”, a jakiś wariat krzyczy przez megafon do ludzi: „Widzicie tego łysego człowieczka z wąsami, który idzie chodnikiem? To Amintore Fanfani, który...”, i zastanawiam się dlaczego. No właśnie, dlaczego?

Go, Johnny, go!

Drugim etapem jest basen w eleganckiej dzielnicy: skoki z trampoliny,

piękne kobiety w bikini, dzieci ociekające wodą. Zobacysz, mówi mi jego brat bliźniak David, że zaraz się rozbierze i też skoczy do wody. Zrobił tak w ubiegłym tygodniu. Pojechał nad morze, żeby uściskać dłonie, i nagle zdjął spodnie, buty, koszulę, sweter, został w kąpielówkach i rzucił się do wody. Ścisnął dłonie w wodzie prawie przez dwie godziny. Sukces.

– A co się stanie, jeśli się rozbierze?

– Cóż, będziemy się musieli rozebrać również my.

Czekam nieco zaniepokojona. Przy wejściu na basen trąbka, puzon, kontrabas, perkusja grają uparcie „Jazda, Johnny, jazda!”, a wariat z megafonem powtarza jeszcze bardziej uparcie: „Widzicie tego mężczyznę, wysokiego, przystojnego, z włosami w kolorze piasku? To John...”. Kobiety w bikini pozerają go oczami; czy naprawdę trzeba, by Lindsay się rozebrał? Nie, nie trzeba. I rzeczywiście prosi o ciszę, unosi silne, opalone ramiona, oświadcza:

– Dziękuję, że sprowadziliście dla mnie piękną pogodę, słońce. Wiedziecie, że walczę jako polityk niezależny o stanowisko burmistrza Nowego Jorku. Pomóżcie mi wam pomóc. Czegokolwiek potrzebujecie, przystanku autobusowego, stacji metra, powiedzcie o tym Johnowi.

Dłoń, dwie dłonie, sto dłoni wyciąga się w jego stronę. Ścisną je i się śmieje.

– Niech mi pan powie – pytam go, kiedy jesteśmy znowu w samochodzie – czy nie bolą pana palce?

– Trochę – odpowiada – ale mam wprawę. Tajemnica polega na rozluźnieniu mięśni i nieforsowaniu nadgarstka. Zależy także od miejsca, dnia: w dzielnicach, gdzie jest dużo kobiet, idzie o wiele lepiej, ich uścisk jest lekki.

Następnie opowiada, że ciężko to robić przed fabrykami, szczególnie rano, kiedy robotnicy idą do pracy i są jeszcze wypoczęci. Pewnego razu John Kennedy stanął przed którąś z nich i uściskał dłonie sześciuset robotnikom. Kiedy brama się zamknęła, jego dłoń była sina, spuchnięta. Nie mógł nią ruszać, podobnie jak całym ramieniem. Żeby doszedł do siebie, trzeba było wylać mu na rękę butelkę lodowatej coca-coli.

– Ale czy to pana bawi?

– Mnie nie. Nie bawi mnie ani trochę. Moim marzeniem jest pojechać na jeden rok do Włoch, żeby napisać książkę.

– To niech pan jedzie.

– Najpierw muszę porządzić Nowym Jorkiem. Mówi się, że nie można rządzić Nowym Jorkiem. Miastem, które żyje w strachu, w nienawiści, miastem, gdzie spędza się czas na tym, by się bronić, i nie ma się czasu na bycie szczęśliwym. Tym piekłem, jak pani powiada. W porządku. Urodziłem się w Nowym Jorku i kocham Nowy Jork. To największe miasto na świecie, najbogatsze, najnowocześniejsze. Skupia całą kulturę, wszystkie nadzieje. Chcę, żeby przestało być piekłem. Chcę udowodnić, że można nim rządzić. Skoro potrafimy polecieć na Księżyc, na Marsa, musimy potrafić również rządzić Nowym Jorkiem. Uda mi się. Choćbym miał uścisnąć dziewięć milionów dłoni. Choćbym miał stracić rękę.

Samochód pędzi parkwayem Manhattanu. Jedziemy tym razem do włoskiej dzielnicy, gdzie wszyscy nazywają się Lo Vecchio, Lo Giudice, Mangano, informuje mnie David. Wszyscy należą do Partii Demokratycznej i ubiegłej zimy wszyscy głosowali na Boba, przed wyborami na burmistrza stanęli jednak po stronie Partii Republikańskiej i chcą Lindsaya. Kiedy przyjeżdżamy, zespół muzyczny jest już na miejscu i Włosi tańczą zadowoleni na chodniku, śpiewając „Go, Johnny, go!”. Grupka sześciu dysydentów krąży wkoło, wznosząc transparenty z napisem: „My natomiast ciebie nie chcemy, Johnie Lindsayu”. Lindsay patrzy na transparenty, uśmiecha się, jakby tam było napisane „Najlepsze życzenia, Lindsay”, potem rzuca się między tych, którzy noszą nazwiska Lo Giudice, Lo Vecchio, Mangano, obejmuje w tali jakąś śliczną dziewczynę, zaczyna z nią tańczyć. Zaczyna tańczyć również David, zaczyna tańczyć również George. I oto nagle sześciu oponentów porzuca swoje transparenty, krzyczy chóralnie: „Go, Johnny, go!” i zaczyna tańczyć wraz z pozostałymi.

Jakikolwiek mielibyście problem

Ostatni etap, może ósmy, dziewiąty, nie pamiętam już, ile razy zatrzymywaliśmy się, żeby ścisnąć ręce, ma na celu przywrócenie Lindsayowi czucia w dłoni, która zwisa bezwładna, sinawa na końcu bezwładnego, sinawego ramienia. Jeśli trochę nie odpocznie, jeśli nie

wyleczy się na czas, jutro nie będzie mógł pójść do pracy. Na ostatnim etapie nie trzeba już jednak ścisnąć dłoni: Lindsay uczestniczy w nadawanym dziś wieczór programie radiowym dla rodzin. Chodzi mniej więcej o porady sercowe w stylu tych, jakie zamieszczają we Włoszech niektóre tygodniki: „Mój narzeczony jest zdecydowany się ze mną ożenić, lecz żąda dowodu miłości”. „Mój mąż jest zbyt uczuciowy, obawiam się, że jestem oziębła”. Prowadzący program wybiera codziennie jeden list, a następnie zaprasza jego autora lub autorkę, a wraz z nimi księdza, rabina, psychiatrę, jakąś osobistość i wszyscy dyskutują nad opisanym tam przypadkiem. Dzisiejszy list przysłała żona, którą mąż nieustannie zdradza; co powinna zrobić? Rozwieść się, zamordować go, też przyprawić mu rogi? Żona jest gospodynią domową około pięćdziesiątki, sześćdziesiątki, grubą, z wielkim czerwonym nosem. Ubrana jest na różowo, ma na głowie kapelusz ozdobiony kwiatami i siedzi razem z księdzem, rabinem, psychiatrą, Johnem Lindsayem; płacze bez umiaru, nie zwracając uwagi na nas, którzy na nią patrzymy, na miliony i miliony, które jej słuchają i którym podała imię, nazwisko, adres, numer telefonu, datę urodzenia. „Zabiję go – powtarza, szlochając – zabiję go” i przy każdym szlochu z kapelusza spada jedna róża, którą ona z uporem przypina z powrotem. Co o tym sądzi John Lindsay, przyszły burmistrz Nowego Jorku, przyszły przewodnik dziewięciu milionów dusz, które w większości przyprawiają sobie rogi? Psychiatra, katolicki ksiądz, rabin już się wypowiedzieli, teraz kolej na Johna Lindsaya, w którego wszyscy wpatrujemy się z niepokojem, niecierpliwie, podczas gdy ja się zastanawiam, co do diabła mają wspólnego rogi tej pani z głosami na Lindsaya, i co do diabła uczyni Lindsay, żeby poprosić o głosy, obierając za punkt wyjścia temat rogów. Trochę dziwne, nie uważacie? Ale Lindsayowi nie wydaje się to ani trochę dziwne, jego wzrok robi się surowy, poważny, twarz wyraża mądrość i tym samym tonem, którym oznajmił: „Uda mi się, choćbym miał stracić rękę”, oświadcza, że rodzina jest podstawą społeczeństwa, rodzina to siła narodu, on o tym wie, bo sam ma rodzinę, trzy córki, jednego syna, żonę, mąż musi kochać żonę, żona musi kochać męża, nawet jeśli mąż przyprawia ci rogi, trzeba być cierpliwą, poczekać, aż to minie, tak jak musi minąć strach, który paraliżuje to miasto, korupcja, brak przyjaźni i miłości, coraz bardziej chaotyczny ruch uliczny, coraz

bardziej odrażająca architektura, wczoraj leciał helikopterem nad miastem i odkrył, że to jedna wielka ohyda, ani odrobiny zieleni, jeśli chcesz mieć trochę zieleni, musisz pójść na cmentarz, ale jeśli on zostanie burmistrzem... Zdradzana żona przestaje szlochać, wyciera nos, ociera łzy, odpowiada, że to prawda i będzie na niego głosować w listopadzie; będzie na niego głosować również jej mąż. „Dziękuję pani, dziękuję wam”, podsumowuje Lindsay, „i jakkolwiek mielibyście problem, przystanek autobusowy, stacja metra, jakiś kłopot, powiedzcie o tym Johnowi; powiadomcie Johna Lindsaya...”.

Powiem o tym Johnowi Lindsayowi

Zastanawiam się, czy powinnam powiedzieć Johnowi Lindsayowi, jaki mam problem, czy John Lindsay będzie mógł coś poradzić. Kobieta z Hongkongu, której płacę poważną sumę, nie zapłaciła z kolei czynszu za lipiec i administrator mojego wieżowca chce mnie wyrzucić z mieszkania. Administrator nie może wyrzucić z mieszkania kobiety z Hongkongu, skoro ta przebywa w Hongkongu, a więc, żeby się zemścić, chce wyrzucić mnie.

– Ale ja płacę – powiedziałam mu – płacę kobiecie z Hongkongu.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiedział administrator.

– Może jej czek przepadł, może zaraz nadejdzie; czy pan w ogóle wie, gdzie leży Hongkong?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – oznajmił administrator.

Bądźmy szczerzy, dla mnie to obojętne; po liście Gladys Forth nadszedł list od pana Rothemberga, który twierdzi, że w Nowym Jorku nie ma pluskiew, nie ma karaluchów, nie ma szcurków, nie ma przemocy, w Nowym Jorku wszyscy są dobrzy, mili, czyści, ja wypisuję kłamstwa i dlatego chce mnie pobić: pobije mnie i jeszcze jak, bo wie, gdzie mieszkam. A zatem jeśli kobieta z Hongkongu nie zapłaci za lipiec, jeśli administrator mnie wyrzuci, jeśli zmienię mieszkanie, co jest już chyba pewne, pan Rothemberg nie będzie mógł mnie odnaleźć ani pobić. Ale mnie i tak wydaje się to niesprawiedliwe, tym bardziej że odkryłam coś straszego, odkryłam, że muszę zapłacić podatki, nie ma

żadnego znaczenia, że płacę podatki we Włoszech, muszę je zapłacić również tutaj. Tak, musi się o tym dowiedzieć John Lindsay, powiem o tym Johnowi Lindsayowi. Ale tymczasem uciekam z Nowego Jorku, jadę do Teksasu, a stamtąd do Kalifornii, jednym słowem, wybieram się w podróż i niech się dzieje, co chce.

CZEŚĆ DRUGA

WŚRÓD GWIAZD
(HOUSTON, HOLLYWOOD, NOWY JORK, 1965)

OJCOWSKI METEORYT

Houston (Teksas), sierpień

James McDivitt jest pierwszym astronautą, którego spotykam: kupuje melona w drugstorze. Jego owłosione nogi wyłaniają się z szortów w kratkę, jego twarz, zaspana, zadowolona, wyłania się z kołnierzyka hawajskiej koszuli; i wszystko to, razem z melonem, którego niesie pod pachą, jak gdyby to było dziecko, czyni go bardzo odmiennym od mężczyzny w skafandrze kosmicznym, który w maju ubiegłego roku poleciał w kosmos, by wraz z Edwardem White'em ryzykować życie. Jego rower, a właściwie tandem, stoi oparty o ścianę drugstore'u: w niedzielę w Houston jeździ się rowerem.

– O, kogo widzę! – wykrzykuje McDivitt, kołysząc melona. – Co robisz w Teksasie?

Przyjechałam, wyjaśniam mu, żeby uniknąć ciosów pana Rothemberga, który chce mnie pobić, bo opowiedziałam, że w Nowym Jorku są pluskwy, szczury, karaluchy, czy to moja wina, że są? A także, żeby zobaczyć się z Gordonem Cooperem i Pete'em Conradem, którzy mają krótki urlop przed lotem i przyjadą jutro, a wreszcie, żeby rzucić okiem na ten kawałek Ameryki, ponieważ piszę o Ameryce i:

– Jim, czy to prawda, że w piątek nie chciałeś jeść w kosmosie mięsa?

– Absolutnie prawda – odpowiada McDivitt, kołysząc melona. – Jestem katolikiem, wiesz.

– Ale w końcu zjadłeś je, tak czy nie?

– Tak, biskup drogą radiową udzielił mi dyspensy.

– A tajemniczy obiekt naprzeciwko Słońca, z parą dużych ramion albo parą skrzydeł; dowiedziałeś się, co to takiego?

– Nie, nie dowiedziałem się.

– Wiesz, Jim, kiedy ty byłeś w kosmosie, ja byłam w Madrycie, w domu Miguela Dominguina...

– Toreadora?!

– Tak, toreadora.

- Znasz toreadora Miguela Dominguina?
- Tak, co w tym niezwykłego?
- Do licha! – wykrzykuje Jim, przyciskając z wrażenia melona.
- Cóż, byłam zatem w domu Miguela Dominguina, rozmawialiśmy o tym twoim tajemniczym obiekcie i Miguel powiedział...
- Co powiedział? Co powiedział?
- Powiedział: *Claro, es Dios!*
- *Oh! No! Oh!* – wykrzykuje McDivitt z wypiekami na twarzy. – Nie wolno mówić takich rzeczy, za to idzie się do piekła, to grzech śmiertelny. – Następnie wkłada melona do koszyka przy kierownicy, wskakuje na tandem. – Jesteś pieszo?
- Tak, mój motel jest blisko.
- Mogę cię podwieźć?
- Jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

I tak pedauję na tandemie razem z McDivitem, z zawodu astronautą, w Houston, przedsiönku podróży na Księżyc, antycypacji naszej przyszłości, alejami Nassau Bay, przedmieścia Houston. W gruncie rzeczy warto płacić podatki również w tym kraju: mają tutaj dla ciebie tyle niespodzianek. Sposób, w jaki żyją, myślą, modlą się mieszkańcy Nassau Bay na przykład. Albo sposób, w jaki patrzą na nas, Europejczyków, na nasze tragedie, nasze urazy. I nie ma co tu mówić o astronautach, istotach rodem z science fiction: są nimi, kiedy wylatują w kosmos i stawiają czoło śmierci; tutaj, na Ziemi, są tacy sami jak inni. Inni z Nassau Bay, z Seabrook, z Friendswood, przedmieść Houston, prowincji; podczas gdy ja pedauję z tyłu za melonem i McDivitem, przyjrzyjcie się domom, w których ci ludzie mieszkają. Nie widać już żadnych wieżowców; domki jedno-, dwupiętrowe z zasłonkami z organzy w oknach, drzwi zawsze szeroko otwarte, tutaj nie ma morderców ani złodziei, i przed każdym domkiem jest wypielęgowany trawnik, obok garaż z samochodem na sześć miejsc, a nawet dziewięć. Potrzebny jest taki duży samochód ze względu na dzieci, które tutaj rodzi się co roku, najpóźniej raz na dwa lata, a kto tego nie robi, obraża Pana Boga. Na cześć którego nie je się mięsa w piątek, nawet jeśli leci się w pustce, gdzie nie ma piątku, lecz z szacunku do tej pustki nie wolno się śmiać z bluźnierczych dowcipów; *claro, es Dios.*

Przed lotem na Księżyc trzeba zmyć naczynia

Dziś wieczór jestem na kolacji u Gordona, Dicka Gordona, astronauty z ostatniej ekipy, to znaczy ekipy, która poleci na Księżyc. Zobaczyłam go przelotem z tandemu, bawił się z dziećmi na trawniku, zsiadłam, żeby się z nim przywitać, i zostałam. Jego żona, pulchna brunetka o imieniu Barbara, krząta się w kuchni i przygotowuje spaghetti, cóż innego może jeść Włoszka, jeśli nie spaghetti, a on nakrywa do stołu.

– Pomóc ci, Dick?

– Nie, nie. To jest robota, którą wykonuję zawsze sam. Podobnie jak mycie naczyń, wycieranie podłogi.

Nakrywa do stołu rzeczywiście z wielką wprawą, szybko, powinniście zobaczyć, jak kładzie łyżki po prawej stronie, widelce po lewej, srebrne sztucce, oczywiście, jestem, do licha, ważnym gościem: na widocznym miejscu w salonie leży egzemplarz mojej książki, gdzie mowa jest i o nim.

– Wiesz, trochę mnie to niepokoi. Wszystkich nas trochę niepokoi. Nikt z nas nie czyta po włosku i widząc nasze nazwiska, zastanawiamy się, co ta piekielnica o nas napisała? – Idzie do salonu, bierze książkę, wraca, otwiera ją na stronie, gdzie jest napisane: Dick Gordon. – Co tu jest napisane? Przetłumacz.

Ściśnięte na kanapie niczym kiść winogron dzieci siedzą i słuchają mnie. Zakłopotana tłumaczę:

– Drugi miał trzydzieści pięć lat i sześcioro dzieci. Był niski i przysadzisty, miał czarne oczy i włosy, czoło pomarszczone od tysiąca niewypowiedzianych przekleństw. Podobał mi się i wydawało mi się, że już go kiedyś widziałam, ponieważ był typem znanym mi z dzieciństwa, typem partyzanta do wszelkich zadań...

– Przekleństwa? Ja nie przeklinam! – przerywa mi Dick Gordon, obrażony, i kiść rozpada się na poszczególne grona, które biegną do kuchni, żeby przekazać straszliwą wiadomość.

– Mamo, ona mówi, że tatuś przeklina.

Z kuchni wyłania się Barbara Gordon z łyżką w ręce.

– Zapewniam, Dick nie przeklina. Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat i mogę pani przysiąc, że Dick nie przeklina.

- Cóż, tylko tak mi się napisało...
- Ale jednak napisałaś; co teraz pomyślą o mnie Włosi?
- Tatusiu, co to są Włosi?
- Ci, co mieszkają we Włoszech.
- Tatusiu, Włochy to jakieś miejsce?
- Tak, leżą daleko, bardzo daleko.
- Na naszej planecie?
- Dzieci, teraz już dosyć, idźcie spać!

Spaghetti gotowe, dzieci idą spać, my siadamy do stołu i nagle: zdążyłam już przełknąć pierwszy kęs, kiedy zbolące, niepewne spojrzenie sprawia, że wszystko staje mi w gardle. Spojrzenie Barbary.

- Co się stało? – pytam.
- Jak to?

Odwraca lekko głowę i w milczeniu wskazuje na Dicka, który siedzi nieruchomy, uroczy, ze złożonymi dłońmi, zamkniętymi powiekami i czeka, aż ja także złożę dłonie, spuszczę oczy. Więc składam dłonie, spuszczam oczy, on zaś recytuje:

- Pobłogosław, Panie, te dary. Którymi obdarza nas Twoja dobroć. Pobłogosław, Panie, nasz chleb powszedni. W Chrystusie, amen.
- Amen – mówi Barbara. Zaskoczona nie mówię nic. Wówczas Barbara chrząka, czerwieni się nieco i wykrzykuje: – Jest coś, o co chciałabym panią zapytać, mogę?
- Tak, Barbaro, oczywiście.
- Czy kłóciła się pani z ojcem?

Piechur w kosmosie nie lubi historii

Tak, naprawdę warto płacić podatki w tym kraju, ma dla ciebie tyle niespodzianek. Naiwność, prostota jego mieszkańców na przykład. Jesteśmy przy lodach cytrynowych, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Barbara wstaje i wprowadza do salonu jakichś ludzi, których nie widzę, wszyscy już są, w salonie panuje wielka cisza, kiedy Dick mi wyjaśnia, że nadszedł moment, by wkroczyć na scenę: atrakcją jestem ja...

- Ja?

– Oczywiście, to ty jesteś cudzoziemką.

– A oni kim są?

– Ludźmi, których znasz, astronautami, to Frank Borman, Eugene Cernan, Roger Chaffee, Walter Cunningham, Russell Schweickart, Edwin Aldrin, Edward White, Jim McDivitt. Ale z żonami.

– Jezu!

– No chodź, odwagi.

Dodaję sobie odwagi; żeby znaleźć się w salonie, trzeba zejść po schodach niczym Wanda Osiris, schodzę po schodach i oto oni, patrzą na mnie bacznie, w milczeniu, mężowie po jednej stronie, żony po drugiej, mężowie stoją, żony siedzą. Jesteśmy w Nassau Bay, na przedmieściu Houston, na prowincji, i taki wieczór jest wydarzeniem, o którym będzie się mówiło podczas weekendów, *cocktail parties*, przez telefon, w listach do kuzynki i ciotki: cudzoziemka przyjechała z Nowego Jorku. Moja egzotyczność nie polega jednak na tym, że jestem Włoszką, Włochy są zbyt odległe, leżą na innej planecie, jak sądzi dziecko Dicka; polega na tym, że mieszkam w Nowym Jorku. Część żon mężczyzn, którzy polecą na Księżyc, na Marsa, nigdy nie była w Nowym Jorku, przejęci przedstawiają mi je, one zaś onieśmiałe pytają:

– Czy uważa pani, że Nowy Jork jest piękny?

– Nie boi się pani mieszkać w Nowym Jorku?

Nowy Jork jest metropolią. Nowy Jork jest tajemnicą, Nowy Jork to obsesja pieniądza i grzech celebryctwa; rozumiesz, kiedy na nie patrzysz, dlaczego pani McDivitt, która teraz przygląda mi się wrogo, bo dowiedziała się może, że jej mąż zaproponował mi podwiezienie tandemem, nie miała mu nic innego do powiedzenia, kiedy ten leciał wśród gwiazd, oprócz: „Szybko znajdź się nad Teksasem”. I kiedy wybucha spór z ich mężami, nie odzywają się ani słowem. Wybucha nie wiem jak, być może z powodu tego, co napisałam o von Braunie, Niemcach, nazistach, Mussolinim, faszystach. I to właśnie Edward White, piechur w kosmosie, mówi:

– Wiem, w tej kwestii my was nie rozumiemy; wszystkiego, co wiemy, nauczyliśmy się z książek, filmów, więc nie rozumiemy waszej nienawiści, waszej urazy. Ale dlaczego tyle nienawiści, urazy? Poznałem Niemców w Niemczech, byli wielkimi demokratami, prawda, Dick?

Dick przytakuje i kiwa głową.

– Nie możemy osądzać – powiada – ani potępiać ich pretensji. Żyjemy w rodzaju nieświadomości, nie wiemy, co znaczą głód, aresztowania, bombardowania. Nikt nas nigdy nie bombardował, nie aresztował, a głód to dla nas tylko puste słowo. Kto jest głodny w Ameryce? Nawet biedni nie są głodni u nas, w Ameryce. Biedni to u nas ci, co mieszkają w brzydkich domach, bez lodówki i telewizora. Aby zrozumieć nienawiść, która dzieli ludzi w Europie, trzeba przypomnieć sobie naszą wojnę secesyjną.

– Chyba żartujesz! – wtrąca się Chaffee, najmłodszy astronauta, dwadzieścia siedem lat i buzia à la James Dean. – Chyba żartujesz! Wojna secesyjna była najbardziej okrutną, bezlitosną wojną domową, jaką kiedykolwiek toczyli ze sobą ludzie mówiący tym samym językiem.

– Chaffee – mówię – słyszałeś kiedyś o wojnie domowej w Hiszpanii?

– Wojnie domowej w Hiszpanii? – powtarza Chaffee. – Ach tak, jest taka książka Hemingwaya. Ale chyba nie chcesz jej porównywać z wojną secesyjną w Ameryce!

– Chaffee, nie słyszałeś nigdy o tym, co stało się w Polsce, w Jugosławii, we Francji, we Włoszech, w Dachau, w Mauthausen podczas ostatniej wojny?

– Och! Nie chcesz chyba porównywać niektórych spraw z wojną secesyjną w Ameryce!

Tak mija powoli wieczór. Porządni chłopcy z tych chłopców, którzy polecą na Księżyc, na Marsa i którzy nie wiedzą, co stało się w Polsce, w Jugosławii, we Francji, we Włoszech, w Dachau, w Mauthausen, nie wiedzą, czym była wojna domowa w Hiszpanii, nie wiedzą, czym jest głód, nienawiść, uraza. Tak, słuszne jest, żeby to oni polecieci na Księżyc, na Marsa.

Astronauta to za mało; lepiej dżokej

Nazajutrz z klasztoru-zgrupowania w Merrit Island na Florydzie przyjeżdżają Cooper i Pete, dowiedzieli się o tym dziennikarze i dopominają się konferencji prasowo-telewizyjnej. Pete dzwoni do mnie mocno przestraszony:

– Ej, ty, która jesteś jedną z nich, potrafisz mi powiedzieć, o co do licha będą mnie pytać?

– Bo ja wiem, Pete!

– Nie moglibyśmy się umówić co do jakiegoś specjalnego pytania, żebym dobrze wypadł?

– Jeśli chcesz, zapytam cię, jak robicie...

– Dobrze, świetnie, dziękuję! Wypadnę znakomicie!

Na konferencję prasowo-telewizyjną przychodzi ubrany w szary garnitur, w krawacie, przytył tak bardzo, że wygląda jak piłka; nawet pływanie w basenie, bardzo ciężkie treningi, tortura centryfugi, symulatora na nic się nie zdały. Ze starego Pete'a została tylko twarzyczka pozłocana od słońca, z wielkim nosem pośrodku, para pięknych niebieskich oczu, szerokie usta mieszczące najśmieszniejsze zęby na świecie: króciutkie, oddzielone jeden od drugiego i stworzone do śmiechu. Gordon Cooper natomiast schudł, zestarzał się, jego twarz porały zmarszczki. Idą razem, jeden malutki, drugi tyczkowaty, Don Kichot i Sancho Pansa, Don Kichot jest spokojny, jak powinno być w wypadku kogoś, kto zaznał już sławy, parad na Broadwayu, przemówień w Waszyngtonie, Sancho Pansa natomiast jest bardzo przejęty. Stoi sztywny, poważny i kiedy zadaje mu obiecanie pytanie, rozpoczyna skomplikowaną wypowiedź o zamkach błyskawicznych, rurkach w skafandrach kosmicznych, zdradzających przygnębiającą w istocie rzeczywistość: tam w kosmosie robi się siusiu tak jak noworodki, to znaczy pod siebie.

– A resztę? – pyta jakiś dziennikarz.

– Resztę – odpowiada szybko Pete – zbiera się do woreczków i przywozi na Ziemię do analizy.

Konferencja prasowa kończy się pośród salw śmiechu: prawdziwy triumf. Ja natomiast robię się trochę niespokojna: niepokój ogarnia mnie zawsze wtedy, kiedy nadchodzi dla tych dwóch, których znam, moment wylotu. Im bardziej ludzie się przyzwyczajają, tym bardziej loty kosmiczne stają się trudne; a lot Gordona i Pete'a będzie trudniejszy od poprzednich, najdłuższy. Siedem dni to bardzo długo, a ci dwaj mieli zbyt mało czasu, żeby się przygotować. Ale termin jest już ustalony niczym rozkład lotów linii lotniczych, w październiku lecą Wally Schirra i Tom Stafford, w grudniu Jim Lovell i Frank Borman...

– Jane – pytam później Jane Conrad, żonę Pete’a – cieszysz się, że Pete poleci w kosmos?

– Mnie nie zależy na tym, żeby poleciał – odpowiada smutnym głosem Jane. – Mnie zależy na tym, żeby wrócił.

Jane jest piękną, wysoką kobietą z Teksasu, jej twarz przypomina trochę twarz Claudette Colbert, z parą wielkich oczu zapuchniętych od niewyżnanego lęku. Przyjeżdża po mnie i Pete’a, żeby zawieźć nas do Lovella, dziś wieczór wszyscy jemy kolację u Lovella, i pyta mnie, czy chcę najpierw wpaść do domu, żeby zobaczyć dzieci. Tak, oczywiście, i oto one: jest ich czworo, śliczne, jasnowłose, bawią się przy basenie słomkami do napojów i kamykami. Tatuś kupił im mnóstwo zabawek związanych z kosmosem, statki kosmiczne na baterię słoneczną, skafandry, rakiety na wodę, ale one bawią się słomkami do napojów i kamykami.

– Dzieci – woła Jane Conrad z tą swoją smutną twarzą – pożegnajcie tatusia, tatuś leci w kosmos.

– Pa – odpowiadają dzieci, nie odwracając się. – Tatusiu, przywieź nam meteoryt.

Należą do nowego pokolenia, są dziećmi przyszłości.

– Chciałbyś zostać astronautą? – pytam najstarszego. A on:

– Nieee! Ja chcę robić coś niezwykłego, chcę być dżokejem.

Wielkie tajemnice planety Loren

Nieustannym zaskoczeniem jest, jak bardzo ziemskie są te istoty rodem z science fiction, które z prowincji lecą prosto w kosmos i z kosmosu prosto na prowincję. Jak bardzo ziemskie są ich problemy, ich ciekawość, ich nawyki. Dom Jima Lovella stoi obok domu Pete’a, w dzielnicy Seabrook, kolejnego przedmieścia Houston. Jest taki sam jak dom Pete’a, a jego jest taki sam jak dom Dicka: z firankami z organzy, trawnikiem, garażem. Atmosfera przypomina niektóre filmy Franka Capry: szczęśliwa rodzinka, której przydarzają się nieproporcjonalnie poważne historie. W gruncie rzeczy to historia Ameryki. Jim, który w grudniu pozostanie całe dwa tygodnie w kosmosie, opuści statek

kosmiczny tak jak Edward White i będzie chodził w przestrzeni kosmicznej, otwiera drzwi, trzymając łyżkę w ręce.

– Przepraszam was – mówi – kurczak się przypala.

Jego żona, brunetka siedząca na kanapie i odpowiadająca na imię Marilyn, jest w pięciomiesięcznej ciąży; dlatego on musi przygotować kolację. W salonie jest jeszcze dwoje gości: mężczyzna i kobieta. Kobieta jest w stylu tych, które spotyka się na zakupach, mężczyzna jest młodzieńcem bladym, pozbawionym wyrazu, ściska w zębach fajkę i trzyma w ramionach kilkumiesięczną córeczkę.

– Doktor Joseph Kerwin – mówi głosem równie pozbawionym wyrazu Jest jednym z sześciu naukowców-astronautów, których NASA zatrudniła, żeby wysłać ich na Księżyc; być może pierwszym lekarzem-astronautą, który polecą na Księżyc.

– Miło mi, panie doktorze Kerwin!...

– Włoszka?! Zna pani Sofię Loren? – przerywa mi niespodziewanie żywo doktor Kerwin i rozmowa zaczyna się toczyć na temat Sofii Loren, która bardzo się podoba również Pete’owi i Jimowi, natomiast Marilyn i Jane podobają się Alain Delon i Peter O’Toole.

– Znasz Alaina Delona?

– Jaki jest Alain Delon?

– I dlaczego porzucił Romy Schneider?

– A Peter O’Toole? Znasz Petera O’Toole’a?

Poznają dzięki mnie, rzecz niewiarygodna, ekscytujący świat: świat Sofii Loren, Alaina Delona, Petera O’Toole’a. Kosmos jest dwa kroki od Seabrook, przedmieścia Houston, lecz O’Toole i Delon, i Loren są odlegli od Seabrook jak Alfa Centauri. Jutro urlop się kończy, Pete i Gordon po raz ostatni będą uczestniczyć w próbach wyłowienia ich kapsuły z wody w zatoce Galvestone. Zamknięci w tym żelaznym orzechu, w kosmicznych skafandrach będą przez pół godziny kołysać się na falach, wymiotować, znosić straszliwe mdłości. Czemu ich nie zadowolić? Pewnego razu była sobie piękna dziewczyna, która nazywała się Sofia Scicolone...

Pete odkorkowuje dwie butelki chianti i słucha z zachwytem bajki o Sofii Scicolone. Pijemy. Z butelek, które im wysłałam w ubiegłym roku, zachowali cztery: dwie na dzisiaj i dwie, żeby świętować powrót. Śmiejemy się. Zupełnie jakby wybierali się do Paryża, Acapulco.

– Wiesz, jaki mam problem? Co ci powiem, kiedy pozwolą mi z tobą porozmawiać przez radiotelefon – mówi Jane Conrad.

– Coś w tym stylu – podpowiada Pete. – Na przykład: gdzie do cholery położyłeś kluczyki do samochodu? A ja ci odpowiem: w trzeciej szufladzie na lewooo!

Zupełnie jakby wybierał się do Paryża, Acapulco. Gordon milczy, on zawsze milczy; już raz poleciał w kosmos i dobrze wie, że to nie to samo, co wybrać się do Paryża, Acapulco.

– Gordo, jak nazwiecie wasz statek kosmiczny? – pyta Jim.

– Cóż! – odpowiada Gordon.

– A ja wiem – mówi Jim. – Mój będzie dziewiątym lotem Gemini. Nazwę go „009. Od Ziemi z miłością”.

Doktor Kerwin sugeruje, by przesłać żartobliwą wiadomość Scottowi Carpenterowi, który przebywa na dnie morza, i ta propozycja wywołuje pełne zakłopotania milczenie.

Scott Carpenter: kompleks kosmosu

Pamiętacie Scotta Carpentera? Tak, tego, który poleciał po Glennie, popełnił mnóstwo błędów i cudem ocalał. Już od dawna o nim nic nie słyhać, prawie od trzech lat. Za każdym razem, kiedy ktoś wymawia jego nazwisko, zapada pełne zakłopotania milczenie. Odsunięto go. Odsunięto go natychmiast i... Faktem jest, że co jakiś czas ma wypadek. Raz złamie sobie nadgarstek, jadąc lambrettą na Bermudach (ależ tak, był na służbie, ależ tak!). Raz jego samochód zderzy się z innym samochodem i zrani trzy osoby o szóstej rano na Florydzie (ależ tak, był na służbie, ależ tak!). Raz ma z tego powodu proces i skazują go na gigantyczną grzywnę... Psychoanalicy powiedzieliby: to kompleks winy. Ja zaś powiem: rozpacz. Tak, Scott Carpenter jest wciąż jeszcze astronautą. Nie, nie zwolnili go. Nie, nawet go nie ukarali. Ale wypożyczyli go marynarce wojennej i trzymają na dnie morza, w ramach nie wiem jakich doświadczeń z przeżyciem pod wodą. Na dnie morza. Jego, który wybrał sobie zawód pozwalający przebywać wśród gwiazd.

Czy to Courrèges?

Cóż za zadziwiający kraj, jak nieludzko zdyscyplinowany. Dziś rano budzi mnie telefon i jakiś głos, wesoły, dźwięczny, mówi mi:

– Dzień dobry, jestem Faith Freeman, żona Theodore’a. Dowiedziałam się, że jest pani w Houston. Mogę panią odwiedzić?

Godzinę później jest w moim motelu z dwunastoletnią córką Faith junior. Obie wysokie, przepiękne, ubrane na różowo. Wdowa i sierota po Theodorze Freemanie, astronautcie, który ubiegłego października zginął, lecąc swoim odrzutowcem: dzika gęś wpadła mu do silnika.

– Przyniosłam pani egzemplarz gazety wychodzącej w Houston – mówi wesoły, dźwięczny głos. – Mowa jest tam o liście, który mi pani wysłała razem z egzemplarzem książki. Dziękuję, że zadedykowała pani mojemu mężowi swoją książkę. Och, szkoda, że pani wyjeżdża; w przeciwnym razie wyprawiłabym na pani cześć przyjęcie. Wyprawię je, kiedy pani wróci.

– A zatem została pani w Houston.

– Och, tak, Houston to miłe miejsce, klimat jest przyjemny, przyjaciele są kochani, moja Faith chodzi tu do szkoły, a ja mam nawet pracę: pielęgniarce przy chorych na raka. Dlaczego miałabym opuścić Houston, prawda, Faith? Faith, kochanie, powiedz coś, uśmiechnij się!

Faith junior nic nie mówi i z trudem się uśmiecha. Jest smutną dziewczynką, minęło dopiero dziesięć miesięcy. Dziesięć miesięcy.

– Moja Faith będzie modelką, kiedy dorośnie; ma odpowiednią figurę, nie uważa pani?

Dziesięć miesięcy. Niecałe dziesięć miesięcy. I ani jednej łzy podczas tych dziesięciu miesięcy. W czasie tych dziesięciu miesięcy podobno nigdy nie nosiła żałoby, Faith Freeman nigdy nie zasmucała przyjaciół okazywaniem niemijającego, ponurego cierpienia.

– Pani Freeman – pytam ją – czy pani nigdy nie płacze?

– Nie wierzę w łzy – odpowiada. Potem wstaje, obejmuje mnie, jaka piękna sukienka, mówi, to Courrèges? Lubi Courrèges’a, jest taki prosty, taki pozbawiony ozdób. W słońcu zapach francuskich perfum, których używa, robi się bardziej intensywny. – Wierzę w życie – podsumowuje. – Życie jest takie piękne. Życie jest nadzwyczajnym darem, cudem.

Każdego ranka uśmiecham się i mówię do siebie samej: jestem szczęśliwa, dlatego że żyję.

OSTATNIE „TAK” VADIMA

Las Vegas, sierpień

Ojciec panny młodej, Henry Fonda, był nieobecny; zatrzymały go w Nowym Jorku próby nowej sztuki, których nie mógł opuścić nawet na kilka godzin, mimo że ślub odbył się w sobotę, w dniu, w którym w Ameryce nikt nie pracuje. Wysłał jedynie wiele godzin później telegram, w którym życzył małżonkom zdrowia i szczęścia. Nie było również dziennikarzy i fotografów, niepowiadomionych przez Jane i Vadima, którzy życzyli sobie prywatnej uroczystości, prywatnej, cichej i szybkiej. Fotografie ceremonii ślubnej zrobił Peter Fonda, brat Jane, który przyjechał z żoną Susan, elektryczną gitarą, torbą pełną aparatów Leica, Nikon, rolek filmu i lamp błyskowych. Peter reprezentował jej rodzinę; rodzinę jego reprezentowała matka, Marie-Antoinette Ardilouze, która przyjechała dwa dni temu z Paryża, przywożąc ze sobą kamerę filmową, żeby nakręcić całą scenę. Wraz z nią przybyli Christian Marquand i jego żona Tina; na ślubie było obecnych jeszcze siedmioro przyjaciół: aktorzy James Fox, Dennis Hopper z żoną Brooke, Bob Walker z żoną Ellie, agent Jane Dick Clayton, i Oriana Fallaci. Miastem wybranym na potajemny ślub było Las Vegas, gdzie zgodę na zawarcie małżeństwa można otrzymać w pół godziny, bez niczyjej wiedzy, na słowo. Czternaścioro gości przyleciało z Los Angeles samolotem wynajętym przez nowożeńców i uroczystość odbyła się o piątej po południu, czternastego sierpnia, w pokoju numer dwa tysiące siedem w hotelu Dunes. Jane Fonda miała na sobie kostium Chanel, Vadim szary garnitur i koszulkę. Peter zagrał na gitarze marsza weselnego, a pan młody pożyczył od Tiny Marquand złotą obrączkę, żeby włożyć ją na palec Jane, bo zapomniał o kupieniu nowej. Vadim, blady i nerwowy, pomylił dwa albo trzy słowa, powtarzając ślubną formułę, a Jane powtórzyła ją z płaczem, opierając blond główkę na ramieniu małżonka. Kiedy udzielający ślubu sędzia James Brennan sobie poszedł, wszyscy uścisnęli pannę młodą, która oddała obrączkę Tinie Marquand i zaczęła

wyjaśniać, że już wcześniej uważała się za żonę Vadima, resztę czasu państwo Vadim spędzili, grając w ruletkę i na maszynach na żetony. O szóstej rano, nie zostawszy sami ani na minutę, wsiedli do wynajętego samolotu i wrócili do domu na plaży w Malibu, gdzie mieszkali razem przez ostatnie dziewięć miesięcy.

Co o tym sądzi panna młoda

„Mam dwadzieścia siedem lat, to jest moje pierwsze małżeństwo i mam nadzieję, że również ostatnie. Prawdą jest, że mnie małżeństwo przeraża: zawsze tak było i nigdy nie zamierzałam wychodzić za mąż. Nie zamierzałam wyjść nawet za Vadima. Zanim go dobrze poznałam, nie cierpiałam go; nie podobała mi się postać, jaką stworzył, i otaczający go rozgłos. Zakochałam się w nim z pobudek intelektualnych. Kiedy Vadim poprosił mnie, bym za niego wyszła, pierwszą reakcją był ogromny lęk; to nie jest łatwy mężczyzna i niepokoił mnie fakt, że miał już dwie żony. Ale ja także nie jestem łatwa: potrzebuję czuć się wolna, mieć własne życie. Powiada się, że Vadim odmienia kobiety; mnie wcale nie odmienił, nauczyłam się tylko mówić bardzo dobrze po francusku. Przypuszczam, że ten ślub budzi wiele ciekawości, że wszyscy się zastanawiają, dlaczego się pobraliśmy, że wielu sądzi, iż pobraliśmy się, bo oczekuję dziecka albo coś w tym stylu. Wszyscy ciągle mnie pytają, czy chcę mieć dzieci, czy kocham dzieci, kiedy będę miała dziecko. Nie wiem, nie oczekuję dziecka; muszę nakręcić dwa filmy z Vadimem, a kiedy się kręci film, nie myśli się o dziecku. Co do pytania, dlaczego za niego wyszłam, odpowiedź jest prosta: bo się w nim zakochałam, zamieszkaliśmy razem, było mi z nim bardzo dobrze i uznałam, że w takim razie nie ma powodu, by za niego nie wyjść”.

I Vadim

„Mam trzydzieści siedem lat i po raz pierwszy się żenię, nie będąc do tego zmuszony. Z miłości i dlatego, że sprawia mi to radość. Nigdy się

nie żeniłem dlatego, że chciałem się ożenić i już. Z Brigitte ożeniłem się, ponieważ byłem bardzo młody, a ona była małą mieszczką i małżeństwo stanowiło jedyną możliwość by z nią żyć, jej rodzice nigdy by nie pozwolili na wolny związek. Jednym słowem, ożeniłem się z nią z poczucia odpowiedzialności; poznałem ją, kiedy miała piętnaście lat. Z Annette ożeniłem się, ponieważ była matką mojej córki; uznałem to za swój obowiązek. Przypuszczam, że wiele osób się zastanawia, dlaczego nie ożeniłem się z Catherine Deneuve. Nie pragnąłem tego i byłem zmęczony żenieniem się z przymusu, również wtedy, kiedy Catherine urodziła syna. Nie czułem się, krótko mówiąc, w obowiązku tak postąpić tylko dlatego, że urodził mi się syn; nie chciałem powtórzyć błędu, który popełniłem z Annette. Z Jane jest inaczej: ożeniłem się z Jane, ponieważ nic nie zmuszało mnie do ożenienia się z nią, tym bardziej nie zmuszała mnie ona sama, poprosiłem ją, by za mnie wyszła, tak jak się ofiarowuje bukiet kwiatów. Ożeniłem się z Jane, ponieważ myślę, że tym razem może to trwać długi, długi czas; mam nadzieję, że zawsze. A kiedy masz głębokie przekonanie, że będzie to trwało długi, długi czas, może nawet zawsze, nie widzę powodu, dla którego nie należy się pobrać; żyć jak kochankowie, będąc mężem i żoną, to urocze, ale żyć jak mąż i żona, będąc kochankami, to idiotyczne”.

*

A teraz? Przede wszystkim zostaną w willi nad morzem w Malibu aż do października, kiedy to polecą do Londynu, żeby nakręcić film według powieści Émile’a Zoli *Zdobycz*: on będzie reżyserem, ona główną bohaterką. Potem przyjadą do Rzymu i nakręcą wspólnie *Barbarellę*: komedię w stylu science fiction. Nie mają na razie domu i będą mieszkać w hotelu. Jane kupiła wiejski dom trzydzieści kilometrów od Paryża, ale musi go wyremontować; zresztą jeszcze nie ustalili, czy osiedlą w Paryżu, Nowym Jorku, czy Los Angeles. Na razie myślą o ukończeniu *Obławy* i kiedy nie kręcą, siedzą we dwoje na plaży i się opalają. Ale nie zawsze mogą sobie na to pozwolić. Tak było dzień po ślubie, kiedy Jane, słysząc, jak pytają o panią Vadim, myślała jeszcze, że chodzi o jego matkę; ale już następnego dnia Jane zjawiła się na planie

filmowym, a Vadim poleciał do Paryża.

WYKŁĘCI Z HOLLYWOOD

Los Angeles, wrzesień

Nagle i nie pytając nawet o zgodę, stewardesa w moim samolocie lecącym do Los Angeles zaczyna gasić światła, zasłaniać wszystkie okienka i zostaje w ciemności z książką, którą właśnie czytałam. Kiedy odruchowo odsłaniam okienko i rozglądam się za promieniem słońca; stewardesa zbliża się kocim skokiem, zabiera mi promień słońca, atakuje mnie, jak gdybym pobiła dziecko:

– Co pani robi?! Co się z panią dzieje?!

– Nic, czytam.

– Czyta pani?!

– Tak, czytam.

– Tutaj się nie czyta.

– Jak to tutaj się nie czyta?

– Nie. Ogląda się film.

– Film? Jaki film?

– Film. Piękny film w kolorze. Z Sofią Loren i George'em Peppardem.

– Nie chcę oglądać filmu, chcę czytać – mówię. I zapalam lampkę nad głową, mam dzięki temu wiązkę światła. Szybka jak jastrząb stewardessa rzuca się na lampkę, kradnie mi również tę odrobinę światła.

– Ale czy zdaje pani sobie sprawę, że przeszkadza?

– Nikomu nie przeszkadzam, czytam.

– Inni nie czytają.

– Inni nie, a ja tak.

– Musi pani robić to, co inni.

– Mowy nie ma, a niby dlaczego?

– Bo tak.

Obok mnie siedzi młoda Dunka; około dwudziestoletnia, ładniutka. Nazywa się Margriet, dostała stypendium w UCLA i leci tam.

– Jeśli pani pozwoli – mówi Margriet do stewardesy – chciałabym

wyrazić swój pogląd.

– Proszę go wyrazić – odpowiada pobłażliwie stewardesa.

– A więc kiedy pani zgasiła światło, ja miałam zamiar się uczyć. Zamiast oglądać film, chciałabym się uczyć.

– Podróż będzie o wiele przyjemniejsza, kiedy zamiast się uczyć, będzie pani oglądać film – oznajmia stewardesa. Potem wiesz na ścianie naprzeciwko ekran, ekran się rozjaśnia, pulsuje kolorowy napis: „Carlo Ponti przedstawia: *Operacja Kusza...* z Sofią Loren i George’em Peppardem...”. Pasażerowie wydają okrzyki radości.

– No i co robimy? – pytam Margriet.

– Ja nie ustąpię – odpowiada Margriet.

– Ja też nie – przytakuję. – Wydaje mi się, że to kwestia zasady.

– Zasady?

– Zasady, według której każda ludzka istota może sama zdecydować, czy chce, czy nie chce obejrzeć *Operacji Kusza* z Sofią Loren i George’em Peppardem w czasie lotu do Los Angeles.

– Właśnie.

Podnoszę palec, wołam stewardesę.

– Proszę pani, ja już widziałam ten film.

– Jeśli go pani widziała, obejrzy go pani jeszcze raz.

– Ale to przemoc, nadużycie.

– Och, proszę być cicho.

I rzuca nam plastikowy woreczek ze słuchawkami, wiesz, tymi, które wkłada się do uszu, jak robią to lekarze, kiedy chcą osłuchać serce i płuca.

– Proszę pani – pyta Margriet stewardesę – czy możemy przesiąść się na miejsce, skąd filmu nie widać?

– To chyba oczywiste – złości się stewardesa – że nie ma żadnego miejsca, skąd filmu nie widać, chyba że w toalecie.

– Cóż – mówi Margriet – w takim razie idę do toalety. – Wstaje, zabiera zeszyt i ołówek i naprawdę tam idzie.

Ja nie, nie idę. Nie mam odwagi podróżować w toalecie, w obliczu wyboru wolę zostać tutaj; wkładam słuchawki do uszu, mimo całej irytacji szykuję się do obejrzenia filmu. Słuchawki źle działają. Słyszę świsty, dźwięki samolotu, które mieszają się z dźwiękami z filmu opowiadającego historię pierwszych V2 i dlatego pełno w nim huku,

wybuchów, piekielnego hałasu. Wkrótce dostaję ciężkiej migreny. Mogę zrezygnować ze ścieżki dźwiękowej, zgoda, rzeczywiście, próbuję, ale nieme obrazy to męczarnia: Co powiedzieli? Co się stało? Stało się, że znowu słucham.

Patrzę i słucham, tak jak chce stewardesa, jak robią to inni, identyczna jak inni; i w pewnym momencie, całkowicie poskromiona, podporządkowana, pozbawiona wszelkiej woli, już się nie buntuję. Przeszła mi migrena, dobrze się czuję, godzę się na Sofię Loren, na George'a Pepparda, na System. System produkujący samoloty, gdzie nie tylko je się i pije jak w restauracji, ale gdzie się ogląda filmy jak w kinie, System, który narzuca ci wygodę, rozrywkę, wdziera się w ciebie z siłą trucizny, wirusa.

– Podobał się pani? – pyta stewardesa, kiedy film się skończył i samolot zaczyna schodzić nad Los Angeles.

– Tak, dziękuję, bardzo – mówię.

– A nie miałam racji?

– Tak, miała pani rację, całkowitą rację – przyznaję. Następnie patrzę na powracającą Margriet. Patrzę na nią trochę zawstydzona:

– Dobrze ci poszła nauka, Margriet?

– Och, wcale się nie uczyłam – odpowiada Margriet. – Nie mogłam się oprzeć. Wyszłam z toalety i obejrzałam film. Co za piękna historia. Ci Amerykanie umieją żyć. Są świetni, do licha. I podobają mi się, podoba mi się Ameryka. Myślę, że już nie wrócę do Danii.

Samolot leci nad Los Angeles, tysiące i tysiące pędzących samochodów wypełnia freeway, parkwaye, tysiące i tysiące basenów łśni w słońcu, zielone, błękitne soczyste oczka, każdy dom ma swój basen, niektóre mają nie jeden basen, lecz dwa, hotele mają nawet trzy, cztery, sześć, to samo biura, więzienia, klasztory; czyż można żyć bez basenu, bez samochodu? Tak jak w Nowym Jorku na przykład. Baseny w Nowym Jorku są luksusem. Mają je tylko miliarderzy, niewiarygodne. A samochody...

Co za pomysł, Shirley

– Wynajęłam dla ciebie samochód – mówi Shirley MacLaine, wioząc mnie swoim cadillakiem z lotniska w Hollywood. Przyjechała po mnie z córką Sachi, która jest pulchną dziewczynką, mniej więcej dziewięcioletnią, bardzo do niej podobną.

– Samochód?

– Oczywiście z klimatyzacją – wyjaśnia mi Sachi.

– I co mam z tym zrobić?

– Z klimatyzacją? Będziesz jej używać. Nie chcesz chyba jeździć bez klimatyzacji.

– Nie mówię o klimatyzacji, Sachi. Mówię o samochodzie. Nie umiem prowadzić.

Pisk hamulców, samochód zarzuca i wszystkie trzy znajdujemy się na skraju freewayu: cudem uszłyśmy z życiem. Nade mną twarz Shirley, zdziwiona, z wyrazem niedowierzania, jeszcze pod wpływem szoku, który spowodował wypadek.

– Niemożliwe, żartujesz.

– Wcale nie żartuję, to prawda.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Wydawało mi się, że to nieważne.

– Wydawało ci się, że to nieważne?!?

– Tak.

Sachi przygląda mi się, jak gdybym miała dwa nosy i bo ja wiem, troje oczu. Ona nie ma prawa jazdy, trzeba skończyć szesnaście lat, żeby mieć prawo jazdy, ale już dobrze prowadzi.

– A kiedy byłaś tu ostatnim razem, jak sobie radziłaś?

– Byłam tu kilka godzin, tyle, żeby wysiąść z samolotu i wsiąść do innego: leciałam do Las Vegas, na ślub Jane Fondy z Vadimem.

Shirley potrząsa głową w milczeniu, zapala z powrotem silnik w swoim cadillacu, wiezie mnie do hotelu. Mój hotel to Chateau Marmont na Sunset Boulevard. Za cenę pokoju w Nowym Jorku dali mi apartament składający się z ogromnego salonu z telewizorem i telefonem, jadalni bez telewizora, ale z telefonem, kuchni bez telewizora i bez telefonu, ale z lodówką, zamrażarką i piecykiem, łazienki z podwójnym telefonem, jednym przy wannie, drugim przy sedesie, sypialni z telefonem i telewizorem. Pierwszą rzeczą, jakiej nie rozumiem, jest powód, dla którego w kuchni nie ma ani jednego

telefonu; to niewygodne, nieracjonalne. Drugą rzeczą, jakiej nie rozumiem, jest powód, dla którego w kuchni, w łazience, w jadalni brakuje telewizora, to również jest nieracjonalne, niewygodne. Trzecią rzeczą, jakiej nie rozumiem, jest powód, dla którego za każdym razem, kiedy dzwonię, telefonistka włącza *long distance*, czyli usługę międzymiastową, jak gdybym dzwoniła do Nowego Jorku albo San Francisco, a nie do ludzi mieszkających tutaj. Mówię o tym Shirley, a ona, nie odpowiadając mi, pyta, czy mam zamiar zobaczyć się z osobami, do których telefonuję.

– Mam zamiar, tak, oczywiście.

– Ale nie umiesz prowadzić.

– Nie, nie umiem.

– I nie możesz pojechać samochodem, który ci wynajęłam.

– Nie, nie mogę.

– No cóż – podsumowuje Shirley z ironicznym, a raczej tajemniczym uśmiechem – muszę kończyć, mąż na mnie czeka. Odwiedź nas jak najszybciej; masz adres.

– Oczywiście, czy to daleko?

– Nie, nie, bardzo blisko. Pięćdziesiąt minut parkwayem, może trochę więcej.

Pięćdziesiąt minut. Odległość między Florencją a Bolonią, jadąc Autostradą Słońca. Zaraz zadzwonię do Vadima. Vadim mieszka w Malibu, które, o ile pamiętam, leży dwa kroki stąd. A poza tym jest Francuzem, będzie umiał coś mi doradzić. Zaczynam czuć się niepewnie.

Miasteczko zamieszkane przez samochody

Vadim nic mi nie doradził, on nigdy nie opuszcza Malibu, gdzie pisze scenariusz swojego kolejnego filmu, ale bardzo się ucieszył i zaprosił mnie zaraz na kolację.

– Ale jak przyjadę?

– Przyjedziesz z Jane, która jest w Hollywood. Zaraz do niej zadzwonię i powiem, żeby po ciebie wstąpiła.

Oto i ona, bardzo chuda i nerwowa, z bardzo długimi włosami blond uczesanymi jak Deneuve, Strøyberg, Bardot. Vadimowi podobają się kobiety chude i uczesane w ten sposób, w gruncie rzeczy jest wiernym mężczyzną: wiernym pewnemu typowi.

– *Nous allons?* – pyta Jane, która mówi już wyłącznie po francusku, i od razu wjeżdża na freeway w kierunku Malibu. Zaczyna się ściemniać, gawędzimy bez przerwy i nie zauważam mijającego czasu, mijającej drogi. Gawędzimy o tacie, Henrym Fondzie, który nie przyjechał na ślub, wysłał tylko lakoniczny telegram, robiąc jej wielką przykrość. Gawędzimy o Marlonie Brando, z którym kręci ostatni film pod tytułem *Oblawa* i który jest, no tak, dość trudnym człowiekiem. Im bardziej się starzeje, im bardziej tyje, tym staje się trudniejszy; ale biedak ma tyle zmartwień. Musi na przykład robić za matkę; od kiedy sąd zabrał syna jego byłej żonie Annie Kashfi i powierzył go jemu, Marlon Brando nie ma ani chwili spokoju. Syn jest u ciotki, to znaczy starszej siostry Marlona, ciotka mieszka w Chicago, a biedny Marlon krąży nieustannie między Kalifornią a Chicago. Gawędzimy o Los Angeles, mieście, którego Jane nienawidziła, a teraz bardzo je lubi.

– Urodziłam się w Nowym Jorku; kiedy przyjechałam do Los Angeles z Susan Sontag, ona także urodziła się w Nowym Jorku, znenawidziłam od razu to miejsce. Wystarczyłoby, że nie można tutaj chodzić pieszo; w ciągu kilku miesięcy aresztowano mnie trzy razy. Musisz wiedzieć, że w nocy nie możesz iść na piechotę, jeśli nie masz w kieszeni pięćdziesięciu dolarów i dokumentów. Za pierwszym razem nie miałam ani pięćdziesięciu dolarów, ani dokumentów. Za drugim razem miałam dolary, ale nie miałam dokumentów. Za trzecim razem miałam dokumenty, ale nie miałam dolarów. Co do Susan, została aresztowana pewnego razu, bo miała czterdzieści dziewięć dolarów i trzydzieści centów, za pozostałe siedemdziesiąt kupiła sobie lody. I jeszcze to, że nie czuję się wystarczająco ważna, fantastyczna. Tutaj wszystko jest przesadzone; żeby powiedzieć ładne, mówi się zachwycające, żeby powiedzieć duże, mówi się ogromne, żeby powiedzieć normalne, mówi się fantastyczne, i powód jest bardzo prosty: jeśli chodzi o finanse, jesteśmy wszyscy równi, to znaczy wszyscy bogaci, i żeby się wyróżnić, trzeba czegoś więcej. To coś więcej może dać ci sukces.

– Ale teraz lubisz to miejsce, kochasz je.

– Kocham, bo to jest miejsce nowoczesne, gdzie wszystko dzieje się trochę wcześniej niż gdzie indziej. Kultura, moda, nawet polityka; ludzie przyjeżdżają tutaj, żeby zobaczyć, czym będzie za pięć albo sześć lat Ameryka, za piętnaście reszta świata. Nowy Jork jest nowoczesnym miastem z lat dwudziestych, Los Angeles jest nowoczesnym miastem dwudziestego pierwszego wieku.

Zrobiło się już ciemno, samochód pędzi i nie zauważam mijającej drogi, mijającego czasu. Nie zauważam nawet, że jest już bardzo późno, kiedy wchodzimy do domu i siadamy do stołu. Rozmów na temat odległości, samochodów służących do pokonywania odległości nigdy się tu nie prowadzi. Tylko Vadim mówi w pewnej chwili, że Los Angeles nie jest miastem, to zespół miasteczek zbudowanych dla samochodów, a więc absurdem jest, żeby spoglądał na nie z dezaprobatą ktoś, kto tak jak my przybywa z metropolii zbudowanych dla pojazdów konnych. Wkrótce potem widzę, że Jane przygotowuje dla mnie łóżko w pokoju gościnnym, więc się otrząsam, zauważam, że minęła już północ, protestuję, nie, dzięki, muszę wrócić do mojego hotelu.

– Do twojego hotelu?!

– Tak, oczywiście.

– Ale jak?!

– Taksówką, to jasne.

– Taksówką?!

– Tak, oczywiście.

Wzywam taksówkę. Przyjeżdża po czterdziestu minutach z Santa Monica, najbliższego miasteczka; w Los Angeles jest tylko trzysta taksówek. Przyjeżdża, wsiamam mimo protestów Jane Fondy i Vadima, mówię do kierowcy:

– Chateau Marmont, Hollywood.

– Hollywood?! – mamrocze kierowca.

– Hollywood – powtarzam.

Taksówka rusza w noc, wjeżdża na parkway, potem na freeway, potem na inną parkway, inną freeway, kwadrans mijają wolno, coraz wolniej, jestem śpiąca, coraz bardziej śpiąca, wściekła, coraz bardziej wściekła; minęła trzecia, kiedy dotarłam do hotelu; przejechałam taksówką odległość taką samą jak między Mediolanem a Turynem. Naturalnie, nie kosztuje to dużo: dwadzieścia sześć dolarów plus cztery

napiwku. Przeklęta Shirley, oto dlaczego uśmiechała się tak ironicznie. Jutro idę na naukę jazdy. Ale najpierw muszę się zobaczyć z Rayem Bradburym, doda mi może trochę otuchy.

Bradbury nie poznaje Marsa

Bradbury jest jedynym oprócz mnie człowiekiem w całym Los Angeles nieumiejącym prowadzić samochodu; jeździ na rowerze, który stoi oparty o ścianę restauracji, tłum zaś przystaje, żeby mu się przyjrzeć: „Ej, zobacz. Co to takiego?”. Spotykamy się we Frascati w Beverly Hills niczym dwójka spiskowców; jestem nieco przejęta swoją decyzją zdobycia prawa jazdy, on natomiast jest bardzo smutny z powodu rozczarowania, jakie zgotował mu Mars. Nie może się pogodzić, że sonda kosmiczna sfotografowała tylko piasek, kratery, pustynie, że, jednym słowem, Mars przypomina bardziej Księżyc niż Ziemię. On, który opisał szmaragdowe wzgórza, doliny z kamienia księżycowego, rzeki w kolorze wina i mieszkańców o złotych oczach. Na podstawie jego najpiękniejszej powieści, *Kronik marsjańskich*, nakręca wkrótce film, lecz on, zamiast prorokiem, czuje się teraz oszustem.

– Tak bardzo miałem nadzieję, że żyją tam Marsjanie i że są tam drzewa, woda – wzdycha. Za szklami jego oczy pełne są błękitnego smutku, jasny kosmyk opada mu smętnie na nos. – Dajmy już spokój, trudno, jak ci idzie?

– Idzie mi tak, że uciekłam z jednego piekła, Nowego Jorku, i wpadłam w drugie, Los Angeles – mówię. – Do diabła z tą historią, że aby poznać Amerykę, nie należy poprzestać na Nowym Jorku, że Nowy Jork to nie Ameryka, to wyspa, filia Europy i tak dalej, i tak dalej, amen.

– Och, nie – wykrzykuje Bradbury – tu jest o wiele gorzej, w Nowym Jorku macie szczęście, macie tam pociągi, autobusy, metro, tutaj jest o wiele gorzej. Los Angeles ma dziewięć milionów mieszkańców i niemal osiem milionów samochodów, więcej niż cała Afryka i Azja razem wzięte. Zważywszy na starców, kaleki i dzieci, wynika z tego, że każdy dorosły w Los Angeles ma co najmniej jeden samochód. Ponieważ ma co najmniej jeden samochód, mieszka coraz dalej; a ponieważ

mieszka coraz dalej, autostrady się wydłużają i ciągle ich przybywa; to rodzaj błędnego koła, zostaniemy w końcu pochowani pod całunem z asfaltu. To jest technika zamachu stanu ze strony Samochodów, które nie są już maszynami, jak sądzimy, lecz istotami, które żyją, myślą i szykują się do rewolucji: jakiś mózg elektroniczny, to pewne, pisze już ich *Kapitał*. Tak – mówi Bradbury – nasz koniec jest bliski: uratuje się tylko ten, kto jeździ rowerem.

Po czym wskakuje na rower i odjeżdża; odprowadza go tysiąc nieświadomych niczego uśmiechów. Ja natomiast kontroluję, czy w mojej torbie są dokumenty, pięćdziesiąt dolarów, żebym nie trafiła do więzienia, i pieszo podążam w kierunku Hollywood. Będę potrzebowała trzech godzin, jeśli nic nie stanie mi na przeszkodzie.

„*Jesteśmy nowym Cesarstwem Rzymskim*”

Stało mi na przeszkodzie. Po godzinie i trzech kwadransach zgarnęła mnie policja i nie wypisawszy mi mandatu, bo mój paszport był w porządku, moje *traveller's cheques* przekraczały okrągłą sumę dwustu dolarów, odwiozła mnie do hotelu, gdzie zjawiała się Shirley z mężem Steve'em Parkerem i z lekarzem. Lekarz zadał mi dużo pytań; podejrzewam, że był psychiatrą. Spytał mnie, czy w dzieciństwie matka nie pozwalała mi chodzić albo czy przestraszyłam się jakiejś mechanicznej zabawki. Odpowiedziałam, że nie, wydał mi się rozczarowany i zalecił jakieś lekarstwo na stopy, które mi spuchły. Kiedy stopy przestały być spuchnięte, Shirley i Steve zaprowadzili mnie do swojego samochodu i zawieźli do siebie na popołudniową rekonwalescencję. Podróż była króciutka, czterdzieści pięć minut dość szybkiej jazdy, i teraz jestem tutaj, siedzę z nimi na brzegu basenu; jest również Sidney Poitier, którego poznałam kilka lat temu w Paryżu i chciałam go ponownie zobaczyć. Steve'a Parkera natomiast nie znałam; spędza większą część roku w Japonii, gdzie jest prawdziwy dom Shirley i gdzie Sachi chodzi do szkoły. Steve jest przystojnym mężczyzną ze szpakowatymi włosami, szpakowatymi wąsami i mnóstwem szpakowatych włosów na piersi, chociaż ma dopiero czterdzieści cztery

lata. Jest bardzo inteligentny i sympatyczny, jak przysięgała mi Shirley, typ wesołego buntownika; patrząc na niego, można zrozumieć, dlaczego ona jest tak bardzo różna od innych gwiazd i dlaczego ich związek trwa mimo odległości geograficznej i głupich plotek.

– Jestem – mówi Steve – producentem i reżyserem, teoretycznie powinienem mieszkać tutaj, ale nie daję rady. Nie daję rady żyć w samochodzie, jak nakazuje owczy pęd; gdybym tu został, jestem tego pewny, nagiąłbym się, przyzwyczaił do Systemu. Masz rację, mówiąc o wirusie, truciznie; przy całym swoim bogactwie, wszystkich wygodach, Ameryka zakaża chorobą, na którą nie ma lekarstwa i która się nazywa obojętność, rozleniwienie. Mamy za dużo, tak bardzo za dużo, że nie można mieć więcej, i z tego za dużo może wyniknąć tylko to, co najgorsze. Jesteśmy nowym Cesarstwem Rzymskim, skazani na schyłek, podobnie jak Cesarstwo Rzymskie; może zresztą schyłek już się zaczął. Roboty, których jesteśmy już niewolnikami, maszyny, które wykonują za nas wszystko, podczas gdy my siedzimy z telefonem nad basenem, lodówki, płyty, telewizja, czyż nie są objawami naszej epoki aleksandryjskiej? Naszym marzeniem jest wygoda, nie mamy innych marzeń, nawet wojny chcemy prowadzić wygodnie, i czy to możliwe, by dobry żołnierz ruszał do ataku wykarmiony ostrygami, czekoladą, lodami, chłodnym piwem? Amerykańscy żołnierze są grubi, Amerykanie są grubi; w świecie, którego ciągłą troską jest, jak nie umrzeć z głodu, my myślimy nieustannie, jak schudnąć, iść na dietę. Nie potrafimy już chodzić: przejście z Hollywood do Beverly Hills sprawia, że puchną nam stopy i trzeba wzywać lekarza. Dobrze mówię, Sidney?

Sidney unosi twarz w kolorze kakao, która zdaje się wyrażać całe niezadowolenie świata. Nie jest wesołym buntownikiem, jest buntownikiem melancholijnym, zamkniętym w sobie; nie zapomina nigdy o kolorze swojej skóry i nikczemności świata. Przez dziesięć lat, mówi, leczył się u psychoanalityka, ale nie na wiele się to zdało. W listopadzie ma się ożenić z Diahann Carroll, rozwiódł się dla niej z pierwszą żoną i kocha ją z wzajemnością, ale nawet to, jak się zdaje, go nie cieszy. W ubiegłym roku otrzymał Oscara; rozplakał się, a następnie powiedział, że na niego nie zasługuje. Mówi z tłumioną pasją: ciało pozostaje nieruchome, dłonie zaciśnięte w pięści, które nagle otwiera, ukazując dwie różowe muszle.

– Schyłek już się zaczął – odpowiada – ponieważ, nie mając przeszłości, zbudowaliśmy przyszłość, ponieważ jesteśmy ignorantami. Również nasze miasta są miastami ignorantów: nie zbudowaliśmy ich tak jak reszta świata wokół ratusza, gmachu sądu, kościoła, rozrzuciliśmy je tu i tam, jakbyśmy byli dziećmi pijanymi przestrzenią. Los Angeles to nie jest miasto, to Hollywood, Beverly Hills, Cheviot Hills, Royal Oaks, San Ferdinando Valley, Bel Air, Santa Monica, Brentwood, Malibu; kultura tworzy prawdziwe miasta, miejskie centra, które trwają. Co tutaj przetrwa? Nic. Spójrzcie na wzgórze naprzeciwko, na te domy z basenami. Wczoraj rano jeszcze ich nie było, jutro już ich nie będzie. To są domy prefabrykowane, możesz je przenieść w błyskawicznym tempie, domy bez fundamentów, zbudowane na niczym; przypominają tych, którzy w nich mieszkają. Ci, którzy w nich mieszkają, nie wiedzą, skąd pochodzą, nie wiedzą, dokąd zmierzają; żyją w całkowitej niewiedzy. Ich dzieci studiują w najdroższych szkołach w Ameryce i są ignorantami: naprawdę była jakaś cywilizacja grecka, egipska, chińska, naprawdę był jakiś renesans, rewolucja francuska? Co do nich przemawia? Komfort? Czy komfort jest może kulturą? Nasz dramat, nasz schyłek na tym właśnie polega: nie mamy kultury. Każdy europejski wieśniak ma więcej kultury od nas; ma ją we krwi, podobnie jak poczucie piękna. My nie mamy nic pięknego; tylko to, co wygodne, co służy rozrywce.

– Nieprawda – mówi Shirley, zrywając się na swoje bardzo długie nogi. – My też mamy kulturę: kulturę wieżowców, jazzu, statków kosmicznych, samochodów z klimatyzacją, sprawnie działających telefonów. To także jest kulturą, odmienną, nową. Kto w gruncie rzeczy powiedział, że plastik jest mniej wart od starego kamienia? Z plastiku robi się mnóstwo rzeczy, które są piękne, ponieważ są użyteczne.

Również moje krzesło jest plastikowe, również szklanka, z której piję lodowatą coca-colę, również paczka moich papierosów, które dzięki temu nie wysychają. A mnie, myślę sobie, co to szkodzi? W gruncie rzeczy lubię tu przebywać, pośród wygod, ignorancja mąci moją pamięć, podczas gdy słońce zachodzi powoli nad basenem, nad samochodem, który zawiezie mnie do domu. Naprawdę była jakaś cywilizacja grecka, egipska, chińska, naprawdę był jakiś renesans, rewolucja francuska? Chce mi się spać. Przyjemnie jest tu być. Przyjemnie pozwolić się

zdeprawować. Żeby wrócić do Nowego Jorku, chcę polecieć tym samym samolotem, dzięki temu obejrzę ten sam film.

*

Wieczorem idę do Daisy, modnego klubu dyskoteki. I rzeczywiście, spotykam tam Sama Spiegła, Doris Day, Natalie Wood. Ktoś przedstawia mnie Natalie Wood, która przyszła tu z nowym narzeczoną, oczywiście bardzo bogatą, i rozmowa schodzi na komfort życia. A pani, co tym sądzi, miss Wood?

– Sądzę – odpowiada miss Wood, unosząc plastikową twarzyczkę, trzepocząc plastikowymi rzęsami – sądzę, że wszyscy wypominają nam komfort życia i wszyscy próbują go naśladować. Ja nic sobie nie wyrzucam. Niech pani posłucha: jakiś czas temu, z rana, po przebudzeniu, zaczęłam się zastanawiać, z czego miałabym być dumna, gdybym umarła przed wieczorem. Podarować komfort naszemu ciału, czyż nie oznacza to podarowania sobie rajów na ziemi?

ROZMOWA PRZY BASENIE

Los Angeles, wrzesień

Jestem w rozpacz, mój telewizor się zepsuł. Ten w sypialni. Teraz, żeby obejrzeć telewizję, muszę przejść do salonu i to jest bardzo niewygodne: z salonu do sypialni trzeba zrobić całe dwadzieścia trzy kroki, zupełny obłąd. A poza tym w salonie nie ma przyrządu, który pozwala zmieniać kanały, będąc daleko od odbiornika, siedząc sobie wygodnie. W sypialni przyrząd był, urządzenie z wieloma guziczkami, zmieniałam kanały, nie wstając z łóżka i tak dalej. W salonie muszę wstać z fotela, podejść do odbiornika, przekręcić gałkę, wrócić na fotel i jeśli nie podoba mi się również nowy program, wstać ponownie z fotela, podejść ponownie do odbiornika, przekręcić ponownie gałkę, wrócić ponownie na fotel. Trzydzieści razy, bo jest trzydzieści kanałów. A jest to, powtarzam, drobne nieszczęście w porównaniu z brakiem telewizora w sypialni, nie mogę żyć bez telewizji, nie mogę zasnąć. Czasami się zastanawiam, jak radziłam sobie w Mediolanie; w Mediolanie nie miałam telewizora. Mówiłam: nie muszę, nie chcę, to kwestia zasady; ale była ze mnie wariatka. Mówiłam tak nawet wtedy, kiedy przyjechałam do Nowego Jorku; ale byłam bezmyślna. Mówiłam nie, nie będę go włączać, wieczorem chcę czytać i pisać, a nie oglądać telewizję. Ale byłam niewdzięczna. Dzięki Bogu, stał się cud. Stało się, że przy poduszce zobaczyłam to urządzenie z wieloma guziczkami, nacisnęłam jeden z nich i ekran się zaświecił: wyglądało to jak prawdziwy cud. Czytałam *Krytykę czystego rozumu*, pamiętam, a na ekranie Jerry Lewis robił jakąś sztuczkę. Przestałam od razu czytać *Krytykę czystego rozumu*, zaczęłam oglądać sztuczkę. Po sztuczce był program muzyczny z Fitzgerald. Po Fitzgerald obejrzałam wiadomości telewizyjne. Po wiadomościach telewizyjnych obejrzałam film, potem kolejny film i potem jeszcze jeden film; w nocy telewizja nadaje tylko filmy, szczególnie horrory, nazywają się Filmy-Żeby-Nie-Zasnąć i nawet jeśli ktoś chce zasnąć, w końcu i tak nie śpi. Przynajmniej ja. To silniejsze ode mnie: hipnotyzuje mnie,

poskramia. Bardziej niż jakakolwiek miłość, idea, jakakolwiek pasja. Naprawdę nie mogę żyć bez telewizji. Życie z nią jest takie wygodne. No bo, przyznajmy, co jest złego w życiu pełnym wygod? Czy to zbrodnia, grzech śmiertelny? Gdzie jest napisane, że trzeba żyć za wszelką cenę po spartańsku? Och, zmęczyłam się tym chodzeniem w tę i z powrotem między fotelem a telewizorem. Tak się zmęczyłam, że nie mogłabym nawet przejść przez ulicę. Na szczęście Shirley wynajęła mi samochód. I pomyśleć, że chciałam go zwrócić; Boże, ale byłam niewdzięczna, ale byłam bezmyślna, ale była ze mnie wariatka. Taki piękny samochód, najwygodniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam. Nie hałasuje, nie trzęsie, ma automatyczną skrzynię biegów, żeby wrzucić bieg, nie trzeba się wcale trudzić, naciska się guzik. Kiedy włącza się klimatyzacja, rozlega się również muzyka, pod siedzeniem jest lodówka na coca-cole; nie chceć go prowadzić, to tak jak napluć na chleb. Rzeczywiście, zadzwoniłam do Duilia, mojego kolegi fotografa, i powiedziałam mu, żeby przyszedł i poprowadził. Powiedziałam mu również o telewizorze. Duilio odpowiedział:

– Co się z tobą dzieje, nie poznaję cię.

Leslie: para oczu jak u wiewiórki

Zjawił się Duilio i zaraz po jego przyjsciu wepchnęłam go do samochodu, kazałam się zawieźć do Warrena Beatty, który zaprosił mnie wiele wieczorów temu, ale nie poszłam, ponieważ wydawało mi się, że mieszka daleko. W rzeczywistości mieszka bardzo blisko, w odległości czterdziestu pięciu minut ode mnie, w Santa Monica, nad samym oceanem. Mieszka z Leslie Caron, która dwa lata temu porzuciła dla niego męża, Anglika Petera Halla, z zawodu reżysera. To właśnie Leslie otwiera nam drzwi i prowadzi nas nad basen, gdzie siedzi Warren razem z opiekunką do dzieci i dziećmi Leslie i Petera Halla. Leslie jest w kostiumie kąpielowym i również Warren jest w kostiumie kąpielowym, także dzieci są w kostiumach kąpielowych: w Kalifornii żyje się w kostiumie kąpielowym, przy basenie, i jeśli wybierasz się do kogoś, nie przyjmuje cię w salonie, przyjmuje cię przy basenie. Przy

basenie się je, pije, dyskutuje, wyprawia przyjęcia, basen jest symbolem rodziny, ogniska domowego, gościnności; dlatego pierwszą rzeczą, o jaką cię pytają, kiedy przychodzisz, jest: „Czy wzięłaś kostium kąpielowy?”. Jeśli nie wzięłaś, dają ci go, proponują niczym papierosa, kieliszek wina, i nic się nie poradzi, musisz się zgodzić, włożyć go, nawet jeśli ci się nie podoba, jeśli nie masz ochoty. Co wydaje mi się słuszne: z jakiego powodu, jeśli kogoś odwiedzasz, masz pozostawać w butach, pończochach, sukience i może jeszcze kapeluszu? To niewygodne, prawda? Tak jak nie mieć telewizora w pokoju, gdzie śpisz, albo mieć go bez urządzenia do zmieniania kanałów. Leslie się odrobinę postarzała: ma trzydzieści cztery lata i rozwód, skandal naznaczyły drobnymi zmarszczkami jej twarzyczkę, która wydaje się jeszcze smutniejsza z powodu jej pięknych oczu smutnej wiewiórki. Ale nogi jak u tancerki są jeszcze przepiękne, jej wdzięk niezmienny i dobrze znosi porównanie z pięknym chłopcem, dla którego straciła głowę: metr osiemdziesiąt wzrostu, lat dwadzieścia osiem, za sobą wiele złamanych serc, Joan Collins, Natalie Wood i tak dalej, nieprzewidywalny, chmurny, dziwaczny Warren nie jest z pewnością typem mężczyzny, od którego kobieta z dwójką dzieci może oczekiwać opieki, wsparcia. Już na samym początku zabiera mnie nad morze, wciąga w zawody surfowania, próbuje utopić w falach, które są najgroźniejszymi falami na świecie. Ale ona nie szuka opieki, wsparcia, chce tylko być przy nim i na pytanie: „Weźmiecie ślub, tak czy nie?” odpowiada:

– Wykluczone, małżeństwo to oszustwo, cierpienie, bez którego można się doskonale obejść. Nie jesteśmy zaręczeni, jesteśmy kochankami; to co innego. I jest czymś dużo bardziej godnym.

Chociaż jej o to nie pytam, mówi również mnie, teraz kiedy Warren zmęczył się już zabawą z falami i kiedy odprowadziłam go na basen:

– Oczywiście, potrzeba odwagi, żeby żyć tak jak ja żyję z Warrenem. Ale potrzeba by było jeszcze większej odwagi, żeby wziąć ślub, i lepiej niech zostanie tak jak jest, bez robienia planów, podpisywania weksli, bierzmy to, co życie nam niesie. Nawet za cenę cierpienia, bólu. Czyż istnieć, kochać nie oznacza ciągłego cierpienia, nieustannego bólu? Wolę to, tak czy owak, od nudy, bezpieczeństwa, spokoju. Potrafię przecież zadbać o siebie, nauczyłam się. Miałam czternaście, a potem piętnaście lat, kiedy była wojna w Paryżu, i osiemnaście, kiedy

przyjechałam do Hollywood, niewiele ponad dwadzieścia, kiedy rozwiodłam się z pierwszym mężem.

Co powiedziałaś, Warren? Tak, Warren. Nie, Warren. Naturalnie, Warren.

I Warren skacze do basenu, wychodzi, gra w piłkę, telefonuje, przygotowuje cocktail, postanawia, że pójdziemy coś zjeść, rozmyśla się, pójdziemy później Tak, Warren, nie, Warren, naturalnie, Warren... Cóż za kobietka z żelaza. Ma rację Shirley McLaine, kiedy mówi, że Leslie to kobietka z żelaza: kogoś takiego właśnie mu potrzeba. MacLaine jest siostrą Beatty'ego, starszą o trzy lata, jest do niego bardzo przywiązana, rozumie go jak nikt inny.

– Warren – mówi – ma ciało chłopca i pragnienia mężczyzny, inteligencję dziecka i ambicje dorosłego. Zawsze potrzebował kogoś, na kim mógłby się oprzeć, i w pewnym sensie zawsze mu matkowałam. I dlatego we wszystkich kobietach szuka kogoś, kto by nim pokierował, matki, to znaczy mnie.

– Leslie, podoba ci się tutaj? Podoba ci się ten kraj, ten system?

– Oczywiście i nie potrafię sobie wybaczyć, że stchórzyłam, uciekając do Europy, i zostałam tam na całe pięć lat. To była strata czasu. Wszystko, co złe, dzieje się zarówno tu, jak i w Europie, ale tutaj jest więcej dobra niż w Europie. Tutaj ludzie są młodzi, są silni i mają wielkie marzenia. My natomiast jesteśmy starzy, jesteśmy zmęczeni i mamy małe marzenia; to wielki błąd bać się marzeń. Amerykanów trzeba zaakceptować, naśladować. Mój dom jest w Londynie, ale za każdym razem, kiedy tu wracam, czuję się bardziej energiczna, bardziej żywa.

– Zaakceptować, Leslie, naśladować?

– Oczywiście. Mają wielki talent; talent pozwalający dobrze żyć, kochać, żywić szacunek dla bogactwa.

Następnie wstaje, z tajemniczym uśmiechem pyta, czy chcę obejrzeć dom. Na basenie Warren skacze do wody, gra w piłkę, telefonuje, przygotowuje cocktail, wstaje; przypomina mi Amerykę. Amerykę niespokojną, niedojrzałą, dziecinną, która nie wie, co począć ze swoją młodością, ma zbyt dużo energii wynikającej ze zbyt długiego odpoczynania, ze zbyt dużej ilości witamin, ze zbyt dużej ilości wygód, za chwilę mnie one poskromią, zdominują, pochłoną. Tak, Warren, nie, Warren, naturalnie, Warren...

Świat, gdzie żyje się po to, by wyeliminować wszelki wysiłek

Dom należy do Petera Lawforda, który wynajmuje go na lato przyjaciółom, kupił go od Louisa B. Mayera, hollywoodzkiego magnata. Lawford, jak powszechnie wiadomo, ożenił się z Pat Kennedy; Jack Kennedy przyjeżdżał tu często na weekendy albo latem na tydzień. Każdy pokój jest zresztą tak umeblowany, żeby go nie zapomnieć, wszędzie wiszą fotografie prezydenta: po cywilnemu, w kostiumie kąpielowym, samego, z Jacqueline, z Pat, z Bobem, z Tedem, z Peterem, z Frankiem Sinatrą, ze wszystkimi razem, nad morzem, na basenie, w salonie, w trakcie jedzenia, zabawy, spania, i jeszcze autografy, listy, zaproszenia na obiad, cenne pamiątki. W jednym z licznych salonów stoi nawet bujany fotel, który Pat trzymała dla niego, i nikt już więcej w tym fotelu nie usiadł, nikomu nie wolno w nim usiąść; kult osoby prezydenta zakrawa tutaj na histerię. W każdym razie nie to jest najważniejsze, najważniejszy jest dom, który urządził Louis Mayer, a po nim Peter Lawford. Dlaczego? Z powodu wulgarnego luksusu, ścian całych w lustrach, dywanów miękkich jak futra, narzut z norek na łóżkach? Nie, nie, co to ma do rzeczy. Powiedzmy, że z powodu łazienki. Ta wanna na przykład to właściwie nie wanna, lecz dystrybutorka szczęścia. Tak, kiedy jesteś smutny, zmęczony. Napelniasz ją wodą i woda, zamiast być stojącą, milczącą wodą, porusza się, śmieje, łaskocze cię i wkrótce przywraca ci uśmiech, chęć do życia. Albo ta biała deska to właściwie nie jest biała deska, ale urządzenie do wybudzania cię ze snu. Tak, kiedy jesteś leniwy, nie możesz się dobudzić. Kładziesz się na niej, naciskasz przycisk i ona wibruje, podnosi się, opuszcza, aż cię obudzi. Albo ta maska tlenowa to właściwie nie maska tlenowa, ale inhalator dobrych manier. Przydaje się, kiedy jesteś pijany, nerwowy. Idziesz do łazienki, nakładasz inhalator na nos i usta, naciskasz guzik, oddychasz i po pięciu minutach jest już dobrze; jesteś trzeźwiejszy niż przedtem. Te pigułki natomiast pozwalają uzyskać opaleniznę w ciągu godziny. Połykasz jedną, leżysz na słońcu przez godzinkę, nie więcej, i jesteś opalony jak po miesiącu nad morzem. A te brzoskwinie, te winogrona? Tak, zgoda, to są winogrona, to są brzoskwinie. Ale winogrona są specjalnymi winogronami, bez ani jednej pestki, i również brzoskwinie

są specjalnymi brzoskwiniami: bez puszku ani skórki. Wiem o tym, bo wczoraj odwiedziłam przyjaciela, włoskiego aktora Cesare Danovę, który dziesięć lat temu przyjechał tu z kontraktem MGM i został; tutaj urodziły mu się dzieci, tutaj się rozwiódł, tutaj ma dom, który należał kiedyś do Mischy Auera. Mieszka z dziećmi i ciotką: rzymską gospodynią domową, która nie nauczyła się angielskiego. Przy deserze, tych samych brzoskwiniami i tych samych winogronach, spytałam ją:

– Czy wróciłyby ciocia do Włoch?

– Mowy nie ma – odpowiedziała.

– A dlaczego?

Ciotka trochę pomyślała, niezdecydowana, czy powołać się na wieczne lato, elektryczną kuchenkę, supermarket, gdzie warzywa kupuje się oczyszczone, umyte i poddane sterylizacji, potem spojrzała na winogrona, brzoskwinie i powiedziała:

– Ponieważ winogrona są tu bez pestek, a brzoskwinie bez puszku i bez skórki. Czy to jasne? Nawet przy jedzeniu nie trzeba się trudzić.

Koncert z abażuru

Talent, talent pozwalający dobrze żyć. Nawet wtedy, kiedy nie jesteś Peterem Lawfordem, multimilionerem ani mężem multimilionerki. Następnego wieczoru ja, Leslie, Warren i Duilio idziemy na kolację do Salingera; pamiętacie Pierre'a Salingera, grubego i roześmianego dużego mężczyznę, który za prezydentury Johna Kennedy'ego był rzecznikiem Białego Domu, a w ubiegłym roku kandydował na urząd gubernatora Kalifornii? Cóż, mieszka w Hollywood wraz z nową żoną Nicole, była francuską dziennikarką. Moje spotkanie z Nicole jest wzruszające: widziałyśmy się ostatnim razem w październiku w Nowym Jorku, ona przeprowadzała wywiad z Salingerem, a ja z Bobem Kennedym. Uściskałyśmy się, mówiąc, jak różna jest ludzka wdzięczność: Salinger przegrał wybory i poślubił Nicole, Bob Kennedy je wygrał i wcale mnie nie poślubił. Czyż nie było słuszne, aby Bob poślubił mnie, nie zaś by Pierre poślubił Nicole? Ja przyniosłam Bobowi szczęście, ona zaś Salingerowi wręcz przeciwnie. Nicole jest tutaj od trzech miesięcy,

wyszła za Salingera w czerwcu zeszłego roku w Paryżu. Wygląda na zagubioną pośród nieustannych niespodzianek, nie przypomina niemal wcale wyrafinowanej dziewczyny, nieco cynicznej, z którą spotykałam się we Włoszech, w Paryżu.

– Chodzi o to – mówi mi – że nie potrafię się przyzwycząić, przechodzę od jednego zadziwienia do drugiego. – Następnie zapala dwie lampy przy kanapie i jednocześnie w salonie rozlega się koncert.

– O, Boże, Nicole! Co to jest?

– Trzecia symfonia Brahmsa.

– Zgoda, ale skąd dochodzi?

– Z abażurów. To jest nowy system stereofoniczny.

Na kolację Nicole upiekła indyka i Pierre musi go pokroić; nagle w kuchni rozlega się głośny hałas, jak gdyby wkroczyły do akcji piła elektryczna albo młot pneumatyczny: to Pierre kroi indyka elektrycznym nożem.

– Chcę mi się pić – dyszę.

Nicole podchodzi do czegoś w rodzaju elektrycznej maszyny liczącej, nalewa mi szklanek wody.

– O, Boże, Nicole! Co to jest?

– To urządzenie sprawiające, że woda jest smaczniejsza.

– Smaczniejsza?!

– Tak, bardziej słona, gazowana. Dzięki elektrycznemu procesowi woda robi się smaczniejsza.

Kolacja, dzięki Bogu, przebiega spokojnie. Rozmowa się toczy, jak często w Ameryce, na temat rodziny królewskiej: jednym słowem, Kennedych. Warren ma pomysł na film o Johnie Kennedym, nie jest jednak pewny, czy zrobić go właśnie o Johnie Kennedym, czy też o postaci zainspirowanej Johnem Kennedym, o Bobie Kennedym, Tedzie czy o samym Lindsayu. Salingerowi podoba się ten ostatni pomysł; film o Johnie Kennedym wydaje mu się czymś przedwczesnym, grozi popadnięciem w kult jego osoby, zapomnieniem, iż prezydent był człowiekiem. I jest oczywiste, że w fikcyjnej postaci wszyscy zobaczą Johna Kennedy'ego: budową twarzy Warren bardzo go przypomina, nie przypadkiem, kiedy powstał film na temat pewnego epizodu z młodości prezydenta, sam Kennedy poprosił, żeby zagrał go Warren Beatty. Film w końcu nie powstał z powodu odmowy Warrena, któremu nie

spodobał się scenariusz.

– Prawda, Warrenie?

– Jasne. Ale Mayer sądził, że odmówiłem z powodu antypatii do Kennedy'ego, więc pewnego dnia wezwał mnie do siebie i powiedział: „On jest naprawdę sympatyczny, dlaczego nie chcesz się przekonać? Wsiądź w samolot, polec do Waszyngtonu, spędzisz z nim weekend i zaraz zmienisz zdanie”. Pierre, co by się stało, gdybym naprawdę przyleciał?

– Wzięlibyśmy cię za wariata – odpowiada Salinger, a następnie wyjaśnia, że tamta historia najlepiej wyraża ducha Kalifornii: stanu, który najbardziej przypomina Amerykę sprzed stu lat, kiedy wszystko było możliwe, wszystko było dozwolone. Kalifornia to wciąż Far West, marzenie Amerykanów poszukujących złota, miejsce, gdzie ludzie nie przyjmują do wiadomości przeszkód ani praw, ostatnia granica Stanów Zjednoczonych. Trzeba sprawdzić, czy prezydent jest sympatyczny, czy nie? To bardzo proste: wsiada się w samolot i leci spędzić z nim weekend. Mayer naprawdę w to wierzył i wierzą w to wszyscy, którzy przybywają tu zbić majątek; nadzwyczajne jest, że zbijają go naprawdę, tutaj wystarczy mieć pomysł, żeby w ciągu kilku miesięcy zostać miliarderm. Jakiś czas temu najbogatszym mieszkańcem Los Angeles został ktoś, komu przyszło do głowy, by sprzedawać orzeszki w kinach, dziś jest nim ktoś, komu przyszedł do głowy pomysł założenia *drive in* do wyłącznej sprzedaży hamburgerów, mielonych kotletów. Zarobił już dwadzieścia milionów dolarów. Na kotletach mielonych. Tak, duch wielkich pionierów tam nie zaginął: emigrują do Kalifornii Murzyni, intelektualiści, poszukiwacze przygód, analfabeci, naukowcy, a im więcej przybywa ludzi, tym bardziej rosną potrzeby, im bardziej rosną potrzeby, tym więcej przybywa ludzi. Oto dlaczego Los Angeles rozwinęło się bez planu, bez centrum, bez logiki, bez historii, to wszystko prawda, ale jak zabawnie się tutaj żyje! Wszyscy czują się młodzi, silni, przemysł jest młody, silny, czyż kino, samoloty, kosmos to nie domena Kalifornii? Czyż nie tutaj buduje się statek kosmiczny Apollo, żeby polecieć na Księżyc? Tak, to prawda, że w Kalifornii wszystko zdarza się wcześniej niż gdzie indziej: kilka dni temu przyjechał Bill Benton, wydawca *Encyclopaedia Britannica*, i powiedział, że przybył tu, żeby się dowiedzieć, jaka będzie Ameryka w 1970 roku.

Jeśli chcesz, bracie, się wzbogacić, jeśli chcesz sobie podarować raj na ziemi, nie jedź do Nowego Jorku ani nigdzie indziej, jedź do Los Angeles. Jeśli tylko dążysz do władzy, tutaj wszystko ci wybaczą, nawet porażki.

– Ja – mówi Salinger – przegrałem wprawdzie wybory, ale dzień później miałem już dobrą posadę: zaproponowali mi ją ci sami ludzie, którzy sfinansowali moją kampanię. A wiecie, co to za dobra posada? Wiceprezesa United Airlines, linii lotniczych, i prezesa Fox Overseas Theatre Corporation. A wiecie, co robi ta ostatnia? Buduje kina w Ameryce Południowej, w Afryce, w Azji, w Europie (żeby wyświetlać tam filmy amerykańskie) i produkuje filmy nawet we współpracy ze Związkiem Radzieckim.

Obecnie Pierre Salinger przygotowuje *Borysa Godunowa* z rosyjską obsadą i Amerykaninem w roli głównej. Reżyseria Petera Ustinova, aranżacja muzyczna Leonarda Bernsteina. Przyjeżdżaj, bracie, do Kalifornii. Tutaj jest złoto.

Brakuje jej duchów

– Zgadzasz się, Nicole? – pytam moją przyjaciółkę, kiedy dwa dni później siedzimy przy basenie pewnego faceta, który ma sześćdziesiąt milionów dolarów, a cztery lata temu nie miał nawet centa. Basen jest ogromny, wygląda jak olimpijski, a poza tym jest cały z marmuru, otoczony trawnikiem, dalej widać kort, gdzie inni goście grają w tenisa, oraz park z rzadkimi okazami drzew. – Zgadzasz się, Nicole?

– Tak – odpowiada Nicole. – Nasza postawa jest niewłaściwa. Przybywamy tu z naszą historią, naszą kulturą, naszą ironią, zaczynamy patrzeć na nich z góry, kpić sobie z nich, wyrzucać im dobrobyt, a nie staramy się wcale ich zrozumieć, włączyć się w ich system. Pod pretekstem, że nie mają czego nas nauczyć. Nieprawda, mogą nas czegoś nauczyć, już nas czegoś nauczyli: mamy dzięki nim nóż elektryczny, kolorowe telewizory, winogrona bez pestek, unikanie wysiłku. I tak, mimo zadziwienia, niechęci, które odczuwam, pociąga mnie to.

– I niczego ci nie brakuje, Nicole?

Nicole unosi twarz pozbawioną makijażu, wbija wzrok w wielki basen, idealnie utrzymane trawniki, kort tenisowy, chłodne napoje z kruszonym lodem, który wysyła się pocztą w termoizolacyjnych torebkach, zanurza nogę w podgrzewanej wodzie, nikt nie będzie przecież pływać w wodzie niepodgrzewanej, nadstawia ucha, żeby wsłuchać się w ciszę. Ową ciszę jak z Księgi Rodzaju, od której ogarnia cię chłód, nawet gdy jest gorąco. Ową ciszę, jaka panuje na pustyni, w miejscach, gdzie nikt nie pojawił się przed tobą, i dlatego jesteś tak bardzo samotny.

– Brakuje mi, tak z pewnością, brakuje mi duchów.

Właśnie, Nicole. Duchów. Duchów tych, co wygładzili kamienie, po których chodzimy w naszych stronach. Duchów tych, co mają małe marzenia i żyją w domach, gdzie są myszy. W moim wiejskim domu, tam, po drugiej stronie świata, są duchy. Duch pana Carla i pani Amalii. O północy pan Carlo się budzi i zaczyna chodzić po dachu, pani Amalia się budzi i zaczyna chodzić w tę i z powrotem po ogrodzie. Mój ojciec mówi, że to nieprawda, że na dachu są myszy, a w ogrodzie koty. Ale ja wiem, że to prawda, że to są duchy. I czasami brakuje mi ich, brakuje...

Nic, co można by pamiętać, nic, z powodu czego można by cierpieć

– A tobie, Jean, czego brakuje, a tobie, Dusty?

Jean Negulesco i jego żona Dusty wrócili miesiąc temu do Beverly Hills po dwóch latach spędzonych w Hiszpanii. W Hiszpanii również mają dom, w Madrycie: na calle de don Ramón de la Cruz. Teraz go zamknęli i są w Beverly Hills, przy tym co zwykle basenie, w kostiumach kąpielowych. Ja i Duilio również mamy na sobie kostiumy kąpielowe; już się nauczyliśmy, że za każdym razem, kiedy się kogoś odwiedza, zabiera się ze sobą kostium kąpielowy, czepek, ręcznik, krem ochronny. Zaraz po przyjsciu trzeba się rozebrać.

– A tobie, Jean, czego brakuje?

– Brakuje mi tamtejszej pamięci, tamtejszego cierpienia, tamtejszej godności. Tutaj nie ma nic, co można by pamiętać, nic, z powodu czego

można by cierpieć, a zatem nie ma również godności potrzebnej, żeby pamiętać, cierpieć. A poza tym brakuje mi ludzi starych, bladych, brzydkich. Tutaj wszyscy są młodzi, piękni, opaleni. Tutaj bycie starym oznacza winę, wstyd. Tutaj nawet starzy są młodzi; nudzi mnie to. I jeszcze brakuje mi niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa związanego z jazdą dylizanssem. Cóż to za przyjemność polecieć do Nowego Jorku samolotem odrzutowym, powtarzać, że trzeba iść z duchem czasu, czasu, w którym lata się na Księżyc i w wieku dziesięciu lat prowadzi samochód?

– A tobie, Dusty, czego brakuje?

– Mnie – mówi Dusty – brakuje poklepywania po tyłku. W Madrycie nie ma takiego przyjęcia, żeby ktoś nie poklepał mnie po tyłku; wiesz, to taki komplement. Tutaj natomiast wszyscy są uprzejmi, dobrze wychowani i nikt cię nie dotyka, nie wiem, jak Frank Lloyd Wright mógł powiedzieć: gdyby cały kraj przechylił się na jedną stronę, Los Angeles byłoby miejscem, gdzie wszystko, co wolne od hamulców moralnych, pospadałoby.

Sama nie wiem. Tutaj ludzie są tacy czyści, tacy zdrowi, tacy przyzwoici. Ich dusza jest zdezynfekowana, podobnie jak ich ciało. Nigdy nie czyta się o jakimś napadzie, drobnej kradzieży, domy mają okna wielkie na całą ścianę, zawsze otwarte drzwi i nikt nie kradnie; nie rozumiem, nie wiem. Kiedy żonaty mężczyzna albo zamężna kobieta zakochują się w kimś innym, występują od razu o rozwód; nie rozumiem, nie wiem. Jeśli o jakimś facecie było głośno w Europie z powodu jego ekscesów, tutaj siedzi on cicho; nie rozumiem, nie wiem. Któregoś dnia byłam u Johna Barrymore'a juniora, starego znajomego z rzymskich czasów, i wyglądał jak święty leżący na piasku i opalający się na plaży w Malibu. Poruszając łagodnie głową o szpakowatych włosach (są naprawdę szpakowate, a tu i ówdzie całkiem siwe), mówił mi o Buddzie, z którym pół godziny wcześniej odbył rozmowę. Rozprawiając o Buddzie, poczęstował mnie winem i papierosami, z których skorzystałam tylko ja; on nie pije i nie pali. W rogu stała waza na zupełną wypełniona piaskiem i ziemią, były w niej jakieś grzyby, z których naukowcy z UCLA otrzymują nie wiadomo jaki narkotyk, ale grzyby były ususzone. Nie rozumiem, nie wiem. Ja natomiast wiem tylko, że dzisiaj jestem szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa: telewizor

w sypialni został naprawiony. Ten z tym czymś do zmieniania kanałów bez wstawania. To takie cudowne, takie wygodne oglądać telewizję w łóżku. Robią tak wszyscy i dlatego Los Angeles jest miastem o najniższym przyroście naturalnym w Ameryce.

RÓWNIEŻ GWIAZDY MAJĄ MATKI

Los Angeles, wrzesień

Na jedno nie mogę narzekać: na to, jak mnie tu traktują. Traktują mnie naprawdę dobrze. Dziś rano wpuścili mnie nawet na plan filmowy króla i królowej, żebym ich zobaczyła i uścisnęła im dłonie; podobny zaszczyt nigdy nikogo nie spotkał, odkąd zaczęła się praca nad ich ostatnim filmem pod tytułem *Kto się boi Virginii Woolf?*, według sztuki Albeego. Król i królowa, nie ma potrzeby wyjaśniać, to Elżbieta i Ryszard, zwani niekiedy Elizabeth Taylor i Richard Burton, monarchowie absolutni tego stanu, odkąd dobiegło końca ich wygnanie. Pamiętacie pewnie, że kiedy byli kochankami, lud zmusił ich, by udali się na wygnanie, więc król i królowa zmuszeni byli wędrować od kraju do kraju, od miasta do miasta, Rzymu, Londynu, Paryża, Nowego Jorku, wożąc ze sobą swój grzech, swoje walizy i swoją wielką miłość; na koniec wszakże miłość zatriumfowała, król i królowa pojechali do Meksyku, zostali mężem i żoną i teraz traktowani są jak należy. Ich willa ma aż trzy baseny, na co im to, Bóg raczy wiedzieć, a policjant uzbrojony w spluwę przypominającą bazookę pilnuje wejścia na plan, gdzie widnieje napis: „Strictly forbidden”, surowo wzbronione. Cóż za przeżycie zostać tam wpuszczoną. Powtarzam: cóż za zaszczyt. Kiedy policjant opuścił bazookę, mówiąc: droga wolna, byłam naprawdę przejęta, drżały pode mną nogi, szumiało mi w uszach; są ludzie, którzy zapłaciliby każdą cenę, żeby zobaczyć ten plan filmowy, opowiem wam zaraz, co tam było. No cóż, przede wszystkim mnóstwo lamp z mnóstwem kabli oraz innych urządzeń, kamera, poza tym coś w rodzaju mieszkania, które miało być mieszkaniem Marthy i George’a, czyli Elżbiety i Ryszarda, bohaterów filmu, byli jeszcze elektrycy, technicy dźwięku, jednym słowem, ekipa, był też reżyser, młodzieniec nazywający się Mike Nichols, poza tym panowała wielka cisza i w tej ciszy usłyszałam dźwięk kroków, królewskich kroków, nadszedł Ryszard, zamyślony. Kiedy tylko nadszedł, Nichols powiedział mi:

– Ryszardzie, przedstawiam ci Oriane.

I wówczas Ryszard przestał być zamyślony, wyciągnął do mnie rękę, na której widok ogarnęła mnie niepewność, bo nie wiedziałam, czy mam ją pocałować, czy uścisnąć i już. Uścisnęłam mu ją i już, a Ryszard odezwał się do mnie łaskawie:

– Hej, Oriano.

Na co odpowiedziałam z wdzięcznością:

– Hej, Ryszardzie.

Nie dodałam nic więcej, bo inaczej musielibyśmy zacząć rozmawiać, a w trakcie rozmowy wyszłoby na jaw, że jestem Włoszką, a król nienawidzi Włochów; co więcej, gardzi nimi. Powiada, że Włosi oskarżają go ciągle o to, że jest pijakiem, a nie piszą, że jest zdolnym pisarzem; czego dowodzi opowiadanie opublikowane na łamach „Vogue”, w którym mowa o pierwszym spotkaniu z Elżbietą na basenie w Beverly Hills, już dziesięć lat temu. Istotnie, opowiadanie jest znakomite, przeczytałam je i doszłam do wniosku, że Hemingway miał rację, miał rację również Faulkner, twierdząc, że ktoś może być tęgim pijakiem, a zarazem dobrym pisarzem, lecz nie powiedziałam tego królowi z wyżej wymienionych powodów i ograniczyłam się do przyjrzenia mu się: żeby zobaczyć, co ma w sobie poza intelektem. Cóż, nie jest przystojny. Ale jest duży. Ma duży obwód w pasie i duży tors, i duży bawoli kark, i na dużym bawolim karku ma bardzo dużą głowę z dużymi policzkami szorstkimi od trądziku, na który cierpiał jako nastolatek i który pozostawił mu mnóstwo blizn, gdzie gromadzi się make up. Ramiona są małe, krótkie, jak u Marka Antoniusza, i dlatego zagrał Marka Antoniusza w *Kleopatrze* i w rezultacie spotkał Elżbietę.

Sekret szczęśliwego związku króla i królowej

Tak właśnie pomyślałam: że na skutek krótkich ramion Ryszard spotkał Elżbietę, i wtedy zapadła wielka cisza, w ciszy rozległ się stukot obcasów, królewskich obcasów, i nadeszła królowa: ucharakteryzowana na starą kobietę i ze szpakowatymi włosami. Przeszła przede mną, jak gdybym była z celofanu, to znaczy przezroczysta, nie odpowiedziała nawet na

mój uśmiech, ale król powiedział jej:

– Przynajmniej się zatrzymaj, przynajmniej się przywitaj, do licha. – I wtedy ona się zatrzymała. Ledwo się zatrzymała, powiedział: – Elżbieto, przedstawiam ci Oriane.

I ona odpowiedziała na mój uśmiech, trochę niechętnie, jak mi się wydawało, potem uniosła stopę: po to, jak przypuszczam, żebym ją ucałowała. Nie ucałowałam jej i wydawało mi się, że poczuła się urażona, ponieważ z miną, jakby robiła mi wielką łaskę, szepnęła:

– Hej, Oriano.

A ja odpowiedziałam:

– Hej, Elżbieto.

I nic więcej; w dalszym ciągu dlatego, żeby uniknąć przyznania się do bycia Włoszką. Również Elżbieta nienawidzi Włochów, co więcej, gardzi nimi. Powiada, że Włosi przypisali jej poważne kłamstwo: miała jakoby stwierdzić: „Nie jest prawdą, że Ryszard pozostanie moim mężem na zawsze, bardzo się kłócimy i może się zdarzyć, że pewnego dnia wezmę sobie na stare lata szóstego męża”. Skoro nasza rozmowa dobiegła końca, zaczęłam przyglądać się królowej, która przybrała na wadze. Mike Nichols zażądał, żeby przytyła osiem kilogramów do roli Marthy, kobiety dojrzałej i nieco zaniedbanej, a królowa przytyła nawet dziesięć. Ma wręcz gruby podbródek, bo Nichols chciał, żeby był podwójny, i rzeczywiście jest taki; nie szkodzi to jednak wcale jej twarzy, która, jeśli chodzi o twarze, jest najpiękniejszą, jaką można sobie wyobrazić. Pozostaje piękna nawet mimo zmarszczek, szpakowatych włosów, chociaż co do tych ostatnich trzeba przyznać, że Mike Nichols zadowoliliby się peruką; ona jednak chciała odbarwić sobie włosy. Dowodzi to wielkiej odwagi i sprawia, że wybaczają jej wszelkie słabości. Do jej słabości zalicza się również skłonność do krzyku: „Ryyyszard! Gdzie jest Ryyyszard!”, krzyczy za każdym razem, kiedy król się oddala. Krzyczy aż do chwili, kiedy on wraca i pyta: „Co się dzieje, kochanie, co się dzieje?”. Królowa ma ostry głos, wydobywający się z brzucha. Król natomiast ma głos niski, wydobywający się z gardła. Wszyscy mówią, że z tego powodu królowa jest prawdziwą kobietą, a król prawdziwym mężczyzną, z tego powodu tak się kochają, są razem nawet na planie filmowym, kręcą razem arcydzieła, takie jak *Kleopatra* czy *Brodzic*.

Star system jest zawsze modny

Kilka dni temu poszłam zobaczyć ich ostatni film, z powodu którego cała Ameryka oszalała: *Brodziec (The Sandpiper)*. Prawdziwe arcydzieło, zaraz wam je opowiem. Jest tam Elżbieta, która maluje ptaki, a szczególnie ptaki zwane sandpipers, gatunek żyjący na plażach Pacyfiku. Malując sandpipers, Elżbieta mieszka nad brzegiem Pacyfiku jak bitnicy, razem z nieślubnym synem, którego miała z pewnym mężczyzną, a ponieważ go nie kochała, uczciwie nie zgodziła się na ślub. Jest jeszcze Ryszard, anglikański ksiądz, z tych, co mają żonę, który mieszka razem z żoną (Eva Marie Saint) i dwójką ślubnych dzieci. Poza tym jest kierownikiem szkoły z kaplicą, gdzie wygłasza kazania. Elżbieta nie chce, żeby jej syn uczęszczał do szkoły z kaplicą przeznaczoną na kazania, ale władze miejskie ją zmuszają, i tak pewnego dnia Elżbieta poznaje Ryszarda, który od razu traci spokój, ponieważ w tym filmie Elżbieta jest przepiękna: chuda i opalona, z czarnymi włosami rozpuszczonymi na ramiona. Między tym dwojgiem natychmiast wybucha wielka kłótnia na temat wychowywania dzieci i tak dalej, aż Elżbieta wychodzi, trzaskając drzwiami i mówiąc, że moralność nie istnieje, nie ma czegoś takiego. Ryszard robi się jeszcze bardziej niespokojny i postanawia do niej pójść; pod pretekstem porozmawiania o synu, naturalnie. Wchodzi, nie pukając, i zastaje Elżbietę pozującą nago pewnemu rzeźbiarzowi: rzeźbiarz wykonuje posąg z drewna. Elżbieta natychmiast się zakrywa w najintymniejszych miejscach, lecz rzeźbiarz nie zakrywa posągu z drewna, więc Ryszard i tak spostrzega, jaka jest piękna jego Elżbieta również w najintymniejszych miejscach. Zapanowuje atmosfera pełna zakłopotania i rzeźbiarz wychodzi; zostawiając ich samych. Elżbieta się ubiera za parawanem. Kiedy tylko się ubrała, do pokoju wpada sandpiper ze złamanym skrzydłem. Elżbieta łapie go i unieruchamia mu skrzydło za pomocą wykałaczki i plastra. Wzrusza to ogromnie Ryszarda, który pyta ją: „Ale dlaczego malujesz tylko ptaki?” i proponuje jej wykonanie szkiców witraży do kaplicy. Elżbieta najpierw usiłuje się wykręcić, ale potem się zgadza i od tej chwili zaczyna się ich wielka miłość. Spotykają się bez przerwy, żeby obejrzeć szkice, i pewnego wieczora idą do łóżka przy bużującym ogniu,

bo jej jest ciągle zimno i powtarza: „Rozgrzej mnie, rozgrzej”. Ryszard traci głowę. Traci ją do tego stopnia, że zamiast pojechać do San Francisco na konferencję anglikańskich księży, kłamie żonie i idzie do Elżbiety, która tymczasem przestała malować ptaki i maluje Ryszarda. Spędzają razem trzy dni i trzeciego dnia sandpiper zdrowieje i ulatuje w lazurowe niebo, a Elżbieta i Ryszard odprowadzają go wzrokiem, szczęśliwi. Są tak szczęśliwi, że myślimy, iż Ryszard rozwiedzie się z żoną, aby poślubić Elżbietę, lecz niestety interweniuje ojciec syna Elżbiety i wybucha skandal. Eva Marie Saint krzyczy do Ryszarda: „Nienawidzę cię, nienawidzę!”, a komisja do spraw witraży wycofuje się z zamiaru ich zainstalowania. Wtedy Ryszard ubiera się po raz ostatni jako ksiądz, wchodzi na ambonę w kaplicy pozbawionej witraży i wygłasza kazanie na temat grzechu; w obecności żony, ubranej na białą, i Elżbiety, ubranej na żółto. Następnie pakuje walizki, wrzuca je do swojego samochodu i wyrusza wreszcie do San Francisco. Publiczność płacze, ja nie płakałam, tylko poprosiłam o komentarz Vincente Minellego, reżysera *Brodźca*. Albo raczej poszłam na przyjęcie, które wyprawili Vincente Minelli i jego żona Denise, wypatrzyłam tam Vincente Minellego i poprosiłam go o komentarz na temat filmu. Przyjęcie odbywało się w Bistro, restauracji modnej, odkąd Sinatra wyprawiał tam kolację, obrzucił obelgami swoich gości, a nazajutrz wysłał każdemu z nich telegram, w którym można było przeczytać: „Powtarzam i potwierdzam wszystko, co powiedziałem. Sinatra”. To było przyjęcie, na które należało włożyć długą suknię i biżuterię, żeby zrobić przyjemność Denise mającej obsesję na punkcie biżuterii, i jak często się to zdarza w podobnych okolicznościach, było śmiertelnie nudne. Odeszłam więc na stronę z Vincente i powiedziałam mu bez ogródek, co sędzę o filmie. Vincente jest spokojnym, uprzejmym mężczyzną. Wyciągnął od razu papierośnicę z ciężkiego złota wysadzaną szafirami i otworzył ją; wewnątrz było wyryte: „Vincente, jeśli było w tym coś dobrego, to był to twój urok. Elżbieta i Ryszard”.

– Rozumiem – przytaknęłam – ale nie miał pan nawet chwili wahania, zanim się zgodził kręcić ten film?

– Och, nie! – wykrzykuje Vincente.

– Jak to nie?!

– Nie. Żaden reżyser by się nie wahał przy Elżbiecie i Ryszardzie.

Wystarczą, żeby film odniósł sukces.

– Nawet z takim scenariuszem?

– To oni wybrali scenariusz, co więcej, kupili go. Im wydał się cudowny.

– A reżyserowi?

– Kino nie jest tutaj sztuką, jest komercją, i bardziej niż o scenariusz, reżyser troszczy się o gwiazdy, które w nim zagrają. Star system trzyma się tutaj jeszcze mocno i zważywszy na to, że film kosztuje zawsze od czterech do ośmiu miliardów lirów, możemy się tylko z tego cieszyć.

Mój Boże, czyż to nie straszne, że najbogatszy region na Ziemi, najwygodniejszy, najbardziej demokratyczny, nie potrafił zrezygnować z monarchów, z dyktatorów, z mitów, a nie mając takiej tradycji, musi ich wymyślać, hodować, żywić i eksportować?

Wszyscy równi w strachu

– Tak – mówi Mike Nichols, błyskotliwy młodzieniec, produkt Broadwayu, debiutujący filmem z Elżbietą i Ryszardem. – Tak, i w tym tkwi pani błąd: postrzega pani Los Angeles jedynie w świetle wygody, dobrobytu. Dominującą rzeczywistością jest tutaj strach. Jak pani sądzi, dlaczego wszyscy są wobec pani uprzejmi, mili? Bo się boją; im mniej znają przybywającego tu cudzoziemca, tym bardziej się boją. To samo przydarzyło się mnie: nigdzie nie dostałem tak wielu zaproszeń, uśmiechów, jak w tym mieście. Nie wiedzą nawet, kim jestem, Broadway jest tak daleko, może jestem kimś ważnym? A gdybym się tak nim stał? Lepiej się bać, obchodzić się ze mną jak z jajkiem. Proszę posłuchać: jedyni, którzy się nie boją, to Elżbieta i Ryszard. Nie ma nikogo w Ameryce, ani jednego polityka, ani jednego generała, ani jednego miliardera, który byłby potężniejszy od Elżbiety i Ryszarda. Oni nie są królem i królową Hollywood, są królem i królową Ameryki; dziwię się, że wiedząc o tym, nie są o wiele bardziej okrutni. Dziwię się, że są tak punktualni, że traktują tak poważnie własną pracę, że nie pozwalają sobie na nieprzychodzenie, kaprysy, jak robią to Marlon Brando i Marilyn Monroe. I tak wszystko im wolno: być grubym,

niegrzecznym, najeść się cebuli, a potem pójść do prezydenta. Mają w rękach władzę, sukces przynoszący miliard zysków za jeden film. A sukces, powiedziała Elżbieta, jest cudownym dezodorantem.

Och, gdyby chociaż źle mnie tutaj traktowali. Gdybym mogła z lekkim sercem ich oskarżyć, obrzucić wyzwiskami.

Kraj sportowców, nie kochanków

Ależ skąd. Wystarczy, że zatelefonuję, a już słyszę: niech pani przyjdzie, przyjdź, weź ze sobą kostium kąpielowy, i jestem załatwiona. Dziś rano zatelefonowałam do Lauren Bacall, byłej królowej, która dopiero co powróciła na hollywoodzki dwór. Godzinę później już byłam na plaży w Malibu i wysłuchiwałam opowieści o jej zasadniczym problemie: wszyscy twierdzą, że ma czterdzieści siedem lat, podczas gdy ma tylko czterdzieści.

– Kłopot polega na tym, że wyglądasz na dwadzieścia pięć, kiedy naprawdę masz tylko osiemnaście, a dwadzieścia dwa lata później ludzie dodają dwadzieścia dwa do dwudziestu pięciu i wyciągają stąd wniosek, że masz czterdzieści siedem. Ja mam czterdzieści i niech to szlag, ani jednego roku więcej.

Była królowa miała na sobie kostium kąpielowy: aby się opalać i aby mnie przekonać, że „zgoda, niektóre mięśnie wiotczeją, ale mam czterdzieści lat i ani jednego roku więcej”. Natychmiast jej uwierzyłam, ponieważ w kostiumie kąpielowym była królowa jest przepiękną kobietą, i od razu zaczęłyśmy zgłębiać kolejny zasadniczy problem jej życia, a mianowicie to, że jej wiek nie pasuje do dzisiejszego Hollywood.

– Byłam zbyt młoda, by należeć do Hollywood George’a Cukora i Johna Hustona, a jestem zbyt stara, żeby należeć do Hollywood Mike’a Nicholasa, Kubricka, Boba Mulligana, Frankenheimera, jednym słowem, facetów z *nouvelle vague*. Faktem jest, że w dalszym ciągu utożsamiają mnie, niech to szlag, z pokoleniem Bogarta, Sinatry, kimś, kto mógł albo mógłby być moimi ojcem, chyba dlatego, że zamiast tu zostać, wyjechałam; po śmierci Bogeya sprzedałam willę w Brentwood i zaczęłam podróżować po Europie. Londyn, Paryż, Rzym, Madryt.

Bardzo cierpiałam, niech to szlag. Czy to nie okropne, niech to szlag, że pięćdziesięciosiedmioletni mężczyzna umiera na raka? Byłam taka szczęśliwa z Bogeyem, przeżyłam piętnaście doskonale szczęśliwych lat. Potem wylądowałam w Nowym Jorku, mieście, gdzie się urodziłam. I tam spotkałam Jasona Robardsa.

Robards, jak wszyscy wiedzą, jest nowym mężem byłej królowej, która jest wdową po Humphreyu Bogarcie. Rozpoczęła się długa dyskusja o podobieństwie łączącym Jasona Robardsa z Humphreyem Bogartem i o mało się nie pobiłyśmy. Ona twierdziła, że ci dwaj wcale nie są do siebie podobni; inna budowa twarzy, inny charakter, niechby już świat przestał mówić, że Bacall wyszła za Robardsa, bo przypomina Bogarta. Robards jest bardzo nieśmiały, liberalny, nowoczesny; Bogey był twardy, purytański, staroświecki. Miał klapki na oczach, nie umiał iść na kompromis, wiesz, dlaczego za niego wyszłam? Bo byłam niewinna, jednym słowem, nie miałam przed nim innych miłości. Rewelacja ta zrobiła na mnie wielkie wrażenie, ponieważ już po raz drugi w ciągu trzech miesięcy gwiazda powiadamia mnie, że była dziewczycą, kiedy wychodziła za męża, i tak dalej, i tak dalej, amen. Po raz pierwszy powiedziała mi o tym Ava Gardner, wspominając o swoim małżeństwie z Mickeyem Rooneyem; nadzwyczajna jest ta nieskalana przeszłość, którą mają do zaoferowania kobiety fatalne w Ameryce. Powiedziałam to również byłej królowej, a ona mi odpowiedziała, że w dziedzinie seksu Amerykanie są o wiele bardziej przyzwoici niż Europejczycy; w Hollywood nikt nie zachowuje się tak swobodnie, to znaczy nie jest świntuchem, jak w Europie. W Hollywood obyczaje są surowe, a kiedy ogarnia cię niepokój, zaczynasz pływać, grać w golfa, jeździć konno i się uspokajasz. To jest kraj sportowców, nie kochanków. Była królowa wydaje się przekonana o własnej racji. Żeby uwiarygodnić swoją tezę, przedstawiła mi córkę Leslie, która ma trzynaście lat i urodziła się w trakcie małżeństwa z Bogartem, pokazała mi, jaka jest wysoka i ładna, zapowiedziała, że w przyszłym roku zamknie ją w college'u. Potem powiedziała mi, że bardzo się cieszy, iż ma tylko jedną córkę, pozostałe dzieci to, dzięki Bogu, synowie, będą żyli, jak im się podoba. Starszy syn nazywa się Stephen, ma szesnaście lat i on także urodził się w trakcie małżeństwa z Bogartem, młodszy nazywa się Sam, ma trzy i pół roku i urodził się w trakcie małżeństwa z Robardsem.

Rozmawiając o nich i o Hollywood (była królowa kocha Hollywood w tej samej mierze, w jakiej nienawidzi Nowego Jorku, i nie zgadza się zupełnie z facetami takimi jak Mike Nichols), nie spostrzegłyśmy, że zrobiła się trzecia po południu. Słońce paliło, czułam się jakoś nieswojo, lekko znudzona, ogarnęła mnie wielka ochota, by wrócić do Nowego Jorku. Może to i zdrowe spędzać życie w słońcu, w wodzie, w kostiumie kąpielowym, wśród ładnych, miłych, szczęśliwych ludzi, którzy się ciebie boją; w końcu jednak zaczynasz tęsknić za piekłem. Poza wszystkim, w piekle nie wysyłasz kwiatów. Tutaj, kiedy tylko się do ciebie uśmiechną, zaraz musisz wysłać bukiet kwiatów. Taka jest zasada. Ulubiony kwiat to chryzantema. Jedna chryzantema kosztuje pięć dolarów. Do dziś wydałam dwieście pięćdziesiąt dolarów na kwiaty. A muszę jeszcze się spotkać z matkami.

Murzyńskie matki nie składają podań

Stowarzyszenie Matek Aktorów zebrało się specjalnie dla mnie: spotkanie odbędzie się w domu aktora George'a Hamiltona, którego mama, Anne Spaulding, bohaterko wszystko zorganizowała. Jeśli jest coś na świecie, czego Anne nie znosi, to Stowarzyszenia Matek Aktorów; ale Stowarzyszenie jest bardzo potężne i gdyby się domyśliło, co Anne o nim sądzi, mogłoby zaszkodzić George'owi.

Oto więc i one, przychodzą w tych swoich białych, różowych, niebieskich, cytrynowych sukienkach, w tych swoich fioletowych kapeluszach, z tymi swoimi przypudrowanymi zmarszczkami; widzieliście je na via Veneto, na Champs-Élysées, przed Buckingham Palace, kiedy przyjeżdżają latem do Europy, żeby wydać pieniądze męża zmarłego na atak serca. Straszne. Jest matka Ginger Rogers i matka Tyrone'a Powera, matka Freda MacMurraya i matka Jacka Lemmona, matka Tony'ego Curtisa i matka Doris Day. Na zgromadzeniach ogólnych może ich być nawet setka; pod warunkiem, że przyjdzie również matka Gary'ego Coopera, która ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Co robią? Cóż, dyskutują. O czym? Cóż, o swoich dzieciach. A po co? Żeby je bronić. Przed czym? Cóż, przed producentami, przed

dziennikarzami. Ale jak? Przy pomocy adwokatów. Nie śmieście się, proszę. Spójrzcie, jaka jest siwa Anne Spaulding, z jaką troską częstuje niskokalorycznymi ciasteczkami, kawą z cukrem w płynie, wystarczy kilka kropel i nie tuczy. Nie śmieście się przede wszystkim z tej tłuściochy, która wbija we mnie zły wzrok i mówi:

– Jesteśmy matkami najślawniejszych ludzi na świecie, najbardziej fascynujących na świecie. – To jest przewodnicząca, Maria Haver, matka June Haver. Tak, tej, która została zakonnicą, a potem zrzuciła habit i wyszła za MacMurraya. – Jesteśmy bardzo ekskluzywnym stowarzyszeniem: żadna matka nie zostanie przyjęta, jeśli jej syn albo córka nie nakręcili przynajmniej trzech filmów, które odniosły sukces.

– Jesteśmy bardzo surowe, nie tolerujemy skandali, nagannych obyczajów. Podania leżą czasami miesiącami w oczekiwaniu na pozytywną odpowiedź.

– No jak, nie ma pani do nas żadnych pytań?

Otrząsam się, pytam z szacunkiem w głosie:

– Czy macie murzyńskie matki?

– Murzyńskie?! Kto ma murzyńską matkę?

– Sidney Poitier urodził się z murzyńskiej matki. Sammy Davis junior urodził się z murzyńskiej matki. Dorothy Dandridge urodziła się z murzyńskiej matki...

– Żadna z nich nigdy nie złożyła podania z prośbą o przyjęcie – odpowiada purpurowa na twarzy Maria Haver.

Anne Spaulding natomiast jest bardzo blada. Jutro będę musiała jej wysłać dwa tuziny chryzantem.

Bilet powrotny do piekła

Postanowiłam wyjechać, wrócić do Nowego Jorku. Może jestem niewdzięczna, może jestem wariatką, pożałuję tego, ale chcę wrócić do piekła.

– A ty, George?

Siedząc na brzegu basenu ozdobionego imitacjami rzymskich posągów, tyłem do matek, które oddalają się rozzłoszczone przy

akompaniamencie włączanych silników rolls-royce'ów, chevroletów, cadillaców, ale ta Włoszka bezczelna, ale źle wychowana, George Hamilton przytakuje:

– Masz rację.

George jest miłym chłopcem, chociaż na oko wydaje się playboyem, i nie jest wcale głupi, mimo że pływa pośród imitacji rzymskich posągów, mieszka w tym domu pełnym luksusowych potworności, kandelabrow, aksamitnych obić, zasłon z satyny; dom należał kiedyś do Douglasa Fairbanka, który zbudował go dla Glorii Swanson. Miliardy, które mu przypisują i które dla reklamy przypisał na początku sam sobie, nigdy nie istniały, dużo się napracował, żeby znaleźć się tu, gdzie jest, a poza tym nie ma złego gustu: znalazłszy się między Scyllą a Charybdą podczas kręcenia w Meksyku filmu *Viva Maria*, to znaczy rozdarty między zainteresowaniem, jakie okazywały mu Brigitte Bardot i Jeanne Moreau, wybrał Moreau. Co więcej, o ile zrozumiałam, zakochał się w niej; wygląda na lekko przygnębionego, ponieważ nie dała więcej znaku życia, nie napisała do niego nawet kartki.

– Masz rację – powtarza. – Ja też wyjadę, dłużej tu nie wytrzymam. Za każdym razem, kiedy wracam, czuję, że jestem w pułapce. Wiem, Hollywood dało mi wszystko, nawet za dużo, ale nie można żyć wiecznie w nadmiarze, tak jak tu się robi. Oglupia cię, ogranicza, mam wrażenie, że jeśli stąd nie wyjadę, nigdy nie stanę się prawdziwym mężczyzną, nigdy nie zasłużę na szacunek. Ludzie nie szanują naszego sposobu życia, nie poważają dandysów, którzy giną elegancko w swoich sportowych samochodach o szóstej rano. Niech królowie i królowe zabierają sobie wszystkie baseny, także mój; ja pakuję manatki. Poprosiłem o możliwość występu w Wietnamie, żeby zobaczyć na własne oczy, co się tam dzieje. Poszedłem do rektora Harvardu i poprosiłem go, żeby mnie przyjął przynajmniej na cztery miesiące na wykłady z historii, ekonomii, filozofii: jako studenta. Powiedział, że mnie przyjmie, i to pozwala mi się uwolnić od wstydu.

– Wstydu z jakiego powodu?

– Z powodu Stowarzyszenia Matek Aktorów. Wszystkich tych rzeczy, które widziałaś i które ci się nie spodobały; studiów filmowych, gdzie nie można wejść, konieczności rewanżu za każdą uprzejmość w postaci chryzantem, telefonu nad wucetem.

– Ależ nie, co ty mówisz, skądże...

A tymczasem szperam w torebce, szukam mojego biletu lotniczego, aby się upewnić, że go nie zgubiłam.

KSIEŻNICZKI NA WYBIEGU

Nowy Jork, wrzesień

Wróciłam do Nowego Jorku i zmieniłam mieszkanie. Moje mieszkanie jest teraz na dwudziestym pierwszym piętrze wieżowca w tej samej dzielnicy, co mieszkanie kobiety z Hongkongu. Nie podaję adresu, bo jeśli to zrobię, Jack Jackson mnie odnajdzie, pamiętacie Jacka Jacksona, tego faceta, który chciał mnie zabić, i dlatego kupiłam rewolwer Smith & Wesson kaliber 38. Nie powiem również, ile kosztuje moje nowe mieszkanie, ponieważ za każdym razem, kiedy to mówię, jestem chora i muszę wzywać lekarza. Przede wszystkim do lekarza trzeba się zapisać z dużym wyprzedzeniem. Mam na myśli, że nie może on przyjść od razu, kiedy tylko się źle poczujesz, musisz zgadnąć, kiedy się źle poczujesz, i zapisać się do niego na ten dzień. Kiedy już się zapisałeś za pośrednictwem jego sekretarki, on oddzwania i pyta, co ci jest. Cokolwiek by ci było, mówi: proszę wziąć aspirynę, i kosztuje to okrągłą sumę dziesięciu dolarów. Kiedy wzięłeś aspirynę i umarłeś albo całkiem wyzdrowiałeś, zaczynasz czekać na lekarza, który przychodzi w ustalony dzień z taką miną, jakby robił ci wielką łaskę, i nie mówiąc, co ci jest, wręcza receptę; i to kosztuje okrągłą sumę trzydziestu dolarów.

Receptę wysyłasz do drugstore'u, który nie jest apteką, lecz sklepem, gdzie kupuje się nylonowe pończochy, kartki pocztowe, zabawki, francuskie perfumy, gazety, mleko, lody, i jest on nie tylko sklepem, ale i snack-barem, gdzie można coś zjeść i wypić. Mija kilka godzin i drugstore przysyła ci buteleczkę, na której widnieje tylko twoje imię i nazwisko oraz „dla”. Na przykład: „Dla Oriany Fallaci”. W środku jest dużo pastylek w cudownych kolorach i nie wiesz, co to takiego. Nie wiesz i nigdy się nie dowiesz, ani lekarz, ani sprzedawca w drugstorze nie uważają, byś miała do tego prawo; oto dlaczego nie chcę wzywać lekarza i nie mówię, ile kosztuje moje nowe mieszkanie. Mówię tylko, że jest to mieszkanie ogromne jak na jedną osobę w Nowym Jorku: składa

się z dwóch pokoi oraz łazienki i kuchni. Podnajęłam je od pewnej rozwódki z Bostonu, blondynki, która mieszkała tu z córką i która zostawiła mi swoje meble: trzy lampy indyjskie, dwa wiklinowe fotele w kształcie jajka, chińską komodę, łóżko, kanapę, okrągły żelazny stolik z trzema krzesłami w stylu kolonialnym pomalowanymi na niebiesko, normalne umeblowanie, jak się dowiaduję, w normalnym nowojorskim mieszkaniu. Rozwódka z Bostonu zostawiła mi również dwie walizki, trzydzieści siedem sukienek i płaszczy, nieokreśloną liczbę butów, biustonoszy, kapeluszy; wszystko zebrane w stos na środku pokoju z dołączonym bilecikiem, na którym było napisane: „Proszę przekazać administratorowi”. Zawiadomiłam administratora i wkrótce potem ktoś otworzył drzwi, wszedł do mieszkania, nie pytając o pozwolenie: to on, ma klucze do wszystkich mieszkań, może więc wchodzić, kiedy chce. Rano, w nocy. Oczywiście krzyknęłam: jak pan może mieć klucze do mojego mieszkania i wchodzić w ten sposób, a on odpowiedział obrażony: taka jest Zasada, wszędzie w Nowym Jorku obowiązuje taka Zasada; klucze mi się przydadzą, żeby przyjść pani z pomocą, jeśli się pani źle poczuje, żeby wynieść zwłoki, jeśli pani umrze i nikt o tym nie będzie wiedział, żeby wszystko spalić, jeśli nie będzie pani płacić czynszu z góry pierwszego każdego miesiąca. Po czym spojrzał na rzeczy rozwódki z Bostonu i powiedział: „No to ja wszystko spalę”. Zupełnie jak administrator kobiety z Hongkongu.

Po raz kolejny, zrozumiałam, mam do czynienia z Zasadą. Zasadą, którą możesz jedynie ominąć, płacąc okrągłą sumę dwudziestu dolarów napiwku, i pojmujesz wtedy, dlaczego w Nowym Jorku jest tyle pożarów, sygnały wozów straży pożarnej ranią ci nieustannie uszy, strażacy przejeżdżają wyprostowani i dumni w swoich mundurach na czerwonych światłach: jadą, żeby zgasić płomień wzniecone przez administratorów, którzy palą wszystko, taka jest Zasada. Takie jest prawo społeczeństwa, które nie ma już czasu, by się tobą zająć, tobą jako jednostką, i w ten sposób cię karze. Jeśli ty, jako jednostka, spóźniasz się z opłatą albo zapomnisz walizki, kapelusza, społeczeństwo nie oskarży cię o niewypłacalność, nie przechowa ci walizki, kapelusza; społeczeństwo cię ukarze, paląc ci wszystko, tak jest szybciej, nie wiem, czy wyrażam się jasno. I dopiero w chwili, w której pożar się rozprzestrzenia, staje się czymś zbiorowym, co dotyczy również innych,

i wtedy pojawiają się strażacy, autocysterny, przebaczenie.

*

Zaraz po tym, jak uratowałam rzeczy rozwódki z Bostonu za pomocą napiwku w wysokości okrągłej sumy dwudziestu dolarów, zauważyłam, że nie mam telefonu; ta łajdaczka pozwoliła, by go odcięli z powodu niepłacenia rachunków. Nie było nawet nieczynnego aparatu. Zaczęłam wrzeszczeć, zrozpaczona, administrator zaś spytał mnie: co pani jest, czemu pani wrzeszczy? Potem wyszedł, zadzwonił do Telephone Company i po niecałej półgodzinie zjawił się człowieczek z pięcioma jednakowymi pudełkami. Otworzył pierwsze pudełko i wyjął czerwony telefon. Otworzył drugie i wyjął telefon żółty. Otworzył kolejne i wyjął telefon zielony. Potem telefon różowy, potem telefon niebieski. Ustawił je rzędem na kanapie i spytał, jaki kolor wolę; jeśli chcę, jest jeszcze jasnobrązowy. Odpowiedziałam: jasnobrązowy i wydał mi się zaskoczony, popularne kolory w Nowym Jorku to czerwony, różowy i niebieski. Wyszedł więc, wrócił z dwoma telefonami w kolorze jasnobrązowym, wszedł do sypialni i w ciągu dziesięciu minut zainstalował telefon z aż pięciometrowym przewodem: żebym mogła zabierać go do łazienki, do kuchni, a gdybym chciała, także do salonu. Potem mnie zawołał, spytał, czy przewód jest wystarczająco długi i gdzie ma umieścić drugi aparat. Odpowiedziałam:

– Po co drugi aparat?

I znowu wydał się zaskoczony; w Nowym Jorku nikt nie ma tylko jednego aparatu, na ogół ma się trzy, tak czy owak, każdy dodatkowy aparat kosztuje miesięcznie tylko dziewięć centów więcej. Uznałam, że trzy to za dużo, i zgodziliśmy się na dwa. Człowieczek zainstalował drugi aparat w salonie, z przewodem jeszcze dłuższym niż przy pierwszym, potem powiedział:

– Do widzenia, wychodzę.

– Ale kiedy będę mogła dzwonić – spytałam go – kiedy mi dadzą linię, numer?

– Ależ linia już jest – odpowiedział człowieczek – i numer, może pani dzwonić w każdej chwili!

No właśnie, to jest Ameryka. Również i to. Kraj, gdzie administrator twojego wieżowca ma klucze do twojego mieszkania i może wejść w każdej chwili. Kraj, gdzie w ciągu trzydziestu, czterdziestu minut możesz mieć telefon, numer, linię i z nich korzystać.

W piekle, ale samochodem

Ameryka to również kraj Heckel, mojej sprzątaczkii: cena dwa dolary za godzinę. Drobiazg, jeśli pomyślisz, że wiele z nich domaga się trzech dolarów za godzinę plus benzyna do ich samochodu; każda bowiem sprzątaczkii przyjeżdża samochodem, żeby pozmywać naczynia. Heckel jest czarna i bardzo religijna: należy do Kościoła adwentystów, który, o ile zrozumiałam, jest bardzo surową sektą i z byle powodu grozi ci piekłem. Pójdiesz do piekła na przykład, jeśli pracujesz w sobotę, pójdiesz do piekła, jeśli jesz skorupiaki i kurze wątróbki, pójdiesz do piekła, jeśli nie śpiewasz wciąż na chwałę Pana. Heckel, która nigdy nie pójdzie do piekła, śpiewa nieustannie przepiękne bluesy i kiedy jej mówię, Heckel, litości, nie śpiewaj tak głośno, właśnie rozmawiam przez telefon, właśnie piszę, rzuca się na podłogę i zaczyna krzyczeć: „Szatan! Szatan!”.

Ostatnio odkryła, że jestem narkomanką, bo piję coca-colę i kawę: człowiek zaczyna, mówi, od coca-coli, kawy, a kończy na zastrzykach z heroiny i morfiny, tak robił również wuj Samuel. Kiedy dodałam, że piję również wino, doszła do wniosku, że jestem nie tylko narkomanką, jestem również alkoholiczką; i chciała ode mnie odejść. Żeby ją zatrzymać, musiałam dać jej okrągłą sumę dziesięciu dolarów, żeby mogła je wrzucić do puszek na jałmużnę w kościele adwentystów, i ukryć wino między książkami; podobnie postępowano w czasach prohibicji. Nie rozumie, co robię, skąd przybywam, kim jestem, nie wie, gdzie leżą Włochy, męczy mnie ciągle pytaniami, jak traktujemy Murzynów we Włoszech, potem potrząsa głową, kiedy jej mówię, że nie ma Murzynów we Włoszech. Skoro ich nie ma, komentuje, to znaczy, że wszystkich wymordowaliście.

Kiedy się na nią patrzy, można by ją wziąć za postać z *Chaty wuja*

Toma: z tym wielkim nosem od ucha do ucha, tymi wielkimi ustami, gdzie błyszczą bielusińkie zęby, z tym wielkim ciałem zawsze w żółtej sukience. W istocie jest nowoczesną kobietą, wymagającą. Zażądała, żebym jej kupiła odkurzacz, bo po staremu zmiatają podłogę tylko „dzicy”, chciałyby też mieć zmywarkę; piecyk w mojej kuchence, który jest przepięknym piecykiem, wyposażonym w dzwonek i inne rzeczy, wydaje się jej „bardzo prymitywny”, podobnie jak palnik gazowy, który zapala się zapalką, a nie automatycznie. Zajmuje się aktywnie *civil rights*, prowadzi zebrania, na których mówi, że prezydentem Stanów Zjednoczonych musi zostać czarny, i wie o wszystkim, co dzieje się w mieście. To ona, Heckel, umeblowała mi mieszkanie meblami z Savoy Plaza.

Łóżko Zsy Zsy Gabor na sprzedaż

Savoy Plaza jest, a raczej był, hotelem na początku Central Parku, na rogu Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Piątej Alei. Zbudowano go w 1927 roku i uważano za jeden z najbardziej luksusowych hoteli na świecie; król Nepalu, królowa Holandii, szach Persji, Rafael Trujillo, Joseph P. Kennedy mieli tam apartamenty z reprezentacyjnym salonem i osobistymi kamerdynerami. General Motors kupiła go wraz z hotelem Madison i innymi budynkami dochodzącymi aż do Madison Avenue, żeby wznieść tu swoją kwaterę główną: pięćdziesiąt pięter szkła i aluminium.

I tak od pół roku Savoy Plaza się likwiduje: piętro po piętrze, niczym wielki ser, który dzień po dniu zjadają myszy. Ale właściciele postanowili na tym zarobić i zamiast sprzedać hurtem wyposażenie tysiąca pokoi, trzydziestu czterech *suites*, założyli towarzystwo, powiada Heckel, pod nazwą Savoy Fifth Avenue Company, żeby sprzedać wszystko osobom prywatnym. Na sztuki. Prześcieradła, meble, popielniczki, lampy, talerze, zasłony, materace, cenne bibeloty, paskudztwa. Jednym słowem, wszystko; za bardzo korzystną cenę i w miarę jak General Motors likwiduje kolejne piętro.

Niektóre przedmioty rozchwymano. Niebieskie łóżko Zsy Zsy Gabor na

przykład. Zsa Zsa miała trzy łóżka: jedno niebieskie, jedno różowe, jedno zielone. Największe było niebieskie, gdzie spała razem z Porfiriem Rubirosą w czasach ich namiętnego związku. W Savoy Plaza kosztowało tysiąc czterysta dolarów; sprzedali je za mniej niż połowę. Schody prowadzące, jak mi się wydaje, do salonów Adolpha Zukora kupił natomiast markiz Gerini do swojej willi w Rzymie. Wyposażenie apartamentów Groucha Marxa, Franka Sinatry, Petera Lawforda kupił milioner Jack Fink do swojej willi na Bahamach. Pewien chiński przemysłowiec, nawrócony niedawno na katolicyzm, kupił dwa kandelabry z brązu po pięć milionów lirów, żeby je podarować kościołowi św. Pawła Apostoła, gdzie zostaną poświęcone podczas wizyty papieża. Jakiś właściciel hotelu kupił prześcieradła za sto pięćdziesiąt milionów i tak, sto milionów tu, dwieście milionów tam, pięćdziesiąt tu, powiada Heckel, kiedy już zlikwidowano jedenaście pięter, Savoy Fifth Avenue Company zyskała więcej, niż gdyby sprzedała hurtem cały trzydziestotrzypiętrowy hotel. Mam się pospieszyć, bo inaczej nic dla mnie nie zostanie.

Zaraz tam poszłam i zastałam jeszcze całe kwintale rzeczy. Przewodnicząca towarzystwa Cecilia Benattar, ładna trzydziestoczteroletnia kobieta, zaproponowała mi od razu różowe łóżko, w którym Zsa Zsa Gabor spała z Conradem Hiltonem, swoim ślubnym małżonkiem. Kosztowało tylko okrągłą sumę sześciuset dolarów, albowiem Hilton był jej ślubnym małżonkiem. Następnie, ponieważ nigdy nie lubiłam różowego koloru, zaproponowała mi kolekcję niebieskich nefrytów, co do których nie udało się nam porozumieć. Nie porozumiałyśmy się również co do marmurowych schodów prowadzących do sali balowej ani co do szaf w stylu gotyckim, gdzie Marlene Dietrich trzymała ubrania. Zeszliśmy zatem do holu zamienionego już w wielki magazyn i doszliśmy do porozumienia co do dwóch fotelików, w których siedzieli Charlie Chaplin i Oona O'Neill, dwóch stoliczków pod moje indyjskie lampy, które służyły Rodgersowi i Hammersteinowi, biurka, przy którym Gloria Vanderbilt podpisała pewnego dnia czek, kuferka, gdzie Steinbeck przechowywał gazety, wreszcie kompletu sztuców, który przy jakiejś okazji z pewnością posłużył jednemu z siedmiu prezydentów Stanów Zjednoczonych, gdy ci krócej lub dłużej mieszkali w Savoy Plaza.

Żaden z tych przedmiotów nie liczy sobie więcej niż pięćdziesiąt lat; ale zgodnie z powszechną opinią moje mieszkanie to prawdziwe muzeum i zmuszona jestem przyjmować wizyty. Któregoś wieczoru przyszedł nawet Warren Beatty, będąc przejazdem w Nowym Jorku. Zadzwoił do mnie z domofonu i zaczął wrzeszczeć:

- Czy to prawda, że masz fotel Charliego Chaplina?
- To prawda – odpowiedziałam.
- Wejść, żeby go zobaczyć.

Wszedł i siedział dwie godziny. Trzymał w rękach srebrne łyżeczki i mówił:

– Kto wie, czy nie mieszał nimi swojej kawy z mlekiem Franklin Delano Roosevelt.

Takie dziwne rzeczy dzieją się w Nowym Jorku.

Neapol i Capri na dziewiątym piętrze

Zdarza się na przykład, że usuwa się figurę woskową papieża Pacellego z katedry św. Patryka, gdzie stała w nawie centralnej, i przenosi ją do Gimbelsa: dużego centrum handlowego na Trzydziestej Czwartej Ulicy, które od miesiąca sprzedaje wyłącznie włoskie towary pod szyldem „romantyczne”. Figura nie jest oczywiście na sprzedaż; chodzi o elegancką formę wypożyczenia, na którą zezwolił kardynał Spellman ze względu na dobre stosunki z rządem włoskim, zainteresowanym sukcesem Gimbelsa.

W Nowym Jorku jednak mówi się o tym tak, jak u nas mówiło się o *Piecie*, kiedy zabrano ją z jej niszy w Bazylice św. Piotra i drogą morską przetransportowano do Stanów. A gdyby u Gimbelsa posąg uległ zniszczeniu, stopił się? Nowojorczyki nie mają przecież tylu posągów, które mogliby zmarnować, co my, Włosi. Jakie posągi są tutaj, w Nowym Jorku? Posąg ojca Duffy’ego, kapelana Czterdziestej Drugiej Dywizji Piechoty w czasie pierwszej wojny światowej; z brązu, na środku Times Square. Jest też posąg Krzysztofa Kolumba na rondzie Columbus Circle, znany ze słynnego zdania, które Peppino Amato wygłosił pewnego zimowego wieczoru w obecności głodnych i niezadowolonych

emigrantów: „Przedstawiam wam tego drania, który odkrył Amerykę”. I wreszcie figura woskowa papieża Pacellego, siedzącego na papieskim tronie, ubranego na biało, ze szmaragdowymi i rubinowymi pierścieniami na palcach i parą autentycznych okularów na nosie.

Ci od Gimbelsa wsadzili go do szklanej gabloty i umieścili na szóstym piętrze, gdzie znajduje się również kopia *Mojżesza* Michała Anioła, festiwal wina i sera, jeden samochód marki Ferrari, pięć lambrett. Szóste piętro poświęcone jest Turynowi, siódme Genui, ósme Mediolanowi i Arezzo, dziewiąte Neapolowi i Capri, piąte Wenecji, czwarte Pizie, trzecie Florencji, drugie Rzymowi. „Przyjdźcie posmakować wspaniałości Rzymu, nieziemskiej urody Wenecji, słonecznej wesołości Neapolu, nadzwyczajnej kultury Florencji, paradoksalnej nowoczesności Genui, nieustrudzonej aktywności Mediolanu: Gimbels to Włochy, Włochy to Gimbels!” – głoszą plakaty.

Popiersie Juliusza Cezara z wielką głową triumfuje pośród podwiązek, biustonoszy, skarpetek; unosząc ramię i wyprostowany palec wskazujący, cesarz August pilnuje nocnych koszul i krawatów, koronkowych halek i koralu. Na parterze, w dziale majtek, stoi dokładna kopia *Dawida* dłuta Michała Anioła, tego, którego mamy w muzeum Akademii we Florencji. Bez majtek, bez listków figowych, wolny od kompleksów purytańskich, luterańskich, freudowskich, metodystycznych, baptystycznych, adwentystycznych, pokazuje triumfalnie wszystko, co ma, tłumom klientów. W południe, kiedy biura się zamykają z powodu przerwy na lunch i kobiety wypełniają sklepy, u Gimbelsa nie można wetknąć szpilki. Czasami nie da się w ogóle wejść do środka, trzeba czekać w kolejce. „Prosimy naszych klientów o wchodzenie na wyższe piętra!” – krzyczy głos z megafonu. Ale wszystkie, do licha, wszystkie stoją jak urzeczony na parterze. U Gimbelsa sprzedaje się więcej majtek niż w całym Nowym Jorku, we wszystkich zjednoczonych stanach Ameryki. A tymczasem na fasadzie Gimbelsa na Trzydziestej Czwartej Ulicy powiewają nasze flagi, biało-czerwono-zielone, razem z flagami Watykanu.

Na powitanie mówią ciao

Może to z powodu wizyty Ojca Świętego, może sztuki Michała Anioła, faktem jest, że nic nie jest tak modne w tych dniach w Nowym Jorku, jak bycie Włochem. Nagle zakochali się w nas, tak jak my zakochaliśmy się w nich dwadzieścia lat temu, kiedy w naszych oczach Ameryka była ziemią obiecaną, ziemskim rajem; z tej miłości upajaliśmy się jazzem, westernami, whisky, marzeniami, w których mieszały się wieżowce i guma do żucia, Gershwin i Hemingway, papierosy z filtrem i przyszłość, i w upojeniu powtarzaliśmy: „okej”, „very well”, „goodbye”. Cóż, w wielkich miłościach zdarza się często brak wzajemności i nieodwzajemnione uczucia następują po sobie: kiedy my ich kochaliśmy, oni nie kochali nas ani trochę, wręcz nami pogardzali, wyrzucali nam Lucky’ego Luciano, Franka Costello, Ala Capone; teraz, kiedy już ich nie kochamy albo w każdym razie znacznie mniej, kochają nas tak samo mocno, jak my ich niegdyś, i w tej miłości zachwycają się naszą przeszłością, naszą kuchnią, naszym kinem, naszymi książkami, naszymi miastami, nawet naszymi słowami.

Słowo „ciao” weszło do powszechnego użytku; jeśli się kogoś pytasz: „How do you do?”, jak się miewasz, nie odpowiadają: „How do you do”, odpowiadają: „Ciao”. Umieszczają to słowo na końcu listów, kartek pocztowych, telegramów, choćby z błędami: „chiao, chuao, cheou”. Powszechnym zwyczajem stało się też odpowiadanie: „Va bene” zamiast „Very well”. Powszechnym zwyczajem stało się ściskanie dłoni, a przecież oni nigdy tego nie robili z lęku przed zarażeniem się, przed chorobami. „Jest pani Włoszką?” – wołają radośnie, łamiąc sobie nadgarstki, paliczki. Czyż najbardziej znane *cover girls* w Nowym Jorku nie są Włoszkami? Benedetta Barzini, Iris Bianchi, Isabella Alberico. Czyż aktorka, na którą stawiają najwięcej pieniędzy, Virna Lisi, nie jest może Włoszką?

Wczoraj Virna zadzwoniła do mnie z Beverly Hills, gdzie kręci film z Frankiem Sinatrą *Napad na królową*.

– Ciao, Virna, jak się miewasz, dobrze cię tam traktują?

– Jezusie! Dali mi nawet wózek z dachem i firankami, żebym mogła się przemieszczać z jednego studia filmowego do drugiego; żebym się nie męczyła. Na lotnisku było mnóstwo ludzi; wydawało mi się, że jestem Saragatem. Co się stało tym Amerykanom?! Co jakiś czas ktoś podchodzi i mówi podeksytowany: bardzo panią proszę, niech pani coś

powie po włosku. Wygląda na to, że odkrywają groby faraonów.

Ich wysokości w biustonoszach

Najbardziej fascynującą, najzdrowszą reakcją jest jednak sposób, w jaki używają tych przedmiotów odkrytych w grobach faraonów. Księżniczek na przykład. Kiedy już je przywitali, pochwalili, wyrazili swoje uwielbienie, księżniczka tu, księżniczka tam, zmuszają je do pracy. Czyż nie są księżniczkami? Niech się więc na coś przydadzą. Utylitarystyczne myślenie nie zna tu barier w postaci przywilejów, przynależności klasowej. W Nowym Jorku kilka dni temu otworzono inny dom towarowy, Alexander's. Dziewięć pięter, te co zwykle włoskie towary, ceny konkurencyjne w porównaniu z Boomingdale's, który jest tuż obok. Wełniany golf wyprodukowany w Mediolanie kosztuje osiemset lirów; sweter z długimi rękawami i rozpinany z przodu, tysiąc dwieście. Para botków wyprodukowanych, zdaje mi się, w Varese kosztuje dwa tysiące osiemset, nocną koszulę wyhaftowaną we Florencji można kupić za trzy albo cztery tysiące.

W dniu otwarcia (byli również John Lindsay i obecny burmistrz Wagner) wstrzymano ruch na czterech ulicach i dwóch alejach, policja wysłała trzystu gliniarzy, żeby uniknąć zamieszek. Pomyślano także o pokazie mody włoskiej, hiszpańskiej i francuskiej: Paryż reprezentowali Balenciaga i Yves Saint Laurent; Rzym – Valentino i Galitzine; Madryt – Pedro Rodriguez. A modelki? Szefowa Alexander's nie wahała się ani chwili: „Czyż nie macie w Europie mnóstwa księżniczek? Weźmy księżniczki”.

Księżniczki przyjechały: Ira von Fürstenberg, Luciana Pignatelli, Fiona von Thyssen, Peggy D'Arenberg. Nie wszystkie były księżniczkami, trafiały się też baronówny, jak na przykład Fiona, ale czy takie subtelności mają jakiegokolwiek znaczenie? Byłam na przyjęciu, to było prawdziwe przyjęcie. Wyobraźcie sobie przede wszystkim trzecie piętro tej nowojorskiej Rinascente, gdzie ruchome schody przewożą w górę i w dół tłumy *teddy boys*, Murzynek w papilotach, grubych gospodyń domowych w spodniach, chlapiących dzieci. Za ruchomymi

schodami, na podwyższonym wybiegu oddzielonym sznurem, księżniczki mają próby pod surowym wzrokiem organizatorów: „Dziesięć kroków do przodu, księżniczko, obrót, pięć kroków do tyłu, obrót, jeszcze raz od początku, księżniczko”.

Potem księżniczki idą do garderoby, gdzie jest pełno fotografów, i tutaj muszą się rozebrać, ubrać, pokazać w biustonoszu i majtkach: jak tancerki za kulisami.

– Ale czy tu nie ma jakiegoś parawanu? Nic?

– Nie, wasza wysokość, nasze modelki przebierają się w takich warunkach.

Klik, robi leica. Klik, robi nikon; jej wysokość zgubiła podwiązkę.

– Jaka tam wysokość! Tak się mówi do królewskich wysokości.

– Cisza, księżniczki, dziewczyny. Jesteśmy tu po to, żeby pracować, a nie po to, żeby studiować *Almanach Gotajski!*

Fiona czuje się najswobodniej; zanim spotkała von Thyssena, była przecież modelką. Najlepiej bawi się Luciana; to inteligentna dziewczyna, ciekawa wszystkiego, która mówi o Ameryce: „Może ten kraj ma wiele wad, ale to są nowe wady, nie zaś stare, które wynikają z naszego znużenia”.

Ira natomiast się denerwuje, chociaż rozmawia, uśmiecha się: nie jest jej łatwo przenieść się z St. Moritz, Cortiny d’Ampezzo, St. Tropez na trzecie piętro Alexander’s, do prawdziwej Ameryki. Z godną pochwałą determinacją mówi o pracy, o tym, że chce zostać aktorką. „Bo inaczej się nudzę”, ale podróżuje z pokojówką i trzyma biżuterię razem ze spinkami do włosów i pudrem w swoim *beauty case*. Teraz pokojówka czesze ją, a grasejujący przyjaciele, z czerwonymi goździkami w butonierkach, przyszli złożyć jej hołd i częstują schłodzonym szampanem.

– *Vous avez soif, ma petite.*

Chichoty, szepty.

– Co za przygoda! Czyż to nie zabawne?

Nagle rozlega się głos, głos prawdziwej Ameryki, zagłusza chichoty, szepty, i:

– Do diabła! Te cholerne księżniczki, przyjdą wreszcie czy nie? Ustawcie się w rząd, dziewczyny, i cisza!

Księżniczki, przestraszone, poskromione, ustawiają się w rząd,

wchodzą na wybieg w swoich ubraniach od Balenciagi, Saint Laurenta, Valentina, Rodrigueza, Galitzine, dziesięć kroków do przodu, obrót, pięć kroków do tyłu, obrót; model numer osiemnaście, księżniczka D'Arenberg.

– Mój drogi, chce mi się pić, mogę dostać jeszcze trochę szampana?

– Księżniczko, proszę być cicho!

A tymczasem ruchome schody wożą nadal Murzynki w papilotach, grube gospodynie domowe w spodniach, *teddy boys*, chlipiące dzieci. Przyszłość, która patrzy na groby nas, faraonów.

*

Kiedy już zostawiłam księżniczki, które wracają zmęczone i może trochę upokorzone do hotelu, dzwonię do Seana Connery'ego, jest tutaj, bo kręci *Przyjemne szaleństwo*, film niemający nic wspólnego z serią Bonda. Sean nudzi się śmiertelnie w Nowym Jorku i chce, żebym poszła z nim do kina na *Darling*. Idziemy obejrzeć *Darling*, wychodząc przez garaż, aby umknąć przed tłumem czyhającym na niego przed hotelem, a kierownik kina zwraca mu pięć dolarów, które aktor zapłacił za bilety. Po obejrzeniu *Darling* idziemy kupić coś na kolację u mojego wędliniarza i kiedy już wychodzimy, ten oddaje nam dziesięć dolarów i osiemdziesiąt centów, które Sean zapłacił za rostbef, włoską sałatkę, kielbasę. Idziemy do mnie obładowani pakunkami i portier, spiesząc się, by otworzyć nam drzwi do windy, poślizguje się na podłodze i rozbija sobie kolano.

Sean jest ubrany jak edynburski tragarz: brudna koszula, stare spodnie bez kantów, pognieciona marynarka, czapka z daszkiem, i nie przypomina wcale Jamesa Bonda, lecz wszyscy go rozpoznają i padają mu do nóg, pełni uwielbienia.

– A niech cię, Sean, ci nowojorczyki traktują cię lepiej niż jakąś księżniczkę.

Sean komentuje zakupy, które zrobiłam w Savoy Plaza, i krytykuje sposób wypolerowania stolików, które służyły Rodgersowi i Hammersteinowi. Zanim został gwiazdą, był stolarzem i polerownikiem, może więc ocenić, czy dany mebel jest dobrze

wypolerowany, czy też nie. Powoli unosi swoją proletariacką twarz, klnie i mówi:

– Nie zrozumiałaś, że to jest Rosja? Nie zrozumiałaś, że nie jesteśmy w Nowym Jorku, lecz w Moskwie?

CZEŚĆ TRZECIA

W podróży z Shirley
(1965)

WYRUSZAMY NA PODBÓJ ZACHODU

Dolina Śmierci (Kalifornia), październik

Podróżujemy dopiero od dwóch godzin i autostrada jest pusta, wszędzie wokół pusto, jedynym znakiem życia jest helikopter lecący nisko na zachmurzonym niebie, nagle z nicości wyłania się jednak policjant i każe nam się zatrzymać. Jest wesołym blondynem, uśmiecha się serdecznie. Pochyla się nad moją przyjaciółką za kierownicą i mówi bardzo łagodnie:

– Pani jest Shirley MacLaine, prawda?

– Tak, to ja – przyznaje Shirley.

– Chce pani żyć?

– Tak – przyznaje Shirley.

– Chce pani zachować tę śliczną buzię?

– Tak – przyznaje Shirley.

– Okej, miss MacLaine, co by pani powiedziała, gdyby pani śliczna buzia uszkodziła się na tym paskudnym asfalcie?

– Tak szybko jechałam, panie sierżancie?

– Dziewięćdziesiąt mil na godzinę, a w Kalifornii dozwolona prędkość to siedemdziesiąt.

– W porządku, panie sierżancie. Ile każe mi pan zapłacić?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – odpowiada sierżant. – Gdybym wiedział, nie miałbym odwagi wypisać ludziom mandatu. Może spostrzegłbym, że facet nie ma pieniędzy i pozwoliłbym mu odjechać, on zaś znowu zacząłby pędzić i mógłby się zabić.

– Pan nigdy nie pędzi, panie sierżancie?

– Och tak, pędziłem, jeszcze jak! Żona zawsze mi mówi, wypisujesz mandaty innym, a nie pamiętasz, jak sam pędziłeś? Pamiętam, odpowiadam, pamiętam, ale wtedy nie wykonywałem tego zawodu i nie widziałem tylu zabitych, których widzę teraz, pędzicie jak wariaci, żeby przyjechać trzy minuty wcześniej.

Rozmawiając tak przyjaźnie, policjant wypełnia formularze, które

będą nas kosztować dwadzieścia tysięcy lirów, może nawet trzydzieści, to znaczy minimum, jakie trzeba zapłacić za przekroczenie prędkości. Ale wypełnia je tak, jakby wyświadczał nam przysługę, robił cudowny prezent, i najbardziej zadziwiające jest to, że Shirley traktuje go tak, jakby wyświadczał nam przysługę, robił nam cudowny prezent.

– Dziękuję, panie sierżancie, był pan naprawdę miły, panie sierżancie.

– Ależ skąd, proszę pani.

– Wyślemy panu pocztówkę, panie sierżancie.

– Żona się ucieszy, proszę pani. Zawsze się cieszy, kiedy dostaje pocztówki od osób, którym wypisałem mandat.

– Chciałabym się jednego dowiedzieć, panie sierżancie.

– Słucham, proszę pani.

– Jak pan zauważył, że jadę za szybko?

– Zauważył to helikopter, proszę pani. I powiadomił mnie przez radiotelefon.

– Gratuluję, panie sierżancie.

– Dziękuję i dobrej podróży, proszę pani.

Siedemdziesiąt na godzinę i ani jednego kilometra więcej, ruszamy ponownie w drogę, mówię, no właśnie, to jest Ameryka, sądzę, że ta podróż bardzo mi pomoże zrozumieć Amerykę, ale Shirley potrząsa głową i odpowiada:

– Im bardziej poznajesz Amerykę, tym mniej wyraźnie ją widzisz. Nigdy nie uda ci się zrozumieć do końca Ameryki, nawet mnie się to nie udaje, a przecież tu się urodziłam i tu mieszkam. Kennedy, Franklin Delano Roosevelt, demokracja: to jest Ameryka. Barry Goldwater, John Birch Society, faszyzm: to jest Ameryka. Wall Street, Madison Avenue, czarne meloniki: to jest Ameryka. Indianie z Nowego Meksyku, kowboje z Teksasu i Oklahomy: to jest Ameryka. Gwiazdy, które opalają się nad turkusową wodą w swoich basenach i trzymają przy bramie cadillaca z kierowcą: to jest Ameryka. Murzyni z Missisipi, nowi rewolucjoniści, którzy powstają, domagając się równych praw: to jest Ameryka. Członkowie Ku-Klux-Klanu palący krzyże przed domami Murzynów i linczujący ich: to jest Ameryka. Astronauci lecący w kosmos w poszukiwaniu innych ziem, innych słońc: to jest Ameryka. Eskimosi, którzy na Alasce przemierzają się jeszcze na saniach ciągniętych przez psy: to jest Ameryka. Hazardziści z Las Vegas, szeryfowie miasteczek,

miliarderzy ze swoimi willami na Lazurowym Wybrzeżu: to jest Ameryka. Ale prawdziwa Ameryka, kompletna, jaka ona jest? Nigdy się tego nie dowiesz i po naszej podróży będziesz mogła jedynie mieć jej mgliste wyobrażenie. Tak czy owak, jedźmy, spróbujmy.

Jedziemy więc, próbujemy. Nasza podróż nie ma dokładnego programu; zdajemy się nieco na nieprzewidziany bieg wypadków, na to, co napotkamy po drodze. Wybrałyśmy samochód i naszym zamiarem było przemierzenie Ameryki mniej lub bardziej horyzontalnie: w odwrotnym kierunku niż dawni pionierzy, którzy wyruszyli z Wirginii i dotarli do Kalifornii. My wyruszyłyśmy z Kalifornii, gdzie mieszka Shirley, i dotrzemy do Wirginii, gdzie Shirley się urodziła. Czas do dyspozycji: dwa tygodnie, i bagaż ograniczony do minimum. Składa się głównie z map, latarek na baterię, termosów z lodowatą wodą, rolleiflexa, leiki, rolek biało-czarnych i kolorowych filmów. Mamy również rewolwer, Shirley bowiem utrzymuje, że trzeba mieć rewolwer, szczególnie w nocy i na Południu. Mamy też Lori, sekretarkę Shirley, która dojedzie do Las Vegas, gdzie spotkamy Bjorna, szwedzkiego przyjaciela. Zarówno Lori, jak i Bjorn mają za zadanie pomóc mojej towarzysce podróży prowadzić samochód, zważywszy na spotykający się z powszechną dezaprobatą fakt, że ja nie prowadzę. No tak: okolica, ku której zmierzamy, jest pustynią ciągnącą się od Kalifornii do Nevady i nazywa się Death Valley, Dolina Śmierci.

*

Shirley twierdzi, że jeśli chcę wyrobić sobie jakieś mgliste wyobrażenie na temat Wielkiego Paradoksu, który zwie się Ameryką, muszę zobaczyć pustynię, to znaczy zapoznać się z najbardziej tragicznym i chwalebny rozdziałem w historii tego kraju, określanym niejasno jako zdobycie Zachodu.

– Europejczycy nie wiedzą, czym było zdobycie Zachodu. Nie wiedzą tego nawet Amerykanie mieszkający na wybrzeżu atlantyckim, we wschodniej części kraju. Zeszli ze swoich statków, zmęczeni trudami podróży, zatrzymali się w miastach, które dziś nazywają się Boston, Nowy Jork, Filadelfia, Baltimore, w trzynastu stanach pełnych zieleni

i wody, w Maine, Connecticut, Massachusetts, Wirginii, Pensylwanii, Marylandzie, i nie zostali bohaterami. Bohaterami zostali inni, skazani na dożywocie przestępcy, awanturnicy, odchyleńcy, religijni desperaci, którzy, nie mając nic do stracenia, szli cały czas do przodu: jechali dyliżansami, żeby dotrzeć do Kalifornii, to znaczy do kopalni złota. Nie mieli dróg, nie mieli informacji. Mieli tylko kompas wskazujący zachód. Myśleli, że to gościnne miejsce. Dowiedzieli się, jak jest naprawdę, kiedy dotarli tam, gdzie my dojedziemy o zachodzie słońca, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Shirley?!

– Och tak, jeszcze dziś Dolina Śmierci jest najbardziej okrutnym, najbardziej niebezpiecznym miejscem w Ameryce. Ten, kto tędy przejeżdża, gubi się w ośmiu przypadkach na dziesięć. Ten, kto się zgubi, ma mało szans na to, że go odnajdą. W czerwcu ubiegłego roku helikopter zlokalizował dwie kobiety i dziewczynkę. Matkę, córkę, wnuczkę. Wszystkie trzy umarły z pragnienia, upału. Rozumiesz? Śmierć z pragnienia, upału tuż przed Los Angeles, w 1965 roku, w przeddzień wyprawy na Księżyc. Może wyda ci się to niemożliwe, ale to również jest Ameryka.

To również jest Ameryka. Ta ponura przestrzeń piasku, kaktusów, skał w kolorze czerwonawej ochry, całe te mile pustkowia poprzecinanego drogami pozbawionymi znaków, tablic, rozchodzącymi się nagle w przeciwnych kierunkach; nie wiesz więc nigdy, czy droga, na którą wjechałeś, jest tą właściwą. Czy jest tą właściwą? Shirley prowadzi, marszcząc czoło, szuka niespokojnym wzrokiem stacji benzynowej, która według mapy powinna być niedaleko.

– Widzisz ją, co? Widzisz?

W roku 1965 w Ameryce stacje benzynowe są równie ważne, jak sto lat temu zajazdy, gdzie zmieniano konie: masz tam nie tylko benzynę, lecz i obecność drugiego człowieka, komfort braku samotności.

– Widzisz ją, co? Widzisz?

W końcu widzę. On także nas zobaczył i nie czeka nawet, żeby samochód zahamował; rzuca się na nas, szczęśliwy, niczym wróbel zimą na ziarno. Jest stary, spragniony ludzi, głosów. Pragnie usłyszeć swój własny głos mówiący do innych; tak niewielu tu dociera jesienią. Jeden samochód na dzień, może nawet jeden na dwa dni. I czasami nawet się

nie zatrzymują, nie odpowiadają na pozdrowienie. Freddy Free, do usług. Z Carson City w Nevadzie.

– Gdzie pani mieszka, w Nowym Jorku? Nigdy nie widziałem Nowego Jorku. Tylko na pocztówce. Sprawdzić olej, koła? Tak, tak, trzeba to zrobić. – Każdy pretekst jest dobry, żeby zatrzymać cię na dłużej, porozmawiać, opowiedzieć ci całe swoje życie. – Żona umarła i pomyślałem, co mam robić? Wrócić do Carson City? Kto mi da pieniądze? Zostanę. W tamtych czasach przejeżdżał tędy pociąg. Przejeżdżał raz na dzień i za każdym razem to było jak spotkanie z przyjacielem. Potem zaczęła się moda na samoloty i przestał przejeżdżać. Gdybym chociaż miał kogoś, z kim mógłbym zagrać od czasu do czasu w blackjacka; pani gra w karty? A pani? A pani?

Naprawdę nie rozpoznaje Shirley. Do kina nie chodzi od dwudziestu lat, miasto z kinem jest sześćdziesiąt mil stąd. Oczywiście nie ma telewizora. Ma radio, ale wczoraj się zepsuło. A poza tym ma telefon, lecz co jakiś czas przestaje działać. Gdyby umarł, nikt by się o tym nie dowiedział. Ale śmierć się nie liczy, śmierć jest niczym w porównaniu z samotnością, jest tu od szesnastu lat i jeszcze się nie przyzwyczyił do samotności.

– A więc grałem w blackjacka, a żona mówiła mi, kretynie, wyrzucasz pieniądze. Ale pewnego dnia...

Shirley uruchamia silnik, żeby dać do zrozumienia, że musimy jechać. Ręce jej rozmówcy chwytają się drzwiczek, przypominają szpony, wyrażają błaganie.

– Ale pewnego dnia wygrałem dużą sumę i odpowiedziałem...

Shirley włącza bieg, żegna się.

– Odpowiedziałem, ty, żono, co do blackjacka...

Shirley rusza, zdecydowana. A on biegnie za samochodem, udzielając rad i zaleceń:

– Uważajcie, żeby nie złapać gumy! Słuchaaajcie! Złapiecie guuuumę!

Żółte ciężarówki jadą przez pustynię niczym Siódmy Pułk Kawalerii

Łapiemy gumę właśnie w Dolinie Śmierci, niedaleko drewnianej tablicy, na której wyryto: „Val Nolan. Zmarł w sierpniu 1931 roku, został pochowany 6 listopada 1931. Ofiara żywiołów”. Za grobem ciągnie się całymi milami słona pustynia: pozostałość po morzu, które wyparowało. To wręcz odrażająca przestrzeń fiołkowych igieł, niskich skał ostrych jak noże, inna planeta, piekło. Z pasmem czyścica: asfaltową drogą. Ale asfalt pali przez buty bardziej niż rozżarzone żelazo. Trzeba podnieść samochód, zmienić koło, czy lewarek działa? Nie, nie działa; mówimy tak, nie mając ochoty na żarty, komedia przemienia się tutaj w tragedię. Lori musi pójść drogą na prawo, ja na lewo, żeby kogoś znaleźć i poprosić o pomoc. Ruszamy i wracamy po godzinie, wykończone. Ja miałam więcej szczęścia, bo zatrzymałam faceta w renaulcie, wyglądał jednak jak oszalały i powiedział mi:

– Niech mnie pani nie prosi o pomoc, ponieważ ja też się zgubiłem.

Potem włączył na nowo silnik i zniknął za wzgórzem.

– I co teraz?

– Teraz nic. Czekamy.

Czas mija bardzo wolno w ciszy, która jest ciszą śmiertelną. Dwadzieścia minut, trzydzieści, czterdzieści, sześćdziesiąt i kolejne sześćdziesiąt. Mniej więcej tu, gdzie jesteśmy, pionierzy z 1849 roku, którzy przybyli na poszukiwanie złota w Kalifornii, spalili wozy, zabili woły i konie, uwędzili ich mięso i poszli dalej pieszo, niosąc dzieci na plecach, po równinie z igieł, noży, soli. Podzielili się na siedem grup, każda zdecydowana znaleźć samodzielnie drogę ratunku, i tylko dwie, wprawdzie zdziesiątkowane, ją znalazły. Dziennik kapitana Asy Hainesa mam tutaj, w książce Shirley: „Pokonujemy cztery mile: żadnej wody. Pokonujemy osiem mil: żadnej wody. Pokonujemy dziesięć mil: żadnej wody. Frank, Francuz, zmarł z pragnienia. Pokonujemy dwanaście mil: żadnej wody. William Ischam zmarł z wycieńczenia i ran. Pokonujemy dziewięć mil: żadnej wody, skończyło się też mięso, dawałem Brianowi Bryanowi pięć dolarów za herbatnika, ale odmówił. Pokonujemy pięć mil: Luther Richard znalazł studnię. Napił się wody i umarł. Zawierała kwas pruski”.

– Teraz rozumiesz, dlaczego chciałam, żebyś zobaczyła Dolinę Śmierci, ponieważ ci z Zachodu są inni – mówi Shirley. – Mieli w sobie siłę, chęć zwyciężenia, której inni nie mieli; i dziś jeszcze tę siłę, chęć

zwycięzenia mają we krwi, zdrowa Ameryka jest jeszcze na Zachodzie. Rozumiesz?

Rozumiem, ale wolałabym, żeby przyszedł nam z pomocą helikopter, samochód, rower; Lori modli się do św. Krzysztofa. Modli się do niego od trzech godzin i słońce niemal już zachodzi, kiedy św. Krzysztof wysyła na drogę żółtą ciężarówkę z napisem „Nuclear Engineering Company”. Zbliża się triumfalnie niczym oddziały federalne, które w westernach posuwają się pośród dźwięków trąb i powiewających flag, a dzieci krzyczą: „Nadchodzą nasi!”, przywozi nam dwóch milczących facetów w niebieskich kombinezonach, dwie pary szybkich rąk chwytają lewarek, podnoszą szybko nasz samochód, zmieniają szybko koło, wsiadają z powrotem do kabiny ciężarówki i odjeżdżają: bez słowa, dosłownie bez słowa. Taki zwyczaj panuje na pustyni. A wiecie, co to jest Nuclear Engineering Company? To firma badająca wraz z General Motors możliwość uzyskania wody z niektórych skał, nawodnienia nią pustyni po to, by założyć tam plantacje grzybów; projekt kupiła NASA, żeby skolonizować Księżyc, a rząd zamierza go zrealizować w Ameryce około 1990 roku.

Około 1990 roku; dzisiejsza rzeczywistość jest jednak zupełnie inna. To hotel, gdzie docieramy w nocy. Nazywa się Stovepiper i nie ma telefonu, wodę czerpie się z ogólnego zbiornika, a elektryczność dostarcza silnik Diesla, który czasami jednak się psuje i wtedy trzeba używać świec. Właścicielką jest stara kobieta, która pięćdziesiąt lat wcześniej przyjechała tu z mężem i uzyskała ten teren na własność na mocy *land grant*: prawa uchwalonego po wojnie domowej, według którego wszyscy biali mogli wziąć sobie kawałek nieuprawnej ziemi, ogrodzić ją, mieć na własność. Do dyspozycji jest trzydzieści pokoi. Gości zaledwie dziesięcioro. Wszyscy uciekli od cywilizacji, ponieważ „cywilizacja drogo kosztuje”. Tutaj nie mają telewizji ani nawet radia, gramofonu. Wieczorem, po kolacji, siadają rzędem na ganku i patrzą na góry, marzą o Beatty. Beatty to miasteczko w odległości czterdziestu mil: z telefonem, barem i kinem. A także kaplicą. Nie myśli się o tym, kiedy mieszka się w Nowym Jorku. Nie myśli się nigdy, że Ameryka to również Stovepiper, Beatty.

Amerykańskie miasta widma sprzed pół wieku są smutniejsze niż Pompeje i Herkulanum

Nie myśli się nawet, że Ameryka pełna jest miast widm: *ghost towns*. Nagle droga się kończy i znajdujesz się w opustoszałym mieście, zniszczonym, w ruinie. Szkielety domów, banków, kościołów, druty zwisające niczym luźne sznurki, ani jednego kota, psa, czegoś żywego, co ruszałoby się na tym cmentarzu. Rzekłbyś, że spadła bomba, że zburzyło je trzęsienie ziemi, zabijając wszystkich, dosłownie wszystkich. Nic nie spadło, nic nie zostało zburzone, nikt nie zginął. Po prostu pewnego dnia pół wieku albo wiek temu mieszkańcy je opuścili: tak jak się opuszcza kochankę, która się znudziła, rodzinę, której już nie kochamy. A miasto, zostawszy samo ze swoimi pustymi domami, swoimi pustymi bankami, swoimi pustymi kościołami, umarło i stało się widmem. Na przykład to miasto. Nazywało się Rhyolite. To było Las Vegas sprzed pół wieku, a raczej sprzed wieku. Umarło pewnej jesiennej nocy w roku 1917; w Europie toczyła się Wielka Wojna. Umarło nagle, niczym osoba zabita strzałem z rewolweru, której zwłoki wystawiono na deszcz i słońce, inni zaś je bezczeszczą, rozbierają. Kiedy to się stało, mieszkało w nim ponad dwadzieścia tysięcy osób, dziewięć tysięcy dwieście było rezydentami. Poszukiwacze złota, hazardowi gracze, *pistoleros*, wesołe kobietki i wreszcie normalni ludzie, którzy tworzą miasto. Wynieśli się między zachodem słońca a świtem, ponieważ cena złota spadła i nie było już warto pozostawać w nim dłużej. Uciekli w ciągu dwunastu godzin, zostawiając wszystko tak jak było, nieposłane łóżka, nakryte stoły, kapelusze zawieszane na ścianie; nie wzięli niczego ze sobą. Nie wybuchła nawet epidemia dżumy ani radioaktywny pocisk. W Rhyolite było dwanaście hoteli, czterdzieści osiem saloonów, dwadzieścia trzy zakłady fryzjerskie i dwa burdele, The Unique i The Adobe. Zaświadcza o tym dokument z 1906 roku, podpisany przez dziewczyny z *varieté*, *concert hall*, jednym słowem z saloonów. „Prosimy burmistrza, by nie roztaczał opieki nad The Unique i The Adobe; to są złe domy. Prosimy burmistrza o wypędzenie następujących dziewczyn, które są złymi dziewczynami: Kitty la Belle, Tessie la Blonde, Little Pay, Skidoo Babe, Mazie i Fay”. Wychodziła również gazeta:

„Skidoo News”. Obok zaś kopalni złota znajdował się, jak wieść niesie, szkielet dinozaura. Teraz nie ma już nic.

– Hallooo – woła Shirley, idąc pustymi ulicami, zaglądając do pustych szkieletów pustych domów.

– Hallooo – woła Lori.

Wygląda na to, że obie dobrze się bawią. Ja natomiast ani trochę. To są sprawy, których my, Europejczycy, nie potrafimy zrozumieć; my chuchamy na nasze miasta, bronimy ich od stuleci, i im są starsze, tym bardziej jesteśmy z nich dumni. Piękne czy brzydkie, miasto jest żywą istotą; jak można je tak opuścić?

– Powiedz mi, Shirley, jak można?

– Można, jeśli na nic już się nie zda. Jeśli trzeba wyjechać, zostawić.

W tej odpowiedzi jest cała Ameryka, która nigdy do niczego się nie przywiązuje, wciąż zmienia adresy, odrywa się bezboleśnie od wszystkiego: od rodziców, dzieci, współmałżonków, domów, krajobrazów. I dlatego nie ma tradycji.

– Halloooo! Jest tam ktoooś?

Ktoś jest. Ostatni mieszkaniec Rhyolite. Kiedy widzimy, jak zjawia się niespodziewanie, cała nasza trójka wpada w osłupienie.

Jest to siwowłosy starzec w kraciastej koszuli i w dżinsach. Nazywa się Tommy Thompson, ma osiemdziesiąt lat i mieszka w chacie z butelek, którą zbudował, żeby się nie nudzić, butelki zaś znalazł w mieście; kiedy już wszyscy uciekli. Z butelek są ściany, z butelek jest dach, z butelek jest buda dla psa i butelki zwisają wszędzie, zawieszane na drutach, wydają lekki dźwięk. Rzeczywiście, sprzedaje je, kiedy przypadkiem ktoś tędy przejeżdża; podobnie jak dwa samochody z 1905 roku i kolaskę miejscowego medyka, kolaski nikt jednak nie chce kupić, bo kiedy tylko jej dotkniesz, rozpada się. Sprzedaje również kolorowe kamienie, drobiny złota z czasów, kiedy pracował w kopalni, a w domu ma muzeum z miejscową *slot machine* (Rhyolite było pierwszym amerykańskim miastem, gdzie wprowadzono *slot machine*) oraz łapą dinozaura.

– Dinozaura, panie Thompson?

– Ależ tak. Odkryli go w tysiąc dziewięćset ósmym roku i zanim zabrali go ci z muzeum, uciałem mu łapę. Wcale ich to nie ucieszyło; mówili, że potrzebna jest także łapa, żeby odtworzyć go w całości, i tak

dalej, i tak dalej, amen. Ale ja jej nie oddałem. Oznajmiłem, że będę strzelać do każdego, kto spróbuje mi ją odebrać, i na tym się skończyło. Chcecie ją zobaczyć?

- Jasne.
- Ale musicie zapłacić.
- Tak, zapłacimy.
- Dwadzieścia pięć centów.
- Okej.

Łapa dinozaura jest wielką skamieliną w kolorze kości słoniowej, w kształcie pnia, właściciel zamknął ją w szklanej trumnie. Wrzuca się dwadzieścia pięć centów i oświetlenie działa przez pięć minut; można wtedy obejrzeć łapę dinozaura. Za taką samą cenę można obejrzeć egzemplarz „Skidoo News” z datą 25 kwietnia 1906 roku oraz tytułem: *Morderstwo w obozie*. Podtytuł głosi: „Morderca zlinczowany przy powszechnej aprobacie. Joe Simpson oddaje śmiertelny strzał do Jima Arnolda i zostaje powieszony przez obywateli”.

- Pan tam był, panie Tommy Thompson?
- A jakże. Miałem dwadzieścia jeden lat.
- I jak to wyglądało, panie Tommy Thompson?

- Wyglądało tak, że Joe był gwałtownikiem i dużo pił. Wziął rewolwer, poszedł po Jima i znalazł go przed bankiem. Jim, powiedział, masz coś przeciwko mnie? A Jim odpowiedział: Nie, Joe, nie mam nic przeciwko tobie. Akurat, powiedział Joe, masz i to jak, nadeszła twoja ostatnia godzina, przygotuj się na śmierć, ty draniu. Potem uniósł rewolwer i strzelił prosto w serce Jima.

- A potem, panie Tommy Thompson?

- A potem był lincz. W nocy. Znaleźli go o świcie, tego Joego, wiszącego na drzewie. Sędzia Thyse bardzo się zdenerwował i zauważył, że to bardzo dziwne, iż wieszanie odbyło się po cichu. A potem dodał, że bardzo nad tym ubolewa, ale taka była wola ludu. Wie pani, z nami trudno było sobie poradzić. Kiedy nie można było znaleźć sędziego, nie cackaliśmy się, wyrażam się jasno?

- Wyraża się pan jasno, panie Tommy Thompson. A skąd pochodzili poszukiwacze złota?

- Zewsząd. Także z Włoch, Niemiec, Francji, Irlandii. Był tu Włoch Giuseppe, który grał na harmonii w salonie Kitty la Belle. Nic mu nigdy

nie pasowało, wciąż powtarzał, że w jego kraju jest lepiej, wciąż wyzywał nas od barbarzyńców. Pewnego dnia ktoś miał tego dość i go zastrzelił.

– A był pan tej nocy, kiedy wszyscy wyjechali, panie Tommy Thompson?

– Pewnie, że byłem. Miałem trzydzieści jeden lat. W gazecie, która wyszła tamtego dnia, można było przeczytać, że złoto nic już nie jest warte, i oni wyjechali. Wozami, dylizansami, samochodami, pociągiem. Wydawało się, że wszyscy oszaleli, rozlegały się krzyki: nic już nie jest warte, złoto nic już nie jest waaarte! Następnego wieczoru można było wejść do domów, hoteli, wziąć, co potrzeba: meble, kołdry, prześcieradła. Nie chodziło przecież o kradzież, prawda? Przyjeżdżali nawet z Los Angeles, żeby zabierać rzeczy. Albo z Las Vegas. Większość przeniosła się do Beatty, Las Vegas.

– A pan dlaczego nie wyjechał, panie Tommy Thompson?

– Żeby żyć dłużej, skoro nie dałem się wykończyć kopalniom, Indianom, rewolwerom. Tutaj klimat jest ciepły, suchy, czyste powietrze; średnia wieku to osiemdziesiąt lat. Ludziom przechodzi tu astma, artretyzm, choroby płuc; jeśli kogoś nie trafi kula z rewolweru, może dożyć stu lat, to murowane. Mój brat umarł w wieku stu lat. Mój przyjaciel John Johnson stu sześciu. – Pauza. – A poza tym lubię przebywać pośród wspomnień.

Shirley słucha, lecz go nie zachęca, by mówił dalej; starzec żyje przeszłością, a ona nie lubi ludzi, którzy żyją przeszłością, tradycjami, wśród duchów. Nie lubi żałować, zaprzętać sobie głowy wspomnieniami; należy do Ameryki, która patrzy za siebie tylko po to, żeby nabrać wiary, odwagi, i porzuca domy, miasta, nie wylewając ani jednej łzy. To jest właśnie bariera, która nas, dzieli i będzie dzielić podczas całej podróży.

– Cóż, żegnaj – mówi do starca, który chciałby nas zatrzymać na dłużej.

Potem podaje mu rękę i popycha mnie w stronę samochodu, włącza silnik. Droga prowadząca do Las Vegas jest długim i wciąż tym samym pasmem z pustynią po bokach. Nic, tylko pustynia. Całymi godzinami pustynia. Piasek, kamienie, skały, kaktusy, krzaki *mesquite* i nic więcej. Przemierzyliśmy w ciągu dwóch dni odległość jak między Mediolanem a Neapolem i widzieliśmy jedynie pustkę. W tej pustce tylko sześć osób:

policjanta, który wypisał nam mandat, mechanika ze stacji benzynowej, dwóch kierowców ciężarówki Nuclear Engineering Company, właścicielkę Stovepiper, starca z Rhyolite, właściciela łapy dinozaura. Również i o tym nigdy nie myślimy, my, którzy przyjeżdżamy z Europy i zatrzymujemy się w Nowym Jorku. Nie myślimy nigdy, że Ameryka jest pusta, pusta na przynajmniej jednej trzeciej swojej powierzchni, niezamieszкана. I pogrążona w niekończącej się straszliwej ciszy.

*

– Czy byłaś kiedyś w Las Vegas? – pyta Shirley, kiedy blask świateł zapowiada, niczym miraż, że zbliżamy się do Las Vegas. – Ja znam dobrze Las Vegas; mieszkałam tam, kiedy mąż był producentem spektakli, mam tam hotel. Zrozumiesz to miasto dzięki mnie. Trzeba przyjechać do Rhyolite, żeby zrozumieć Las Vegas, żeby pojąć upodobanie do gry, które zrodziło się, kiedy pionierzy ryzykowali życie, żeby szybko się wzbogacić. Mieć mnóstwo pieniędzy, ale szybko, nie czekając: to właśnie ich motywowało, to nas motywuje, to jest marzenie na wyciągnięcie ręki, to jest Ameryka. Złoto, srebro, cena nie gra roli. Nie mamy cierpliwości, jesteśmy niecierpliwym krajem. I Las Vegas to ci właśnie daje: złudzenie, że wygrasz złoto, srebro, pieniądze, nie tracąc czasu. Las Vegas to radość zmysłów, to spokój ducha; punkt dojścia, wielkie marzenie, raj.

Shirley jedzie sto dziewięćdziesiąt mil na godzinę: Nevada jest jedynym stanem, gdzie nie ma ograniczenia prędkości. Śpieszy się i ja też się śpieszę: żeby zobaczyć ludzi, usłyszeć jakieś dźwięki, rozerwać się, wyjść z tego koszmaru.

ZA GARŚĆ ALIMENTÓW

Las Vegas, listopad

Mina adwokata od rozwodów jest bardzo przyjazna. Jego oczka przepelnia czułość, na twarzy maluje się serdeczne zainteresowanie.

– Która z pań potrzebuje pomocy? – pyta, przyglądając się najpierw mnie, a potem Shirley MacLaine. Nie rozpoznaje Shirley. Może dlatego, że się nie maluje, że nosi okulary, tak czy owak, nikt jej nie rozpoznaje i pod tym względem podróżowanie z nią jest bardzo wygodne. – Która z dwóch pań?

– Ona. – Wskazuje na mnie od razu palcem Shirley, która nie ma najmniejszego zamiaru zostawić męża, Steve'a Parkera. Dobrze o tym wiem, ponieważ w hotelu śpimy w jednym pokoju i co wieczór muszę się rozbierać przed fotografią Steve'a Parkera, ironiczny uśmiech, bezczelne wąsiki, format 32 x 24, w granatowej ramce; dobrze o tym wiem, bo co noc muszę wysłuchiwać godzinnych, dwugodzinnych rozmów telefonicznych z Tokio; pan Parker mieszka obecnie w Japonii i wygląda na to, że ci dwoje nie potrafią żyć, dopóki sobie wszystkiego nie opowiedzą, podczas gdy ja śpię, i dopóki nie powtórzą sobie, jak bardzo się kochają.

– Ona – powtarza Shirley.

– *Very well*. Pani mieszka w Las Vegas?

– Nie – mówię. – Mieszkam w Nowym Jorku, ale...

– *Very well*. Kto nie mieszka w Las Vegas, musi tu spędzić sześć tygodni, czterdzieści trzy dni, dokładnie mówiąc. Czterdziestego czwartego dnia rozwód. Rozprawa trwa krótko: cztery i pół minuty. Cena przyzwoita: dwieście pięćdziesiąt dolarów. Pocieszy panią wiadomość, że nie trzeba wcale powoływać się na zdradę, udowadniać jej za pomocą odrażających zdjęć, jak robicie to w Nowym Jorku. Wyrażam się jasno?

– Tak, ale...

– Formuła mentalnego okrucieństwa wystarczy w zupełności.

W porządku?

– Dla mnie jak najbardziej – mówię – problem w tym, że nie chcę się rozwieść, panie mecenasie.

– Nie chce się pani rozwieść?! Czy pani oszalała? Nie myśli chyba pani o prawnej separacji, rezygnując w ten sposób z alimentów?!

Potrzebuję co najmniej pół godziny, by mu wyjaśnić, że nie jestem nieszczęśliwą żoną, ale jedynie dziennikarką zbierającą informacje. Wydaje się rozczarowany, przygnębiony. Dopiero w zeszłym miesiącu przeprowadził rozwód Betty Grable i to był prawdziwy triumf. Wyobrażam sobie sumę, którą zdołał wyrwać dla Betty od jej byłego, perkusisty Harry’ego Jamesa. Dwadzieścia dwa lata małżeństwa, a on zawsze przyznawał, że zarabia ze swoją orkiestrą sześćset tysięcy dolarów rocznie. Adwokat chętnie uzyskałby to samo dla mnie. Czy mu obiecuję, ale na serio, że kiedy będę się rozwodzić, przyjadę do Las Vegas i zwrócę się do niego? Obiecuję, obiecuję. Bo muszę wiedzieć, że w Las Vegas jest więcej rozwodów niż w Reno: cztery tysiące siedemset siedemdziesiąt siedem w ubiegłym roku, no właśnie. Jest ich coraz więcej, no właśnie. W 1963 cztery tysiące pięćset pięćdziesiąt; w 1962 cztery tysiące dwieście dziewiętnaście; w 1961 trzy tysiące czterdzieści siedem.

– W Reno robią wiele zamieszania, zadzierają nosa, ale my jesteśmy lepsi. Baby Pignatari nie wybiera się przecież do Reno, przyjeżdża tutaj. Barbara Hutton nie wybiera się przecież do Reno, przyjeżdża tutaj. Marlon Brando nie wybiera się przecież do Reno, przyjeżdża tutaj. Proszę powiedzieć swoim czytelnikom, proszę im powiedzieć: będą bardzo zadowoleni, jeśli tu przyjadą. Dyskrecja, szybkość, solidność. Rozwody w Las Vegas są ważne, to nie rozwody w Puerto Vallarta, w mieście Meksyk. W tym roku mieliśmy wręcz dwadzieścia rozwodów dziennie: czyż to nie nadzwyczajne? Robimy dobrze dla Ameryki, dla świata, proszę to napisać. Pomagamy Ameryce, światu, by ludzie byli mniej nieszczęśliwi, proszę to napisać. Ach, chyba pani nie sądzi, że kiedy się rozwodzą, są nieszczęśliwi? Śmieją się, skaczą, chcą się napić; widać radość w ich oczach.

– Wierzę panu.

– Także dlatego, że na ogół są młodzi. Większość rozwodów w Las Vegas zdarza się wśród małżonków osiemnastoletnich,

dwudziestoletnich. Zauważyła pani blondynkę, która wychodziła roześmiana, minęłyście się z nią w drzwiach? Cóż, wyszła za mąż dwa miesiące temu, w wieku osiemnastu lat. Rozeszła się wczoraj wieczorem i dziś w nocy bierze powtórnie ślub.

– Coś takiego!

– Ona mieszka w Las Vegas, a ten, kto mieszka w Las Vegas, otrzymuje rozwód w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Coś takiego!

– W ubiegłym tygodniu przeprowadziłem aż trzy rozwody innej dziewczyny: ma dwadzieścia pięć lat. Głuptaska wyszła za mąż trzy razy w trzech różnych stanach, za trzech różnych facetów. Trigamistka, jednym słowem.

– I nie miała z tego powodu procesu, panie mecenasie?

– Nie zauważono tego, a zresztą po co wpędzać biedaczkę w kłopoty? Zapłaciła trzy razy po dwieście pięćdziesiąt dolarów: czyż to już nie jest wystarczająca kara?

*

– Uważasz, że to możliwe? – pytam Shirley, kiedy wychodzimy z kancelarii adwokata.

– Oczywiście – odpowiada. – Po co zamykać ją w więzieniu, skoro pozostając na wolności, przynosi dochód Las Vegas, gra w kasynie? Jak myślisz, co robią ci kandydaci na rozwodników w ciągu sześciu tygodni oczekiwania? Cały czas grają, to oczywiste. A jak myślisz, dlaczego w Las Vegas, podobnie zresztą jak w Reno, tak łatwo dostać rozwód? Żeby przyciągnąć ludzi i zachęcić ich do grania, to oczywiste. Wszystko tutaj służy grze. Również śluby, rozwody. Przyjeżdżasz, żeby wziąć ślub, i grasz. Przyjeżdżasz, żeby się rozwieść, i grasz. Ponieważ jest ci smutno, ponieważ jesteś podekscytowany, ponieważ się nudzisz, ponieważ złapałeś bakcyła, i od tego bakcyła nikt się nie uratuje albo prawie nikt. Ci, co tutaj przyjeżdżają, to są ludzie w drodze; również mentalnie. Są nieodpowiedzialni, szaleni. I Las Vegas jest magnesem, który przyciąga nieodpowiedzialnych, szalonych.

Słońce zachodzi i światła zapalają się nad miastem, które senator

Kefauer nazwał „nikczemną i skorumpowaną dżunglą”, Mark Twain określił je jako „najbrudniejszy i najbardziej odrażający odpadek Ameryki”, lecz gdzie samolot ląduje co dwadzieścia minut. Miasto obsługuje istotnie sześć linii lotniczych: Western, United, Bonanza, Delta, National, TWA, z bezpośrednimi lotami z Nowego Jorku, Chicago, Nowego Orleanu, San Francisco, nie licząc linii międzynarodowych z Londynu i Paryża. W powodzi oszalałymi kolorów, żółtego, zielonego, czerwonego, fioletowego, złotego, ciemnoniebieskiego, zapalają się neony trzynastu hoteli-kasyn (Desert Inn, Tropicana, Riviera, Sahara, Flamingo, Dunes, Sands, New Frontier, Thunderbird, Hacienda, Stardust, Tally-Ho, El Rancho), wszystkich w stylu „rokokowego rancza” albo „baroku z Miami”, wszystkich położonych wzdłuż długiej ulicy, którą nazywają Strip. Nie ma nic oprócz nich, oprócz kancelarii adwokackich wyspecjalizowanych w rozwodach, kaplic przeznaczonych na śluby. Las Vegas jest ulicą mającą po bokach i wokół pustynię. Ulicą w pustce. Ulicą, gdzie można zagrać, rozwieść się, wziąć ślub, lecz przede wszystkim grać, grać i jeszcze raz grać. W ruletkę. W chemin de fer. W pokera. W blackjacka. W chinon. W bingo. W kości. Na *slot machine*. *Slot machine* to automat, gdzie wrzuca się monetę wartości jednego dolara albo pół dolara, albo dwudziestu pięciu centów, albo dziesięciu centów, albo pięciu centów, potem opuszcza rączkę, i jeśli dobrze pójdzie, spadnie na ciebie deszcz dolarówek albo półdolarówek, albo dwudziestopięciocentówek, albo dziesięcio- lub pięciocentówek: małe srebrne szaleństwo. Jeśli dobrze nie pójdzie, nie spadnie nic. Na ogół nie spada nic. Więc zaczynasz od początku, uparcie, zakochany w tej maszynie, przed którą nie czujesz wstydu ani strachu, ani kompleksów, ponieważ to jest maszyna, nie człowiek, człowiek cię obserwuje, oszukuje, osądza, maszyna nie, i grasz tak przez całe godziny, dni, noce w oczekiwaniu na małe srebrne szaleństwo, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa.

– Nadstaw uszu – szepcze Shirley – a usłyszysz dźwięk, jaki wydają rączki, podnosząc się i opadając. Z siedemnastu tysięcy ośmiuset ośmiu *slot machines* w Nevadzie dwie trzecie jest tutaj.

Nadstawiam uszu i wydaje mi się, że naprawdę słyszę ten dźwięk. Praca w wielkiej fabryce, która zamiast przynosić pieniądze, kradnie je, kradnie, kradnie...

*

Jak tej staruszce, która w lewej dłoni trzyma tekturowy kubek pełen jednodolarówek, a prawą pracuje. Kobieta nałożyła rękawiczkę, żeby nie dostać odcisków. Raz-dwa. Raz-dwa. Maszyna połyka za każdym razem jej dolara i nigdy nic nie wypluwa, ale ona nie rezygnuje, uparta, z prawą dłonią w rękawiczce, kto wie, ile dotąd przegrała. Kiedy kubek robi się pusty, idzie do kasy i rozmienia banknot dziesięcio- albo dwudziestodolarowy. Robi tak od chwili, kiedy weszliśmy, ja, Shirley i Lori, sekretarka Shirley, do salonu gier w hotelu Dunes: do tej luksusowej i ciemnej celi, bez zegarów, bez okien, bez krzeseł do odpoczynku, po to, byś nie wiedział, czy na zewnątrz jest dzień, czy noc, czy życie toczy się nadal, czy dobiegło końca, byś odpoczął wyczerpany przy zielonym stoliku. Tylko przy zielonych stolikach są stołki na wypadek, gdybyś chciał usiąść; w każdym hotelu-kasynie jest tak samo. Nie możesz również ominąć salonu gier, kiedy wchodzisz, musisz tamtędy przejść, żeby znaleźć się w swoim pokoju, dostać się do baru, do restauracji, do nocnego klubu z show, spektaklem, i za każdym razem, kiedy przechodzisz, piekło cię kusi, przyzywa, przyciąga, żebyś się zatrzymał. Przy zielonym stoliku albo *slot machine*, od której się oderwiesz dopiero wtedy, kiedy przegrasz wszystko. Oni, właściciele piekła, stosują wszelkie środki, żebyś nie mógł się oderwać: jeśli chce ci się pić, przynoszą ci napoje, jeśli jesteś głodny, przynoszą ci jedzenie. I nie musisz nawet płacić: stawia firma. Shirley mówi:

– Zastanawiam się, jaki wielki psycholog wymyślił Las Vegas. Hotele nic tu nie kosztują; za dziesięć, piętnaście dolarów dają ci podwójny pokój i to tak elegancki, że za podobny w Nowym Jorku zapłaciłbyś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Jeśli przegrasz, a jesteś klientem, nie każą ci płacić w momencie opuszczania hotelu: niech się pan, pani uważa za naszego gościa. I ty, wdzięczny, zachwycony, wracasz; ale to nic w porównaniu z największą przynętą, jaką jest *dinner-show*. Za cztery dolary na głowę dają ci kolację i rozrywkę. Zakąskę, befsztyk, langustę, deser, owoce, sporą porcję whisky, i dwie godziny z Frankiem Sinatrą albo Dannym Kaye'em. Albo z Mitzi Gaynor, Leną Horne, Eddiem Fisherem. Plus nagie dziewczyny, takie, jakie możesz zobaczyć w Paryżu. Wstajesz oszołomiony, przekonany, że zaoszczędziłeś, i co

robisz? Grasz za pieniądze, o których myślisz, że je zaoszczędziłeś. A po tych pieniądzach za inne pieniądze; aż przegrasz sto, dwieście, pięćset, tysiąc, dziesięć tysięcy dolarów. Jeśli wygrasz, przypadkiem, wychodzisz z kasyna i idziesz do innego: a ono już opróżni ci kieszenie. Nie ma takiego przemysłu na świecie, który przynosiłby zysk równy temu, jaki przynosi hotel-kasyno w Las Vegas. Właściciele nigdy nie dokładają; jakie to ma znaczenie, że gwiazda spektaklu kosztuje pięćdziesiąt tysięcy dolarów tygodniowo? Jakie to ma znaczenie, że aby ją zobaczyć, płacisz tylko cztery dolary? Gdyby nie występowała, może byś nie przyszedł. Nie licząc tego, że jeżeli gwiazda zagra, właściciele odzyskają to, co jej wypłacili. Kiedy Steve wystawił w New Frontier spektakl *Holiday in Japan*, japońscy tancerze przepuścili całe honorarium.

Ale kim są właściciele hoteli-kasyn?

– To spółki, zdarzają się wręcz burmistrzowie, osoby, które mieszkają w Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles. Nawet ludzie przyzwoici... rząd federalny kontroluje wszystko za pomocą bardzo surowych ustaw; w Las Vegas nie da się oszukiwać.

A kim są turyści?

– Zwykli ludzie, przeciętni; dobre towarzystwo nie jeździ do Las Vegas. Urzędnicy, właściciele stad bydła, miliarderzy, którzy dorobili się na ropie naftowej, robotnicy, jakiś gangster, który w ten sposób może usprawiedliwić wszelki dochód z szantażu albo napadów. Skąd masz te pieniądze? Wygrałem w Las Vegas. I jeszcze purytanie, pełni zahamowań, którzy na dwa dni zapuszczają się w zakazany świat, gdzie wszystko jest dozwolone. Ci, których widzisz.

Oto i oni. Kobiety w długich sukniach, biżuterii, mężczyźni w krótkich spodenkach i podkoszulkach. W Las Vegas możesz przyjść ubrany, jak ci się podoba, nawet boso, jeśli masz ochotę; jeśli nie masz krawata lub butów, z pewnością nie zabronią ci wstępu. Oto i oni. Wydają się nieszkodliwi; w złym guście, lecz nieszkodliwi, beztroskie pary, małżonkowie na wakacjach, ona w długiej sukni, on w krótkich spodenkach i podkoszulku, patrzysz na nich i zapominasz, że miasto jest siedliskiem wszelkiego grzechu, oszustw, zabójstw, prostytutki, szantaży, wszystkiego oprócz kradzieży i napadów. Dziennikarze Ed Reid i Ovid Demaris napisali bestseller *The Green Felt Jungle* (Zielona filcowa dżungla), podając nazwiska dżentelmenów, którzy mieli albo mają do

czynienia z grą w Las Vegas: Frank Costello, Joe Adonis, Charlie Fischetti, Vito Genovese, Tony Accardo, Willie Moretti, Mike Miranda, Joe Magliocco, Lil Pisano, Vincent Mangano, Tommy Lucchese, Carlos Marcello i na koniec świętej pamięci Lucky Luciano i Albert Anastasia. „Najbardziej zadziwiające jest to – odnotował «Saturday Review» – że obaj dziennikarze jeszcze żyją”. W Las Vegas popełnia się średnio jedno morderstwo na miesiąc, lecz we wrześniu i w październiku było siedem morderstw. W Las Vegas jest najwięcej aresztowań z powodu narkotyków; w 1964 roku wzrosły o czterysta procent. W Las Vegas więcej ludzi popełnia samobójstwo niż w jakimkolwiek innym miejscu w Stanach Zjednoczonych: trzydzieści osób rocznie na sto tysięcy. W Las Vegas jest więcej policjantów niż w Waszyngtonie albo na Południu, gdzie wybuchają zamieszki. Policjanci federalni, państwowi, miejscy, prywatni. Ośmiu krupierów na dziesięciu należy do FBI. Straże hoteli-kasyn pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, kolejno od południa do ósmej wieczór, od ósmej wieczór do czwartej rano, od czwartej rano do południa.

– Cokolwiek byś robił, czy grasz, czy nie. Czy mówisz, czy siedzisz cicho, czy kradniesz, jesteś pod stałą obserwacją.

– Ale jak, Shirley? Skąd?

Shirley podnosi wzrok i patrzy w sufit, z którego pada w przemiennym rytmie światło. Lampa się zapala, lampa gaśnie.

– Z góry, ze zgaszonych lamp. Są tam ukryte kamery, TV. Ekrany są na piętrze wyżej. – Potem odwraca głowę w stronę dużego lustra w barokowej ramie: – Stamtąd. Każde lustro jest szybą, zza której mają cię na oku. Nie, nie jest łatwo dokonać napadu w Las Vegas. Świat przestępczy zachowuje tu pozór legalności.

A tymczasem nasza staruszka dalej gra, daremnie wrzuca dolary, daremnie podnosi i opuszcza rączkę prawą dłonią w rękawicze, daremnie... Raz-dwa, raz-dwa... Nagle słychać hałas, automat wibruje, zapala się, wypluwa srebrny deszcz. Staruszka napełnia tekturowy kubek, opanowana, skupiona, i zaczyna od początku.

I jeszcze prostytutki. Policja szacuje, że dziesięć procent miasta ma związek z najstarszym zawodem świata. „O ile wiem – mówi szeryf Ralph Lamb – w Las Vegas nie ma zbyt wielu dżentelmenów, ale wytwornych kobiet jest jeszcze mniej”. Są za to *weekender girls*: to

znaczy te, które przyjeżdżają w piątek wieczór, żeby wyjechać w poniedziałek rano. Z Phoenix albo Los Angeles podróż trwa pięćdziesiąt minut, nawet mniej, i kosztuje dwanaście tysięcy sześćset lirów; tyle, co nic. *Weekender girls* przyjeżdżają bez bagażu, ubrane już wieczorowo, umalowane, żeby „dotrzymywać towarzystwa”, i widząc je, nikt nie podejrzewa, że są sekretarkami albo pielęgniarkami, które przyjechały tu, aby sobie dorobić do pensji. Za wieczór żądają nawet dwieście dolarów, podwójną stawkę *call girl*, która cię kosztuje tylko sto dolarów za godzinę, pięćdziesiąt za to, co tu się nazywa *quickie*, szybki numer. Ale to nic w porównaniu z zarobkami *cocktail waitresses*, czyli *entraineuses*. Te ostatnie, opłacane na mocy regularnej umowy przez hotel-kasyno, dzielą się na *cocktail waitresses* pierwszej i drugiej kategorii. Do drugiej kategorii należą te w sukieneczkach sięgających pachwiny, z odkrytymi nogami w czarnych siatkowych pończochach. Przynoszą drinki klientom zaabsorbowanym grą i w chwili, w której chwytasz za kieliszek, napiwek jest obowiązkowy. Zważywszy na to, że najdrobniejszą srebrną monetą przy zielonym stoliku jest jednodolarówka, można wywnioskować, że w Las Vegas jedynie na napiwkach *cocktail waitress* zarabia około osiemdziesięciu dolarów za noc. Te pierwszej kategorii noszą wieczorowe suknie, nazywane są *pit girls*, pomocnice *pit boss*, dyrektora salonu gier. Wystarczy, że *pit boss* mrugnie okiem, pstryknie palcami, i *pit girl* już staje ci za plecami i mówi: „Chłopcze, przyniosę ci szczęście”. Zamiast przynieść szczęście, kradnie ci żetony, które ukrywa w specjalnie do tego przeznaczonych kieszeniach w futrze, w sukni (jest w Las Vegas pewien specjalista od doszywania takich kieszeni), i jej zadaniem jest zatrzymać cię tam, przy zielonym stoliku. Albo cię doprowadzić, jeśli cię tam nie ma. Zaczynasz od zaproszenia na kolację, drinka w swoim apartamencie, potem kilka godzin płatnej miłości i kiedy tylko ponownie się ubierzesz, już jesteś z nią z powrotem przy zielonym stoliku. Najsłynniejszą *pit girl* w Las Vegas jest ta brunetka, ma około czterdziestki i nazywa się Ruth: wysoka, chuda, roześmiana. Chwali się, że ma pięć futer, dwa cadillaki, luksusowy apartament i że jest lepsza od Yellowbird, rywalki z El Rancho, blondynki, która popełniła błąd, tracąc głowę dla Franka Sinatry, i została zwolniona. Sinatra śpiewał w Sands. Między jednym a drugim jego występem Yellowbird pędziła do Sands, chociaż *pit girls*

nie wolno wyjść z hotelu, gdzie pracują. Nie mogą zresztą wyjść również *chorus girls* występujące w spektaklu: w przerwach mają obowiązek dobrze się ubrać, pójść do salonu gier, zostać tam po to, by mogli do nich podejść klienci, którym się ewentualnie spodobały. Załóżmy, że tym razem postanowiłeś: dziś wieczór nie, nie wstąpię, nie zagram, wracam prosto do pokoju, i przechodząc przez salon, widzisz ją, tak, blondynkę, która stała w trzecim rzędzie, blondynkę, która ci się spodobała, ładną także w ubraniu, która uśmiecha się, szepcze: „Halo, co porabiasz?”. Twierdzić, że Las Vegas jest klasztorem, schronieniem dla panienek z dobrych domów, gniazdem ascetów, to grzeszyć brakiem ścisłości. W Las Vegas wszyscy są tacy swobodni, do ubiegłego roku wielebny Anthony Crowley odprawiał tam co rano o czwartej mszę, w Crown Room w hotelu-kasynie Stardust, i głosił: „Czyż u stóp krzyża żołnierze nie zagrali o płaszcz naszego Pana?”.

Kiedy władze kościelne nakazały mu spakować walizki i wynosić się, Las Vegas go oplakało, urządzając pożegnalne przyjęcie, w którym wzięło udział dziewięć tysięcy osób plus sześćdziesiąt cztery spośród tancerek i akrobatów, *pit girls*, *call girls*, *weekender girls*, *cocktail waitresses*; przyjęcie zaczęło się o dziewiątej wieczorem i skończyło o trzeciej nad ranem. Wielebny śpiewał: *God Bless America*, za dwa dni miało nadejść Boże Narodzenie.

– Chciałabym bardzo się dowiedzieć – mówię Shirley – jak wygląda Boże Narodzenie w Las Vegas.

Shirley odpowiada:

– W Las Vegas próbuje się nie pamiętać, że jest coś takiego jak Boże Narodzenie. W Las Vegas nie ma Bożego Narodzenia.

Dziwne, ale nie ma również dzieci. W Ameryce produkującej więcej dzieci niż jakikolwiek kraj na świecie i nieoszczędzającej ci nigdy widoku ulic wypełnionych dziećmi, parków wypełnionych dziećmi, autobusów wypełnionych dziećmi, Las Vegas jest miastem bez dzieci. Nigdzie i nigdy ich nie widzisz. Można by rzec, że wszyscy rodzą się dorosłymi albo przychodzą na świat już starzy. Albo raczej: że nikt się nie rodzi, nigdy, nawet przypadkiem, przez pomyłkę. A przecież Bóg jeden wie, ile osób bierze ślub w Las Vegas. Przemysł ślubny kwitnie jeszcze bardziej niż przemysł rozwodowy. W 1964 roku burmistrz Las Vegas wydał trzydzieści sześć tysięcy siedemset jedno zezwolenie,

w 1963 trzydzieści pięć tysięcy czterysta czterdzieści dziewięć, w 1962 trzydzieści dwa tysiące osiemset cztery, w 1961 dwadzieścia dziewięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dwa, w 1960 dwadzieścia osiem tysięcy dwieście sześćdziesiąt jedno, a w tym roku ma ich być czterdzieści tysięcy. Biuro zezwoleń otwarte jest dwadzieścia cztery godziny na dobę; żeby dostać papier, wystarczy przysiąc, że nie jest się zamężną ani żonatym, na ślub wystarczy kaplica i wszystko trwa nie więcej niż pół godziny. John i Jane, dwójka młodych Murzynów, których spotkaliśmy po drodze, on w wieku trzydziestu lat, ona dwudziestu pięciu, on jest robotnikiem, ona kelnerką, przyjechali pół godziny wcześniej i „już wszystko załatwili”. Podróż poślubna? Ależ nie, dwa, trzy razy zagrają na Strip, potem wyjadą. Ich praca jest w Los Angeles, a dom nie wiadomo gdzie; nie mają mieszkania, nie wiedzą, gdzie będą mieszkać, „to była taka niespodziewana decyzja”. Cóż, dlaczego nie miałybyśmy z Shirley obejrzeć ich ślubu w Las Vegas? Wzdłuż Strip są setki kaplic: w kształcie kościołów, karuzeli, sklepów, mają kiczowate nazwy: Słodkie Serce, Mój Kupidyn, Niebiańska Przyszłość.

Wchodzimy na chybił trafił do jednej z nich. Nazywa się Kaplica Dobrej Wróżby, właścicielka wyjaśnia, że nie dba o koszty, żeby zadowolić „klientów”. Za pięć dolarów oddaje kaplicę do dyspozycji i jeszcze zagra na organach. Za piętnaście dolarów dostarcza sędziego albo wielebnego, nagrywa ceremonię na taśmę, daje w prezencie taśmę, bukietik kwiatów i sypie garść ryżu na państwa klientów. Ryż nic nie kosztuje: jest dodatkiem do prezentu: paczuszki ze szczoteczką do zębów, pastą, mydełkiem i płynem do prania. Właścicielką jest Norma Olson, rozwiedziona brunetka z pięciorgiem dzieci. Olson jest nazwiskiem byłego męża, ona nazywa się Rico; pochodzi z Barcelony, a jej matka jest z Sewilli.

– Do Las Vegas trafiłam dwadzieścia lat temu, były tu wtedy tylko dwa hotele-kasyna, Thunderbird i New Frontier, miasto rozwinęło się w ciągu dwudziestu lat, nawet mniej. Kupiłam tę kaplicę i lubię swoje zajęcia: świat kocha miłość, a ja organizuję miłość. Aż do dziś odbyło się tu pięć tysięcy ślubów, średnio dwieście na miesiąc. Niech pani pomnoży dwieście przez dwadzieścia dolarów, a przekona się Pani, że zarabiam cztery tysiące dolarów miesięcznie.

– Pani Olson, mogłybyśmy zobaczyć ślub?

– Oczywiście, musicie tylko poczekać: od czwartej rano było już sześć ślubów. Gdybyście przyszły trochę wcześniej, byli tu Apero i Atanoga, dwójka Polinezyjczyków z Hawajów, dziewięćset dziewięćdziesiąta dziewięć para w październiku. Następna będzie tysięczna.

*

Tysięczna. Oto i oni, przychodzą z zezwoleniem w ręce, zasapani. Ona jest tęgą, ma metr dziewięćdziesiąt, ogromny tyłek, parę niewidocznych oczek; nazywa się Ruth Rasmussen i pracuje jako urzędniczka w jakimś biurze w San Diego. On jest blondynem o wyglądzie zarazem agresywnym i sennym, nazywa się Mike Wehr i jest marynarzem, który dopiero co wrócił z Wietnamu, gdzie służył pół roku. Rówieśnicy: dwadzieścia trzy lata. Przepytuje ich Shirley, która lubi bawić się w dziennikarkę i twierdzi, że kiedy tylko wystarczająco się wzbogaci, ale tak naprawdę, porzuci kino i zajmie się dziennikarstwem: będzie sama sobie finansować reportaże, żeby robić to, co lubi.

– A więc kiedy się poznaliście?

– Rok temu, na potańcówce. Ale nie myśleliśmy wcale o ślubie – przyznaje Ruth, zawstydzona. – Uczucie zrodziło się, kiedy pojechał do Wietnamu i zaczął pisać, że ma dość samotności na wojnie i tak dalej, i tak dalej, amen.

– Kiedy przyjechaliście?

– Dziś rano.

– Kiedy wyjeżdżacie?

– Dziś wieczorem, kiedy trochę sobie pogramy.

– Macie jakieś mieszkanie?

– Nie, jeszcze nie. Nie myśleliśmy o tym. Ja mieszkam w pensjonacie, on w koszarach. Coś znajdziemy, prawda?

– A dlaczego nie wzięliście ślubu w San Diego?

– Potrzeba było trzech dni, i jeszcze badanie krwi, mnóstwo zawracania głowy. Pomyślałam: w ciągu trzech dni on mógłby zmienić zdanie, lepiej popędzić od razu do Las Vegas.

– I nikt nie wie, że bierzecie ślub?

– Nikt. To będzie sekret aż do czwartku. W czwartek powiemy, że

mamy ślub, i w ten sposób dostaniemy wolne w piątek, co razem z weekendem daje trzy dni.

Pojawia się wielebny: bardzo wysoki, ubrany na czarno. Należy do kościoła baptyistów, nazywa się Thomas Daly i mieszkał przez dwadzieścia lat w Szanghaju, teraz mieszka tutaj z żoną, dziećmi, wnukami. Patrzy na Shirley z bardzo frywolnym zainteresowaniem, mówi:

– Chyba panią znam. Jest pani podobna do Shirley MacLaine.

– Nie, nie, nazywam się Parker – odpowiada Shirley.

– Ale jest pani do niej podobna.

– Wszyscy mi to mówią.

– Gdzie pani mieszka?

– W Tokio, w Japonii.

– Co pani robi?

– Jestem dziennikarką, pracuję dla włoskiego tygodnika. To jest moja asystentka.

– W takim razie nie jest pani Shirley MacLaine – dochodzi do wniosku wielebny Thomas Daly.

– Państwo klienci zechcą przejść do kaplicy?

Państwo klienci wchodzą, pani Olson pieści ich wzrokiem:

– Biedacy, tak się denerwują. Oboje pierwszy raz biorą ślub, nie są przyzwyczajeni.

Potem siada do organów i zaczyna grać: Pata tram! Pata tram! Pata traam! Wielebny staje przed czymś w rodzaju ołtarza:

– Mike Wehr! Chcesz pojąć za żonę Ruth... do wszystkich diabłów, świadkowie! Zapomnieliśmy o świadkach!

Shirley podnosi palec:

– Jeżeli ja i moja asystentka możemy się na coś przydać...

– Czy panie znają tych dwoje?

– Od urodzenia! – krzyczę.

– I możecie przysiąc, że nic nie stoi na przeszkodzie temu małżeństwu?

– Na moje życie i mój honor! – krzyczę.

– A więc od początku: Mike Wehr, czy chcesz pojąć za żonę Ruth, kochać ją, wspierać, szanować, utrzymywać, w zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i biedzie, dla dobra was obojga, dopóki śmierć was nie

rozłączy?

- Chcę – mówi Mike zupełnie bez przekonania.
- Ja też chcę – mówi Ruth z wielkim przekonaniem.
- Okej. Załatwione.

Wielebny odchodzi od ołtarza, podczas gdy państwo młodzi całują się namiętnie jak w kinie, i podchodzi do Shirley:

– Szybko, co? We Włoszech jest tak samo?

– Och, nie – mówi Shirley. – Tam trzeba dać ogłoszenie miesiąc wcześniej, a potem jest przyjęcie, rodzina...

– Idiotyzmy – orzeka wielebny i odchodzi. Odchodzą również, potykając się, państwo młodzi, oboje bardzo brzydki. Pani Olson pieści ich wzrokiem i powtarza:

– Biedacy, tak się denerwują. To pierwszy raz. Następnym razem będą się czuli bardziej swobodnie.

I to jest Las Vegas. Nasza podróż trwa nadal, dołączył do nas Bjorn, szwedzki przyjaciel Shirley. Zajmie miejsce Lori, która dziś wyjeżdża. Następny etap – Indianie.

SZLAK INDIAN NAVAJO

Gallup, Nowy Meksyk, listopad

Z daleka wygląda to jak kwiat: żółty, czerwony i niebieski. Na pustyni Arizony jesienią kaktusy kwitną niekiedy takimi kolorami tęczy. Potem kwiat zaczął biec, szybko, w naszą stronę, i nie był to kwiat, to było dziecko: indiańskie dziecko, w stroju Navajo, w nakryciu głowy z żółtych, czerwonych i niebieskich piór, ze srebrnymi bransoletkami, naszyjnikami, paskiem wysadzonym turkusowymi kamieniami. Natychmiast wysiedliśmy z samochodu: ja, Szwed Bjorn i Shirley MacLaine.

– *Good morning* – powiedziała Shirley.

Dziecko nie rozumiało po angielsku. Odwróciło się do nas plecami, żałując, że przybiegło, i schroniło się pod jednym z daszków, które stoją wzdłuż drogi co trzy, cztery mile, by ofiarować kwadrat cienia. Pod daszkiem była jego matka: tobołek zawinięty w granatowy materiał, z tępą twarzą z terakoty i mnóstwem plastikowych wałków w czarnych, tłustych włosach, nad którymi wirował rój oszalałych much.

– *Good morning* – powtórzyła Shirley.

Ale również kobieta nie rozumiała po angielsku. Rozejrzała się wokół, jak gdyby chciała się przekonać, czy mówimy do niej, jak gdyby nie wiedziała, że na przestrzeni wielu mil nie ma nikogo poza nimi i nami, zawstydzona spuściła głowę i szepnęła coś do dziecka w języku navajo. Dziecko podało nam kartkę do przeczytania. Drukowanymi literami było napisane po angielsku: „Nazywam się Robert Johnson, mój adres to skrzynka pocztowa 57, Cameron, Arizona. Mam pięć lat i za rok pójdę do szkoły. Pozowanie do zdjęć jest jedynym sposobem na to, by zarobić dolary. Minimum to jeden dolar, dziękuję”. Sfotografowaliśmy go i zapłaciliśmy sześć dolarów, które kobieta włożyła do blaszanej puszki obok mniejszego tobołka przykrytego łachmanem. Shirley spytała, co jest pod tym łachmanem, spytała w języku navajo, bo zna w nim kilka słów, i kobieta uniosła łachman: skrywał drugie dziecko, około

półtoraroczne, również pokryte muchami. Shirley spytała, ile dzieci liczy jej rodzina, i kobieta zaczęła stawiać kreski na piasku: zrobiła dziewiętnaście kresek. Shirley spytała, gdzie mieszka jej rodzina, i kobieta uniosła ramię z terakoty, wskazując palcem z terakoty odległy punkt: Wielki Kanion. Nie mogę przestać myśleć o tym tobołku domagającym się pieniędzy za fotografowanie swojego syna, który nazywa się Johnson, jak prezydent Stanów Zjednoczonych, ale nosi nakrycie głowy z piór: prawie jakby się bawił w Indian. Nie potrafię myśleć o niczym innym, podczas gdy nasz samochód pędzi w stronę części Ameryki noszącej nazwę Indian Country: ostatniego skrawka, gdzie schronił się lud, któremu ukradliśmy ziemię, drzewa, rzeki, żeby zamknąć go w ogrodzonych rezerwach niczym koziorożce i bażanty.

– No i o czym myślisz? – pyta ni stąd, ni zowąd Shirley.

– Myślę, że to była ich ziemia – odpowiadam – to była ich ojczyzna, a myśmy ją ukradli. Żeby czego ich nauczyć? Proszenia o dolara za każde zdjęcie. Nie czujesz się winna, Shirley?

Shirley wyciera nos, wkłada duży palec do ust, jak zwykle, gdy się zastanawia albo chce wywołać kłótnię, cedzi słowa; to delikatna sprawa rozmawiać z Amerykanami o Indianach.

– Winna, że odkryliśmy kontynent i ucywilizowaliśmy go? Winna, że zbudowaliśmy tu domy, mosty, koleje żelazne, lotniska, szpitale, szkoły? Winna, że przynieśliśmy tu postęp?

– Winą jest zamykać ich w rezerwach – odpowiadam – i posyłać na śmierć, kiedy wybuchła wojna, lecz nie pozwalać im głosować, by mogli wybrać rząd, który wyśle ich na wojnę.

– Okej – przyznaje Shirley. – To wstyd, jeśli chcesz. Ale nie jest wstydem, że rezerwy należą do nich, że nie płacą podatków, że każdego miesiąca rząd federalny wypłaca im pensję pozwalającą żyć bez pracy, że szkoła jest za darmo. Nie trzeba żebrać przy autostradach, żeby pójść do szkoły.

– Sądziłam, że ty szanujesz Indian.

Shirley znowu wyciera nos, wkłada duży palec do ust.

– Szanuję ich, szanujemy za to, jak się bronili, jak nas atakowali, kiedy przejeżdżaliśmy przez ich ziemię na wozach i ze strzelbami. Wystarczy pójść do kina, żeby zrozumieć, jak ich szanujemy: w filmach umierają zawsze szlachetnie, nigdy jako zdrajcy. Szanuję ich, szanujemy, tak jak

szanuje się deszcz i grzmot, gniew natury. Szanuję ich, szanujemy, ponieważ ich pokonaliśmy i upokorzyliśmy. Ale muszę przyznać, że coś mi się w nich nie podoba.

– Co takiego, Shirley?

Shirley patrzy na mnie trochę niechętnie.

– Powiem ci, kiedy się zatrzymamy w pierwszej wiosce, za Wielkim Kanionem.

Shirley chce, żebym przed Indianami zobaczyła Wielki Kanion, twierdzi, że tak samo, jak w wypadku pustyni, nie można zrozumieć Ameryki, jeśli się nie zobaczy Wielkiego Kanionu. Ameryki nietkniętej, Ameryki pięknej, Ameryki wielkich przestrzeni, nie zaś wieżowców, wynalazków technicznych, zrealizowanej wizji rodem z science fiction.

*

Wielki Kanion jest w Ameryce zabytkiem narodowym, podobnie jak kościół, pomnik, pałac.

– I to jest coś, co nas ratuje – mówi Shirley – co nas oczyszcza z naszego materializmu, z naszej miłości do pieniędzy. Nie ma wielu rzeczy, za które należą się nam brawa, nam, Amerykanom. Ale za to tak, za uwielbienie dla cudów przyrody: jakbyśmy byli dziećmi albo dzikusami. My jesteśmy młodzi; nie mamy waszej *sofistication*, waszego wyrafinowania, waszego cynizmu, waszych dzieł sztuki. Nie mamy piramid ani kaplicy Sykstyńskiej, ani Koloseum, ani rzeźb Partenonu, ani meczetów Granady. Nie mieliśmy czasu, a może także zdolności, by wznieść podobne zabytki. I dlatego uznajemy za zabytki to, czym obdarzyła nas przyroda. Gdybyśmy mogli, uczynilibyśmy zabytkiem narodowym deszcz i wiatr.

Istotnie, surowe kary spotykają kogoś, kto zerwie w takich miejscach liść, kto przesunie kamień; my, Włosi, nie bronimy z równą troską muzeów, fresków Leonarda da Vinci i Giotto. Nikomu nie wolno tu budować, oszpecać reklamami, plakatami; jedynym hotelem jest kompleks drewnianych pawilonów ukrytych wśród drzew, własność rodziny Harveyów, potomków Freda Harveya, listonosza, który w osiemnastym wieku, na koniu, woził pocztę z El Paso do Las Vegas

i jako pierwszy otworzył w środku lasu zajazd-gospodę. Kto chce zjechać do dolin, nie może tego zrobić bez przewodnika; w tych prehistorycznych otchłaniach leży jeszcze osiemdziesiąt wiosek należących do Navajo.

Nocą można zobaczyć ich ogniska, tu i tam pośród skał, roje świetlików. To są wioski, gdzie ludzie żyją, mówią, modlą się tak samo jak dwieście, trzysta lat temu; naprawdę Ameryka nie składa się cała z wieżowców, wynalazków technicznych. Żeby dojechać do tych wiosek, potrzeba od trzech do piętnastu dni: zjeżdża się do Kanionu jedynie na grzbiecie muła. Niewielu się tam wybiera; to ryzykowne. Co do nich, Navajo, przyjeżdżają tylko raz w miesiącu, żeby pobrać tę swoją słynną rentę. Zastanawiam się, czy to właśnie nie podoba się Shirley, i próbuję spojrzeć jej w oczy. Ale Shirley zajęta jest prawieniem nam kazania, niczego tak nie lubi, jak wygłaszać do nas kazania, robi to średnio trzy razy dziennie, i teraz radzi, żebyśmy zostawili samochód otwarty, kiedy dojedziemy do Tuby, do plemienia Hopi.

– Indianie nigdy nie kradną i obrażają się, kiedy zamykasz drzwi na klucz. Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyli się tutaj pionierzy, było niezamykanie drzwi na klucz. – Zaleca nam, żebyśmy nie robili zdjęć bez ich zgody. – Indianie są przekonani, że wraz ze zdjęciem kradniesz im duszę. – Zaleca nam, żeby mówić w bardzo złej angielszczyźnie: – Nadal nienawidzą Amerykanów...

Nienawidzą to może za dużo powiedziane, lecz z pewnością nie kochają ich do szaleństwa. Kiedy tylko zjawisz się w wiosce, w Tubie na przykład, pierwszą reakcją jest powszechna ucieczka, potem odgłos zatraskiwanych drzwi. Kiedy się zatrzymaliśmy, ulica była pełna ludzi; teraz nie ma tu nikogo. Opustoszała w mgnieniu oka, została jedynie młoda para ze śpiącym noworodkiem, która przygląda się nam gniewnie. Twarze z terakoty są nieruchome, ciemne migdałowe oczy wpatrują się w nas twardo, wyzywająco, jak gdyby ci ludzie chcieli powiedzieć: czego chcesz, zobaczymy, czego chcesz. Podobnie jak niektórzy chłopcy w Kalabrii albo na Sycylii; wioska przypomina zresztą jakąś sycylijską, kalabryjską wioskę: rząd parterowych domków, zapach jedzenia, a z daleka melodia starej piosenki z płyty.

- Kto pierwszy spróbuje nawiązać kontakt, ty, Shirley?
- Mowy nie ma.

- Ty, Bjorn?

- Wybacz, nie dam rady.

Więc próbuję ja:

- Dobry wieczór, jakie śliczne dziecko, pani jest mamą, pan jest tatą, gratulacje, jak się nazywa?

Dziecko jest przywiązane skórzanymi sznurkami do dwóch drewnianych desek: indiańskiej kołyski, żeby rosło proste. Otwiera oczy, również ono obserwuje mnie pogardliwie, jakby chciało powiedzieć, czego chcesz, zobaczymy, czego chcesz. Upieram się:

- Państwo mnie rozumieją? Mój angielski jest zły, wiem. Nie jestem Amerykanką, jestem Włoszką, jasne? Europa... To bardzo...

Gdzie leżą Włochy, podobnie jak Europa, nie mają pojęcia. Ale sądząc po gościu, jaki wykonuję, musi to być bardzo daleko, za górami, za morzem, jednym słowem, nie w Ameryce; i nagle kobieta się uśmiecha, mężczyzna się uśmiecha, dziecko się uśmiecha. Nazywa się Supia, zostaje poinformowana, a mama Dalma, tata Frank Honahni.

- Proszę, niech pani wejdzie do środka. Proszę, ze swoimi przyjaciółmi. Także pan nie jest Amerykaninem?

- Nie, nie, jest Szwedem.

- A ta druga pani?

- Och, ona mieszka w Japonii.

Prawie jakby skończył się alarm, z sąsiednich domów wypadają inni Honahni: kobiety w kwiecistych sukniach, mężczyźni w kraciastych koszulach i dżinsach, wnoszą dzieci przywiązane skórzanymi sznurkami do dwóch drewnianych desek. Tak również dzieje na Sycylii, w Kalabrii, i izby są takie same: ubogie, brudne, z fotografiami zmarłych na ścianach. Tylko że w kuchni jest lodówka, a w sypialni telewizor. Na podwórzu zaś stoi samochód; nie ma ani jednego Indianina w rezerwacie, który nie miałby chociaż furgonetki. Czerwonoskórych, którzy tańczą z tomahawkami, cali w piórach, srebrnych i turkusowych naszyjnikach, z twarzami w maskach, można zobaczyć jedynie w trakcie tańców plemiennych, które Izba Handlowa organizuje w każdą niedzielę dla turystów. A jednak...

A jednak, popatrz na Ramsona Honahniego, głowę rodziny Honahni: czterdzieści pięć lat, malarz, ślepy na jedno oko. Stracił oko w Korei. Kiedy mówi, wszyscy milczą; z szacunkiem. I kiedy Shirley prosi go, by

pokazał swoje obrazy, wstaje uroczyście i pokazuje jej te same obrazy, które malował jego dziadek i dziadek jego dziadka i tak było aż do dnia, kiedy przybył Francisco Vázquez de Coronado, żeby wszystko zniszczyć. Widać na nich niezmiennie wojowników, ale każdy wojownik jest bogiem: bogiem słońca, bogiem deszczu, bogiem księżyca.

– Panie Ramsonie, czy jest pan wierzący?

– Tak, oczywiście.

– Do jakiego kościoła pan chodzi?

– To jest mój kościół.

I wskazuje brązowym palcem na boga deszczu, boga słońca, boga księżyca. Wokół wioski jest mnóstwo kościołów: katolicki, metodystyczny, prezbiteriański, lecz Hopi uparcie pozostają poganami, wierni religii swoich ojców, plemiennym tradycjom. Rozmawiają z nami po angielsku, między sobą jednak mówią w języku hopi. Nazywają się Violet, Wilbert, Helene; między sobą jednak nazywają się Yonimana, Maricopa, Hoskinnini. Ubierają się na modłę zachodnią; kiedy jednak biorą ślub, wkładają skórzany strój. Tracą wzrok w Korei, kiedy jednak tylko powrócą do domu, zaczynają malować deszcz i słońce.

– Do widzenia, panie Ramsonie Honahni; mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Och, nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli, chyba że pani tu kiedyś zajrzy. Nie opuszczam wioski.

– Shirley, czy to ci się w nich nie podoba?

Shirley się złości:

– Tak, właśnie to! Tobie ich bierność wydaje się poetyczna, dla mnie jest zdradą. Pozostając zamknięci w rezerwach, w Wielkim Kanionie, zdradzają pewne marzenie: American Dream. Amerykańskie marzenie. American Dream polegało na tym, by wyruszyć, iść do przodu, mieszać się z innymi, zmieniać, walczyć. Marzenie, które przyświecało pielgrzymom z „Mayflower”, pionierom z Zachodu, marzenie, które przyświeca Murzynom, kiedy domagają się praw obywatelskich, marzenie, które przyświeca astronautom, kiedy lecą na Księżyc, na Marsa. Indianie zaś pozostają w miejscu: zadowolają się miesięcznym odszkodowaniem, wypłacanym przez nas za to, że zrabowaliśmy im ziemię, którą posiadali i kochali. Dlaczego? Mogą wyjść w każdej chwili z rezerwatów, mogą w każdej chwili stać się amerykańskimi

obywatelami tak jak inni; wystarczy, żeby zrezygnowali z jałmużny pozwalającej im żyć beczynn timer. Dlaczego tego nie robią, dlaczego? Dlaczego nie spluną na nasze pieniądze? Niektórzy tak zrobili, na przykład Jim Thorpe, mistrz olimpijski, był z plemienia Czirokezów. Dlaczego nie powiedzą: dość, chcę zostać bankierem, pilotem, śpiewakiem? Rezerwaty są ich własnością i nic z nimi nie robią. Często nie umieją czytać ani pisać, z cywilizacji, będącej na wyciągnięcie ręki, przejmują tylko lodówki, telewizję, samochody, domy z betonu. Nie zaś American Dream, marzenie o tym, by zaryzykować, ośmielić się, wypowiedzieć posłuszeństwo! Dlaczego?

Być może dlatego, Shirley, że istnieje forma dumy, która nazywa się milczeniem, forma miłości, która nazywa się tęsknotą, forma wielkości, która nazywa się wiernością. Wiernością tradycjom, przeszłości. W Ameryce tylko Indianie są do niej zdolni; i to jest rzecz, co do której ja, będąc Włoszką, i ty, będąc Amerykanką, nigdy się nie porozumiemy, przenigdy. Popatrz, co się dzieje z Indianami, kiedy zapominają o dumie, milczeniu, tęsknocie i uczą się Nowego od dzisiejszych ludzi. Popatrz, co się z nimi dzieje.

*

Plakat zawiera podniosłe przesłanie. Głosi: „Podnieś głowę, bracie; żyjesz w kraju przeznaczonym dla ludzi wyprostowanych, ludzi dumnych. Odetchnij głęboko, człowieku; powietrze jest tutaj dobre, wyżywiło pierwszych imigrantów. Kroc dumnie, przyjacielu; stawiasz stopy tam, gdzie postawili je konkwistadorzy, śmiali czerwonoskórzy...”.

Jesteśmy w Nowym Meksyku, ziemi Pueblos: Indian, którzy nauczyli się Nowego od dzisiejszych ludzi. Jesteśmy w Gallupie, piętnaście tysięcy dziewięćset siedemdziesięciu mieszkańców, Indian Capital of the World.

– Prawdziwa wioska Pueblo? – Drapie się po głowie jeden z jego mieszkańców. – Niech się zastanowię, tak, jedźcie do Acomy. W Acomie wyrobicie sobie o niej dokładne pojęcie.

Acoma jest pierwszą gminą, gdzie dotarł zakonnik Marcos de Niza, to jedno z tych miast złota, które chciał zdobyć Vásquez de Coronado. Acoma znaczy miasto nieba i leży przyczepione do skały,

w rdzawoczerwonej dolinie, bez ani jednego drzewa, odrobiny zieleni, usianej tylko skałami w kształcie dzwonnicy, wieży, spalone nieustannym, oślepiającym słońcem. Jeszcze kilka lat temu mieszkało tu tysiąc osób, teraz zaledwie pięćdziesiąt; tam w górze jest się odcięty od świata. Kto wspina się tą piaszczystą ścieżką, gdzie samochód się zapada, kto mieszka w tej odległej przeszłości? Tutaj nie ma elektryczności ani telefonu, ani telewizji, domy są jeszcze z kamienia, tarasowe i z jednego poziomu na drugi wchodzi się po drewnianej drabinie. Chleb piecze się jeszcze w okrągłych piecach z kamienia opalanych chrustem, kobiety noszą jeszcze szerokie spódnice, długie do kostek, jakie przywiózł Coronado, starcy opaski na czole. Jedynym rzemiosłem jest wyrób glinianych garnków, które wypalają w piecach chlebowych i malują w geometryczne wzory: te same, co w czasach, kiedy pieniądz uważany był za łajno szatana, a kto go tknął, umierał.

– Tędy, proszę – mówi do nas mniej więcej osiemnastoletnia Indianka: wałki we włosach, dżinsy. Następnie wprowadza nas do rodzaju biura i rzuca nam księgę rejestracyjną. – Pisać, proszę. Imię, nazwisko, wiek, powód podróży, adres, numer rejestracyjny samochodu, marka samochodu, liczba aparatów fotograficznych, rodzaj aparatów fotograficznych, liczba filmów, liczba zdjęć, które zamierzacie zrobić. Cena zwiedzania wioski: trzy dolary na głowę, opłata za każdy aparat fotograficzny dwa i pół dolara, opłata za każde zrobione zdjęcie dolar siedemdziesiąt pięć. Napiwek dla przewodniczki płaci się oddzielnie. Przewodniczką jestem ja. Nazywam się Alla Vajo.

Mówi świetnie po angielsku, jej twarz jest brązowa, płaskonosa, maluje się na niej chytrość i pogarda; w mgnieniu oka pozbawia nas równo czterdziestu dolarów. Potem chwyta ołówek i notes, gdzie zapisuje każde zrobione przez nas zdjęcie, i prowadzi do kościoła, który kazał zbudować Coronado; wyjaśnia, że wszyscy mieszkańcy Acomy są katolikami. Przed kościołem, takim samym jak wiele innych na południu, bardzo prostym, leży dość specyficzny cmentarz: na każdym grobie, obok krzyża, widać talerz z mięsem i jarzynami, kawałek ciasta, jabłko, banana, dwie, trzy papryki, a zatem pełny obiad, żeby dusza zmarłego mogła się posilić nocą, kiedy nikt nie widzi. I daty urodzenia, daty śmierci opowiadają o zjawisku zarazem wspaniałym i strasznym: nikt w Acomie nie umiera, zanim nie skończy stu dwóch lat. Chyba że

oczywiście zostanie zabity albo sam się zabije. A wiecie, kto jest najstarszy z tych szczęśliwców? Pewien Włoch. Nazywał się Lorenzo Pino, urodził się 6 września 1849 roku i zmarł 7 lipca 1965: w wieku stu piętnastu lat. Żeby sfotografować jego grób, płacimy dodatkowe dwa i pół dolara.

– Ale przecież już zapłaciliśmy dolara siedemdziesiąt pięć centów za zdjęcie! – protestuje Shirley.

Bez zmruczenia oka, nie otwierając ust, dziewczyna wyciąga otwartą dłoń. Wszystko ma swoją cenę w Acomie, wiosce, która uczy się Nowego od dzisiejszych ludzi. Półtora dolara za zrobienie zdjęcia staruszce, która sprzedaje wyroby ceramiczne, nazywa się Mary Istia i ma dziewięćdziesiąt dwa lata, trzy dolary za zrobienie zdjęcia dwóm kobietom na tarasie, dziesięć dolarów za zrobienie zdjęcia Jeremiaszowi, starcowi starszemu od wszystkich, który siedzi na skale w swojej czerwonej opasce na głowie. Jeremiasz jest ślepy i ma sto jeden lat, ale jego słuch jest bardziej wrażliwy od kosmicznego radaru: kiedy słyszy klik aparatu fotograficznego, krzyczy po hiszpańsku:

– *Dinero, dinero!*

Rzeczywiście, mówi po hiszpańsku, nie zna angielskiego. Shirley daje mu dziesięć dolarów: Jeremiasz maca je, zwija w kulkę i wyrzuca za skałę w przepaść.

– *Cosa es esta carta de mierda. Quiero argento, no carta.*

Wybuch awantura. Shirley, na ogół tak pełna szacunku, uprzejma, czuje się urażona aż do pięćdziesiątej gwiazdki swojej flagi i odpowiada, że to jest dobry amerykański pieniądz, cholernie dobry, do diabła, i jesteśmy w Ameryce, gdzie papierowe dolary są w powszechnym użyciu, Jeremiasz wrzeszczy:

– *Quiero argento, no carta.*

Ja przeklinam po włosku. Bjorn polemizuje w języku szwedzkim, dziewczyna grozi nam po angielsku:

– Albo zapłacicie w srebrze, albo zawołam brata i każę mu was pobić.

Wokół nas zebrał się mały tłum, kobiety, dzieci, i każdy wygłasza swoje zdanie, po angielsku, po hiszpańsku, w dialekcie Pueblo, jeden chce nas aresztować, inny pobić, aż w końcu wyczerpani, oburzeni i trochę przestraszeni wracamy do naszego samochodu i uciekamy.

– Wstyďte się! – komentuje Alla Vajo. – W zeszłym roku przyjechali

filmowcy i dali nam po sto dolarów na głowę!

Żegnajcie, Indianie Pueblo, żegnaj Acoma, Miasto Nieba, gdzie pieniądz uważany był za łajno szatana, grzech śmiertelny. W połowie ścieżki samochód zakopuje się w piasku; potrzeba ponad godziny, aby się wydostać i ruszyć ponownie w drogę. Ktoś z Pueblo nam się przygląda oparty o skałę; ma nasunięty na oczy kowbojski kapelusz. Stoi nieruchomo, nie wykonuje najmniejszego gestu, by przyjść nam z pomocą. Ale kiedy ponownie ruszamy, szydzi:

– Zabierzcie ze sobą trochę piasku, ten jest za darmo.

Shirley się uśmiecha przygnębiona, ja zaś rozbawiona. Myślę o historii, którą opowiada John Gunther w swojej książce *Inside USA*. Historii pierwszego indiańskiego żołnierza, który wylądował we Włoszech podczas ostatniej wojny i kiedy tylko wyszedł na brzeg, krzyknął ze złością: „Krzysztofie Kolumbie! Jestem tutaj!”.

*

Laguna, wioska w pobliżu Albuquerque, jest ostatnim etapem podróży po ziemi czerwonoskórych. Edith Martínez o cerze w kolorze rdzy jest babką licznych wnuków, właścicielką pola pszenicy i lucerny, piecze chleb w okrągłym piecu i zaprasza nas z łagodnym uśmiechem: lubicie ciepły chleb? A więc może nas nim poczęstować? Edith ma siedemdziesiąt sześć lat i sześcioro dzieci, najmłodszy walczy w Wietnamie. Jej dom jest czysty, głos miły:

– Biały człowiek często tędy przejeżdża. Dokąd państwo jadą?

– Do Nowego Jorku.

– Czy Nowy Jork jest naprawdę taki duży?

– Tak, bardzo duży.

– I mieszka tam dużo ludzi?

– Dziewięć milionów.

– Ooch! Także trochę Pueblo?

Przyjeżdża żółty autobus, ten od *public school*. Zatrzymuje się przed domem i wysiada z niego sześcioro wnucząt: Jessica, Carol, Maria, Michael, Larry, Edward. Wszyscy czyści, roześmiani, z teczkami pełnymi książek: rośnie nowe pokolenie. Shirley ma rację, nie można nigdy

powiedzieć nic zbyt kategorycznego o tym kraju: Ameryka jest tak rozległa, przerażająco rozległa. Tam, za górami, leży Alamagordo i pustynia, gdzie Fermi, Teller, Oppenheimer przeprowadzili próbę z bronią atomową. Detonacja nastąpiła o świcie w lipcu dwadzieścia lat temu, pośród krzaków *mesquite*, u podnóża Sierra Blanca. Teraz jest tam wielki krater wypełniony grudkami trynitytu i wielu Pueblo dziś jeszcze zarabia pieniądze, sprzedając je turystom. Dalej, za wydmami Alamagordo, są White Sands, gdzie produkują rakiety i wypróbowują je. Wielu Pueblo pracuje w Missile Range. Ameryka jest tak rozległa, przerażająco rozległa; w Ameryce jest wszystko, Shirley ma rację. Jutro znajdziemy się wśród kowbojów, w Teksasie.

OSTATNI KOWBOJ

Paryż (Arkansas), listopad

Prawdą jest, że nikt z nas nie zauważył kretyna, który co dwie, trzy minuty nas wyprzedzał. Jechaliśmy szybko, to fakt: Highway 66 jest szeroką, prostą autostradą i kiedy już się na niej znajdziesz, masz ochotę dodać gazu. Poza tym naszą uwagę odwracała piosenka nadawana przez radio: „Oh, yes, it's plastic, it's always plastic...”. Och tak, to plastik / to zawsze plastik / plastikowe piersi, plastikowe ściany / plastikowy księżyc, plastikowe pocałunki / wkrótce będziemy robić plastikooowe dzieci. Piosenka zaangażowana, w rodzaju tych, które śpiewają The Beatles, i Shirley twierdziła, że rytm The Beatles jest rytmem teksańskim i że The Beatles ukradli go teksańskim chórom, kiedy niespodzianie zjawił się policjant i nas zaaresztował razem z tym kretynem, który nazywa się Jim, ma dwadzieścia lat, twarz blond głupka i pochodzi z Nevady. Zaaresztował nas w pobliżu miasta Goodnight, Dobranoc, naprzeciwko plakatu, na którym widniał napis: „Witajcie w Dobranoc, serdeczna gościnność jest skarbem wspaniałego stanu Teksas”, i proszę, jak teraz wyglądamy. Jima, tego kretyna, zaprowadzili przed sędziego Leo R. Byarda, naszą trójkę umieszczono w biurze pełnym *grinte* sfotografowanych z profilu i en face, szeryf przyglądał się nam surowo, a Shirley spąsowiała: jeśli zauważą, że Shirley Parker i Shirley MacLaine to jedna i ta sama osoba, jutro w gazetach znajdzie się na pierwszych stronach.

- Shirley, co nam zrobią?
- Proces w trybie natychmiastowym, to jasne.
- Z powodu dwóch czy trzech wyprzedzeń? To przecież śmieszne.
- Wyprzedzanie jest zbrodnią.
- Ale gdyby było zbrodnią, całe Włochy siedziałyby w więzieniu.
- I byłoby mniej zabitych na autostradach. Ten policjant prawdopodobnie uratował nam życie.

Shirley jest bardzo amerykańska: policjant nie jest dla niej kimś, kogo

należy nienawidzić, lecz kimś, kogo należy kochać, ponieważ cię chroni, działa dla twojego dobra, nawet jeśli wsadza cię do więzienia. Ze wszystkimi Amerykanami jest podobnie: spójrzcie na tego kretyna Jima, dostał już wyrok skazujący. Śmieje się i podskakuje, jakby dostał prezent.

– Udało ci się, Jim?

– Dostałem to, na co zasłużyłem. Trzydzieści jeden dni więzienia.

– Trzydzieści jeden?!

– No tak. Nie mam pieniędzy, żeby zapłacić mandat. Panie szeryfie, czy mogę zadzwonić do ojca, aby go uprzedzić, że idę do więzienia?

– Proszę, chłopcze, i powiedz mu, by się nie martwił; nasze cele są czyste, jedzenie smaczne. Dziś wieczór duszone mięso z fasolą. Następna trójka! Kto z waszej trójki prowadził?

Prowadził Bjorn. Zrezygnowany bardziej niż św. Sebastian, gotowy jest na męczeństwo i w mojej obecności rozgrywa się coś, co pozwala zrozumieć lepiej Amerykę niż pustynie oraz wszyscy Indianie i kowboje razem wzięci.

Trybunał jest salą ze stołem i kilkoma krzesłami, żadnych krzyży ani podniosłych sentencji na ścianach. Sędzia Leo R. Byard jest starszym mężczyzną ubranym na szaro, bez krawata, roześmianym. Wstaje roześmiany, prosi roześmiany Bjorna, by usiadł, a nas, byśmy były cicho. W końcu zaczyna się proces. Imię, nazwisko, narodowość, no, no, jest pan Szwedem, witamy w Teksasie, miejmy nadzieję, że Teksas się panu spodoba, w Teksasie są pyszne befsztyki, lubi pan befsztyki, ja tak, zarzut: *Speeding and racing*, nadmierna prędkość podczas ścigania się.

– Z radaru wynika, że jechał pan ponad sto mil na godzinę, dozwolona szybkość to sześćdziesiąt. Oświadcza pan, że jest niewinny czy winny?

Bjorn odwraca się, patrzy na Shirley pytającym wzrokiem, Shirley potakuje.

– Cóż, panie sędzio, skoro tak mówi radar... Winny.

– Okej. Tylko trzydzieści pięć dolarów, jest pan zadowolony? Skoro nie zna pan praw obowiązujących w Teksasie. Dwadzieścia za mandat i piętnaście za zabieranie czasu sądowi. Jeśli nie ma pan jednak pieniędzy, musi pan iść do więzienia.

– Mam, mam!

– I obiecuje pan, że to się więcej nie powtórzy?

– Obiecuję, obiecuję!

– Okej. Zarzut numer dwa. Proszę się nie oglądać i nie prosić o radę; to zabronione. Ściagał się pan z innym samochodem. Oświadcza pan, że jest niewinny czy winny?

– Niewinny! – krzyczy Bjorn.

– Niewinny?!

– Niewinny na tysiąc procent, panie sędzio, przysięgam!

– Och, nieee! – jęczy Shirley.

– Jak to nie? Przecież mówi prawdę – złoszcę się.

– Wiem, ale skoro zaprzecza, że się ściagał, będzie miał proces z adwokatami, a tymczasem trafi do więzienia.

Sędzia się śmieje.

– Muszę pana poinformować, chłopcze, iż jeśli pan oświadczy, że jest niewinny, wsadzę pana do więzienia. Jeśli natomiast oświadczy pan, że jest winny, wlepę panu mandat i puszcze wolno.

– Panie sędzio, co pan mówi? Jak można wsadzić do więzienia niewinnego i...

– Proszę mnie posłuchać, chłopcze. Niech pan oświadczy, że jest pan winny.

– Ale ja jestem niewinny.

– Może nie wyraziłem się jasno, chłopcze. Jeśli pan oświadczy, że jest niewinny...

– Ale ja jestem niewinny.

– Okej, zacznijmy od początku, chłopcze. Skoro radar...

Rozmawiają tak przez godzinę, sędzia się poci i wyciera ciągle twarz dużą chustką: czy to możliwe, by ten Szwed gotów był pójść do pudła, aby bronić swojego punktu widzenia? Czy to możliwe, by chciał zmarnować miesiąc w oczekiwaniu na normalny proces?

– Zgoda. Oświadczam, że jestem winny, ale jestem niewinny – wybucha w końcu Bjorn.

– Nie może pan oświadczyć, że jest winny, a następnie twierdzić, że jest niewinny. Albo całkowicie winny, albo całkowicie niewinny!

– A więc winny, całkowicie winny, całkowicie!

Zapanowuje radość. Shirley zrywa się na równe nogi, szczęśliwa, policjant zrywa się na równe nogi, szczęśliwy, Shirley krzyczy brawo, policjant krzyczy brawo, sędzia krzyczy brawo, cała Ameryka krzyczy

brawo, Ameryka, która nie chce tracić czasu, Ameryka, dla której czas to pieniądz, Ameryka, która nie rozumie, że kwestie zasad warte są czasu i pieniędzy, a czasami życia. Kilka dni temu w Nowym Jorku pewien stary Polak przypłacił to właśnie życiem. Wypisali mu niesłusznie mandat i chcieli, żeby przyznał się do winy, żeby nie tracić czasu na prawdziwy proces. Odmówił, jestem niewinny i chcę procesu. Wsadzili go do więzienia. Odbył się proces i przegrał proces. Chciał kolejnego procesu. I jeszcze jednego, i jeszcze jednego; siedząc cały czas w więzieniu, powtarzał: jestem niewinny. Po półtora roku więzienia, żeby ich przekonać, że jest niewinny, że radar mógł się pomylić, rozpoczął strajk głodowy. I umarł.

– Trzydzieści pięć dolarów: dwadzieścia za ściganie się i piętnaście dla sądu – mówi sędzia wciąż roześmiany. – W sumie okrągłe siedemdziesiąt dolarów.

Płacimy w milczeniu. Ale w progu Shirley pyta Bjorna:

– Nie zwymyślasz przynajmniej tego policjanta?

– A mogę? – jąka się Bjorn.

– Oczywiście.

– I nie pójdę za to do więzienia?

– Murowane.

Bjorn podchodzi do policjanta i cedzi przez zęby:

– Ty kłamco, sukinsynu, wiedziałeś, że jestem niewinny.

I wiecie, co robi policjant? Spluwa spokojnie na ziemię i odpowiada:

– *Get out of Texas, will you?* Wynoś się z Teksasu, dobrze? *Get out. All of you.* Wynoście się wszyscy.

*

Gdybyśmy mu dali pięścią w nos, miałby do nas więcej szacunku, może nawet zaprosiłby nas na kielicha. Reguły zachowania, wyrafinowanie, dyplomacja nie cieszą się tu uznaniem; jak powiada John Gunther, to jest ziemia, gdzie żyje Pecos Bill, kraina, gdzie ludzie śpią nie na prześcieradle, ale na papierze ściernym, gdzie do zrobienia przewiewu służy huragan, gdzie cytryny są tak duże, że wystarczy ich dziewięć, by zrobić się tuzin, gdzie duma z bycia Teksasńczykami jest tak wielka, że

pod koniec drugiej wojny światowej gubernator oznajmił: „Teksas zgodzi się na złożenie broni przez Japończyków, nie domagając się oddzielnego traktatu pokojowego”. Nie zobaczymy wiele więcej z tego cudownego Teksasu, stanu, którego powierzchnia jest czterokrotnie większa od Włoch, ale w splunięciu policjanta potraktowanego ze zbytnią łagodnością można było dostrzec rozmaite rzeczy: kapelusze „największe na świecie”, dziewczyny „najpiękniejsze na świecie”, pyszałków „najbardziej zuchwałych na świecie”, miliarderów „najbardziej miliarderskich na świecie”, Amerykę z całym jej dobrem i całym złem. Resztę widzimy w krajobrazie wzdłuż autostrady 66: pastwisko bez początku i końca, pełne krów, których ryczenie towarzyszy ci uparcie, aż przestajesz je słyszeć, przyzwyczajasz się jak do szumu morskich fal. W Teksasie jest więcej krów niż w całej reszcie świata, z pampą argentyńską włącznie; befszyk jesz tu na śniadanie do kawy z mlekiem, w południe z fasolą, na podwieczorek z lodami, na kolację z kukurydzą, befszyk jest ich wyróżnikiem, ich herbem, ich sztandarem.

– Wystarczy wam befszyk ważący cztery funty? (około dwóch kilogramów) – pyta kelnerka z restauracji w Amarillo, gdzie zatrzymujemy się, żeby coś zjeść.

– Cztery funty na trzy osoby?!

– Ależ nie, cztery funty na głowę.

A jednak tutaj, w Teksasie, na próżno by szukać kowbojów; już ich nie ma, są ginącym gatunkiem, podobnie jak Indianie.

– Kowboje – mówi Shirley – byli zawsze ścisłą mniejszością, nigdy nie stanowili symbolu. Uznać kowboja za typowego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych to tak jak uznać serowara z Abruzji za typowego przedstawiciela Włoch. To kino, Hollywood, uczyniło z kowboja symbol tego kraju, ponieważ jest on postacią teatralną, działa na wyobraźnię i dobrze oddaje pojęcie o kraju otwartym, wiejskim. Ale jeśli nie odpowiadało to dokładnie prawdzie dwadzieścia, trzydzieści lat temu, dziś jest po prostu kłamstwem. Po kowbojach zostały ostrogi, kapelusze; rzeczywistością Teksasu jest ropa naftowa. To ropa naftowa, a nie trawa żywi miliony i miliony krów: ponieważ to nie kowboje, ale miliarderzy wzbogaceni na ropie posiadają rancza działające już jak przedsiębiorstwa przemysłowe, zmechanizowane jak filie General

Motors. W Teksasie rancza przypominają bardziej laboratoria kosmiczne niż rancza; krowy, ogłupiałe od witamin, utuczone tak bardzo, że wydaje się, iż jakiś doktor Frankenstein pozbawił je kości, pilnowane z ciężarówek i dżipów zamiast przez pastuchów na koniach, nie potrzebują już hollywoodzkiego kowboja goniącego je z lassem. Widziałam w Teksasie wiele rancz i wydawało mi się, że jestem w jakiejś fabryce w Chicago albo Detroit. W dodatku buldożery zniszczyły wszystkie lasy, każdy listek.

Jeśli więc chcesz zobaczyć jeszcze kowboja, lepiej, żebyś pojechał do Oklahomy, gdzie cię nie zaaresztują za wyprzedzanie i gdzie buldożery nie zrujnowały krajobrazu, będącego jednym z najpiękniejszych na świecie: składa się na niego setka jezior, trzydzieści jeden rzek, dwieście gatunków drzew, wieczna zieleń, szum liści, który sprawia, że czujesz się jak w Toskanii albo Brianzy we Włoszech. Nie przypadkiem połowa Indian mieszkała w Oklahomie, ziemi ludu (*okla*) czerwonego (*homma*), zanim zapędzono ich do rezerwatów w Utah, Nowym Meksyku, Arizonie, a trasa ich przesiedlenia dziś jeszcze nazywa się Szlakiem Łez.

Tak, również tutaj trysnęła ropa naftowa, brudząc wszystko i przynosząc miliardy: przekłete szyby naftowe widać wszędzie, multimiliarder Paul Getty urodził się w Oklahomie. Ale najważniejsza nie jest tu ropa, lecz wciąż jeszcze rancza, ziemie, które rodziny przekazują sobie z pokolenia na pokolenie i które same uprawiają.

– My – mówi Shirley z dumą – nigdy nie potrzebowaliśmy reformy rolnej. Nigdy nie znaleźliśmy dzierżawy, podobnie jak feudalizmu. Słowo *peasant*, wieśniak, jest dla nas pozbawione sensu: to słowo angielskie, nie amerykańskie, i my używamy go na określenie prostaka. Ten, kto uprawia ziemię, nazywa się *countryman*, człowiek pracujący na wsi. Chcesz wiedzieć, jaka postać jest typowa dla Stanów Zjednoczonych? To właśnie *countryman*, który dwieście lat temu przyjechał na koniu, zajął kawałek pola albo lasu, ogrodził go palikami, powiedział: to do mnie należy, założył rodzinę i razem z nią uprawiał ziemię. Tak, zgoda, Ameryka to wieżowce, szyby naftowe, samoloty, statki kosmiczne, Paul Getty, Henry Ford, Wall Street, stacje kosmiczne, lecz duszą Stanów Zjednoczonych pozostaje rolnictwo, wyzwanie rzucone nieustannie ziemi, zwierzęta, upodobanie do ujarzmiania ich, narzucania im swojej woli. Uprawa kukurydzy, lucerny, bawełny, zboża, którego jest tak dużo,

że nie wiadomo, co z nim robić; moglibyśmy wyżywić świat, Europę, Afrykę, Azję zbożem zebrany z naszych pól, moglibyśmy nakarmić wszystkie dzieci na świecie mlekiem naszych krów. Marnotrawstwo jest w Ameryce nie tylko systemem ekonomicznym, narzędziem polityki, jest konsekwencją postępowania solidnego countrymana. Chcesz nazywać go kowbojem? Cóż, mów kowboj. Ale pamiętaj, że kowboja nie należy postrzegać jako kogoś w stylu Gary Coopera albo Johna Wayne'a, który szybko i celnie strzela. Należy go postrzegać jako prymitywnego, łagodnego faceta.

– Takiego, jak na przykład ten, Shirley?

Tak, takiego jak ten, którego widzimy na rogatkach Oklahoma City, na ranczu. Popatrz na jego twarz spaloną słońcem, osmaganą wiatrem, spuchnięte i pokryte odciskami dłonie, pałakowate nogi; Gary Cooper, John Wayne wydają się sztuczni w porównaniu z Dewettem Morganem, lat czterdzieści, żona i trójka dzieci, sześćdziesiąt akrów ziemi, sto jeden krów i sześćdziesiąt pięć koni. Morgan tłumaczy nam, że jego ojciec był kowbojem, bracia byli kowbojami, jego synowie będą kowbojami i że cudownie jest wstawać o piątej, chodzić spać o dziewiątej, on telewizji nie ogląda, do miasta jeździ od czasu do czasu, żeby coś kupić, nie podoba mu się tłum ludzi, którzy się spieszą, trąbią klaksonami, nie lubi również podróżować, jedynie dwa razy opuścił ranczo. Raz, kiedy miał osiemnaście lat i wysłali go na wojnę do miejsca, które się nazywa Włochy, a raczej chyba Rzym, do miasta zniszczonych domów, ale naprawdę zniszczonych, a drugi raz, kiedy miał trzydzieści osiem lat i pojechał z własnej woli do Paryża.

– Paryża? I spodobało ci się, Morgan?

– Cóż, wydał mi się trochę mały.

– Mały? A jak tam się dostałeś? Statkiem, samolotem?

– Pojechałem samochodem.

– Do Paryża?

– Tak, zajęło mi to pół dnia.

– Ale przecież z Nowego Jorku potrzeba sześciu godzin lotu samolotem odrzutowym!

– Ja nie jechałem przez Nowy Jork, po co jechać do Nowego Jorku, żeby znaleźć się w Arkansas?

Mówi o Paryżu w Arkansas; nie o Paryżu we Francji. I tak wieczorem

ja i Shirley zabieramy się do studiowania mapy i odkrywamy, że jest aż siedem miast o nazwie Paryż w Ameryce: w Arkansas, w Illinois, w Kentucky, w Pensylwanii, w Idaho, w Tennessee, w Teksasie. Jest też dwanaście Florencji, osiem Aten, siedem Rzymów, cztery Moskwy, cztery Warszawy, trzy Wenecje, dwa Neapole, dwie Werony i dwie Odessy, ale tylko jeden Londyn, jeden Madryt, jedna Addis Abeba, jeden Berlin, jeden Wiedeń... My w każdym razie wybieramy Paryż w Arkansas.

*

Kowboj miał rację: jeśli wyjedzie się o świcie z Oklahoma City, dotrze się do Paryża koło południa. Paryż jest zaraz za Fort Smith, gdzie rozegrała się słynna bitwa podczas wojny domowej, i spostrzegasz, że jesteś na miejscu, kiedy usłyszysz głośnie gdakanie: istotnie, jego gospodarka, niezbyt bogata, ale stabilna, jest przede wszystkim oparta na kurach i jajkach. Nie ma takiego paryżanina z miasta i okolic, liczących sobie w sumie trzy tysiące trzystu mieszkańców, który nie miałby kurnika, i to od czasów założenia Paryża przez grupkę byłych Francuzów, w 1875 roku. Kiedy już usłyszałeś donośne gdakanie, trafiasz od razu na plac, który jest również jedynym placem i gdzie jest praktycznie wszystko. Przede wszystkim trybunał-ratusz-biuro szeryfa, wielki, stary budynek z czerwonej cegły: ma całe sto dwa lata. Poza tym kino, gdzie wyświetlają film z Loren, i siedziba dwóch drużyn bejsbolowych, Orły Paryża i Buldogi Paryża, poza tym Izba Handlowa, sklep z odzieżą, redakcja dwóch lokalnych gazet: „Paris Progress” i „Paris Express”. Paryż nie jest frywolnym miastem, nie przywiązuje się tu na przykład wagi do mody, jest natomiast miastem, gdzie dużo się czyta: „Progress” wychodzi w każdy poniedziałek, a „Express” w każdy czwartek. Powodem jest to, że Gene Shields, listonosz, potrzebuje trzech dni, żeby dostarczyć je swoim starym fordem, a miss Kinney potrzebuje czasu, żeby napisać artykuły. Miss Kinney, panna dobiegająca siedemdziesiątki, jest jedyną osobą parającą się dziennikarstwem, która kiedykolwiek mieszkała w Paryżu, i bardzo szczególną postacią: niechby umarł papież, zabito prezydenta, wybuchła wojna, jej to nie obchodzi.

Ona pisze tylko o tym, co dzieje się w Paryżu, i to naprawdę szkoda, co za pech, że właśnie dzisiaj miss Kinney pojechała do Fort Smith, żeby dać sobie wyrwać ząb; z powodu zęba nie mogę jej poznać. Nie mogę również poznać burmistrza Johnny'ego Van Penningtona z Pennigton and Pennigton Insurance Company, który pojechał na ryby; oczywiście Johnny jest zawsze na rybach, ktoś go szuka, bo potrzebuje dokumentu, może chce wziąć ślub, a on łowi ryby w Sekwanie. Dobrze, że przynajmniej Shirley nadchodzi z szeryfem: znalazła go, gdy ten wkładał za wycieraczkę naszego samochodu liścik napisany ręcznie na papierze w linię: „Witaj, cudzoziemcze. Widzę, że jesteś cudzoziemcem i nie wypiszę ci mandatu, ale mogłeś zaparkować samochód trochę dalej, nie widzisz, że tu nie ma parkingu. Twój Peter Carter, szeryf Paryża w Arkansas”. Naprawdę w Ameryce istnieją gdzieś wieżowce, szyby naftowe, samoloty, statki kosmiczne, Paul Getty, Ford, Wall Street, stacje kosmiczne?

Szeryf ma ironiczne i twarde spojrzenie, powolne i stanowcze ruchy, mówi oszczędnie i przypomina Spencera Tracy sprzed dwudziestu lat.

– Kropelkę Moonshine Whiskey, cudzoziemcze?

Whisky Promień Księżyca jest rodzajem grappy, którą tutaj robi się w domu, i jedna kropla wystarczy, żebyś stoczył się pod stół.

– Nie, dziękuję, panie szeryfie.

– Okej. – Mimo wszystko szeryf wlewa jej sobie trochę do gardła, powiedzmy, ćwierć butelki, potem wyciera wargi wierzchem dłoni i pyta, czym może nam służyć.

– Panie szeryfie, czy ma pan w mieście dużo roboty?

– Bardzo mało. Jeśli już, to w sobotę wieczór, kiedy się upijają Promieniem Księżyca. Już od niemal czterech lat nie było procesu o kradzież, a od dwudziestu dziewięciu o morderstwo. Paryż to spokojne miasto; kiedy tutaj ludzie się nudzą, idą do kościoła, żeby się pomodlić. Jest siedem kościołów, rozumie pani: katolicki, metodystyczny, baptyistyczny, prezbiteriański, chrześcijański, Zgromadzenie Boga i kościół Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Nie ma natomiast w Paryżu nocnych klubów, jedyny bar zamyka się o dziesiątej wieczór. Co do reszty, proszę posłuchać: jedyną, moim zdaniem, o której mówi się, że każe sobie płacić, jest Dolly, ale dowodów nie ma, w każdym razie nikomu nie zakłóca spokoju. Powtarzam pani: spokojne miasto,

w Paryżu nie ma nawet więzienia.

– Nie ma?

– Cóż, prawie. Jest Czerwona Cebula, Red Onion, to, gdzie powieszono Billa Pierre'a. Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, wolę zawieźć ich do Fort Smith. Odkąd ci trzech łajdacy... Chcecie obejrzeć Cebulę?

– Tak, oczywiście, panie szeryfie.

Przekraczamy Sekwanę, strumień szeroki mniej więcej na dwa metry, mijamy przedmieście, drewniane domki pomalowane na biało, z dachami w kształcie głowy cukru i werandami z bujanymi fotelami, dojeżdżamy do Cebuli. Jest czerwoną budowlą, przed którą siedzi stara kobieta: strażniczka Cass Rogers.

– Można, Cass?

– Proszę, panie szeryfie.

– To jest właśnie więzienie: ta żelazna klatka. Dziurę w suficie zrobili ci trzech łajdacy w zeszłym roku, na Boże Narodzenie. Samochód był kradziony, wsadziłem ich do pudła, a oni zaczęli robić dziurę w suficie. Uciekli tym samym kradzionym samochodem. Prawdą jest, że Cass jest już zbyt głucha: mogłaby wybuchnąć bomba, a ona by się nawet nie spostrzegła. W czasach Billa nie dałoby się jej oszukać, prawda, George? Razem z Cass jest także George, najstarsza osoba w Paryżu: osiemdziesiąt lat z hakiem. Jest tak stary, że znał nawet Jesse Jamesa, bandytę. Wiecie, kiedy Jesse przybył do Paryża, miał już wtedy dziewięćdziesiąt pięć lat, wszędzie witały go transparenty „Jesse James, żywy i we własnej osobie, jest wśród nas”. Jeździł po Ameryce, żeby przemawiać do młodzieży, mówić jej, żeby się dobrze zachowywała, radzi wam Jesse Bandyta prawda, George?

George wypluwa tytoń:

– Tak, ale powieszenie Billa było bardziej emocjonujące; poza wszystkim to było ostatnie powieszenie, do którego doszło w Paryżu.

– I co takiego zrobił ten Bill?

– Cóż, zamordował swoją narzeczoną, bo zaszła w ciążę. Szubienicę zbudowano tutaj, obok drzewa. Chłopak był trochę pijany, kiedy go przywleczono, trzymając pod pachami. Potem nagle zaczął krzyczeć, to nie byłem ja, tylko mój ojciec, poszedłem na spotkanie, a on do niej strzelił; ale sędzia powiedział, kto był, ten był, nie bądźmy drobiazgowi. I go powiesił. Trach! Rozległ się dźwięk miażdżonych kręgów. Zupełnie

jakby to była szyja kury, byłem gotów zrobić zdjęcie, ale zamiast je zrobić, upadłem jak długi. To było czternastego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, pamiętam.

– Czternastego lipca?!

– Tak. Dlaczego?

– Otóż czternastego lipca jest wielkie święto w Paryżu we Francji.

– Paryżu we Francji? A gdzie to jest? Nigdy nie słyszałem o jakimś Paryżu we Francji.

– A pan, szeryfie?

– Coś tam, niedokładnie.

Wielu w Paryżu w Arkansas, nie wie nawet, że istnieje Paryż we Francji. Może wie tylko młodzież z high school, która uczy się trochę francuskiego, chociaż w Paryżu nikt nie mówi po francusku; jeśli już ktoś zna jakiś obcy język, zna niemiecki z powodu grupy niemieckich katolików, którzy wyemigrowali tu w 1890 roku i pracowali w kopalniach węgla:

– W tamtych czasach palono węglem.

– Panie szeryfie, nikt z mieszkańców nie był w Paryżu we Francji?

– Och tak, dawno temu pojechali tam Bob Pierce, urzędnik pocztowy, i Harold Rodgers, właściciel pralni, z powodu kongresu. A poza tym pojechał tam ojciec miss Paryża Phillis Wyatt, żeby odwiedzić swoją szwagierkę, która wyszła za Francuza.

– I co powiedzieli po powrocie, panie szeryfie?

– Hm, Bob i Harold wiele nie powiedzieli, tylko że w tym Paryżu we Francji jest wielki bałagan, wszyscy mówią po francusku, który jest bardzo dziwnym językiem. Ojciec Phillis natomiast wrócił bardzo podniecony, mówiąc, że miasto jest naprawdę interesujące; również co się tyczy kobiet, mam na myśli. Ojciec Phillis zrobił mnóstwo zdjęć, kolorowych, i potem wyświetlał je w Club Kiwanics; panowała zupełna cisza i wszyscy osłupieli. Oglądało je sześćset osób, ojciec Phillis zawiesił duże płótno jak w kinie. Zobaczyliśmy wieżę, wielkie pałace, również mosty były duże, ulice. Sekwana nie przypominała rzeki, tylko morze. Potem wybuchła awantura, z powodu dziewcząt, mam na myśli. Nie powinien ich pokazywać, mam na myśli. Obecne były przecież panie, a tamte dziewczyny w Paryżu przypomina tylko Dolly, która jednak zawsze przyzwoicie się ubiera. Ojciec Phillis musiał przeprosić i okazało

się, że w Paryżu we Francji chodził cały czas pijany z powodu wina, które nawet nie jest słodkie. W Paryżu w Arkansas wino robi się z winorośli truskawkowej, dużej ilości cukru i wychodzi z tego prawdziwy syrop.

Tak, podoba mi się Paryż w Arkansas. Podoba mi się bardziej niż Paryż we Francji, i wiecie, co zrobię? W najbliższych dniach pojedę do Moskwy w Tennessee i do Florencji w Alabamie. Pal licha Shirley, która postanowiła jechać za wszelką cenę do Missisipi, żeby odwiedzić jakichś Murzynów, z którymi jest zaprzyjaźniona; spotkamy się ponownie w Atlancie w Georgii i wymienimy się naszymi opowieściami.

STRACH W MOSKWIE

Moskwa (Tennessee), listopad

My, Europejczycy, chodząc po Harlemie, nie możemy zrozumieć podobnego dramatu. Dramatu polegającego na tym, że urodziłeś się ze skórą w kolorze nocy w kraju, gdzie ponad osiemdziesiąt procent ma skórę w kolorze dnia i gdzie dzieciom mówi się w dalszym ciągu: Jak-nie-będiesz-grzeczny-przyjdzie-czarny-człowiek-i-cię-zje. Trzeba pojechać na Południe, do najbardziej gorzkiej Ameryki, żeby zdać sobie z tego sprawę: do Luizjany, Missisipi, Alabamy, Georgii, Karoliny, Tennessee, do stanów, gdzie mieszka ogromna większość dziewiętnastu milionów Murzynów.

– Czy opowiadałam ci kiedyś – pyta Shirley MacLaine, prowadząc na drodze do Memphis – historię dziewczynki, którą poznałam w Luizjanie pół roku temu? W szkołach nastąpiła integracja i trzydzieścioro czworo uczniów w kolorze nocy zostało przyjętych do klasy białych. Trzydzieścioro troje zrezygnowało od razu z powodu znęcania się nad nimi. Delma, tak brzmi jej imię, chciała zostać. Dziewięć lat, dwa warkoczyki z kędzierzawych włosów, dwoje patrzących śmiało oczu. Nauczycielka była biała. Delmo, powiedziała nauczycielka, idź do ostatniego rzędu i zaczekaj, aż inni usiądą. Teraz, Delmo, możesz usiąść. Delma spojrzała na swoje krzesło i powiedziała: Nie mogę, proszę pani. Krzesło było całe oplute. Na to nauczycielka: A więc stój, Delmo. Delma stała: od ósmej do południa. W południe była przerwa na obiad. Delmo, ty nie, powiedziała nauczycielka, nie możesz jeść z białymi. Ależ proszę pani, nie zabrałam ze sobą nawet kanapki. To nie będziesz jadła, Delmo. Ławka Delmy stała obok drzwi, biali chłopcy musieli ją minąć, aby wyjść. Przeszli i każdy, każdy z nich pchnął ją, uderzył, kopnął. Delma zemdląła i trafiła do szpitala. Wierz mi, prawa federalne, oddziały federalne nie zdają się na nic: Południe jest inną planetą. Należy do tego samego kraju, ma ten sam język, te same prawa, te same podatki, ale jest inną planetą. Kiedy tam jesteś, rozumiesz, dlaczego ta czarna

dziewczynka odpowiedziała komuś, kto ją spytał, jaka jest jej zdaniem odpowiednia kara dla Hitlera: Pomalujcie go na czarno i przywieźcie tutaj.

Nie zawsze wystarczy mieć blond włosy i niebieskie oczy, to jasne, by nie znaleźć się w piekle. Istnieje rasizm na opak, często równie ponury, równie groźny. Jeśli nie mogę jechać z Shirley, która jutro wybiera się do Jackson w Missisipi i zostaje tam trzy dni razem z tymi od praw obywatelskich, zawdzięczam to Murzynowi: Harry'emu Belafonte. Zawdzięczam to spotkaniu z nim we wrześniu ubiegłego roku w Nowym Jorku. Na Południu chciałyśmy z Shirley nawiązać kontakt z przedstawicielami ruchu walczącego z dyskryminacją rasową i jedyną osobą, która mogłaby nam pomóc, był Belafonte, stojący na jego czele. Belafonte przyjął nas w swoim biurze, gdzie nie było ani jednego białego, puścił nam, gratulując samemu sobie, swoje liczne płyty, pokazał album ze swoimi przebojami, zamknął się w pogardliwym milczeniu, kiedy zaczęłam mówić z sympatią o Sammym Davisie, który ożenił się z białą, zaprosił nas na kolację do swojego luksusowego apartamentu na West End Avenue i... Cóż, nie była to, dokładnie mówiąc, kolacja, mimo francuskiego wina, doskonałej kuchni, majordomusa, który podawał do stołu w rękawiczkach. To był kafkowski proces, tortura à la 1984, książka Orwella. Po jednej stronie byłam ja, oskarżona, biała, oskarżona o to, że jest biała, że nie należy do rasy wybranej, która wkrótce zawładnie światem, jednym słowem, do rasy czarnej, z drugiej był on, Najwyższy Sędzia: piękny, przepiękny, elegancki, mądry, podziwiany, pożerany przez nie wiedzieć jakie ambicje, poza oczywistą ambicją przejścia do historii jako rodzaj Spartakusa, który przeczytał (tak przynajmniej twierdzi) Karola Marksa. Najwyższy Sędzia pytał, ja odpowiadałam, ale nic mu się nie podobało z tego, co odpowiadałam, ani poglądy polityczne, ani wartości moralne, ani pewna gorzka konkluzja, że większość ludzi jest zła i źli zwyciężają często, jeśli nie prawie zawsze. Nie podobała mu się nawet moja miłość do demokracji, moja nienawiść do dyktatur; niektóre z nich, powtarzał irytująco, są dobre i niezbędne. Aż w końcu, żeby wydać werdykt, wyrok skazujący, który potępiłby oficjalnie moją białą skórę, moją nienawiść do dyktatur, moją pewność, że żadna rasa nie jest rasą wybraną, a zatem nie jest nią również rasa czarna, Najwyższy Sędzia orzekł, że jestem

konformistką niezdolną do buntu, cyniczką pozbawioną ideałów, beznadziejna, sieję zepsucie, zło i dlatego nie pozwoli mi zarażać swojego ludu. „Niech pani pójdzie między mój lud: zastanie pani wszędzie zaryglowane drzwi. Bo ja im wszystkim powiem, żeby je zaryglowali. Niech pani pojedzie na Południe: będzie pani rozmawiać z białymi, z czarnymi nigdy”. A teraz jadę mimo wszystko na Południe, bez pozwolenia pana Belafonte’a, w poszukiwaniu Murzynów, którzy nie są podobni do pana Belafonte’a, nie mają jego miliardów, jego marzeń o sławie, i są dobrzy, mimo że ludzkość jest zła: do takiego wniosku dochodzisz w Moskwie w stanie Tennessee. Chcesz zrozumieć gorzką Amerykę? Pojedź do Moskwy w Tennessee; od razu stracisz ochotę na te wszystkie zabawy nazwami Paryż, Ateny, Rzym, Florencja, Berlin, Madryt, Kordoba, Neapol, Wiedeń, Warszawa, Moskwa, nazwami, które emigranci z Europy nadali nowym miastom i które są tak częste na Południu. Pojedź do Moskwy, powtarzam, i pamiętaj, że masz ze sobą rewolwer. Jesteśmy w podróży, ja i Shirley, od dwunastu dni i zapomnieliśmy, że go mamy, ten rewolwer. Ale teraz, kiedy nasz samochód pędzi pośród pól bawełny w Tennessee, Shirley wyciąga rękę, szuka go i mówi:

– Okej, wciąż tu jest. Chodzi o to, że mamy tabliczkę Los Angeles. Kalifornia uważana jest tu za stan liberalny.

Pola bawełny ciągną się dziesiątkami, setkami mil. Bawełna kwitnie jesienią, jej gałązki są całe pokryte miękką, białą watą. Wiatr zrywa lekkie płatki i zostawia przy drodze. Z daleka nie przypomina to nawet waty, lecz śnieg, który ktoś sprzątnął, żebyśmy się nie ślizgali. Czasami zaś wygląda to jak chmury, które zeszyły z nieba na ziemię. Warstwy białych chmur, w których Murzyni brodzą po kolana i zręcznymi palcami zrywają te kępki, i wrzucają je do worków z juty, i śpiewają. Nasze kobiety robią to samo na polach ryżowych, kiedy sadzą ryż i śpiewają. Tylko że Murzyni nie śpiewają wesołych piosenek ani dawnych spirituals: *Jesus Jesus Alleluja*. Murzyni śpiewają dziś pieśni protestu na motywach bluesów, jak tę na przykład: „In these hands stays all my power, in these hands stays all my force...”. W tych rękach tkwi cała moja potęga, w tych rękach tkwi cała moja siła...

– Czarna rewolucja jest najważniejszą rzeczą, najbardziej znaczącą, jaka odbywa się dziś w Ameryce – mówi Shirley. – To raczej wojna:

możesz ją przyrównać jedynie do wojny o niepodległość, tej, którą stoczyliśmy, by uniezależnić się od naszej dawnej ojczyzny, Europy. Oto dlaczego nie zgadzam się z tobą, kiedy twierdzisz, że Indianie są prawdziwymi ofiarami, oto dlaczego szanuję bardziej Murzynów niż Indian. Indianie utracili już dumę, Murzyni właśnie ją odnajdują. Indianie nigdy nie domagali się dla siebie praw, Murzyni natomiast ich się domagają. Są młodzi, tak jak tamci są starzy, wojowniczy, tak jak tamci są zmęczeni. A komunizm niektórych z nich nie ma tu nic do rzeczy. Komunizm wprowadził biały człowiek, a oni nie chcą być narzędziami w rękach białego człowieka. Nie chcą jedzenia, które obiecuje komunizm; oni mają co jeść. Chcą wolności. Od dwudziestu lat. Odkąd wrócili z wojny w Azji, w Europie i za całe podziękowanie spotykały ich lincze. Średnio jeden na tydzień. Dziś lincze są rzadkością. Średnio jeden na trzy, cztery miesiące. Murzyni nauczyli się nie bać i jeśli to konieczne, budzić strach.

Naprawdę, Shirley? W Moskwie w Tennessee tak to chyba nie wygląda.

Moskwa leży za chmurami, które zeszyły na ziemię, za plakatem, który powiada: „Welcome to Moscow”; witajcie w Moskwie. Nie możesz jej nie zauważyć, chociaż bardziej niż miastem, jest wioską: trzystu sześćdziesięciu mieszkańców na powierzchni trzech tysięcy mil kwadratowych. Moskwa sprowadza się praktycznie do kwadratowego placu, nielicznych budynków z drewna ustawionych po jego trzech bokach; czwarty zajmuje dworzec kolejowy, gdzie od stu lat codziennie zatrzymuje się pociąg, żeby można było doczepić do niego czerwone, zielone i niebieskie wagony, do których załadowano bawełnę. Peryferie z domami bogaczy, również drewnianymi, ale pomalowanymi na biało, z typową werandą z kolumnkami, zaczynają się za placem. Na placu jest wszystko: zajazd, który Jim Guy, pokerzysta powieszony za oszustwo, zbudował na początku dwudziestego wieku i który popadł w ruinę, tak że mieszkają już w nim tylko szczury; supermarket, gdzie sprzedają jeszcze damskie kapelusze, jakie noszono w latach trzydziestych; zakład fryzjerski, gdzie ściany są wytapetowane ogłoszeniami „Wanted”, poszukiwany, lecz kto wie, dlaczego poszukiwanym nie jest nigdy biały, lecz zawsze Murzyn; gospoda, przed którą grupka białych wrogo się nam przygląda. Kim jesteśmy? Czego

chcemy? Co to za tabliczka Los Angeles?

– Zaparkujemy tutaj, Shirley?

– Nie ma dużego wyboru. Tu czy tam, pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie przedziurawią nam opon.

– Okej, a gdzie pójdziemy?

– Bo ja wiem! Spróbowałabym porozmawiać z burmistrzem.

Zgoda, w drogę, odwagi.

– Dzień dobry, przepraszamy, gdzie możemy znaleźć burmistrza?

Cisza.

– Dzień dobry, przepraszamy, gdzie możemy znaleźć burmistrza?

Cisza. Spróbujemy z tym Murzynem, który idzie ze spuszczoną głową? Może jest bardziej rozmowny od białych.

– Dzień dobry, przepraszamy, gdzie możemy znaleźć burmistrza?

– Ja nic nie wiem, nie mogę nic mówić, jestem niewykształconym Murzynem, nie umiem nawet czytać, nie zamierzam narobić sobie kłopotów.

I zaraz potem ucieka, ścigany przez śmiech. Śmieje się stary, bardzo stary Murzyn, brudny, bardzo brudny, który siedzi na skraju ławki: aby zajmować jak najmniej miejsca, przypuszczam, na wypadek, gdyby jakiś biały chciał się przysiąść, a wiadomo że biali nie chcą siadać obok czarnych.

– Dzień dobry, przepraszamy, gdzie możemy znaleźć burmistrza?

– Za placem, biali ludzie. Dom z cegły.

– Dzięki, panie...?

– Samuelu, bez pana – odpowiada starzec. I znowu się śmieje, śmieje, śmieje, pokazując żółte zęby, żółte dziąsła; skończy chyba wkrótce dziewięćdziesiąt lat, a w wieku dziewięćdziesięciu lat człowiek już się nie boi, że narobi sobie kłopotów. Narobiliśmy ich sobie my, kupując mu coca-colę i częstując go papierosem. W Moskwie wiadomości szybko się rozchodzą: kiedy docieramy do burmistrza, on już o tym wie.

*

Burmistrz nazywa się Clotilde. Pani Clotilde Morton. Między czterdziestką a pięćdziesiątką, wdowa. Posiada dwie trzecie pól bawełny

wokół Moskwy i została wybrana po raz czwarty. Stanowcza, drobna kobieta mimo kruchego, łagodnego, miłego wyglądu; wokół głowy ma owinięty gruby warkocz.

– Chyba nie przyjechała pani z Waszyngtonu? – zwraca się niechętnie do Shirley.

– Nie, nie, zapewniam panią.

– Wydaje mi się, że już gdzieś panią widziałam.

– Dziwne, doprawdy.

– A dlaczego przyjechała pani do Moskwy?

– Wie pani, Moskwa w Rosji, Moskwa w Tennessee... Jesteśmy dziennikarzami.

Shirley jest prawdziwą aktorką, gdyby chciała, przekonałaby własną rodzinę, że nie jest Shirley MacLaine, że jej zawód polega na pisaniu dla pewnego włoskiego tygodnika. Skutek: Clotilde wpada w złość.

– Aha! Tak jak ci sowieccy reporterzy, którzy przyjeżdżają ciągle do mnie z tymi swoimi uprzedzeniami i zadają głupie pytania, a potem spoufalają się z Murzynami?

– Sowieccy reporterzy przyjeżdżają do Moskwy, pani Morton?

– Nieustannie. Z agencji TASS, z „Izwestii”, z „Prawdy”. Prawdziwa obsesja, antypatyczni! I ciągle pytają mnie, czybym chciała pojechać do Moskwy w Rosji.

– Pojechałaby pani, pani Morton?

– Co też pani mówi? Umarłabym ze strachu. Nie mam tyle odwagi.

Pani Morton nie jest niewykształcona i nie jest też głupia. Podróżowała, była w Londynie, w Rzymie, w Wenecji, w Paryżu, rozumie doskonale, czego szukamy, i wyjaśnia nam, że Moskwa w Tennessee nie ma nic wspólnego z Moskwą w ZSRR: *moscow* to indiańskie słowo oznaczające krzyżujące się rzeki.

– Pójdźcie do banku, gdzie mieści się biblioteka. Przeczytajcie historię Moskwy. Przekonacie się.

Idziemy do banku, który przylega do poczty i jest jedynym nowoczesnym budynkiem w Moskwie, z betonu. Na progu banku siedzi około trzyletnia dziewczynka, czarna, śliczna. Zatrzymuję się, żeby pociągnąć ją za warkoczyki, a ona się śmieje, chowa za Shirley, która bierze ją na ręce i całuje:

– *You, marvellous piece of chocolate!* Ty cudna czekoladko!

Zza szklanych drzwi przygląda się nam kobieta, kasjerka.

– Dzień dobry pani, czy to pani kieruje biblioteką?

Cisza.

– Chcielibyśmy przeczytać coś o historii Moskwy.

Cisza.

– Przysyła nas burmistrz.

Cisza.

– Czy pani nas słyszy?

Zaciśnięte wargi się poruszają.

– Tak.

– Czy moglibyśmy poczytać o historii Moskwy?

– Nie.

– Jak to nie?

– Nie.

– A dlaczego?

– Dlatego że nie.

– Niech pani posłucha, zaszło chyba jakieś nieporozumienie. Bo my jesteśmy trójką dziennikarzy.

– Wy jesteście trójką przysłaną przez rząd.

– Ależ nie, proszę pani. Jesteśmy dziennikarzami.

– Aha, aha.

Trudno, próbujemy z kierownikiem urzędu pocztowego. Również jest biały, nazywa się John Simmons i pełni dodatkowo funkcję miejskiego grabarza.

– Dzień dobry, panie Simmons. Jesteśmy dziennikarzami i chcielibyśmy...

– Słowo *moscow* oznacza skrzyżowanie rzek i jeżeli rząd w Waszyngtonie płaci wam po to, byście robili reklamę Rosjanom, pomyliliście adres.

I odwraca się do nas plecami; on też tam był, kiedy Shirley ucałowała czarną dziewczynkę. Trudno. Próbuje u fryzjera. Również fryzjer jest biały. Chudy, niechętny, zagniewany, nadzoruje dodatkowo wodociągi, asystuje przy pogrzebach, pełni funkcję sekretarza miejscowego ośrodka masonów; jego żona Mattie jest w Moskwie nauczycielką. Fryzjer mieszka tu od pięćdziesięciu lat, to znaczy odkąd się urodził. O Moskwie wie wszystko: że została założona w 1860 roku, kiedy ludzie

nie nosili ubrań ze sztucznych włókien i bawełna przynosiła zyski, że miasto miało okres wspaniałego rozwoju, musicie wiedzieć, iż w zajeździe były aż dwa saloony i osiem wesołych kobietek, że nominację Clotilde na burmistrza wymusili posiadacze pól bawełny z sąsiednich wiosek, prawdziwi właściciele Moskwy...

– A czy murzyńskie dzieci chodzą do szkoły?

– Och, niestety. Jest ich sześcioro. Nic nie dało się poradzić: ten wtrącający się we wszystko rząd federalny nam je narzucił. Wy nie jesteście chyba z Waszyngtonu?

– Nie, nie. A jak zachowują się Murzyni z Moskwy, panie Browning?

– Och, och! Niektórzy źle, bardzo źle. Ci z Waszyngtonu zrobili im pranie mózgu i z tego powodu przewróciło się im w głowach. Prawa obywatelskie to bujda. Ale pomału zaczynają rozumieć, że popełnili błąd, i chcą znowu być poczciwymi, posłusznymi chłopakami.

– Jasne. A pan ich lubi?

– Proszę posłuchać, ja ich nie golę, tego tylko by brakowało, żebym golił Murzyna. Ale kiedy umrą, grzebię ich tak samo jak białych i bez dodatkowej opłaty.

– A pan, panie Boswell?

Emerett Boswell, kolejny biały, jest właścicielem supermarketu; uśmiecha się od ucha do ucha, ponieważ ma nadzieję, że coś u niego kupimy.

– Co do mnie, sprzedaję zarówno czarnym, jak i białym; aby tylko płacili w gotówce. Daję taki sam towar Murzynom, wyjęty z tych samych worków przeznaczonych dla białych; wcale nie zepsuty. Mnie wystarczy, by ustawili się w kolejce! Oddzielnej oczywiście.

– Oczywiście.

– Czy wasza trójka jest opłacana przez rząd federalny?

– Nie – mówię ja.

– Nie – mówi Shirley.

– Nie – mówi Bjorn.

– Ej tam, ludzie, powiedzcie nam prawdę.

– To jest prawda, przysięgamy.

– Sprzedawczyki!

Shirley, która kupowała właśnie paczkę papierosów, odkłada ją na bok. Nigdy nie widziałam jej tak zasepionej, tak wściekłej. Nawet jej

piegi bledną, kiedy mówi:

– Czy nie ma tu jakiegoś Murzyna, z którym można by porozmawiać? Choćby jednej przyzwoitej osoby?

*

Jest. Nazywa się Salomon Price. To ten olbrzym w kolorze węgla w niebieskim kombinezonie mechanika. Jest wiejskim mechanikiem i jego warsztat to rodzaj stodoły w pobliżu placu. Płaci dwadzieścia dolarów za wynajmowanie tej stodoły, a zarabia dziewięćdziesiąt. Faktem jest, że za drobne usługi, takie jak przykręcenie śrubki czy umycie samochodu, „nie można brać pieniędzy od białego człowieka”.

– A dlaczego, Salomonie?

– Bo trzeba mieć spokój, nie narobić sobie kłopotów. – Głos Salomona jest głuchy, wydobywa się z fioletowych warg, których kąciki opadają w dół, nadając twarzy smutny wyraz. – Proszę, niech państwo usiądą – mówi, przysuwając trzy drewniane skrzynki. – Niezbyt dobrze państwa przyjęli w Moskwie, prawda?

– No nie, Salomonie.

– Od razu to zrozumiałem, kiedy zobaczyłem tablicę rejestracyjną i kiedy potem pani ucałowała moją wnuczkę...

– To była pańska wnuczka? Gratuluję, Salomonie.

– Tak, mam pięciu synów i jestem już dziadkiem.

– A gdzie są pańscy synowie, Salomonie?

– Wszyscy uciekli. Jeden jest w Saint Louis, jeden w Chicago, dwaj w Nowym Jorku. Tutaj został tylko najmłodszy, ma osiemnaście lat i wkrótce on też ucieknie. Kiedy tylko skończy szkołę; już nie może wytrzymać. To bystry chłopak, walczy o prawa obywatelskie. Czy wszyscy troje przyjechaliście z Waszyngtonu?

– Ależ nie, Salomonie.

– Nie jesteście z rządu federalnego?

– Ależ nie, Salomonie.

– Biali was o to pytali?

– Tak, Salomonie.

– No właśnie, wszyscy myślą, że jesteście opłacani przez tych

z Waszyngtonu, dla celów propagandowych. Faktem jest, że nikt do Moskwy nie przyjeżdża, oprócz tych z Waszyngtonu. Którzy w dodatku nic nie robią, gadają i na tym koniec. W Moskwie jest nas dwadzieścia pięć murzyńskich rodzin i cały czas się boimy, że coś się stanie.

– Co takiego, Salomonie?

– Cóż, wiadomo, co się dzieje w tych stronach, na Południu. Mieszkamy wszyscy za rzeką i wystarczy zapalka rzucona na dach. Partia nazistowska jest tutaj silna.

– Partia nazistowska?

– Tak, ta ze swastyką na ramieniu.

– A głosujecie w wyborach?

– Teraz mamy prawo głosu, ale większość nie pójdzie na wybory, bo po co? Kandydatami są wyłącznie biali, biali zawsze robią, co chcą, a my, żeby pokazać, że mamy prawo głosu, narobimy sobie kłopotów.

– Ale są oddziały federalne!

– No tak, ale wyjadą po wyborach.

Przed warsztatem zatrzymało się dwóch białych młodych ludzi. Patrzą na nas z rękami w kieszeniach, żując gumę, i nie robią nic, ale budzą strach.

– Salomonie, czy wie pan, że jest pan inteligentnym człowiekiem? – mówi mu Shirley, wstając ze skrzynki i biorąc go prowokacyjnie pod rękę. Dwaj młodzi ludzie przyglądają się jej bacznie, potem siadają na murku naprzeciwko z rękami w kieszeniach, żując gumę.

– Och, proszę pani! Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem! – wyśpiewuje Salomon.

– A skoro jest pan inteligentny, dlaczego nie wyjedzie pan z Moskwy?

– Och, proszę pani, tego nie mogę zrobić – wyśpiewuje Salomon. – Och, proszę pani, proszę pani! Ja wyjechałem kiedyś z tego przekłętego miasta. To było wtedy, kiedy wysłali mnie na wojnę do Włoch, wylądowaliśmy w miejscu o nazwie Anzio. Piekło, proszę pani, ale nigdy takie piekło jak w Moskwie w Tennessee. Zginęli wszyscy, proszę pani, i ja też bym zginął, gdyby Bóg mnie wysłuchał. Ja, żeby nie wrócić do Moskwy w Tennessee, zginąłbym bardzo chętnie w tamtym miejscu, które nazywa się Anzio. Staralem się, jak mogłem, proszę pani, ale mi się nie udało i dali mi ten idiotyczny medal. Potem wojna się skończyła wraz z nadzieją, że zginę na wojnie, i gdzie miałem pójść, proszę pani?

Moi rodzice tu mieszkali, moja Nancy tu mieszkała. Wróciłem do piekła. I Bóg jeden wie, co to za piekło. Mojego brata znaleziono na polu bawełny polanego benzyną i podpalonego.

Dwaj młodzi ludzie nadal na nas patrzą, żując gumę. Żegnamy się z Salomonem, kierujemy się w stronę placu, żeby wsiąść do samochodu, uciec z tego piekła, a oni idą za nami. Z rękami w kieszeni, żując gumę. Wchodzimy do drugstore'u, żeby ich zgubić, oni również wchodzą do drugstore'u, mrugają do właściciela, który krzyczy:

– Won z mojego drugstore'u!

Wychodzimy z drugstore'u i oczywiście wychodzą także oni, z rękami w kieszeniach, żując gumę. Nigdy żadna moja podróż nie trwała tak długo jak te sto metrów od warsztatu Salomona do placu.

– Miejmy nadzieję, że nie pocięli nam opon – mruczy Shirley.

Opony są niepocięte, samochód stoi, wygląda na nietknięty. Ale plac jest pusty, ze wszystkich tych, którzy byli tu przedtem, pozostał tylko żółty pies oraz siedzący na tej samej ławce, trochę jeszcze bardziej na skraju, stary Samuel. Wygląda jak wuj Tom. Dwaj młodzi ludzie się zatrzymują, jeden wypluwa gumę na przednią szybę, drugi mówi do nas:

– *Go home, Washington's servants.* Wynoście się stąd, sługusy Waszyngtonu.

Bjorn włącza silnik, odjeżdżamy.

– Mieliśmy szczęście, co?

– Tak, mieliśmy szczęście.

Ale pół kilometra dalej, może trochę więcej, zauważamy, że z jednej opony uchodzi powietrze: coraz bardziej, coraz bardziej, teraz całkiem już oklapła. Czy to byli oni? Czy to był fryzjer? Właściciel supermarketu? Grabarz z urzędu pocztowego? Bibliotekarka? To byli wszyscy. I być może również uczestnicy zebrania, w którym brała udział Clotilde.

Rzucając kilka brzydkich słów, zmieniamy koło, jedziemy ponownie wzdłuż granicy z Alabamą. Jest tam ośrodek sportów zimowych w Chattanooga; pamiętasz Glenna Millera, jego piosenkę, którą gwizdaliśmy po wojnie. Po naszej lewej stronie widać cud stanu Tennessee: Valley Authority, przedsiębiorstwo mające uregulować Tennessee, która była najgroźniejszą rzeką Ameryki i która, podtapiając cztery miliony akrów, niszczyła za każdym razem pola i domy. Dziś

gigantyczne tamy chronią dolinę o najzdrowszym klimacie w Stanach Zjednoczonych, niemal dwieście zelektryfikowanych farm, uprawy wszelkiego rodzaju, cud rolnictwa, techniki, dobrych chęci. Cóż to za dziwny kraj Ameryka, cóż to za niepojęty sfinks. Dotarliśmy prawie do końca naszej podróży, a ja nic, ale to nic z niej nie zrozumiałam. Jutro Shirley nas opuszcza: Harry Belafonte udzielił jej wielkodusznie rozgrzeszenia, moja przyjaciółka może więc pojechać do Jackson, żeby spotkać się z Murzynami, którzy walczą o prawa obywatelskie; zobaczymy się ponownie w Atlancie, w Georgii albo w Waszyngtonie, u jej rodziców. Ja i Bjorn natomiast jedziemy do Florencji w Alabamie. Florentynka nie może oprzeć się podobnej pokusie.

NA TAMTYM BRZEGU ARNO W ALABAMIE

Florencja (Alabama), grudzień

Głos profesora Stanleya Rosenbauma, wykładowcy literatury powszechnej na uniwersytecie we Florencji w Alabamie, łamie się z oburzenia:

- We Włoszech znieśli łacinę w szkołach średnich?!
- Tak, panie profesorze.
- Ależ to niemożliwe!
- Jednak tak, panie profesorze.

Profesor zakrywa sobie bladą, chudą twarz obiema dłońmi, bladymi, chudymi.

– Ale czy zdaje sobie pani sprawę z wagi, jaką w naszej kulturze ma łacina? Nawet język lotów kosmicznych wykorzystuje łacinę: słowa *cosmos*, *astronaut*, *terrestrial*, *lunar*! A jak nazwano rozmaite projekty? Mercury, Gemini, Apollo. Czyż to nie łacińskie nazwy??!

– No tak, panie profesorze.

– Słyszałem istotnie, że u was najbardziej oblegane wydziały to medycyna, chemia, inżynieria... Niewiarygodne! Doprawdy niewiarygodne!

– No tak, panie profesorze.

– A Homer i Wergiliusz, i Dante, i Ariosto, i Francesco Petrarca, i św. Augustyn: czyżby ich nie studiowano?

– Trochę mniej, panie profesorze, trochę mniej.

Stanley Rosenbaum wstaje, ma wystający i bezwstydną brzuszeczek, tak jak mój nauczyciel greki w gimnazjum, nerwowymi palcami chwytając dwa egzemplarze *Boskiej Komedii* w języku angielskim.

– Czy wie pani, z jakiego powodu odbyło się dziś po południu ważne zebranie na uniwersytecie we Florencji w Alabamie?

– Nie, panie profesorze.

– Aby zdecydować, jaki przekład *Divine Comedy* wybrać. Wybór był trudny, odłożyliśmy go na później; ja sam się wahałem. Proszę

posłuchać. – Odchrząkuje, zaczyna deklamować: – *Midway my journey I was made aware / that I stayed into a dark forest / and the right path appeared not anywhere...* „W życia wędrowce, na połowie czasu / Obrawszy błędne manowców koleje, / Pośród ciemnego znalazłem się lasu”[2]. Otóż wydaje mi się, że trzeci rym został tu nieco nagięty. Może lepiej byłoby tak: *Far the right path whence I had stayed...*

Żona i syn pilnie słuchają, siedząc na środku salonu, gdzie nawet półki na książki zaprojektował Frank Lloyd Wright. Cały dom zaprojektował Frank Lloyd Wright: od ścian przez meble do bibelotów. Profesor Rosenbaum zamówił go u niego w 1947 roku za sumę czternastu tysięcy dolarów, która obejmowała również lodówkę i fortepian; w Ameryce są jeszcze dwa takie domy, jeden w Chattanooga w Tennessee i drugi w Missisipi. To jest dom geometryczny, o kartezjańskiej przejrzystości, a jednak ciepły, jakich niewiele widziałam. To jest dom człowieka nieprzewidywalnego, intelektualisty z Południa.

– Nas z Południa – powiedział profesor Rosenbaum w trakcie wizyty – oskarża się często, że żyjemy przeszłością. To nie jest dokładnie tak; wielu z nas nie chce mieszkać w uroczych domkach w stylu kolonialnym, wielu z nas myśli, że przeszłość, do której należy sięgać, nie jest już przeszłością z *Przeminęło z wiatrem*. To przeszłość bardzo odległa: Homer i Wergiliusz, i Dante, i Ariosto, i Francesco Petrarca, i św. Augustyn... Dzięki nim uczysz się szanować sąsiada zatrzaśniętego w swojej czarnej skórze.

Teraz wyobraź sobie, że jesteś florentczykiem i nagle, podczas gdy twój samochód pędzi pośród pól Alabamy, trafiasz do Florence, czyli do Florencji. Już od dwóch tygodni jeździsz po Ameryce i twoje oczy sycą się widokiem pustyni, kaktusów, Indian Pueblo i Navajo, szybów naftowych, szeryfów, kowbojów, Murzynów, którzy płaczą, białych, którzy doprowadzają ich do łez. Twoim ostatnim etapem była wioska o nazwie Moskwa, tak, tam gdzie przedziurawili ci oponę, ponieważ twoja tablica rejestracyjna wskazuje na „liberalne” miasto; twoim ostatnim spotkaniem było spotkanie z Salomonem, tak, Murzynem, który chciał umrzeć pod Anzio, żeby nie wrócić do Moskwy, w Moskwie spalono żywcem jego brata. Jesteś zmęczony. Już masz dość Południa, gorzkiej Ameryki. Dziś rano dowiedziałeś się, że dwóch kolegów z „Look” omal nie straciło życia, robiąc to, co ty robisz. W Bogalusie

w Luizjanie. Dziennikarz Christopher Wren i fotograf Art Kane. Otoczyła ich grupa białych młodzieniaszków, rozkazując im, by się „wynosili”. Wren i Kane posłuchali. Lecz wyjazdy z miasta były zablokowane przez innych białych młodzieniaszków w samochodach. Udało im się wreszcie wyjechać na autostradę; młodzi ludzie jechali za nimi i wkrótce jeden samochód zjechał im drogę z prawej, drugi z lewej, a trzeci uderzył w ich auto; z powodu uderzenia przednia szyba i boczne się potłukły, raniąc Christophera Wrena i Artę Kane’a. Wren i Kane wysiedli i młodzi ludzie rzucili się na nich: mieli w dłoniach stłuczone butelki po coca-coli i gotowi byli ich pokiereszować. Wren był w Wietnamie. Powiedział, że Południe jest gorsze od Wietnamu. Jest gorsze również dla ciebie. Jesteś naprawdę zmęczony. Południe cię wykończyło, to Południe takie piękne, ze swoimi jeziorami, swoimi rzekami, swoimi lasami, a jednak takie ponure, tak nic niewiedzące. Ogarnia cię przyływ nostalgii: masz dość epiki westernu, dość kwestii rasowej, za którą nie ponosisz winy, to nie ty wyrwałeś tych Murzynów z dżungli, uczyniłeś z nich niewolników; chcesz wrócić do domu, do miejsca, gdzie się urodziłeś, gdzie urodziła się twoja kultura, która jest prawdziwą kulturą. Dante, Giotto, Masaccio, Leonardo da Vinci; po co więc zatrzymywać się we Florencji w Alabamie? Robić sarkastyczne uwagi? Żartować? To zbyt łatwe, Florencjo w Alabamie: trzydzieści tysięcy mieszkańców, około tuzina kościołów, z których najstarszy liczy osiemdziesiąt lat, bawełna, która wchodzi ci do nosa, do ust, do uszu, ryczenie krów, które nie daje ci spać w nocy, wreszcie historia obejmująca nie więcej niż sto pięćdziesiąt trzy lata. Miasto polecił założyć w 1818 roku Jackson. Jackson zatrudnił florenckiego architekta Ferdynanda Sannonera i kiedy ten je narysował, powiedział mu: wykonałeś dobrą robotę, architekcie, nazwij je, jak ci się podoba, architekcie; Sannoner nazwał je Florence, Florencja. I co z tego? Co może ci dać Florence, Florencja? Kolejne przedziurawione opony, kolejny przykład analfabetyzmu, niezachwianą pewnością, że kultura, nasza kultura, jest już martwa i że nie przetrwamy bez niej? Otóż to: daje ci na pociechę niespodziankę, tego człowieka, który się niepokoi, żeby nie nagiąć w angielskim przekładzie trzeciego rymu Dantego. Jak zwykle w Ameryce, kiedy sądzisz, że doszedłeś do jakiegoś wniosku, spostrzegasz zaraz potem, że nie doszedłeś do niczego: ponieważ wydarza się coś, co odmienia

radikalnie wszystkie twoje przekonania, całą twoją pewność.

– Panie profesorze – pytam go – czy był pan kiedyś we Florencji we Włoszech?

– Oczywiście – odpowiada profesor. – To jest marzenie wszystkich nas tutaj. Pojechałem wraz z innymi mieszkańcami pięć lat temu i burmistrz przyjął nas w Palazzo Vecchio, ten burmistrz, taki niziutki, wygłosił długie przemówienie, z którego nie zrozumieliśmy ani słowa, a ja odpowiedziałem kolejnym przemówieniem, z którego on nie zrozumiał ani słowa. Bardzo zabawne. Potem zwiedziliśmy Uffizi i chodziliśmy wszędzie po tym przepięknym mieście, i pamiętam, tak, to było we Florencji, we Włoszech, ktoś mi powiedział, że większość studiuje medycynę, chemię, inżynierię. Niewiarygodne, doprawdy niewiarygodne. Myśmy mieli podobny problem wiele lat temu, ale go rozwiązaliśmy.

– Rozwiązaliśmy?

– Och, tak. We Florencji w Alabamie jest dwadzieścia pięć tysięcy studentów studiujących na kierunkach humanistycznych. Jak w większości miast Stanów Zjednoczonych zresztą.

– W większości miast Stanów Zjednoczonych?!

– Och, tak. My nazywamy to zjawisko New Renaissance, nowym renesansem. Jest czymś nadzwyczajnym, że dzisiejsza młodzież interesuje się bardziej filozofią, historią, literaturą niż technologią; z trzech wykładów uzupełniających, które będę musiał poprowadzić w tym roku, jeden, trzymiesięczny, dotyczy Dantego, jeden, dwumiesięczny, Homera, jeden, jednomiesięczny, Boccaccia i jeden, trzytygodniowy, Safony. Tak jest na Południu i wśród Murzynów. Można by pomyśleć, że technologia już im nie wystarcza, by zyskać świadomość siebie samych.

– A czy jest dużo czarnych studentów we Florencji w Alabamie?

– Bardzo dużo. Przyjeżdżają z całego stanu, a także ze stanów sąsiednich. Są trochę opóźnieni w stosunku do białych, bo chodzili na ogół do fatalnych szkół; ale odkąd tu jestem, dobrze sobie radzą. Widzi pani, we Florencji zintegrowaliśmy się znacznie wcześniej, niż narzuciła to nam ustawa.

Później idę do redakcji „Florence Times”, dziennika wychodzącego we Florencji w Alabamie. Przyjmuje mnie uprzejmy niski mężczyzna,

nazywa się Louis Eckl, „wie pani, teraz jestem naczelnym, ale trzydzieści lat temu byłem tutaj gońcem, potem drukarzem, potem redagowałem kronikę, jednym słowem, znam moje miasto”, i wyjaśnia mi, że nie było nigdy żadnej rasistowskiej reakcji we Florencji, gdzie baseny, szkoły, kościoły, restauracje, teatry, hotele nie zabraniały nigdy wstępu Murzynom. Dyrektorem Coffee High School, założonej przez generała Coffee zaraz po wojnie secesyjnej, a więc dość starej, jest od wielu lat profesor Lewis, który jest Murzynem. Przewodniczącym Medical Association jest także Murzyn, doktor Hicks.

– My również mamy oczywiście rasistów; proszę nie zapominać, że z czterech zabójstw, które zdarzyły się tego lata w Ameryce na tle nienawiści rasowej, trzy przypadają na Alabamę. Czyli Anniston, Jacksonville, Hayneville, sąsiednie miasta. Ale wszędzie na świecie jest jakaś wyspa nadziei, optymizmu, i na Południu taka wyspa nazywa się Florencja. Proszę się rozejrzeć i uwierzy mi pani.

*

Burmistrz wiezie mnie swoim samochodem. Burmistrz jest okrągły, zarumieniony jak jabłko, nazywa się Carl Putteet i jest aptekarzem; jego apteka jest najpiękniejsza w mieście, bo można tam kupić wszystko, lalki, słodycze, aparaty fotograficzne, książki, pończochy, gazety, bieliznę damską, ma też aneks w postaci snack-baru, ponieważ „apteka musi być wesoła, radosna, nie powinna kojarzyć się z chorobami”. Burmistrz nigdy nie był we Florencji we Włoszech, lecz byli tam jego przyjaciele, państwo Williams, i opowiadali mu niewiarygodne rzeczy: czy to możliwe, by we Florencji we Włoszech nie było ani jednego Murzyna, że apteki sprzedają lekarstwa i nic poza tym? Burmistrz ma radiotelefon, którego używa często, także po to, by pokazać, że jest burmistrzem, dzwoni więc nieustannie do kogoś, do strażaków, na policję, do szpitala i dopytuje się o swoich mieszkańców. O Billa na przykład, który upadł w łazience i złamał nogę, o Carolyn, która wkrótce urodzi dziecko, o Johna Smitha, który zasnął z zapalonym papierosem i podpalił dom.

– Burmistrz musi się zajmować takimi sprawami, prawda, nie zaś dać

się wybrać w Waszyngtonie.

– Z pewnością, panie burmistrzu. A jak to wygląda w wypadku Murzynów, panie burmistrzu?

– Jeśli chce pani wiedzieć, kim jest Bill, jest moim przyjacielem z dzieciństwa, szewcem. I jest Murzynem, wyrażam się jasno? Pewnego razu przyjechał tu Faubus, gubernator, tak... ten z Little Rock. Powiedział, jakie to dziwne, tutejsi Murzyni nie spoglądają na mnie wrogo, dlaczego? Wytłumaczyłem mu dlaczego, drogi panie gubernatorze, to nie jest Little Rock.

Burmistrz wydaje się niemal urażony pytaniem, które mu zadałam. I przez kilka chwil milczy, prowadzi w zamyśleniu po drogach, wzdłuż których stoją nowoczesne domki zastępujące stopniowo te w stylu kolonialnym, drewniane, ludzie go rozpoznają i wołają:

– Hej, Carl! Cześć, Carl!

Na stadionie grupa chłopców w strojach bejsbolistów otacza go, zatrzymuje:

– Boisko jest pełne dziur, trzeba to naprawić, Carl.

– Dobrze, chłopcy.

Chłopcy są czarni. Czarni są także liczni pacjenci czekający na wizytę u doktora Schaelera w szpitalu na oddziale laryngologicznym. Doktor Schaeler ma osiemdziesiąt lat, nazywają go Słodki Schaeler, a ponieważ jest bogaty, nie bierze nigdy pieniędzy.

– Przyjechała pani do dobrego miasta – mówi mi jego asystent, który jest Murzynem – miasta ludzi, którzy się szanują; zarówno białych, jak i zielonych, czerwonych, fiołkowych, w paski czy w kropki. Mam nadzieję, że będzie pani o nim pamiętać, kiedy zabierze się pani do pisania o Południu.

No właśnie, pamiętałam. Sądzi się powszechnie, że dobre wiadomości to nie są wiadomości: co by się stało z gazetą opowiadającą tylko o ludziach, którzy się kochają, nie zabijają, nie kradną? Nikt by jej nie kupował. Tak zwykło się sądzić i tak niestety się dzieje; pisząc o dobrych ludziach, dziennikarz sam zdaje sobie sprawę, że staje się niezręczny, zakłopotany. Ale raz jeden, tylko ten jeden raz, cóż za ulga mieć dobrą wiadomość i przekazać ją jako wiadomość właśnie. Nie mogę się doczekać, kiedy przekażę ją jutro Shirley.

*

Spotykam się ponownie z Shirley MacLaine w Atlancie w Georgii, minęły cztery dni, odkąd się rozstałyśmy; za zgodą Harry'ego Belafonte'a pojechała zbierać informacje w Missisipi. Jest zmęczona, wstrząśnięta: od czterech dni się nie myje, nie śpi, jej zabawna buzia wychudła, jakby Shirley miała gorączkę. Słucha mnie z niedowierzaniem, potrząsając grzywką, która zwisa jej, niemyta, nad oczami.

– Ja miałam mniej szczęścia w Missisipi.

– Dlaczego, Shirley? Co widziałaś?

– Później ci powiem. Teraz muszę się porządnie wyspać.

I pada w ubraniu na łóżko w swoim hotelowym pokoju. Powoli ściągam jej długie buty, zdejmuję żakiet. W kieszeni żakietu ma notes z zapiskami, robionymi charakterystycznym dla niej pochyłym i rozwleczonym pismem. Obiecała, że zostanie dziennikarką, i naprawdę się nią stała; brawo, Shirley. Odpocznij, Shirley, nasza podróż dobiegła końca; jutro rano ja i Bjorn oddamy firmie Hertz samochód, który wynajęłam w Los Angeles, potem kupimy trzy bilety na samolot, żeby wrócić do Nowego Jorku. Żadnego Waszyngtonu, żadnej Wirginii; lecimy do Nowego Jorku. Tak bardzo potrzebuję zobaczyć Nowy Jork, ten most między starą Europą a niepojętą tajemnicą zwaną Ameryką; im bardziej próbujesz ją przeniknąć, tę niepojętą tajemnicę, tym bardziej staje się nieprzenikniona, ponieważ, jak powiada się na Południu, „ktokolwiek nie przeżył tutaj stu lat, ten jest cudzoziemcem”. Atlanta to miasto Scarlett O'Hary i Martina Luthera Kinga; z pewnością gdybym się tu zatrzymała, wiele mogłoby mi opowiedzieć. Ale notes Shirley obiecuje mi wystarczająco dużo, a może nawet więcej. Jesteśmy już w samolocie lecącym do Nowego Jorku; Shirley otwiera notes i przerzuca go, wciąż jeszcze zaspana. Ale nagle jej wzrok się budzi, jej głos się budzi i zaczyna opowiadać.

– Ona nazywała się Unita i miała najczarniejszą skórę, jaką kiedykolwiek widziałam: to była czerń zakurzona, mroczna, jasne? Jej mąż nazywał się Jeremiasz i był niemal biały. Gdyby nie kędzierzawe włosy, można by go wziąć za białego, który się opalił. Pracował jako kucharz na jednym z *show boats* na Missisipi, ona zajmowała się

prawami obywatelskimi; od trzech lat walczy o prawa obywatelskie, nie myśli o niczym innym, zupełnie jak partyzanci w wojnie przeciwko Niemcom. Ich dom położony był na przedmieściu. Mieszkali tam z dzieckiem, dziewięcioletnim, kilkoma krewnymi i przyjaciółmi, może nie powinnam mówić dom: tam w środku można było mówić o normalnym domu jedynie ze względu na telewizor i telefon, nie mieli nawet toalety. Żeby skorzystać z toalety, trzeba było wyjść na zewnątrz; ale mieli telewizor i telefon. Jest potrzebny, rozumiesz, żeby wiedzieć, co dzieje się gdzie indziej, i żeby informować, co dzieje się tutaj. To narzędzie pracy, rozumiesz, narzędzie obrony, rozumiesz, jak karabin, kiedy jesteś na wojnie. Tam toczy się wojna. Żeby zainstalować telefon, Unita i Jeremiasz odkładali pieniądze przez nie wiem ile miesięcy; biali każą płacić zawyżoną cenę, kiedy Murzyn chce założyć telefon, normalna umowa opiewa na trzydzieści dolarów, ale dla Unity i Jeremiasza suma wynosiła dwieście pięćdziesiąt. – Shirley, zdenerwowana, zapala papierosa. – Poznałam ich za pośrednictwem dwóch Murzynów, którzy przedstawili mnie jako swoją przyjaciółkę; jeśli nie powiesz „przyjaciółka”, „przyjaciel”, nie otworzą ci drzwi, nie podadzą ci ręki, powtarzam ci, tam toczy się wojna. O nic mnie nie spytali. Tylko o to, jaka jest moja praca, ale z moich niejasnych odpowiedzi wywnioskowali chyba, że jestem prostytutką albo kimś w tym rodzaju. Nie oburzyło ich to, ale wystarczyło, żeby nie wracać do tematu; ani razu nie przyszło im też do głowy, że jestem aktorką. Wiesz, nie chodzą do kina. Powiedzieli mi tylko, że jest mało miejsca do spania; na materacu położonym na ziemi możemy spać na zmianę, każde z nas po dwie godziny. W dzień wychodziłam z nimi, szczególnie z Unitą, która bywała w różnych miejscach, barach, na przykład, żeby „rozmawiać z ludźmi, wyjaśniać im pewne sprawy”. Czasami słyszała od męża: „Unita, dlaczego nie pójdziesz napić się piwa; spędzisz tam godzinkę, porozmawiasz z ludźmi, wyjaśnisz im pewne sprawy”. To właśnie nie podoba się tym z Ku-Klux-Klanu. I tamtego wieczoru... Nie zauważyliśmy, jak weszli do ogródka w swoich białych szatach, białych kapturach z bardzo drogiego jedwabiu. Nie zauważyliśmy, bo poruszają się bezszelestnie, przypominają koty w ciemności, spostrzegasz, że przyszli, dopiero wtedy, kiedy ich już nie ma. Nie usłyszeliśmy nawet, jak zbijają krzyż; wiesz, biorą dwa kawałki drewna i robią z nich krzyż,

większy lub mniejszy, zależnie od znaczenia, jakie chcą nadać swojej groźbie. Jeśli chcą cię przestraszyć tylko trochę, robią mały krzyż. Jeśli chcą przestraszyć cię bardziej, robią krzyż większy, jeśli chcą zapowiedzieć morderstwo, robią krzyż ogromny. Kiedy jest już gotowy, owijają go w materiał, polewają benzyną, żeby palił się lepiej i szybciej. Potem wbijają krzyż na przykład w ogródku i podpalają. Cóż, zauważyliśmy dopiero, kiedy błysnął pierwszy płomień, krzyż był ogromny; Unita mówiła, że zdarzają się większe, ale mnie wydał się ogromny, i było czymś przerażającym patrzeć, jak płonie w ciemności. Krzyż, nie wiem, uczyli cię, że krzyż to coś czystego, symbol miłości, a w tym wypadku krzyż był tak brudny, tak przepełniony nienawiścią, rozumiesz? Nie wiem, jak Unita i inni mogli patrzeć, jak płonie, i się uśmiechać. Unita, Jeremiasz, krewni, dziecko: wszyscy się uśmiechali, uwierzysz? Uśmiechali się i mówili, jacy oni są groteskowi, co za gesty nierozumnych dzieci. Ale jak to, Unita, protestowałam, ale jak to, nie wezwiesz policji? A ona: po co? Dziewięćdziesiąt procent białych należy do Ku-Klux-Klanu, policja jest w rękach białych. Szeryf jest nieskuteczny, oddziały federalne przyjeżdżają i zaraz odjeżdżają, sprawiedliwość jest tutaj farsą. Spostrzegasz to na procesach: nie ma ani jednego procesu o zabójstwo Murzyna niekończącego się uniewinnieniem. Murzyna skazuje się za nic, białego uniewinnia się, nawet jeśli popełnił morderstwo, i nic się nie da zrobić, trzeba jedynie wytrwać, dowieść, że się nie boisz. A ty, Unito, się nie boisz? Nie, nie boję się. Była kobietą naiwną, pełną nadziei. Była młodą kobietą, mimo swoich trzydziestu ośmiu lat, swojego potężnego, dojrzałego ciała, była dzieckiem, pełnym wiary, jak to dziecko. W gruncie rzeczy, dobrze, że się z nią nie spotkałaś; jak mówi Harry, zaraziłabyś ją swoją gorzką europejską mądrością.

– Nie mów głupstw, Shirley, ty także.

– Głupstw?! Na co im wy, którzy już wszystko widzieliście i dlatego jesteście mądrzy i zgorzkniali. Na co im wasza gorzka mądrość, Giotto, Masaccio, Dante i Leonardo da Vinci. Oni nie są zgorzkniali ani mądrzy, potrzebują naiwności, aby wierzyć, że sprawiedliwość istnieje i że zwycięży. Potrzebują wierzyć; gdyby nie wierzyli, baliby się, a gdyby się bali, pozostaliby niewolnikami.

– Nie zostali nimi we Florencji w Alabamie i nigdy nimi nie byli we

Florencji we Włoszech, Shirley.

Ale Shirley mnie nie słucha. Ten krzyż płonący w ogródku Unity, zapowiadający być może śmierć, wywarł na niej takie samo wrażenie, jakie na mnie, wówczas dziecku, wywarło pierwsze bombardowanie. I nie słucha mnie, nie zwraca uwagi na to, co mówię, nie może mnie słuchać, nie może zwracać uwagi na to, co mówię; jest znowu Amerykanką, która myśli po amerykańsku, i nikim więcej.

– Tamtej nocy, kiedy w końcu krzyż zgasł, rzuciłam się na materac, myśląc o tym, co mogą zrobić Unicie, i pomyślałam o moim ojcu, który mieszka w Wirginii, on także jest intelektualistą, on także mówi, używając czasu przeszłego dokonanego, on także ma humanistyczne wykształcenie i nie rozumie mnie, która jedzie do Jackson w Missisipi, nie rozumie Warrena, który jest identyczny jak ja. Tak jak nie rozumie nas matka, która mówi z uśmiechem, jakie mamy zwariowane dzieci, jakie zwariowane. Tak, myślałam o ojcu i powiedziałam mu: ojciec to jest błąd, jaki popełniasz, jaki wielu Amerykanów popełnia, błąd polegający na lęku przed rewolucją innych, potrzebą niezależności u innych; zapominasz, że ten, kto się buntuje, kto domaga się praw, powtarza lekcję, której mu udzieliliśmy. My, którzy zerwaliśmy jako pierwsi okowy kolonializmu, my, którzy oderwaliśmy się od kraju naszego pochodzenia i prowadziliśmy z nim wojnę, my, którzy zawsze byliśmy narodem nieposłusznych! A teraz, kiedy inni postępują tak samo z nami, teraz, kiedy przyswoili sobie naszą lekcję, my ich nie rozumiemy i zapalamy przeciw nim krzyże, wysyłamy na nich żołnierzy i zdradzamy samych siebie...

Nowy Jork, gdzie jeden z członków Ku-Klux-Klanu niedawno się zabił, gdyż odkrył, że jest Żydem, atakuje nas swoimi wieżowcami, swoimi mostami, swoimi statkami przycumowanymi wzdłuż rzeki Hudson; czy należy zrobić bilans tej podróży? Patrząc na Shirley, która siedzi teraz u mnie i telefonuje do Japonii, znowu do Japonii, by powiedzieć Steve'owi, swojemu mężowi, że wraca do domu, podróż się skończyła, i dochodzę do wniosku, że moja przyjaciółka zrobiła jej bilans już na samym początku: kiedy wyruszałyśmy, powiedziała mi, pamiętaj, że żadna synteza nie jest możliwa, ponieważ Ameryka jest wszystkim. Wszystkim. Mężczyzną z Rhyolite z jego łapą dinozaura, adwokatem od spraw rozwodowych z Las Vegas, *slot machine* z Las Vegas, rodziną

Navajo z Tuby, Pueblo z Acomy, którzy oszukują, sędzią z Dobranoc, kowbojem z Oklahomy, szeryfem z Paryża, kobietą burmistrzem z Moskwy, profesorem Rosenbaumem z Florencji, Murzynką Unitą z Jackson. Wszystkim. Przede wszystkim jednak, choć może się myłę, jest tą kobietą pełną pasji, wściekłą, dumną, inteligentną, irytującą, zbuntowaną, która towarzyszyła mi przez ponad dwa tygodnie aż do tego miejsca. Być może nie widziałam dużo przez te dwa tygodnie, być może zrozumiałam jeszcze mniej, ale pojęłam jedno, i to jeszcze jak, dzięki niej. Niepojęta tajemnica zwana Ameryką potrafi nam przecież udzielić lekcji: na przykład, że trzeba być nieposłusznym i uczyć się łaciny.

2 Dante Alighieri, *Boska Komedja*, przeł. E. Porębowicz, Gebethner i Wolff, Warszawa 1909, s. 29 (przyp. tłum.).

CZEŚĆ CZWARTA

MIGAWKI
(1966)

AMERYKANIE TO WARIACI

Nowy Jork, luty

Wpada do mnie do domu o pierwszej: czarny płaszcz, czarny kapelusz, taki elegancki, że wydaje się, że to nie on, ale jakiś agent z Wall Street. W prawej ręce trzyma nową błyszczącą jednocentówkę z profilem Lincolna. W lewej zawiniątko z serem gruyère: naszła go ochota, więc kupił.

– Ale się namęczyłem. Jak się mówi gruyère po angielsku? Musiałem go w sklepie narysować, a ja nie mam wyobraźni geometrycznej. – Jest w Nowym Jorku od trzech dni, przyjechał razem z De Sicą, by podjąć decyzję co do trzech filmów. – Poważne sprawy! Poważne sprawy.

Nigdy nie był w Nowym Jorku, poprosiłam go więc, żeby mi opowiedział, co widział. Kto wie, co widział ten wspaniały humorysta, ten cudowny poeta, ten paradoksalny sześćdziesięcioletni chłopiec. Posłuchajmy go, nie zadając mu pytań, niech mówi. Właśnie zdjął płaszcz, rzucił się na fotel i zjada swój ser, popijając coca-colą. Nie kupił jej, domyślił się, że muszę ją mieć, „gdyż ktoś, kto mieszka uwięziony w wieżowcu, z konieczności pije coca-colę”.

*

– Problemem jest napiwek. Z napiwkami, wiesz, mam najwięcej kłopotów. Zanim opuściłem Rzym, zadzwonili do mnie ci z telewizji, chcieli wiedzieć, co sądzę o napiwku. Słuchajcie, odpowiadam, lecę do Nowego Jorku i nie martwię się wcale odległością, martwię się napiwkami. Poszukałem w książce Raymonda Cartiera, jest tam napisane, że trzeba dawać piętnaście procent. Zgoda, ale dzielenie, mnożenie, kto ma do tego głowę? Ja nie, zawsze się mylę, nigdy nie byłem mocny w rachunkach. Ani w pieniądzu, kieruję się sympatią. Twojemu portierowi dałem tę śliczną monetę, która błyszczy i widnieje na niej jakaś szlachetna twarz. Sądziłem, że przedstawia pewną wartość,

ale mi ją oddał, zachował się niegrzecznie. Ile jest warta?

– Jednego centa. Około sześciu lirów.

– To dlatego. I pomyśleć, że sądziłem, iż ma pewną wartość. Błyszczała. Trzeba było spytać, ale wszyscy mówią tylko po amerykańsku, po amerykańsku i już, miałem mnóstwo problemów z językiem, doznałem prawdziwych upokorzeń. Przylatuję na przykład i zauważam, że zostawiłem w Rzymie przewód do golarki, no, jak to się nazywa, przewód, drut. Bardzo trudna sprawa. A jeśli nie znają tu hiszpańskiego? Kiedy jestem w tarapatach, wydobywam z siebie dziesięć słów po hiszpańsku: *adiós, hasta la vista, mañana, olé*. Dzwonię i zjawia się Murzynka; nie rozumie nawet *olé*. Patrzy na mnie, jakbym zwariował, gestykuluje, śmieje się, a ja nie mogę się ogolić. W Londynie jest tak samo. Pamiętam, pewnego razu w Londynie spytano mnie, jaki chcę aperitif, odpowiedziałem po francusku, kelnerka nie знаła francuskiego i wszyscy pili aperitif oprócz mnie. Siedziałem skulony, milczący jak jakiś kretyn, i myślałem o tym, że wszyscy piją aperitif oprócz mnie. Ale w Londynie jeszcze znajdziesz kogoś, kto mówi po francusku, tutaj nie. Mówię: *parlez-vous français?* Odpowiadają: *très peu*. Potem już nic albo jakiś żaloszny bełkot, bo rzeczywiście znają go mało i ja też znam go mało. Tak się nie da, to nie jest równa walka. Napisałem do moich dzieci: uczenie się języka, uczenie się angielskiego. Jedno z nich go zna, napisałem mu, żeby postarało się tę znajomość pogłębić. Kiedy tylko wrócę do Rzymu, ja również wezmę lekcje: godzinę dziennie angielskiego. Tyle, żeby móc przeczytać tytuły gazet, dać odpowiedni napiwek, nie czuć się śmieszny. Jediną rzeczą, z którą sobie radzę, jest winda; mam szczęście, że mieszkam na siódmym piętrze, a siedem mówi się *seven*. To jest słowo, które umiem prawidłowo wymówić, ponieważ we Włoszech jest napój, który bardzo lubię i który nazywa się *seven-up*. *Up* znaczy właśnie do góry. Mówię: *seven-up!* I windziarz wiezie mnie, gdzie trzeba. Przez telefon jednak nie działa, telefonowanie do przyjaciół jest niemożliwością. Mówię: *s'il sous plaît, je voudrais un numéro*. Odpowiadają: „uan moment” i szukają kogoś, kto szuka kogoś innego, i tak dalej, a tymczasem mija dwadzieścia minut i w końcu zapada cisza. Udało mi się jedynie połączyć z konsulem: szukałem pewnego faceta, ale już tam nie pracuje, przeszedł na emeryturę. I wiesz, co wtedy zrobiłem? Wziąłem pióro

i napisałem do przyjaciół – listy ekspresowe. Nazajutrz zaczęły przychodzić telegramy, kablogramy, a na koniec oni: przyjaciele. Przyszedł nawet Saul Steinberg, przygotowuje wystawę w kolorze; pomyśl tylko, odkrył kolor, nigdy dotąd nie pokazał nam kolorowych rysunków. Ale przyjaciół zrobiło się za dużo, więc posadziłem ich naprzeciwko siebie, powiedziałem: cudownie, jestem szczęśliwy, zobaczymy się w Rzymie, i poszedłem do teatru. Nie, to się zdarzyło następnego wieczoru, zgubiłem wątek, opowiadając o poprzednim, na czym skończyłem? Aha, na Murzynce, która się śmieje. Cóż, po chwili zjawiał się bardzo wysoki facet i zaczął mówić w najbardziej ścisłym dialekcie z Abruzji. Lepiej by już było, gdyby mówił po amerykańsku. Zrozumiał jednak historię z przewodem, drutem i poszedł kupić mi nową golarkę. To była golarka tak skomplikowana, tak inteligentna, że żaden z nas nie zdołał jej uruchomić, więc oddaliśmy ją, chociaż zdążyliśmy już zdjąć opakowanie. Ale facet pożyczył mi żyletkę i mogłem się ogolić. Widać?

– Tak, tak. Widać.

– Kiedy się ogoliłem, odetchnąłem z ulgą i wyszedłem, sam, na „Fif Aveniù”. Vittorio i Maria zostali w pokoju, ale nie byłem niezadowolony, bo wolę wychodzić sam, chociaż Vittorio zna trochę angielski. Było zimno. Ale to było zimno suche, dobre, zimno, jak by to powiedzieć?

– Jak u bogatych.

– Tak, brawo, jak u bogatych. W tym zimnie jak u bogatych panowała straszliwa cisza i trzeba było trochę czasu, bym zrozumiał, że tę ciszę spowodował w moich uszach huk samolotu. Zrobiły na mnie wrażenie światła, te wszystkie oświetlone sklepy, jak gdyby były otwarte; rozumiesz, przyjeżdżasz z Rzymu, gdzie kiedy wychodzisz z pokoju, przekręcasz wyłącznik pod pretekstem, że wlecą komary. A poza tym zrobiły na mnie wrażenie kobiety: piękne, naprawdę piękne i bardziej eleganckie niż w Londynie i w Paryżu. Przed jedną z restauracji stała kolejka wytwornych kobiet: wszystkie w norkach. Kolejka futer z norek, rozumiesz. Bardzo wytwornych. I jeszcze zrobiły na mnie wrażenie wieżowce. Patrzysz na nie z głową odrzuconą do tyłu, jak gdybyś siedział na spektaklu variétés w pierwszym rzędzie. Ale jak bardzo byś odchyłał głowę do tyłu, i tak to nie wystarczy: nie można dojrzeć, gdzie się kończą. W pewnym momencie wiesz, co się dzieje? Patrzę na *building*

Time Life'u, odchylam coraz bardziej głowę do tyłu i widzę za sobą konia. Konia wśród wieżowców. Prawdziwego konia, jak gdybyś była w Rzymie, rozumiesz. Konia z policjantem na grzbiecie, ot tak, nagle; nie masz nawet czasu zrozumieć, o co chodzi. Przestraszyłem się i uciekłem do kościoła. Tak, do kościoła; wyda ci się to dziwne, bo nie uchodzę za kogoś, kto żywi szczególną sympatię do pewnych form, które... krótko mówiąc. Ale chciałem zobaczyć Saint Patricka. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był papież z wosku. Siedzi tam, z wosku, w okularach i z całą resztą; przestraszył mnie, podobnie jak wcześniej koń. Drugą rzeczą, jaką zobaczyłem, były flagi: amerykańska i papieska, wiesz, obok siebie. Robi to pewne wrażenie, widzieć flagi w kościele; cudowne wrażenie. Podobnie jak piramida palących się świeczek, taki czysty, migotliwy blask; można by zmienić zdanie, wyrażam się jasno? Kościół był pusty, dostrzegłem tylko jedną kobietę, zakrywała twarz dłońmi i zajęta była, jak to się mówi, swoimi sprawami, modliła się. I setki, setki Biblii, żebyś zobaczyła, ile Biblii, pomyśl, że nikt ich nie kradnie, i jeszcze setki, setki poduszek, które wyglądają jak torty: wysokie na piędź, służą do tego, żeby na nich klękać. Wierni nie będą przecież klęczeć na ziemi, lecz na poduszkach, niczym jacyś kardynałowie. To również jest jak u bogatych. Potem wyszedłem i poczęstowano mnie czekoladką. Motywem była jednak dobroczynność, a nie uprzejmość. Nie zrozumiałem i oddaliłem się, rozmyślając o strefach czasowych i o dramacie zazdrosnego mężczyzny. Co to ma wspólnego, powiesz. Ma. Kiedy tutaj jest szósta po południu, we Włoszech jest już północ. Zazdrosny mężczyzna przyzwyczaił się do równoległości własnego życia i życia jego kobiety. O szóstej po południu o czym myśli? Myśli: jest szósta i ona wychodzi z biura na przykład. Nie! Wcale nie wychodzi z biura, bo dla niej jest już północ i kto wie, co robi. Może jest w łóżku nie wiadomo z kim. To jest problem nie tylko zazdrosnego mężczyzny, który ma kobietę we Włoszech albo we Francji, albo w Niemczech. Odnosi się to również do mężczyzny, który ma kobietę w Ameryce; jednym słowem, do Amerykanów, rozumiesz? Strefy czasowe zmieniają się w tym kraju nieustannie, kiedy w Nowym Jorku jest południe, w Los Angeles jest dziewiąta rano, w Kansas jest dziesiąta; trzeba wciąż obliczać, jak w wypadku napiwków; jeśli nie jest się mocnym w rachunkach, wiesz, jakie błędy można popełnić? Ktoś taki dzwoni

w złym momencie, mówi dobranoc w złym momencie. Tak rozmyślając, wróciłem do hotelu i zgadnij, kogo zastałem? Dalego. A co miał na głowie? Hełm. Jakiego koloru? Biały. Robił wiele zamieszania, żeby zwrócić na siebie uwagę, całował kobiety, biegał; zirytował mnie. Jako artystę bardzo go szanuję, to jasne, ale co to za hałas? Wybuchła wojna! Nie! To strażacy. Strażaaacy!

Zavattini biegnie do okna, podnosi je i niemal wypada z dwudziestego piętra na autocysterny w kolorze jaskrawej czerwieni.

– Piękne! Piękne! Też chcę jechać, chcę jechać za nimi! Chodźmy, szybko, płaszcz! Ale jak to?! Oni przejeżdżają, a ty stoisz, jak gdyby nigdy nic, skamieniała? Nie chcesz wiedzieć, dokąd jadą i po co? Coś się pali? I co to znaczy: coś się pali? Chodźmy w takim razie zobaczyć, co się pali, gdzie się pali; włożę płaszcz. Wychodzę. Ale co to znaczy: ciągle przejeżdżają? Skoro ciągle przejeżdżają, to znaczy, że miasto ciągle się pali. Interesujące. O, już ich nie słychać, pozwoliłaś im odjechać, kto wie, co mnie ominęło.

Zavattini ponownie zdejmuje płaszcz i krąży po domu, niezadowolony.

– Te domy jak dla ptaszków. Przypominają klatki, w których można zamknąć płaczącego ptaszka. Tracisz perspektywę, wyrażam się jasno? Wchodzisz do wieżowca, który ma sto pięter, i to tak, jakbyś przekraczał próg domu przy via Medici czterdzieści. Zupełnie tego nie zauważasz, że masz nad głową sto pięter. A jeśli się zawała? Bo przecież ważą, wiesz, ważą. A my, ile mamy pięter nad głową?

– Około trzydziestu.

– Miejmy nadzieję, że budynek wytrzyma. Ale wieżowce mi się podobają. Dziś rano w hotelu rozsunąłem zasłony i zgadnij, co było naprzeciwko? Wieżowiec. Patrę, a na dachu sople; tu i ówdzie ślady po śniegu. Cóż za wyrafinowane miasto. Zacząłem liczyć okna, zgadnij, ile ich było. Zapisałem je sobie w notesie: trzysta. Rozumiesz? Trzysta. Trzysta okien. Były piękne, bo niejednakowe, w każdym rzędzie były inne. W jednym rzędzie były tylko plecy w koszuli, niżej tylko nogi, rząd wyżej tylko głowy palące fajkę i telefonujące. Mówię ci o zjawisku wizualnym oczywiście, ale to coś znacznie więcej niż zjawisko wizualne. Pewien pan z fajką zauważył, że na niego patrzę; przyjrzał mi się z wyrzutem. Z pewnością pomyślał: szpiegostwo przemysłowe. Przykro

mi. Zostawiłem go samego, żeby się uspokoił, włączyłem telewizor. Cóż za niespodzianka, te wszystkie kanały. I sposób, w jaki działają. Jest jeden, na którym widać coś, co przypomina płaskorzeźby; nadzwyczajne. Inny, jakby w nim padał deszcz; cudowne. Zjawił się ten bardzo wysoki facet i w swoim dialekcie z Abruzji zauważył, że nie umiem korzystać z telewizora i tylko go zepsuję. Potem go naprawił, ale ja go znowu popsulem i w ciągu pięciu minut obejrzałem trzy morderstwa w deszczu. Płaskorzeźby natomiast przemówiły, a poniżej twarzy pojawiły się nazwiska. Musiało chodzić o jakieś ważne osobistości, ale rozpętała się burza i rozbiła obraz na pojedyncze błyski. Rozczarowany udałem się do ONZ. Rzeką płynęła kra, która zamiast kierować się w stronę morza, zdążyła pod prąd niczym łososie. Spytałem kierowcy, dlaczego kra w Nowym Jorku płynie jak łososie, a on mi wyjaśnił, że to z powodu przyływu. Na zewnątrz ONZ było piękne. Cóż za bogactwo linii, cóż za genialne wykonanie. Powiedziałem od razu: chcę zobaczyć toalety, kto wie, jakie są toalety w ONZ. Rozczarowały mnie, naprawdę rozczarowały. Mam na myśli, że w ONZ spodziewasz się toalet nadzwyczajnych, a one są skromne, jak na takie miejsce. Poza tym, żeby otworzyć drzwi, trzeba wrzucić monetę dziesięciocentową, a jeśli jej akurat nie masz? Ja nie miałem. Próbowałem wrzucić monetę dwudziestopięciocentową, nie zamierzając czekać na resztę, ale się nie zmieściła, a ja nie mogłem się wysuszać. Ale ONZ zrobiło na mnie wielkie wrażenie, ogromne wrażenie, wrażenie całkowitej bezużyteczności. Te słuchawki, ci turyści chodzący niczym kury po placu św. Piotra i najgorsza rzecz, ten obrzydliwy fresk w sali zgromadzeń. Jak można zmuszać kogokolwiek do patrzenia na takie malowidło; podobny brak gustu grozi wybuchem wojny. Brak wojny to kwestia gustu. Oni patrzą od rana do wieczora na ten obrzydliwy fresk, przyzwyczajają się do złego smaku i potem wywołują wojnę. Być może dlatego podejmują decyzje w białym pokoju, który zamykają na klucz, więc żeby ich zobaczyć, trzeba by patrzeć przez dziurkę od klucza, oni jednak zatykają dziurkę korkiem i tyle ich widać. Nie wiem, w ONZ odczuwałem coś w rodzaju niepokoju, jakieś zagrożenie. Można by rzec, że czuje się tam w środku zapach wojny, ale co mówią ludzie? Nie udało mi się tego dowiedzieć z powodu języka. Kupiłem nawet magnetofon, żeby się dowiedzieć. Poprosiłem o napisanie mi pytań po angielsku

i chciałem zatrzymywać ludzi, nagrywać to, co mówią, a potem dać do przetłumaczenia. Magnetofon nie zadziałał. Podobnie jak golarka; zbyt inteligentny, zbyt skomplikowany. Było za dużo guzików i nie naciskałem nigdy tego właściwego; zacznę raz jeszcze od ciszy. A czy ty wyczuwasz ten niepokój w powietrzu?

– Oczywiście. Jesteśmy tu na froncie.

– Otóż to, tak, na froncie! I z tego właśnie powodu, być może, tyle jedzą. Aby zapomnieć, że są na froncie. Nie jedzą jednak nigdy chleba. A przecież chleb jest tu pyszny: te bułki lekkie jak piórka, bielutkie, drogocenne. Ileż muszą mieć mąki, ależ są bogaci, mają wszystko. Wydano obiad dla mnie i Vittoria w miejscu, które się nazywa The Four Seasons. Wchodzę i wpadam w osłupienie: na ścianie naprzeciwko wiesz, co widzę? Fresk Picassa od podłogi do sufitu. Ile on kosztuje, pytam. A oni na to: sto, dwieście milionów. Rozumiesz? Idę do drugiej sali i co widzę? Obraz Chagalla. Ależ są bogaci. Są jednak również mili: obok Chagalla umieścili Vittoria i mnie. Dwa bardzo duże zdjęcia, teraz rozumiem, dlaczego fotograf Secchiaroli zrobił mi zdjęcie dwa dni przed wyjazdem. To dla Ameryki, powiedział. Zamówili je, kazali wysłać, powiększyli; ależ są szybcy. Wina jednak ani kropli. Powiadam: czy nie pije się tutaj wina? Słyszę w odpowiedzi: jakie tylko wino pan sobie życzy. Przyniesiono mi francuskie, cóż za ceny. W porównaniu z nim biżuteria kosztuje mniej. Byłem u Tiffany'ego; kupuje się tam biżuterię jak kiełbasę. I traktuje się ją jak kiełbasę: z taką samą swobodą, dezynwolturą. My natomiast traktujemy kiełbasę jak biżuterię. Nie wiem, czy wyrażam się jasno: mam na myśli, że u nas konieczność jest luksusem, a u nich luksus jest koniecznością. Zobacz, zapisałem to nawet w notesie: wędliniarnia Tiffany. Zawiózł mnie tam przesympatyczny kierowca o twarzy przestępcy. Może chciał okraść sklep, ale potem zauważył policjantów po cywilnemu, szkoda. Nikt nie jest miłszy od przestępcy, jeśli jesteś z nim w zgodzie. Zawiózł mnie również do federalnej rezerwy dolarów; kręciło mu się w głowie na myśl o dolarach, które są tam w środku. Mnie natomiast przypominało to budynek Banca d'Italia, wychodzili stamtąd sami normalni ludzie. Potem woził mnie po mieście, nigdzie jednak się nie zatrzymując. *Arrêtez, arrêtez*, powtarzałem. Wyglądał na głuchego, może i nim był. Wszystkie te obrazki migały mi przed oczyma, szybkie, nieuchwytnie:

wielki plakat United Fruit, góra spalonych śmieci, powiedz mi, gdzie leci dym? I „Stok Ekszczendź”, i słynna Wall Street. Nagle, na słynnej Wall Street, kryzys z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego i tak dalej, a co widać? Sklepek z wielkim biustonozem na wystawie. Zaczynasz rozumieć pop art i rozumiesz również, że sztuka zawsze się spóźnia: jako powtórka z rzeczywistości, zawsze bardziej fascynującej. Na koniec zajechaliśmy do portu, gdzie załadowywali coca-colę. Pepsi-colę nie, bo strajkują już od pół roku. Pomyśl, od pół roku. Było mi przykro, że nie widziałem załadunku pepsi-coli, to naprawdę przepiękny spektakl. Te statki, które odpływają, buuu-buuu, tną dostojnie powierzchnię wody, buuu, buuu, i płyną do Ameryki Południowej, żeby zawieźć coca-colę, pepsi-colę. W porcie zobaczyłem jedną Japonkę. *Japonaise!* – zawołałem. A ona: nie, Amerykanka. Jak to możliwe, żeby Japonka była Amerykanką? Ale założmy nawet, że jest Amerykanką: czyż nie boi się być Amerykanką? Pomyśl, co to za odpowiedzialność. Chciałem jej powiedzieć: Czy pani sobie zdaje sprawę, proszę pani, że Amerykanie mają w rękach losy świata? Czy pani się do tego nadaje? Bo jeśli pani się do tego nie nadaje, wszyscy zapłacimy za to życiem. Lepiej już niech pani będzie Japonką. Ach, tak bardzo chciałbym zostać w tym kraju, to kraj zaraźliwy, łapiesz go. Szczególnie Nowy Jork. Ale muszę jechać do Los Anheles.

– Los Angeles, nie Los Anheles.

– Jak zwał, tak zwał. Muszę jechać do Los Anheles, żeby sprawdzić pewne rzeczy, ponieważ, na to wygląda, trzydzieści pięć lat temu napisałem całą masę nieściskości. Musisz wiedzieć, że trzydzieści pięć lat temu, pod pseudonimem Jules Parma, napisałem *Le cronache di Hollywood*: podpalenia, kradzieże, zdrady, same kłamstwa, ani źdźbła prawdy. Raz napisałem, że Douglas Fairbanks, zazdrosny o Mary Pickford, przemierzał dwa razy dziennie Sunset Boulevard z jednego końca na drugi. No więc, zdaje się, że Sunset Boulevard ma osiemdziesiąt kilometrów. Biedny Fairbanks. Żałuję jednak, że muszę opuścić Nowy Jork. Spodobał mi się bardziej niż Londyn, bardziej niż Paryż, spodobał mi się ogromnie, i powiem ci dlaczego. Tutaj jest całe dzieciństwo klasy mieszczańskiej, do której należę. Tutaj odnajduję, mimo wojny, wszystko, o czym marzyło moje dzieciństwo. Chleb lekki jak piórko, ludzie, którzy kupują z całkowitą swobodą kielbasę, chcę

powiedzieć, biżuterię... Rozpoznaję się w tym wszystkim, Amerykę, tak mi się przynajmniej wydaje, trzeba tak właśnie zaakceptować: jak poezję, bezkrytycznie. Czyż można krytykować dzieci, które ją wymyśliły? W niedzielę wrócę do Starego Świata przez biegun północny. Chcę zobaczyć białe niedźwiedzie. Czy je zobaczę? Jak sądzisz? Chyba nie ma w tym jakiegoś oszustwa?

*

Jest już prawie piąta, kiedy wychodzi. Nad miastem wstaje świt i portier patrzy nań surowo: w pana wieku, co za wstyd! Zatrzymuje się taksówka. Zavattini, szczęśliwy, wskakuje do środka: chce, by go zawieźć do „Empir Stet Blding”, ponieważ i tak w nocy nie śpi, a tym bardziej o świcie. Widzę go, jak gestykuluje, podczas gdy kierowca potrząsa głową. Potem taksówka odjeżdża, znika w porannym chłodzie.

MARKSISTA W NOWYM JORKU

Nowy Jork, październik

Oto i on: niski, kruchy, wypalony tysiącami pożądań, tysiącami rozpaczy, goryczy, ubrany jak chłopiec z college'u. Wiesz, w stylu tych wysportowanych młodzieńców, którzy grają w bejsbol i uprawiają miłość w samochodach. Jasnobrązowy pulower ze skórzaną kieszonką na wysokości serca, jasnobrązowe spodnie ze sztruku, trochę ciasne, zamszowe buty z gumową podeszwą. Nie wygląda na swoje czterdzieści cztery lata. Żeby je odzyskać, te swoje czterdzieści cztery lata, musi podejść do okna, gdzie światło pada bezlitośnie na twarz i razi te wilgotne, patrzące boleśnie oczy, ukazuje zapadnięte, pomarszczone policzki, skórę tak napiętą na kościach policzkowych, że widać zarys czaszki. To ze zmęczenia, jak przypuszczam. Wiezorami ucieka z prozonych kolacji i chodzi sam po najciemniejszych ulicach Harlemu, Greenwich Village, Brooklynu albo zagląda do barów w porcie – gdzie nie zjawia się nawet policja – w poszukiwaniu Ameryki brudnej, nieszczęśliwej, gwałtownej, pasującej do jego problemów, jego upodobań, i wraca do hotelu na Manhattanie dopiero o świcie; ma spuchnięte powieki, ciało obolałe ze dziwienia, że żyje. Wielu z nas myśli, że jeżeli nie przestanie, znajdziemy go któregoś dnia z kulą w sercu albo z poderżniętym gardłem; chyba zwariował, żeby chodzić tak po Nowym Jorku? Jest w Nowym Jorku od dziesięciu dni. Przyleciał na festiwal filmowy, pokazują na nim dwa jego filmy. Chciałabym się naprawdę dowiedzieć, czy Ameryka podoba się temu zagorzałemu marksście, temu gniewnemu chrześcijaninowi, jednym słowem, Pasoliniemu. Dziesięć dni to mało, żeby dojść do jakichś wniosków, to prawda, ale Orson Welles powiedział mi kiedyś, że aby zrozumieć kraj, potrzeba dziesięciu dni albo dziesięciu lat: jedenastego dnia się przyzwyczajasz i nic już nie widzisz. Jedenastego dnia, jutro, wyjeżdża. Dlatego poprosiłam go, żeby przyszedł do mnie na drinka.

– Whisky? – pytam go. – Piwo? Koniak?

– Coca-cola – odpowiada.

Okno wychodzi na ulicę pełną wieżowców, stoją jeden obok drugiego, jeden za drugim, od East River do Hudsonu. Kręci ci się w głowie, kiedy na nie patrzysz, czujesz się w pułapce, jak zwierzę, które pragnie zieleni. Albo ciszy. Przez uchylone okno wdziera się piekło: warkot silników, dźwięk klaksonów, łoskot młotów pneumatycznych, syreny. Miasto włączyło centralne ogrzewanie i czarny kurz przyczepia ci się nawet do rzęs, oślepiając cię. Pada deszcz, to jeden z tych dni, kiedy wszystko cię irytuje, przygnębia. Ale on pije ze smakiem swoją coca-colę i nagle wykrzykuje:

– Chciałbym mieć osiemnaście lat, żeby przeżyć tu całe życie!

– Tutaj?! W Nowym Jorku?

– To jest miasto magiczne, wciągające, przepiękne. Jedno z tych szczęśliwych miast, które mają wdzięk. Tak jak poeci, którym za każdym razem, kiedy piszą wiersz, wychodzi piękna poezja. Żałuję, że nie przyjechałem tu o wiele wcześniej, dwadzieścia albo trzydzieści lat temu, żeby tu zostać. Nigdy mi się to nie zdarzyło w żadnym innym kraju. Może z wyjątkiem Afryki. Ale do Afryki chciałbym pojechać i tam zostać, żeby się nie zabić. Afryka jest jak narkotyk, który bierzesz, żeby się nie zabić, to ucieczka. Nowy Jork nie jest ucieczką: jest zaangażowaniem, wojną. Wzbudza w tobie chęć działania, stawienia czoła, zmiany; podoba ci się tak, jak podobają ci się różne rzeczy, kiedy masz dwadzieścia lat. Zrozumiałem to zaraz po przyjeździe. Przyjechałem z Montrealu pociągiem. Wysiadłem na ogromnym podziemnym dworcu pogrążonym w ciemności. Nie było bagażowych, a moja walizka sporo waży. A jednak szedłem, jak gdyby była lekka. Kierowałem się w stronę oślepiającego światła, w głębi tunelu widać było oślepiające światło, i kiedy znalazłem się na zewnątrz, miasto dopadło mnie niczym jakieś objawienie. Jerozolima ukazująca się oczom Chrystusa. Nie czułem się cudzoziemcem, nauczyłem się od razu chodzić po ulicach, jak gdybym się tu urodził; a przecież nie rozpoznawałem tego miasta. Ponieważ nikt nigdy nie przedstawił Nowego Jorku. Nie przedstawiono go w literaturze; z wyjątkiem satyrycznych rysunków z Arcimboldem i Petronillą, na temat Nowego Jorku mamy jedynie wiersze Ginsberga. Nie przedstawiło go malarstwo; nie ma obrazów Nowego Jorku. Nie przedstawiono go w kinie, gdyż...

Sam nie wiem. Może nie nadaje się do przedstawienia w kinie. Z daleka wygląda jak Dolomity, zbyt fotogeniczne, zbyt cudowne; niepokoi. Z bliska, od wewnątrz, go nie widać; obiektyw nie potrafi pomieścić początku i końca wieżowca. Ale nie tylko fizyczna uroda się liczy. Liczy się jego młodość. To jest miasto młodych, miasto najmniej schyłkowe, jakie kiedykolwiek widziałem. I jakże jest elegancka tutejsza młodzież.

– Elegancka?!

– Mają fantastyczny gust; popatrz, jak są ubrani. W sposób najbardziej własny, najbardziej antykonformistyczny, jak tylko to możliwe. Nic ich nie obchodzi zasady wyznawane przez drobnomieszczactwo albo lud. Te duże swetry, te tanie kurtki, te niewiarygodne kolory. Wcale się nie ubierają, wkładają maski: podobnie jak kiedy byłaś mała i wkładałaś kapotę babki. I tak chodzą w maskach, dumni, świadomi swojej elegancji, która nie jest nigdy naiwna. Masz ochotę ich naśladować i może nawet ich naśladujesz, bo gdzie indziej możesz się tak ubrać? W Rzymie? W Mediolanie? W Paryżu? W tych miastach zawsze się boję, że ludzie będą się za mną odwracać, patrzeć na mnie. Tutaj nie mam żadnych kompleksów, mogę się ubierać, jak chcę, i nikt się nawet nie obejrzy, nie będzie na mnie patrzeć. Tutaj nikt cię nie niepokoi swoją ciekawością. Wczoraj na Czterdziestej Piątej widziałem mężczyznę, który umierał. Trzymał w dłoni paczkę; przyjrzał się jej uważnie, a potem odrzucił ją z taką siłą, że paczka pękła. Kto wie, co było w środku. Następnie oparł się o ścianę, położył głowę na przedramieniu, zsunął się pomалу na ziemię i leżał tak, płacząc. Zamiast umrzeć. I nikt się nie zatrzymał, żeby na niego spojrzeć, choćby po to, żeby podać mu szklankę wody, jakoś pomóc. Poprzedniego wieczoru, niedaleko Manhattanu, widziałem starego człowieka leżącego na chodniku, przykrytego kocem. Obok niego stał chłopiec, piękny, elegancki, taki, jak wiesz: buty z doskonałej skóry, cienkie skarpetki, dobrze skrojone spodnie, fantastyczny pulower. Stary człowiek przyciskał do piersi rękę chłopca i jego twarz była biała, wygładzona już przez śmierć. Ludzie przechodzili, nie przystając, ktoś się zaśmiał. Czy to źle? Czyż nie jest czymś złym to, że przystajemy z ciekawości? Nie jest powiedziane, że ich milczenie oznacza brak współczucia, może to jakiś wyższy stopień współczucia. Współczucia polegającego na tym, by się nie zbliżać, nie przyglądać się z ciekawością.

*

Ameryka to prawdziwa kobieta fatalna, uwodzi każdego. Nie znalazłam ani jednego komunisty, który po przyjeździe nie straciłby głowy. Przybywają przepelnieni niechęcią, uprzedzeniami, może nawet pogardą, i od razu doznają Objawienia, Łaski. Wszystko im odpowiada, wszystko im się podoba; wyjeżdżają zakochani, ze łzami w oczach. Tak czy nie, Pasolini? Wzrusza ramionami oburzony.

– Jestem marksistą niezależnym, nie chciałem się nigdy zapisać do partii, w Ameryce zaś jestem zakochany od dzieciństwa. Nie wiem dlaczego. Literatura amerykańska na przykład nigdy mi się nie podobała. Nie podoba mi się Hemingway ani Steinbeck, bardzo mało Faulkner; od Melville’a przeskakuję od razu do Allena Ginsberga. Amerykański establishment był zawsze nie do pogodzenia, to oczywiste, z moją marksistowską wiarą. A więc? Być może kino. Przez całą młodość fascynowały mnie amerykańskie filmy, to znaczy Ameryka pełna przemocy, gwałtowna. Ale to nie taką Amerykę odnalazłem, lecz Amerykę młodą, zrospaczoną, idealistyczną. Mają w sobie wielki pragmatyzm, a jednocześnie dużą dozę idealizmu. Nie są nigdy cyniczni, sceptyczni jak my. Nie są nigdy konformistyczni, realistyczni; żyją zawsze w marzeniach i muszą wszystko idealizować. Również bogaci, również ci, co mają w rękach władzę. Prawdziwej rewolucji nie należy szukać w Chinach ani w Rosji, lecz w Ameryce. Wyrażam się jasno? Kiedy jesteś w Moskwie, w Pradze, w Budapeszcie, widzisz, że rewolucja poniosła porażkę: socjalizm doprowadził do władzy klasę kierowniczą i robotnik nie jest panem swojego losu. Kiedy jesteś we Francji, we Włoszech, spostrzegasz, że europejski komunista jest człowiekiem pozbawionym ideałów. Kiedy jesteś w Ameryce, odkrywasz najpiękniejszą lewicę, jaką może dziś odkryć marksista. Poznałem młodych ze SNIC, wiesz, studentów, którzy jadą na Południe i organizują ruch Czarnych. Przypominają pierwszych chrześcijan, jest w nich taki sam radykalizm, z jakim Chrystus zwraca się do bogatego młodzieńca: „Aby pójść ze mną, musisz porzucić wszystko, kto kocha ojca i matkę, ten mnie nienawidzi”. Nie są ani komunistami, ani antykomunistami, są mistykami demokracji; ich rewolucja polega na doprowadzeniu demokracji do skrajnych i niemal szalonych konsekwencji. Kiedy ich

poznałem, przyszedł mi do głowy pewien pomysł: żeby umieścić w Ameryce mój film o świętym Pawle. Chcę przenieść całą akcję z Rzymu do Nowego Jorku, do naszych czasów, niczego jednak nie zmieniając. Wyrażam się jasno? Pozostając całkowicie wierny jego listom. Nowy Jork ma wiele analogii ze starożytnym Rzymem, o którym mówi święty Paweł. Korupcja, przekupstwo, problem Murzynów, narkomanów. I na to wszystko święty Paweł udzielał odpowiedzi świętej, to znaczy skandalicznej, podobnie jak SNIC...

O siódmej ma spotkanie z Herbertem Blauem, dyrektorem teatralnym Centrum Lincolna, jest zaproszony na kolację. O tej porze nie sposób znaleźć taksówki, idziemy więc pieszo. Pada drobny, irytujący deszcz. Ale on idzie i go nie zauważa, a może mu się nawet podoba, i powtarza, popatrz na domy Arcimbolda i Petronilli, w gruncie rzeczy to jak powrót do dzieciństwa. Z oczu zniknął mu już niemal smutek, owoc tysiąca goryczy.

*

– Najważniejszym aspektem tego miasta jest nędza.

– Nędza?! W Nowym Jorku?!

– Tak. Ten sam rodzaj nędzy albo biedy, jaki można odnaleźć w dawnych koloniach, które niedawno odzyskały niepodległość. Ten sam rodzaj biedy, który odnajdujesz w Kalkucie, Bombaju, w Casablance. Wyrażam się jasno? Nie chodzi o nędzę ekonomiczną, nędzę kogoś, kto nie ma co jeść, ale o nędzę, cóż, psychologicznej natury. Ten powszechny brud, ta prowizoryczność. Źle wyasfaltowane ulice, które, gdy pada, zamieniają się w bajora. Ściany czarne albo brązowe, wzniesione pospiesznie, żeby można je było pospiesznie zburzyć. I ani jednego zadbanego zakątka, którego przeznaczeniem byłoby trwać. Zgoda, jest również Park Avenue, są wspaniałe szklane wieżowce; ale to są piramidy. Być tu dzisiaj, to tak jakby znaleźć się w Egipcie w czasach, w których niewolnicy wznosili piramidy. Wiesz, wcale nie jest powiedziane, że niewolnikom w Egipcie źle się żyło. Może byli nawet weseli w swojej rozpacz, a wieczorem chodzili na spacer, pili... To nie ma nic do rzeczy. Ważnym aspektem pozostaje nędza jak

w byłej kolonii, typowa dla lumpenproletariatu.

– Lumpenproletariatu? W Nowym Jorku?

– Oczywiście. Wszyscy noszą stygmaty jednakowej kondycji lumpenproletariackiej: na pierwszy rzut oka nie dostrzegasz różnic klasowych. Tak jak w Moskwie, kiedy idąc ulicą, myślisz, że wszyscy są tacy sami. Naturalnie różnice istnieją, ale oni nie zdają sobie z tego sprawy, my nie zdajemy sobie z tego sprawy. A wiesz dlaczego? Dlatego, że nie mają świadomości klasowej. Ktoś, kto przyjeżdża z Włoch, czuje się tutaj bardziej zagubiony niż w Afryce, w Indiach. Mam na myśli to, że kiedy przyjeżdżasz do Kalkuty, do Chartumu, znajdujesz się w samym sercu pewnej rasy, w określonym kontekście społecznym: jest tam klasa robotnicza, burżuazja, drobnomieszczaństwo i każda ma świadomość swojej odrębności. Kiedy zaś przyjeżdżasz do Nowego Jorku, co zastajesz? Sztuczny efekt ras zasymilowanych i ujednoliconych przez jeden system i jeden punkt odniesienia: lumpenproletariat. Popatrz na amerykańskiego robotnika, na tę monstrualną i fascynującą mieszaninę lumpenproletariatu i drobnomieszczaństwa. Robotnik jako taki nie istnieje, ponieważ nie ma robotniczej świadomości klasowej. Przepaść. Gdziekolwiek się rozejrzysz w Ameryce, zajrzysz w czyjąś duszę czy też wyjdiesz na ulicę, widzisz przepaść. Jakbyś wyglądała z okien wieżowca. Czy to dobrze, czy źle? Nie wiem, mam w głowie zamęt. W Europie uznalibyśmy to za coś negatywnego, tutaj nie. Podziwiam amerykańską rewolucję, to oczywiste, że moje serce jest po stronie biednego Murzyna lub biednego Kalabryjczyka, a zarazem żywię szacunek wobec establishmentu, amerykańskiego systemu... Muszę wrócić, muszę to zgłębić.

Restauracja, w której się spotykamy z Herbertem Blauem, słynie z grillowanych langust. Kolacja? Langusty? Pasolini wyłania się z labiryntu swoich rozważań niczym lunatyk i zamawia szklankę mleka, sałatkę owocową, ale bez pomarańczy. Cierpi na wrzód żołądka, powinien pójść na operację, odżywia się jak niemowlę. Rozmawiając o teatrze, planach, Blau przygląda mu się nieco zadziwiony: temu rewolucjoniście, który odżywia się jak niemowlę. Wkrótce się pożegnają, obaj znudzeni sobą nawzajem. Po kolacji Blau zawiózł go do Centrum Lincolna, żeby pokazać mu próby komedii kostiumowej. Ale Pasoliniego nic nie obchodzą próby komedii kostiumowej ani

elektroniczne urządzenie, które przesuwa scenę w ciągu kilku sekund, obraca ją, podnosi parter; w jego świecie nie ma miejsca na podobne cuda. Tak jak nie ma miejsca na szklane wieżowce, Park Avenue, rakietę, przeszczep żywego serca, Amerykę piękną, czystą, wygodną, która podoba się tym, co wierzą w raj. Tak jak Rimbaud (albo niektórzy męczennicy), pragnie wciąż powracać do piekła, do dzielnic, gdzie grozi ci strzał z rewolweru prosto w serce, tragiczne i może perwersyjne spotkania, kara, do Greenwich Village, takiego, jakie mu opisała Elsa Morante, Harlemu, takiego, jaki widział wczoraj wieczór i był to przepiękny wieczór. Przedstawiono mu czarnego związkowca ze skrajnej lewicy, wiesz, z tych, co nie godzą się na zasadę braku przemocy propagowaną przez Martina Luthera Kinga i gotowi są zabijać. Związkowiec zabrał go do domu robotnika, który spadł z czterdziestego szóstego na czterdzieste drugie piętro i cudem się uratował. Robotnikiem był stary Murzyn, leżał na łóżku i śmiał się, bardzo szczęśliwy, to było naprawdę wzruszające. Nagle się ze mną żegna, niecierpliwy, lekki uścisk dłoni i znika samotnie w ciemności.

*

Dziś wyjeżdża i ma dużo rzeczy do zrobienia: przede wszystkim musi pozować do zdjęcia jednemu facetowi, który bardzo nalegał i chyba nazywa się Avelon.

– Dick Avedon?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Nie wiesz, kim jest Dick Avedon?

– Nie, kim jest?

– Być może największym fotografem w Ameryce, z pewnością jednym z największych fotografów na świecie.

– Ach tak?

Avedon prosił go, żeby przyszedł do jego studia około jedenastej, lecz on się spóźnił, gdyż spotkał na schodach włączkę pijanego już od świtu, a włączkę pijany już od świtu jest więcej wart niż sto zdjęć Avedona.

Wysłuchał go z matczyną cierpliwością, czule, przed rozstaniem dał mu nie wiem ile dolarów i z pewnością teraz patrzy z mniejszym

zainteresowaniem na ogromne zdjęcie zajmujące całą ścianę studia Avedona: Charlie Chaplin sportretowany jako demon, oba palce wskazujące i małe przytknięte do głowy, w charakterze rogów albo wideł.

– Zrobiłem je ostatniego dnia, jaki spędził w Stanach Zjednoczonych – wyjaśnia Avedon – kilka godzin przed wypłynięciem jego statku do Europy. Przeszedł tutaj i...

Ale Pasoliniego interesuje bardziej historia innych fotografii: tego czarnego chłopca na przykład, który umarł na skutek pobicia przez Ku-Klux-Klan. Albo tego Mulata, który dwukrotnie został wybrany do Kongresu, ale nigdy nie zdołał do niego wejść, ponieważ jest przeciwny wojnie w Wietnamie. Albo Allena Ginsberga, który pozuje nago, przykryty jedynie swoją brodą i owłosieniem, i który skłania go do kolejnej deklaracji uczuć:

– Amerykańscy intelektualiści, rozumiesz. Może i są pełni sprzeczności; spotykasz ucznia Morrisa, który napisał pracę magisterską o poezji Petrarcki, dyskutuje o semiotyce, a potem spotykasz dwie studentki, które nigdy nawet nie słyszały o Apollinaire'ze albo Rimbaudzie. Jakich poetów lubisz najbardziej, pytają cię. Rimbauda, odpowiadasz, Apollinaire'a, Machado, Kawafisa. Patrzą na ciebie, nic nie rozumiejąc. To, że nie znają Kawafisa, jeszcze ujdzie. Co do Machado, sprawa jest poważniejsza, w wypadku Apollinaire'a wręcz absurdalna. A już Rimbauda to prawdziwy skandal. Żywią jednak wielki respekt wobec kultury! Respekt pełen lęku, pokory: to wielki dar. Pomyśl o Włochach – są zawsze najmądrzejsi, nawet wtedy, gdy są ignorantami. W obliczu wiedzy Włosi nie czują się ani trochę onieśmieleni. Taki facet jak Umberto Eco na przykład. Przyswoił sobie całą wiedzę świata i wymiotuje ci nią prosto w twarz z najbardziej obojętną miną, jak gdybyś słuchała robota. Amerykański erudyta natomiast, taki jak Umberto Eco, jest skromnym człowiekiem, nie uważa się nigdy za najmądrzejszego, przeraża go niemal własny zasób wiedzy. Tak powinno być, podoba mi się to...

A tymczasem Avedon robi zdjęcia, przeznaczone, jak przypuszczam, dla frywolnych czytelniczek „Vogue'u”. Cóż za scena, warta jest tej z Village.

*

Do Village udaje się zaraz potem, żeby kupić spodnie i kurtki, które uważa za tak bardzo eleganckie i których w Rzymie nigdy nie włoży; ma obsesję na punkcie bycia rozpoznany, krytykowanym, obserwowanym. Kusi go szczególnie pewna koszula, która jest wierną kopią tych noszonych w więzieniu. Na kieszonce po lewej stronie widnieje napis: „Więzienie Stanowe, więzień numer 3678”. Mierzy ją, zachwycony, kiedy na rogu Dziesiątej Avenue zauważa demonstrację na rzecz wojny w Wietnamie. Ponurzy mężczyźni i kobiety przechodzą z wielkimi transparentami, na których jest nabazgrane: „Bombardujcie Hanoi”, są tacy, co mają znaczki z hasłem: „Zabijcie ich wszystkich, tych czerwonych”. Nadjeżdża samochód, wysiada dwóch młodych ludzi i jasnowłosa dziewczyna w spodniach. Dziewczyna ma gitarę. Opiera się o maskę samochodu i zaczyna grać smutną melodię, młodzi ludzie stają obok. Potem cała trójka zaczyna razem śpiewać jakiś protest song. Będą tak śpiewać dopóty, dopóki inni będą defilować ze swoimi transparentami; żadnej bijatyki, żadnych obelg, żadnego wrogiego gestu. Pasolini stał bez ruchu, w więziennej koszuli, i wpatrywał się w nich swoimi łagodnymi, wilgotnymi oczyma, potem szepnął:

– To jest najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu. To jest coś, czego nie zapomnę, dopóki będę żył. Muszę wrócić, muszę tu zamieszkać, nawet jeśli nie mam już osiemnastu lat. Tak mi żal wyjeżdżać, czuję się okradziony. Czuję się jak dziecko patrzące na tort, cały do zjedzenia, tort składający się z wielu warstw, i dziecko nie wie, jaka warstwa będzie mu najbardziej smakować, wie tylko, że chce, że musi zjeść je wszystkie. Jedną po drugiej. I w tym samym momencie, w którym już ma napocząć tort, zabierają mu go.

To jest migawka pewnego marksisty w Nowym Jorku.

CZEŚĆ PIĄTA

REPORTAŻ NA TEMAT AMERYKAŃSKICH
TEENAGERS
(1966)

Dwadzieścia cztery miliony nastolatków zdominowało wszystkie aspekty życia w Ameryce. Wydają sumy, które pozwalają utrzymać się rozmaitym gałęziom wielkiego przemysłu, ich poglądy (kiedy je mają) wpływają na wybory, a nawet na decyzje polityczne.

Nota dla czytelnika

Słowo *teenager* wymyślili Amerykanie i żaden język oprócz angielskiego nie ma niczego podobnego. Dlatego jest nieprzetłumaczalne. *Teenager* to ktoś, kogo wiek waha się między trzynastoma a piętnastoma latami. *Teen* to ostatnie litery angielskich liczebników trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście: *thirteen, fourteen, fifteen, sixteen, seventeen, eighteen, nineteen*. *Age* znaczy wiek, ale również rosnąć, starzeć się. Uważa się powszechnie, że słowo *teenager* brzmi złowrogo. Ale na podobny sąd wpływ ma niewątpliwie fakt, że złowrogi jest jego znaczenie: amerykańskie nastolatki stanowią, jak zobaczymy, najbardziej bezlitosną, nieubłaganą, niezniszczalną dyktaturę na świecie.

STRASZNI NIELETNI

Chicago, luty

Zanim przyjechałam do Chicago, żeby poznać Miss Teenage America 1966, obeszałam ekspertów od nastolatków, a największym ekspertem jest autor komiksów Al Capp, wygłaszający od lat wykłady na ich temat. Ostatni odbył się w grudniu na Uniwersytecie Los Angeles, gdzie nastolatki chcieli go pobić, a jeden z nich krzyknął: „Czy nie sądzi pan, że należałoby wysłuchać opinii nastolatków?”. Al Capp odpowiedział: „Tak, na temat spraw, na których się dobrze znają, na przykład kradzieży tablic rejestracyjnych”. Wtedy inny nastolatek spytał, po co w takim razie przyszedł, na co Al Capp odpowiedział: „Bo dali mi dwa tysiące dolarów, co jest przyzwoitą sumą nawet za to, żeby mówić do nastolatków. Ale żeby was słuchać, nie zrobiłbym tego nawet za cztery tysiące”. Capp jest potężnym mężczyzną około pięćdziesiątki, z lewą nogą krótszą, ma luksusowy apartament na Park Avenue, angielskiego majordomusa, który pomaga mu się ubrać, ma też jasne poglądy i okazałe konto w banku. Od razu mnie zniechęcił, mówiąc, że jestem bardzo głupia, skoro zajmuję się nastolatkami za sumę niższą niż dwa tysiące dolarów, i wyjaśnił mi, że nastolatki istniały zawsze; szczególnie jako ludzki podgatunek. Jediną różnicą jest to, że dzisiaj nagrywamy na magnetofon ich wrzaski, fotografujemy ich brudne włosy, dyskutujemy o ich złym wychowaniu, jednym słowem, odkryliśmy, że są zabawniejsi od Murzynów i bardziej irytujący od Wietnamu. Jednakże za mniej niż dwa tysiące dolarów nie powinniśmy reklamować ich głupich krucjat, lecz raczej starać się unikać kontaktu z nimi i pamiętać, że nie mają nic do powiedzenia. Nastolatki to młode zwierzęta, które chcą zmienić świat, nie znając go, i to prowokuje do działania młodych idealistów, takich jak Fidel Castro, który twierdzi, że jest antykonformistą, a nosi brodę jak jego własny dziadek. Na koniec, to wstyd, że powstają artykuły, płatne poniżej dwóch tysięcy dolarów, żeby wyjaśnić dorosłym, jakie są nastolatki, zamiast artykułów

wyjaśniających nastolatkom, jacy są dorośli; wniosek z tego jest taki, że należałoby skrupulatnie ich wymordować, kiedy wchodzą w wiek trzynastu lat. Jeśli on, Capp, ich nie wymorduje, to tylko dlatego, że te bękarty zasługują na bardziej okrutną i wyrafinowaną karę, polegającą na staniu się z kolei dorosłymi i rodzicami.

Spotkanie to bardzo mnie przygnębiło, szczególnie z powodu tej historii z dwoma tysiącami dolarów, i wyszłam, zastanawiając się, czy Al Capp nie ma racji, czy nie lepiej zająć się mniej denerwującymi tematami. Ale jeszcze tego samego wieczoru przepytalam innego eksperta od nastolatków, Eugene'a Gilberta, autora książki *Advertising and Marketing to Young People*, i on przywrócił mi chęć zainteresowania się nimi, twierdzi bowiem, że ignorowanie nastolatków byłoby takim samym tchórzostwem, jak ignorowanie Franco, muru berlińskiego, kompromitacji, której powodem jest dla Włochów La Pira. W Ameryce żyją dwadzieścia cztery miliony nastolatków, niemal połowa ludności Włoch, w 1970 roku zaś będzie trzydzieści milionów; przybywa ich około siedmiu tysięcy dziennie. Te dwadzieścia cztery miliony wydają na własne kaprysy albo drobne potrzeby dwanaście miliardów dolarów rocznie, sumę równą niemal tej, którą USA przeznaczają na żołd dla swoich żołnierzy. Tworzą więc jedną z najpotężniejszych grup konsumentów w Ameryce. Mózgi elektroniczne pracują niestrudzenie, żeby zdecydować, co nastolatki lubią najbardziej, i odkryły, że kupują czterdzieści procent płyt, czterdzieści pięć procent instrumentów muzycznych, dziesięć procent nowych samochodów i trzydzieści procent samochodów używanych, pięćdziesiąt procent kosmetyków: Bonne Bell z Cleveland w Ohio wzbogaciła się, produkując wyłącznie przeznaczone dla nastolatków kosmetyki przeciwtrądzikowe. Nastolatki stanowią pięćdziesiąt procent publiczności kinowej, sześćdziesiąt procent telewizyjnej. Biorą śluby w liczbie miliona rocznie, ponad połowa amerykańskich panien młodych to nastolatki. Zdominowali zatem rynek, od pistoletów do wody mineralnej i kołysek; to oczywiste, że woli się przemilczać ciemne strony w postaci sześćdziesięciu trzech procent kradzieży samochodów, dwudziestu procent zabójstw, dwunastu procent gwałtów popełnianych przez nastolatków. Za bardzo są potrzebni; inna firma kosmetyczna, Cutex, zdołała sprzedać w ciągu kilku tygodni osiem milionów szminek o smaku ananasowym za

pomocą sloganu: „Nadajesz się do całowania niczym nastolatka, która zjadła ananasa”. Mustang wyprodukowany przez Forda, Monza przez General Motors, Barrakuda przez Chryslera zostały zaprojektowane i wylansowane po zasięgnięciu rady nastolatków; każda fabryka samochodów, zanim zdecyduje się na nowy model, pyta nastolatków. „Think Young”. Myśl młodo, brzmi hasło; reklama nie zwraca się nigdy do dorosłych, zwraca się zawsze do nastolatków. „Tell Mummy to buy”, powiedz mamie, żeby kupiła. „Have Daddy try it”, namów tatę, żeby wypróbował.

Pan Gilbert jest przystojnym mężczyzną około czterdziestki, bardzo smutnym. Również dlatego, że będąc rozwiedzionym ojcem pewnego siedemnastolatka, ożenił się z rozwiedzioną matką innego siedemnastolatka. Opowiedział mi o swojej sytuacji, a kąciki jego ust opuszczone były w grymasie, który określiłabym jako wyraz niesmaku, i spytał mnie, czy we Włoszech jest tak samo. Odpowiedziałam, że nie, nie sędzę, a on zaczął się przerażająco śmiać i dodał:

– Będzie. Proszę tylko poczekać, będzie tak samo.

Po czym dostarczył mi innych ponurych informacji, które znajdują się w tym reportażu, ja zaś udałam się do Macy's, żeby kupić nocną koszulę. Chciałam, aby była długa, tradycyjna. Nie znalazłam takiej. Długich, tradycyjnych koszul już się nie nosi, ponieważ nastolatkom się nie podobają. Podobają się im krótkie, pod szyję, z bawełny w biało-czerwonej kratkę jak obrusy w popularnych restauracjach. A skoro tak, to się sprzedają. Późnym wieczorem poszłam z grupką przyjaciół do The Scene, dyskoteki na Czterdziestej Szóstej Ulicy, gdzie chętnie bywają Liza Minnelli, Sammy Davis junior, Sal Mineo. Chcieliśmy zatańczyć coś spokojnego, lecz nam się nie udało, bo na parkiecie były tylko nastolatki, a nastolatki nie lubią tańczyć niczego spokojnego. Wiek nastolatków wahał się między trzynaście a szesnaście lat, chociaż była druga w nocy. Strasznie się miotali i hałasowali. Nikt z nich nie zapłacił pięciu dolarów na głowę, czyli tyle, ile wynosi minimum konsumpcji. Steve Paul, dwudziestotrzyletni właściciel, powiedział nam, że nastolatki wchodzi gratis, bo do Scene, jak i do wszystkich innych dyskotek, ludzie przychodzą, żeby zobaczyć nastolatki. Wyszliśmy więc z okropnym bólem głowy i ogromnym kompleksem niższości. Ciężko mieszkać w Ameryce i nie być już nastolatkiem. Ale jestem w Chicago u Miss

Teenage America, która przewodniczy kongresowi pięciuset sześćdziesięciu aniołków zostawionych z zemsty przy życiu przez Al Cappa.

*

Nazywa się Colette Daiute, kończy dziś siedemnaście lat. Jest śliczna i ubrana na różowo. Długie nogi, opalone na złoto; uprawia gimnastykę, odkąd skończyła osiem lat. Szczupłe ciało, doskonałe; przestrzega diety, odkąd skończyła dziesięć lat. Szminki natomiast zaczęła używać w wieku około dwunastu lat, tuszu do rzęs trzynastu, a w wieku czternastu lat włożyła wysokie obcasy. Siedzi w pokoju hotelowym, a obok niej matka, która przypomina matkę Rossanny Schiaffino, mimo że cały czas milczy. Dziewczyna mówi mi o Dr. Pepperze, który nie jest doktorem, nie jest nawet mężczyzną, to napój przypominający co... cóż, wyrwało się jej, coca-colę, ale nie powinna była tego mówić, gdyż Dr Pepper jest o wiele lepszy od coca-coli. Dr Pepper finansuje konkurs Miss Teenage America, we współpracy z American Airlines, domami towarowymi Gimbels, samochodami Comet, i to dzięki Dr. Pepperowi Colette zdobyła tytuł, stypendium w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, pięć tysięcy dolarów w gotówce, pięćdziesiąt akcji Dr. Peppera, dziesięć American Airlines, kabriolet Comet Caliente, kompletną garderobę od Gimbelsa; i pomyśleć, że babcia nie chciała, by wzięła udział w konkursie: „Ja ci dam Miss Teenage America, zaraz dostaniesz w twarz, szacunek zdobywa się biciem po twarzy”. Babcia jest Włoszką, każdy pretekst jest dla niej dobry, żeby grozić biciem po twarzy, na przykład kiedy ona, Colette, idzie na piżama party i wraca nad ranem. Piżama party to jest coś fantastycznego: dziesięć dziewcząt zbiera się w domu jednej z nich i przez całą noc, w piżamach, gadają o chłopakach, jasne, ty szalejesz za Jimem, ja szaleję za Johnem, jasne, ale czasami gada się także o poważnych rzeczach. Oczywiście podczas piżama party wcale się nie śpi i nad ranem robimy się senne i trochę nerwowe, może się zdarzyć, że odburkniemy coś mamie, tacie albo obojgu, i babcia wpada w złość. Nie rozumie, że szacunek nie ma z tym nic wspólnego, chodzi o równość; my, nastolatki traktujemy rodziców jak sobie

równych, nie jako ważniejszych od nas, a nasi rodzice nie oczekują od nas rewerencji ani posłuszeństwa, oczekują jedynie przyjaźni, prawda, mamó? Pani Daiute przytakuje, sącząc Dr. Peppera. O ile zrozumiałam, kiedy dziewczyna zostaje Miss Teenage America, Dr Pepper zaczyna jej wysyłać butelki Dr. Peppera i Miss Teenage musi je wszystkie wypić, bo inaczej Dr Pepper się obrazi. Ponieważ Colette tego nie pije, pije jej mama. „Amerykańscy rodzice – powiada Eugene Gilbert – są najśłabszymi rodzicami na świecie, autorytet ojca dawno już tu nie istnieje. Świadome swojej władzy ekonomicznej nastolatki traktują ich jak wasali, oni zaś są posłuszni. Czyż nie zachowują się tak wszyscy rodzice? To historia psa, który siusia tam, gdzie zrobiły to przedtem inne psy. Albo może czują, że nie mają wyboru, i się boją. Tylko jedna społeczność w Ameryce zachowała nienaruszony respekt nastolatków w stosunku do rodziców: to Chińczycy. Chiński nastolatek nie ośmieliłby się nigdy postąpić niegrzecznie wobec własnego ojca i rzeczywiście wśród nich nie ma *teddy boys*. Ale wśród Włochów, Portorykańczyków, Hiszpanów! To nadzwyczajne, że mimo ich katolickiego wychowania, ich kultu rodziny, stają się identyczni jak my, kiedy tylko tutaj zamieszkają.

Babcia nie rozumie zresztą wielu rzeczy. Nie rozumie, że nastolatka musi mieć klucze do domu, żeby wrócić o północy, a nawet o pierwszej, jeśli chce, nie rozumie, że nastolatka musi mieć boyfrienda. Gdera, ale co to jest ten boyfriend, ja ci dam boyfrenda; ale jeśli nie masz boyfrenda, kto cię zabierze na zabawę, do kina, na mecz bejsbolu? To jest kwestia psychicznej pewności siebie oraz prestiżu. Powiedz mi, jak wypada dziewczyna w oczach ludzi, a nawet własnych rodziców, jeśli nie ma boyfrenda. Dziewczyna musi mieć boyfrenda już w wieku dwunastu lat; ona, Colette, miała go w wieku jedenastu. Tak to działa. Do szkoły na przykład chodzi John i dziewczynie John się podoba. Dziewczyna mówi to innej dziewczynie, wiesz, John mi się podoba, jest naprawdę przystojny, i tamta opowiada o tym Johnowi. Wówczas, założywszy, że Johnowi ona też się podoba, John kupuje pierścioneł albo bransoletkę, albo łańcuszek i daje go dziewczynie, zostając jej boyfrendem. Oficjalnie, jasne? Tworzą parę. Może na rok albo nawet dwa lata. Mogą się jednak także rozstać, dwa albo trzy razy w ciągu jednego roku. Tak czy owak, kiedy kończy się szkołę podstawową i idzie

do szkoły średniej, zmienia się całkowicie boyfrienda i nie trzeba mieć ciągle tego samego, by zabierał cię do różnych miejsc. Przeciwnie, lepiej jest mieć dwóch albo trzech: żeby móc ich porównać, dokonać wyboru. Ona, Colette, porzuciła swojego stałego boyfrienda, kiedy miała czternaście lat; w tym wieku trzeba się umawiać z wieloma chłopakami i zacząć poważną edukację sentymentalną. Prawda, mamó? Pani Daiute przytakuje, pijąc Dr. Peppera. Również tata pije w domu Dr. Peppera. Również młodsza siostra; jedyna, która się buntuje, to babcia, mówi, co to takiego ten Dr. Pepper, ja wam dam Dr. Peppera.

Edukacja sentymentalna obejmuje oczywiście również nieco edukacji seksualnej. Ale najczęściej chodzi o pocałunki albo niewiele więcej. Babcia się złości. Nieszczęsna, krzyczy, skąd dowiedziałaś się o pewnych sprawach? Babcia nie wierzy, że o pewnych sprawach uczą w szkole, na kursie wychowania seksualnego, przypadającym na ostatni rok szkoły średniej. Kurs trwa osiem tygodni; tyle, ile kurs jazdy. Również prowadzić samochód Colette nauczyła się w szkole. Najpierw z książek, jak działa silnik i tak dalej, potem na zajęciach praktycznych. Szkoła ma cztery samochody i czterech instruktorów; po ukończeniu szesnastu lat nauka jest obowiązkowa, czy wiedziałam, że amerykański plan zajęć należy do najtrudniejszych na świecie? Cybernetyka, biofizyka, astrofizyka, neuropsychiatria, analiza systemowa. „Nasi rodzice przebywali zamknięci w skorupie, a my pływamy w oceanie”. W tym oceanie zapominają jednak, by uczyć o drugiej wojnie światowej, i Colette, typowa przedstawicielka amerykańskich nastolatków, symbol nowego pokolenia, nie wie dokładnie, co się stało w Hiroszynie. „Była tam jakaś bomba, czy się mylę?”. Nie wie nawet dokładnie, czym były obozy koncentracyjne. „Te miejsca, niech się zastanowię, te miejsca, gdzie nie było zbyt dużo jedzenia, miejsca do spania były niewygodne, dlatego ludzie byli często nieszczęśliwi, ale się o tym nie mówiło”. Ideałem Miss Teenage America jest Jacqueline Kennedy, gdyż „jest piękna, inteligentna, zna języki”. Zaraz za Jacqueline są The Beatles. Po The Beatles są The Rolling Stones. Dzwoni telefon, Colette przerywa swoje opowiadanie i odpowiada słodkim głosem chłopakowi, który zaprosił ją na obiad z okazji jej urodzin: już schodzę, kochanie. Chłopak nazywa się Jim i jest jednym z pięciuset sześćdziesięciu aniołków na kongresie. A gdybym ja też zeszła, żeby rzucić okiem? Ależ tak,

oczywiście, świetny pomysł. Wychodzimy więc, ja i Colette, pani Daiute zaś zostaje, by pić Dr. Peppera. Samotna, bardzo gruba, milcząca. U jej stóp około tuzina pustych butelek. Mój Boże, ileż jest sposobów poświęcania się dla dzieci.

*

Kongres pięciuset sześćdziesięciu aniołków odbywa się w hotelu naprzeciwko. Tematem jest „Młoda Ameryka a problemy świata”, nastolatki przyjechały ze wszystkich stanów włącznie z Alaską i należą do Club 4H: narodowego stowarzyszenia młodych rolników. Na piersiach mają tabliczki, a na twarzach mnóstwo pryszczu. Reprezentanci kremu przeciwtrądzikowego Naxima rzucają się na nich i rozdają próbki w małych tubkach. Hodowcy krów natomiast, przybyli z Teksasu i Oklahomy, chodzą w swoich wielkich kapeluszach i długich butach z ostrogami, rozdając zdjęcia czworonogów. Każdego roku na kongresie 4H robią wspaniałe interesy: kupno stad powierza się często rodzicom nastolatków, a w najgorszym wypadku do nich odsyła. „Tell Daddy to buy...”, powiedz tatusiowi, żeby kupił. Jim jest jasnowłosym brzydalem, zupełnie niepasującym do Colette, i ma duży czyrak na lewej skroni. Ale zachowuje się śmiało i uśmiecha się, kiedy tylko Colette opowiada mu o moim zdziwieniu z powodu kursu wychowania seksualnego.

– Błędem jest – mówi – prowadzić te kursy na ostatnim roku, kiedy już wszystko wiemy; wyświetlają zdjęcia na ekranie i wszyscy się podśmiewują, na co to? Wyjaśniają ci zapłodnienie jajeczka, rozdzielanie się chromosomów, czyli początek życia embriona, jednym słowem, biologiczny aspekt całej sprawy, i nie wyjaśniają ci jedynej ważnej rzeczy: co zrobić, żeby nie zapłodnić tego jajeczka. Albo wyświetlają film, o miłości oczywiście, ale coś takiego mogłoby zniechęcić niemowlaka. Któregoś dnia był film o parze głupców, która umówiła się na randkę, ale do niczego nie doszło, chociaż on przyszedł z pudełkiem czekoladek. Wracam do domu i mówię do ojca: z tego, co zrozumiałem, jedynym sposobem, by uniknąć kłopotów, jest zjeść czekoladkę. I czekam na odpowiedź, a on odwraca się plecami

i odchodzi. Rodzice udzielają nam nieustannie lekcji na temat pieniędzy, sukcesu, akcji na giełdzie i nie mówią nam nigdy o jedynej rzeczy, która nas naprawdę obchodzi. Łudzą się być może, że wyjaśnią nam to prowadzący kurs, którego już sama nazwa jest groteskowa: *Family Living*, życie w rodzinie.

Jim ma siedemnaście lat i jak sam przyznał, jest prawiczkim. Niedawne badania statystyczne wykazały, że siedemdziesiąt procent nastolatków, chłopców i dziewcząt, bierze ślub, nie mając doświadczeń seksualnych, a dwadzieścia pięć procent bierze ślub dlatego, że dziewczyna spodziewa się dziecka. Te same badania statystyczne wykazały, że amerykański nastolatek rozmawia o seksie częściej niż jakikolwiek inny nastolatek na świecie, lecz uprawia seks rzadziej niż jakikolwiek inny nastolatek na świecie.

– Mimo że temat nie jest już wstydlivy ani przemilczany, pozostają purytanami, przekonanymi, że seks jest ściśle związany z małżeństwem.

Jim chce się ożenić za dwa lata i chce poślubić dziewicę, w tym wypadku jego plan zbiega się z planami większości, przynajmniej jeśli chodzi o uczestników 4H; w barze, gdzie rozmawiamy, zebrał się mały tłumek uczestników 4H i wszyscy wychwalają Jima, wykrzykując, że ma absolutną rację. Sytuacja robi się kłopotliwa, również dlatego, że niektórzy dorośli patrzą na mnie niechętnie, jak gdyby chcieli powiedzieć, że to ja jestem wszystkiemu winna. Żeby uniknąć ich spojrzeń, zabieram wybranych przypadkowo pięcioro nastolatków do salki obok. Dwie dziewczyny i trzech chłopców: Mary, Gretchell, Bob numer jeden, Bob numer dwa i Karl. Pochodzą z Kalifornii, Kolorado, Illinois. Studiują rolnictwo albo weterynarię, a jednocześnie pracują, żeby opłacić szkołę. Obaj chłopcy o imieniu Bob są zatrudnieni na ranczach swoich rodziców, którzy płacą im zgodnie z zaleceniami związków zawodowych. Karl pracuje jako księgowy, Mary i Gretchell pomagają w domu, ale z pensją pokojówki. Podobnie jak Jim, bez wahania informują mnie o stanie swojej anatomii: Mary, Gretchell, Karl i jeden z Bobów oświadczają od razu, że nigdy nie mieli kontaktów seksualnych, drugi Bob, że tak, owszem, lecz zależy mu na poślubieniu dziewicy: „Dzięki temu nie musisz ustalać daty ślubu i masz spokój”. Dziewczyny mają oczywiście boyfriendów, a chłopcy mają oczywiście girlfriends; flirty odbywają się w samochodzie. Jedno pytanie ciśnie się

im na usta:

– Czy to prawda, że włoskie nastolatki jeżdżą dużo vespą albo lambrettą?

– To prawda – odpowiadam.

– No to jak mogą flirtować?

– Za żywopłotem, kiedy się zatrzymają.

– Och! Czy to higieniczne?

Cała piątka chce wziąć ślub w ciągu roku, najwyżej dwóch, „bo seks jest dobry, ale miłość jest lepsza”. A poza tym, biorąc ślub, uwolnią się od starych, którzy ich nie rozumieją:

– Nasi rodzice nie mieli nic innego do roboty oprócz zajmowania się końmi i krowami, my natomiast już od urodzenia prowadzimy samochód i oglądamy telewizję. Wiemy wszystko, mieszkając nawet na pustyni kalifornijskiej albo w górach Kolorado. Należymy do pokolenia, które znajdzie lekarstwo na raka, wyląduje na Marsie i zginie w trzeciej wojnie światowej.

Cała piątka jest pewna, że wojna wybuchnie: przeciwko Chinom i w sojuszu z Rosjanami.

– To dorośli kłóć się z Rosjanami, my nie. Z pewnością rosyjskie nastolatki są bardzo podobne do nas. My nie wiemy może nic o sprawach, w które oni wierzą, oni zaś nie wiedzą nic o sprawach, w które wierzymy my, ale nasze problemy muszą być z konieczności takie same.

Mężczyzna w średnim wieku zatrzymuje się i słucha oburzony, po czym oddala się, potrząsając głową. W zaskakującym wywiadzie, który przeprowadzę za kilka dni z piątką nastolatków z Nowego Jorku, jeden z nich mi powie:

– Och, twierdził tak już Sokrates, że ówczesne nastolatki się myliły i nie szanowały dorosłych; to jest zarzut, który zawsze będzie kierowany do nowych pokoleń. Ale zmiana oznacza bunt, a bunt oznacza brak szacunku, brak szacunku zaś oznacza czasami możliwość pomyłki.

Wychodzimy również my, idziemy za oburzonym mężczyzną. Wiceprezydent Humphrey zaraz się zjawi i wygłosi mowę do 4H. Przyjedzie specjalnie w tym celu z Waszyngtonu.

Powodem, dla którego wiceprezydent Stanów Zjednoczonych przyjeżdża specjalnie z Waszyngtonu i zawraca sobie głowę wygłaszaniem mowy do nastolatków, którzy nie głosują, w Ameryce bowiem głosuje się dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat, jest to, że wiceprezydent Stanów Zjednoczonych się boi i potrzebuje nastolatków; dyktatura amerykańskich nastolatków jest nie tylko ekonomiczna, lecz również polityczna. Powszechnie się sądzi, że Eisenhower, Kennedy, Johnson wygrali wybory, gdyż spodobali się nastolatkom, że John Lindsay jest burmistrzem Nowego Jorku, gdyż podoba się nastolatkom, że Bob Kennedy jest senatorem, gdyż sam wygląda jak nastolatek. Widziałam w Nowym Jorku spotkania wyborcze Bobby'ego i Lindsaya zorganizowane wyłącznie pod kątem potrzeb nastolatków, a także stada nastolatków zaangażowane w kampanię na rzecz Bobby'ego albo Lindsaya. To byli chłopcy i dziewczęta w wieku trzynastu, czternastu, piętnastu lat i Bobby odnosił się do nich z szacunkiem, z jakim by się nie zwracał do ponadosiemdziesięcioletniego biskupa, Lindsay ścisnął im dłonie, jak gdyby byli uniwersyteckimi wykładowcami, a potem mówił im: „Wasza współpraca jest cenna, rzekłbym, niezbędna”. Nie wierzyłam własnym oczom. Powiedziałam nawet Lindsayowi:

– Proszę mi wybaczyć, ale na co to panu? Przecież oni nie głosują.

A Lindsay odpowiedział:

– Tak się tylko pani wydaje. Nie głosują, ale głosują. Ponieważ w Ameryce rodzice głosują zawsze na kandydatów swoich dzieci.

Za sprawą swojego politycznego ożywienia nastolatki stanowią najsilniejszą grupę protestu w całym kraju. Czyż to nie oni organizują demonstracje, rozruchy, marsze protestacyjne przeciwko wojnie w Wietnamie? Czyż to nie oni wywołują zamieszki przed Chase Manhattan Bank potępiające inwestycje w Południowej Afryce? Czyż to nie oni palą publicznie karty powołania do wojska?

Zdołali nawet doprowadzić do wściekłości Kongres tą historią ze zbiórką na rzecz starej kobiety z Wietkongu. Telewizja pokazała marine, który podpalił zapalniczką chatę starej kobiety z Wietkongu; zrobili zbiórkę i uzbierali nie wiem ile tysięcy dolarów, żeby staruszka mogła odbudować swoją chatę. I im bardziej Al Capp się oburza, im bardziej babcia Colette się złości, tym bardziej politycy traktują ich poważnie,

godząc się na dyskusje w telewizji, pozwalając obrzucać się obelgami na oczach milionów telewidzów, tolerując przynależność tych młodych do ruchów lub partii, za którą dorośli trafiliby do Alcatraz: marksistowskiego WEB DuBois Club; marksistowsko-maoistycznego Progressive Latour Club; trockistowskiego Youth Socialist Alliance; socjalistycznego Young People Socialist League; przeciwnego wojnie w Wietnamie May Second Movement, koalicji liberalno-radykalno-socjalistycznej Democratic Society. Pół miliona zwolenników komunizmu, mających swoją przeciwwagę w liczącej pół miliona członków partii demokratycznej i w trzystu tysiącach członków partii republikańskiej. Politycy nie zapominają, że jedna trzecia ludności w Ameryce ma poniżej dwudziestu pięciu lat i że w czasach Deklaracji Niepodległości połowa ludności w Ameryce miała poniżej osiemnastu lat; młodzież zawsze rządziła w tym kraju i będzie rządzić jeszcze bardziej w trakcie wyborów prezydenckich w 1970 roku, kiedy aż sto milionów Amerykanów będzie miało mniej niż dwadzieścia pięć lat. Wychodząc na podium, Hubert Humphrey skacze jak pchła. Macha krótkimi ramionami, uśmiecha się, pokazując komplet zębów, krzyczy do mikrofonu:

– To jest zawsze dla mnie przyjemność i zaszczyt spotkać się z przyjaciółmi z 4H! Jesteście najlepsi z najlepszych! Inspirujecie cały świat! Wierzę w wasze pokolenie! Pozwólcie mi, przyjaciele, bym uważał się za jednego z was...

Nastolatki rozdrapują sobie pryszcze i zastanawiają się nad możliwością udzielenia takiej zgody. Nie są wielkoduszni: Jacqueline Kennedy, w której widzą rodzaj bardzo szykownej narodowej mniszki, nie udzielili jeszcze zgody na ponowne wyjście za mąż. „Gdyby zrobiła coś takiego, dla nas by umarła”. I wysłali pełne oburzenia listy do gazet, kiedy się dowiedzieli, że poszła na kolację z Marlonem Brando: „Chcemy wierzyć, że Jackie miała jakąś ważną sprawę, którą chciała z nim omówić”.

*

Wyjechałam z Chicago z większymi kompleksami, niż miałam

wcześniej, i wróciłam do Nowego Jorku, gdzie odbyłam rozmowę z inną ekspertką od nastolatków: panną Joy Chute, pisarką oraz funkcjonariuszką departamentu policji do spraw młodzieży. Panna Chute jest miła, ma naprawdę matczyzny uśmiech i mieszka z czarnym kotem w domu, w którym panuje nadzwyczajny porządek. Poczęstowała mnie filiżanką herbaty przygotowanej z wielką dbałością i od razu mi przypomniała, że młodość to niezbyt wesoły wiek, że dorastanie to bardzo bolesny proces, że bycie nastolatkiem jest bardzo trudne, szczególnie w Ameryce i z powodu policji. Liczba *teddy boys* się zmniejszyła, bandy już niemal zniknęły, bo skończyły się wraz ze śmiercią Jamesa Deana i wystawieniem musicalu *West Side Story*: oba te wydarzenia miały wysoce edukacyjny skutek. Utrzymuje się jednak nadal podejrzliwość w stosunku do nastolatków, nietolerancja w stosunku do nastolatków, a w niektórych dzielnicach wystarczy, by trzech albo czterech nastolatków stanęło na rogu ulicy, i od razu rzuca się na nich policjant, przepytuje ich, może nawet aresztuje z powodu posiadania scyzoryka. Niektórzy, to prawda, nie noszą przy sobie scyzoryka; noszą długie noże, którymi zakłuwają starych ludzi idących po mleko. Ale tak się zawsze działo i nie powinno to wpływać na opinię o nastolatkach, których większość dobrze się sprawuje i działa w Peace Corps, w obronie praw obywatelskich. Panna Chute ma pobłażliwy stosunek do nastolatków, którzy uczą się więcej, niż uczyli się ich rodzice, są bardziej inteligentni i wolni od wiktoriańskiej hipokryzji. Co się tyczy boyfriendów, powiada, to społeczna konieczność w świecie, gdzie panuje ekonomiczny dobrobyt, kult popularności. Standard życia się polepszył, a wraz z nim namnożyły się zabawy, okazje, zaproszenia, z których dziewczyna nie może skorzystać sama, bo w przeciwnym razie straci na popularności. Jednym słowem, dziś jest się nastolatkiem znacznie wcześniej, bo znacznie wcześniej zaczyna się palić, prowadzić samochód, flirtować; ale wina nie leży po stronie nastolatków, lecz ekonomicznej presji.

Wszystko to napełniło mnie miłością i zrozumieniem dla nastolatków. Pożegnałam się z panną Chute, głęboko wzdychając i powtarzając za nią, że młodość to niezbyt wesoły wiek, a dorastanie to bardzo bolesny proces, i pożałowałam swojego zachowania w Chicago. Ale potem zdarzyły się dwie rzeczy. Pierwszą był szesnastostronicowy dokument

opublikowany przez Ligę Rodziców w Denver w Kolorado i rozpowszechniony przez Stowarzyszenie Amerykańskich Rodziców w Kansas, Teksasie, New Jersey, Karolinie Północnej, Minnesocie. W dokumencie tym oświadczają oni między innymi, że nastolatki nie powinny wracać do domu po jedenastej wieczór, albo, przy wyjątkowych okazjach, po pierwszej w nocy; że nastolatki nie powinny mieć samochodu i tylko w wyjątkowych wypadkach mogą o niego poprosić rodziców; że nastolatki nie powinny pić alkoholu ani palić marihuany; że nastolatki nie powinny bić rodziców, a jeśli nastolatek źle się zachowa, rodzic powinien móc go zganić bez wzywania policji. Druga ma związek z kierowcą taksówki, który odwiózł mnie do domu. Kierowca był Murzynem, około czterdziestki, miał inteligentną twarz i płakał. Płacząc, opowiedział mi, że ma dwie córki nastolatki, jedną szesnastoletnią i drugą czternastoletnią. Ta szesnastoletnia wraca ciągle do domu po trzeciej w nocy, nierzadko pijana, i jeśli chce ją zganić, musi wzywać szeryfa, żeby ten udzielił jej reprimendy. Ta historia z szeryfem jest bardzo nieprzyjemna; ostatniej nocy kierowca się zezłościł i postanowił sam sobie poradzić. Zaczekał na nią z pasem i uderzył ją ze dwa razy. Córka mu zapowiedziała: „Pożałujesz tego”. I dziś rano poszła na policję, pokazała siniaki i zadenuncjowała ojca z powodu tego, że jest brutalny i ją maltretuje. Policja wezwała kierowcę i oznajmiła mu, że prawo chroni nastolatki, prawo zabrania bić nastolatki, choćby chodziło tylko o wymierzony im policzek, a kto bije nastolatki, ten trafi do więzienia. Odbędzie się proces i być może on trafi do więzienia.

*

Tylko na dbanie o własne ciało amerykańskie dziewczęta wydają dwieście sześćdziesiąt cztery miliardy lirów rocznie, a chłopcy siedemdziesiąt pięć miliardów. Wpływ, jaki wywierają na obyczajowość panującą w kraju, można streścić w następującym zdaniu: „Niegdyś nastolatki marzyły o tym, żeby upodobnić się do swoich matek, teraz matki pragną upodobnić się do nastolatek”.

WITAMINY I DŁUGOWŁOSI

Nowy Jork, luty

Aby poznać awangardowych nastolatków, założywszy, że komuś może na tym zależeć, trzeba zatrzymać się w Nowym Jorku. Ale to przygnębiające zadanie. Większość nastolatków nie wie nawet, że istniała Greta Garbo, „ta piosenkarka, niech się zastanowię, ta piosenkarka, śmieszna i bez biustu, która zginęła rozstrzelana z powodu szpiegostwa w Holandii”, i czujesz się starsza od własnej babki. Ale już zaczęłam drążyć i trochę dlatego, że nie lubię w połowie zostawiać rozpoczętych rzeczy, trochę zaś dlatego, że rodzice bardzo mnie zachęcają, wysyłając listy z obelgami i lodowate kablogramy, postanowiłam zgłębić temat. Żeby zgłębić temat, wzięłam taksówkę i zaczęłam krążyć po mieście, przepytując skrupulatnie nastolatki, fryzjerów dla nastolatków, producentów ubrań dla nastolatków, wydawców dla nastolatków, kierowników sal tanecznych dla nastolatków, księży dla nastolatków i inne godne pożalowania osoby. Potem wystosowałam apel i zaprosiłam do domu pięcioro inteligentnych nastolatków, żeby podyskutowali o tym, co widziałam i słyszałam. Ten odcinek składa się z dwóch części, którym należy się z mojej strony słowo wstępne. Sądzi się powszechnie, że Stany Zjednoczone wpływają w decydujący sposób na europejskie, a szczególnie włoskie obyczaje; piekielne wynalazki typu szafa grająca, guma do żucia, ruch na rzecz praw kobiet, rozbicie atomu i będąca tego rezultatem bomba pochodzą z Ameryki. Z Ameryki pochodzi nawet słowo *teenager*, którego sens wszyscy znają. Można więc przypuszczać, że również opisane poniżej mody, którym hołdują amerykańskie nastolatki, będą najprawdopodobniej kopiowane przez włoskie nastolatki znane ze swojej niezłomności i anielskiej natury. Autorka z góry przeprasza i uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności za zgubne skutki podobnych informacji.

*

Jak wydają pieniądze. Przede wszystkim na kosmetyki: malują się i perfumują o wiele więcej niż dorośli. Program Aunt Bessie, wyspecjalizowany w Bostonie w tego rodzaju badaniach, ustalił, że każdego roku dziewczęta wydają dwieście sześćdziesiąt cztery i pół miliarda lirów na kremy, pudry, podkłady, szminki, cienie do powiek, tusze do rzęs, lakiery do paznokci, lakiery do włosów. Chłopcy natomiast wydają siedemdziesiąt pięć i pół miliarda lirów na dezodoranty do pach i stóp, wody kolońskie, szampony, lakiery do włosów. Mimo że nie wynika to z ich wyglądu, który jest często beznadziejny i niechlujny, amerykańskie nastolatki poświęcają trzydzieści pięć procent funduszy, którymi dysponują, na dbanie o ciało. Jedynie pięć procent na dbanie o ducha: na książki i gazety. Dziewięć procent wydają na płyty, siedem procent na ubrania, dziesięć procent na benzynę i kino, jedenaście na artykuły sportowe, dwadzieścia trzy procent na przekąski. Przy stole przestrzegają diety, ale potem robią się głodne i sięgają po przekąski. Najczęstszą przekąską jest pozbawiony smaku kotlet mielony z rusztu, wsadzony do gumowatej bułki. Nosi nazwę hamburger i podawany jest z *french fries*, które nie są usmażonymi Francuzkami, lecz usmażonymi ziemniakami w cząstkach. Potem jedzą słodycze, lody, gotowaną kukurydzę. Amerykańskie nastolatki są na ogół grube i mimo kosmetyków mają bardzo brzydką cerę, która pozostaje brzydka również wtedy, kiedy dorastają.

*

Jak zarabiają pieniądze. Pracując jako babysitters. To znaczy pilnując dzieci, kiedy rodzice tych dzieci chcą pójść do kina, do restauracji albo na przyjęcie. Większość babysitters stanowią chłopcy, a nie dziewczęta. Pracując jako babysitters, zarabiają od dziewięciuset czterdziestu pięciu do tysiąca dwustu sześćdziesięciu lirów za godzinę; stawka pozostaje niezmienną, nawet jeśli chodzi o dziecko siostry, brata albo jakiegokolwiek innego członka rodziny. Żeby zostać babysitter, wystarczy mieć skończone dwanaście lat i rzeczywiście, każdego

miesiąca tylko w Nowym Jorku umiera od dziesięciu do dwudziestu noworodków powierzonych podobnej opiece. Nastolatki, które nie pracują jako babysitters, zatrudniają się w domach towarowych albo drugstore'ach, gdzie są bardzo chętnie widziane, ponieważ nie chroni ich prawo związkowe. Nastolatki, które nie pracują, biorą pieniądze od rodziców. Amerykański nastolatek nie dysponuje nigdy sumą niższą niż sto dolarów na miesiąc, co równa się zarobkowi Murzyna z Południa.

*

Jak się czeszą. Nastolatki nie tyle się czeszą, ile kładą sobie na głowę wszystko, czego nie zjadły: mleko, majonez, sok ananasowy, pomarańczę, cytrynę, sól i cukier rozpuszczone w wodzie, bardzo mocną herbatę i masło. Podobno odżywia to włosy, ale odżywione w ten sposób włosy okropnie cuchną i to jest powód, dla którego amerykańskie nastolatki spędzają większą część życia na myciu głowy. Wciąż, według programu Aunt Bessie, czterdzieści siedem procent myje ją codziennie, czterdzieści trzy procent co najmniej trzy razy w tygodniu. Po umyciu rozpylają na włosach lakier, który nie nazywa się lakier, ale polywinylnyrolidon, niewiarygodne, jak łatwo im przychodzi wymówić to słowo, polywinylnyrolidon, i zawijają włosy na wałki; zwłaszcza gdy są dziewczętami. Rano wałków się nie zdejmują; zostają tam, gdzie są. Zostają na swoim miejscu nawet w szkole albo na ulicy. Zostają na ogół aż do piątku wieczór, kiedy się je zdejmują, żeby pójść na zabawę. Ale wtedy przymocowuje się loki i kędziory taśmą klejącą: do policzków i skroni. Widok jest straszny, ponieważ tak oklejone nastolatki wyglądają, jak gdyby były ranne i dopiero wyszły ze szpitala, nie jest to jednak tak paskudne jak wałki, na które w Ameryce godzą się wszyscy bez wyjątku. Na statku wycieczkowym pływającym po Morzu Karaibskim kapitan pozwala siadać w wałkach do stołu, „bo ewentualny zakaz uraziłby nastolatki”. W pewnej szkole w New Jersey dyrektor oświadcza, że „gdyby zakazał wałków, klasy by opustoszały”. Amerykańskie nastolatki mają absolutną władzę nad swoimi włosami i noszą je długie. Najbardziej rozpowszechniony styl nazywa się ronette, z włosami sięgającymi do ramion. Zaraz za ronette jest mod, który

polega na uczesaniu gładkim, na pazia, jednakowym dla chłopców i dziewcząt. Prawdziwie jednak awangardowe nastolatki woła hullabaloo, czyli rodzaj modu, ale rozczochranego, wymyślił go Jerry, fryzjer mister Kennetha, który jest fryzjerem Jacqueline Kennedy. Poza Jerrym w Nowym Jorku jest osiemnaście instytutów piękności dla nastolatków, wyspecjalizowanych w nieobcinaniu włosów. Obcięcie sobie włosów jest dla nastolatka najbardziej absurdalną formą masochizmu. Obcinają je, i to zaledwie centymetr, żeby podarować narzeczonej w dowód miłości. Dowód miłości umieszcza się w medaliku, który dziewczyna zakłada od razu na szyję. Socjologowie twierdzą, że długie włosy nastolatków to reakcja na militarizm, a szczególnie na wojnę w Wietnamie; pierwszą rzeczą bowiem, jaka przydarza się rekrutom, jest golenie na zero. Historycy twierdzą, że kiedy jakieś pokolenie znajduje się na skraju przepaści, zapuszcza włosy, żeby się czegoś uchwycić. Seksuologowie twierdzą, że głowa stanowi ośrodek zainteresowania seksualnego i ukrywanie jej pod włosami jest bardziej sexy niż chodzenie z odkrytą klatką piersiową albo noszenie czarnych pończoch. Opinia taka wstrząsnęła Hefnerem, naczelnym „Playboya” i filozofem amerykańskiego seksu. W niedawnym wstępniku Hefner zastanawiał się, upokorzony, „czy nastolatki wiedzą przypadkiem coś, czego my nie wiemy”.

*

Jak się ubierają. Naprawdę awangardowi chłopcy ubierają się jak Sonny Bono, piosenkarz pop. Sonny Bono look polega na parze spodni w paski, koszuli bez kołnierzyka, lecz z riuszkami przy mankietach, wreszcie kawałku owczej skóry z dziurą w środku, przez którą wsadza się głowę. Dziewczęta natomiast, awangardowe lub nie, przechodzą przez okres bolesnej niepewności. Powodem jest to, że wszystkie kobiety w Ameryce wybrały baby look Courrèges’a: sukienka do połowy uda i białe wysokie buty z kokardką. Stosując się do tego wzoru, domy towarowe otworzyły działy dla „młodych kobiet między trzynastym a sześćdziesiątym rokiem życia”, a Judy Bee, nowojorska firma produkująca wyłącznie dla nastolatek, sprzedała tego roku ich matkom

pół miliona ubrań zaprojektowanych dla córek.

– To wstyd – powiedziała mi jedna z córek. – Niegdyś nastolatki marzyły, żeby się upodobnić do matek, teraz matki chcą się upodobnić do nastolatek. Mówią, że pragną być naszymi siostrami, ale ja nie wiem, na co mi siostra. Chcę mieć mamę, a nie siostrę.

Aby odróżnić się więc od matek i ciotek, nastolatki lansują modę sukien długich do kostek. nazywają się one *granny dresses*, suknie babci, i są dokładną kopią ubrań noszonych przez pionierki jadące wozami na podbój Zachodu: nosi się do nich nawet czepek. Moda wybuchnie tego lata w Nowym Jorku, ale w Kalifornii, Arizonie, na Florydzie, jednym słowem, tam, gdzie jest gorąco, nastolatki już je noszą. Noszą je szczególnie na ulicy i w szkole, gdzie przedtem chodziły tylko w dżinsach. Jedyny kłopot polega na tym, że biedaczki nie potrafią chodzić tak ubrane; nieustannie się potykają. I z tego powodu skręcają sobie kostki, łamią nadgarstki i trafiają do szpitala.

*

Jakie mają rozrywki. Przede wszystkim *mooning*: sport wymyślony przez grupkę drani z Uniwersytetu Yale. Polega na zrównaniu się samochodem z innym samochodem i jeśli ten ostatni ma otwarte okno, na wrzuceniu przez nie pary brudnych majtek. Komu się to uda, zdobywa dwadzieścia punktów. Jeśli brudne majtki spadną na starszą panią, szczęśliwiec zdobędzie trzydzieści punktów. Kto uzbiera w ciągu roku tysiąc punktów, ma prawo do nagrody, o której nie mogę opowiedzieć. Sport ten zakłada oczywiście posiadanie samochodu, ale wszystkie nastolatki mają samochody, choćby używane. Zakłada również prawo jazdy, lecz w Ameryce prawo jazdy dostaje się po ukończeniu szesnastego roku życia, a w niektórych stanach czternastego. Wyjaśnia to, dlaczego w Ameryce tak dużo ludzi ginie w wypadkach drogowych.

*

Jak się modlą. Większość się nie modli. Sondaż Gallupa potwierdził

wyniki Aunt Bessie, informując nas, że jedynie dwadzieścia dwa procent nastolatków wierzy w Boga, trzydzieści dziewięć procent określa się jako agnostycy, a reszta nie wierzy wcale. W Greenwich Village przepytalam dziewięciu chłopców stojących na rogu Bleecker Street i tylko jeden powiedział mi, że wierzy w Boga. I podał następującą motywację:

– Wierzę z przyzwyczajenia, wygody i na wszelki wypadek.

Jakiś procent wierzących unika chodzenia do kościoła. Wielu tak mi to wyjaśniało:

– Potrzeba czegoś innego, by rozstrzygnąć kwestie sumienia, a w dodatku w kościele spotyka się rodziców. To przygnębiające.

Z uwagi na takie podejście istnieją oddzielne kościoły dla nastolatków, gdzie msze trwają o wiele krócej. Podobnych kościołów jest szczególnie dużo w Kalifornii. Istnieją też oddzielne obrządki dla nastolatków; nie dopuszcza się do nich rodziców. Pomysł wyszedł od grupy ekonomistów. Twierdzą oni, że kto wydaje pieniądze na swój sposób, modli się na swój sposób.

*

Co czytają. Nie tyle czytają, ile chodzą do kina. Filmy, które odniosły największy sukces u nastolatków, to w kolejności: *Goldfinger*, *Tom Jones*, *My Fair Lady*, *Becket*, *Co słyhać koteczku?*, *Ten szalony, szalony świat*. Kiedy już wyszli z kina, czytają „Playboya”, miesięcznik ze zdjęciami nagich dziewczyn. Wycinają zdjęcia nagich dziewcząt i wieszają je w szkole, a nauczyciele się wściekają. Poza „Playboyem” czytają „Mad”, pismo satyryczne z komiksami. Następnie książki Iana Fleminga. Pisma dla nastolatków to przede wszystkim lektura dla dziewcząt. Pism takich są dziesiątki i każdego miesiąca w Ameryce sprzedaje się dwadzieścia jeden milionów egzemplarzy w sumie za czterdzieści siedem miliardów lirów. Biblią nastolatek jest miesięcznik noszący tytuł „Seventeen”, Siedemnastka. Jego nakład wynosi milion dwieście dwanaście tysięcy egzemplarzy; otrzymuje sto tysięcy listów tygodniowo; w większości krytykujących rodziców. „Seventeen” udziela porad w sprawach seksu, sposobu ubierania się, znoszenia taty i mamy. Wielki posłuch mają jednak także porady udzielane przez „Fifteen”, „Sixteen”, „Keen Teen”,

„Teen Screen”, „Teen Talk”, „Teen World”, „Teen Life”, „Modern Teen”, które na zmianę publikują zawsze to samo zdjęcie na okładce: Elizabeth Taylor albo Jacqueline Kennedy. Obie bohaterki zajęły miejsce już zapomnianych Elvisa Presleya i Jamesa Deana. Innym popularnym miesięcznikiem jest „Ingenuie”, Naiwna. Jego naczelna, Sylvie Schuman Reice, jest autorką bestsellera roku: *The Ingenuie Date Book*. Uczy w niej sześćdziesięciu pięciu sposobów na to, by umówić się na randkę, całować się, uprawiać necking i petting, wymusić obietnicę ślubu, zacząć od początku, kiedy wszystko się skończyło. Ukochaną książką amerykańskiej nastolatki jest obecnie *Candy*: historia dziewczyny, której żaden rodzic nie chciałby mieć za córkę, żadna ciotka za siostrzenicę, żaden brat za siostrę, żaden mąż za żonę.

*

Co tańczą. Z wyjątkiem twista, który całkiem już przeminął, wszystkie tańce niewymagające kontaktu ciał, co wyjaśnia, dlaczego o piosenkarzach takich jak Frank Sinatra nie chcą nawet słyszeć. Jedyną nastolatką w Ameryce, która do niedawna traktowała poważnie Sinatrę, była dziewiętnastoletnia Mia Farrow, chciała nawet wyjść za niego i dlatego udała się razem z nim na wycieczkę jachtem. Amerykańskie nastolatki tańczą nie z powodów sentymentalnych, lecz żeby się pogimnastykować. Najlepszą gimnastyką jest frug, następnie monkey, potem freddie, potem stop: wariacje rock and rolla zastosowane do hully gully. Najmodniejszy jest jerk, którego się tańczy w odległości pół metra jedno od drugiego, patrząc sobie uparcie w twarz, kręcąc do woli górną częścią tułowia, ramionami i szyją przy nieruchomych biodrach i nogach. Do jerka nie trzeba mieć damy ani kawalera; chłopcy mogą go tańczyć ze sobą, dziewczęta ze sobą. Taki zwyczaj coraz bardziej się rozpowszechnia. Jerka wylansował Sonny Bono, piosenkarz pop, i w tym miejscu konieczne jest wyjaśnienie, kim jest Sonny Bono, o którym wiemy tylko, jak się ubiera. Ma trzydzieści jeden lat, a jego twarz skłania do pogłębionych badań na temat ewolucji ludzkiego gatunku, który według Darwina pochodzi od ryby. Darwin ma być może rację, lecz ryby, patrząc na Sonny’ego, mogłyby się poczuć urażone.

Istotnie oczy ryb są o wiele bardziej ludzkie, a poza tym ryby lepiej śpiewają; nie fałszują tak jak Sonny. Sonny nosi bardzo długie włosy oraz gęstą grzywkę sięgającą nosa. Wykonuje płynne ruchy, podnosi uparcie mały palec, kobiety mu się podobają i rzeczywiście poślubił jedną z nich, przepiękną, nazywa się Cher i śpiewa niemal tak źle jak on. Sonny nazywa się naprawdę Salvatore Bono, ma kalabryjskie korzenie. Jego ulubioną piosenką jest *Laugh at Me*. Sonny ma mnóstwo pieniędzy i kolekcjonuje nieseryjne samochody.

*

Na czym grają. Na gitarze elektrycznej. Zastąpiła trąbkę z lat czterdziestych. W 1965 roku amerykańskie nastolatki kupiły milion sześćdziesiąt pięć tysięcy elektrycznych gitar, niemal dwa razy tyle, co rok wcześniej, a tylko w Nowym Jorku na Boże Narodzenie sprzedano dwieście trzydzieści tysięcy; na rok 1966 Electric Fender Instruments przewiduje wzrost sprzedaży o sto osiemdziesiąt trzy procent. Ta sama firma twierdzi, że aż siedem milionów amerykańskich nastolatków gra na gitarze elektrycznej, której cena waha się między sto dziesięć a sto dziewięćdziesiąt tysięcy lirów. Powodem, dla którego amerykańskie nastolatki tak bardzo kochają gitarę elektryczną, jest to, że gitara elektryczna robi dużo hałasu, szczególnie dzięki wzmacniaczowi, za który płaci się dodatkowo i który kosztuje trzydzieści tysięcy lirów. Powodem, dla którego gitary elektryczne sprzedają się tak świetnie nastolatkom, jest to, że dużo nastolatków zostało w trakcie grania porażonych prądem. Każdego roku w Ameryce dwieście albo trzysta nastolatków ginie z własnej winy, za sprawą wynalazku gitary elektrycznej.

*

A oto nasza piątka wybrana do dyskusji. Naprawdę byłoby szkoda, gdyby właśnie ich poraziła prądem gitara elektryczna. Chciałam znaleźć inteligentnych młodych ludzi i znalazłam ich; do tego stopnia, że przy pożegnaniu wybaczam im wszystko: to, jak wydają pieniądze, jak się

czeszą, jak się bawią, jak tańczą, wszystko. Żałuję nawet, że trochę sobie z nich kpiłam, przygotowując mój reportaż, bo dzięki nim zapamiętam najważniejszą, najbardziej dramatyczną prawdę, o której nigdy nie myślimy: kiedy wybuchą wojna, to oni giną jako pierwsi. Irytujący, przygnębiający, złowrodzy, stają się nagle sympatyczni. Przyjrzyjmy się im więc, zanim zaczniemy ich słuchać. Chłopak z dużym nosem i długimi nogami to Dan. Szesnaście lat, nie zdecydował jeszcze, co będzie robił w przyszłości. Chudy chłopak z fajką to Dennis. Siedemnaście lat, studiuje filozofię i zostanie psychologiem. Chudziutka dziewczyna ze zniszczoną cerą i żywym spojrzeniem to Linda. Siedemnaście lat, uczeńszcza na kurs kultury politycznej i jej celem jest kariera w dyplomacji. Krótkowzroczny chłopak w krawacie i włoskim garniturze to Ray. Osiemnaście lat, studiuje medycynę i będzie psychiatrą. Duży chłopak w wiatrówce i z twarzą aktora to Bergen: dziewiętnaście lat, studiuje socjologię, ale nie sądzi, by pracował w przyszłości jako socjolog. Siedzą na dywanie z minami zarazem ironicznymi i skupionymi. W jednej ręce trzymają papierosa, w drugiej butelkę coca-coli. Przed nimi stoi magnetofon. Dopiero co skończyłam zarzucać im to wszystko, o czym wam opowiedziałam.

JA: Znaście wszystko, co zobaczyłam i usłyszałam. Interesuje mnie wasza opinia.

DAN: Ja bym to traktował jako przejaw wrogości: w stosunku do rodziców, dorosłych, społeczeństwa, które wydało nas na świat. Ale przede wszystkim w stosunku do rodziców. Sprawują nad nami całkowitą kontrolę, na którą społeczeństwo pozwala, i reprezentują w naszych oczach władzę. Buntować się przeciwko nim oznacza buntować się przeciwko władzy, co jest rzeczą dość normalną, kiedy się jest młodym. Młodzi podlegają gwałtownym emocjom, a najbardziej gwałtowna emocja jest skutkiem sprawowanej nad nami władzy. Niech pani nie zapomina, że żyjemy w kraju dość wolnym, z historycznymi tradycjami nieposłuszeństwa i dlatego nie mamy zahamowań, jak w wypadku innych nastolatków.

BERGEN: Wiem, że w Hiszpanii na przykład nastolatki zwracają się w trzeciej osobie do rodziców i boją się ojca zupełnie jak Franco. Kiedy się buntują, stają się anarchistami i rzucają bomby. My nie boimy się nikogo i kiedy się buntujemy, nie rzucały bomb; robimy głupstwa w stylu tych, o które nas pani oskarża. W gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Bunt jest częścią naszego wieku, który jest wiekiem nieszczęśliwym, ponieważ walczą w nas cechy dziecka i dorosłego. Czasami traktuje się nas jak dzieci i słusznie, czasami traktuje się nas jak dorosłych i słusznie; i dlatego robimy się nerwowi.

LINDA: My, amerykańskie nastolatki, jesteśmy szczególnymi nastolatkami, gdyż nasz poziom życia przewyższa poziom życia we wszystkich innych krajach. Jesteśmy nastolatkami bogatymi, a zatem odmiennymi; nawet rodzice nie potrafią nas zrozumieć. Moi rodzice to byli bardzo biedni żydowscy imigranci; jestem dzieckiem ich ekonomicznego sukcesu, moje doświadczenia i przekonania dzieli od nich przepaść. Dziecko, które rośnie, nie doświadczając głodu, oglądając telewizję, nie będzie takie samo jak dziecko, które rośnie głodne i bawi się kamyczkami przy drodze. I często się zdarza, że to dziecko jest bardziej inteligentne. Nasza wina polega na tym, że jesteśmy lepiej odżywieni i bardziej inteligentni niż nasi rodzice.

DENNIS: Czasami się zastanawiam, czy nasi rodzice nie są o nas zazdrośni. Na przykład jeśli chodzi o seks. Kiedy byli młodzi, seks stanowił temat, o którym się nie mówiło; my natomiast mówimy o nim aż do przesady, robimy z niego nasz zasadniczy problem. To sprawia, że nam zazdroszczą i mszczą się, demonstrując w drobnych sprawach swoją władzę, na przykład żądając, byśmy wracali do domu o północy. Nie chodzi im wcale o to, że należy kłaść się wcześniej, żeby rano obudzić się rześkim, nie chcą, byśmy kochali się w samochodzie po ciemku. Oni nie mogli tego robić i w ten sposób biorą odwet. Traktują godzinę policyjną o północy jako środek antykoncepcyjny, który oni również musieli stosować.

RAY: Bardziej niż o zazdrości, mówiłbym o żalu. Żałują, bo nie żyli

w świecie takim jak nasz i byli tak głupi, że się nie zbuntowali. W przeciwnym razie czemu by nas naśladowali, chodzili tam, gdzie my chodzimy, przejmowali mody, które my lansujemy? Widać to na zabawach nastolatków. W pewnym momencie próbuje zawsze wkroczyć matka chłopaka albo dziewczyny, u których odbywa się zabawa. Albo wziąć w niej udział. To żalosne. Niemal wszystkie moje przyjaciółki narzekają: na matkę, która ubiera się jak one, tańczy jak one, mówi jak one, jednym słowem, usiłuje mieć w ostatniej chwili to, czego nie dostała, kiedy był na to czas.

BERGEN: Nie przesadzajmy z takim gadaniem, bo kiedy sami będziemy mieli dzieci, będziemy się zachowywać tak jak nasi rodzice i będziemy wmawiać naszym dzieciom, że szanowaliśmy naszych rodziców. W gruncie rzeczy jesteśmy tacy jak oni.

RAY: Naszym problemem jest chęć poradzenia sobie z naszą niepewnością, trudność polegająca na tym, że urodziliśmy się w nader skomplikowanym świecie, który staje się coraz bardziej skomplikowany. Czy był on równie skomplikowany dla naszych rodziców? Nie sądzę, ponieważ nie byli atakowani przez tak wiele skonfliktowanych ze sobą ideologii. Oni potrafili nawet się modlić. My natomiast już się nie modlimy; bo przestaliśmy wierzyć. I czujemy się niepewni, zagubieni, bez żadnego wsparcia, bez owej podstawy, która nazywa się wiarą. To chyba postęp wpoił nam tyle wątpliwości.

DAN: Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z postępem albo z technologią. Jestem z was najmłodszy i jestem dzieckiem technologii, a tak bardzo czuję potrzebę wiary, że wierzę. Nie chodzi z pewnością o wiarę, która sprawia, że podnosisz wzrok ku niebu i szukasz tam Boga, chociaż często tak właśnie robię. Jeśli to oznacza wierzyć w Boga, cóż, to ja w niego wierzę. I chodzę jeszcze do kościoła; mimo wszystkich moich wątpliwości.

BERGEN: Ja nie, nie chodzę. I się nie modlę. Nie wierzę w Boga, w którego wiarę przekazali mi rodzice, i nie czuję nawet potrzeby

zastanawiania się, czy istnieje jakiś boski byt. Znajduję całkowite zadowolenie w przeżywaniu tego, co uważam za życie dobre, moralne, i nie potrzebuję zewnętrznych bodźców, takich jak wiara w Boga, żeby zrozumieć, co jest dobre i moralne. Wierzę w ludzkość, nie w boską istotę.

LINDA: Ja też. Jestem Żydówką, nie odebrałam nigdy religijnego wychowania i nigdy o nie się nie dopominałam. Nie mam nawet i nigdy nie miałam wątpliwości. Czasami zazdroszczę ludziom, którzy mają wątpliwości; mają przynajmniej o czym myśleć. Czasami zazdroszczę nawet katolikom z powodu księdza. Katolicy najmniej potrzebują psychiatry albo psychoanalityka, bo ich psychiatrą, ich psychoanalitykiem jest ksiądz. Znam dziewczyny, które mówią: „Byłam u spowiedzi”. Albo: „Bóg mnie kocha”. To musi być cudowne. Można się poczuć mniej samotnym.

DENNIS: Wiesz, jeśli o to chodzi, byłem zawsze bardzo krytyczny. Zawsze myślałem, że niektóre zasady narzucone przez religię spowodowały więcej szkód niż korzyści, i nie czułem nigdy potrzeby, by się do nich stosować. Odrzuciłem religię raz na zawsze bez żadnych bolesnych kryzysów. Jeśli chcesz, bardziej niż ateistą jestem agnostykiem. Wybacz, Ray.

RAY: Dlaczego? Ja mam wątpliwości, bo mam w głowie większy zamęt niż wy. Moja matka jest żydówką, ojciec katolikiem, żadne z nich nie było wystarczająco wierzące, by wpoić mi swoją wiarę, oboje nie byli też w wystarczającym stopniu ateistami, żeby uwolnić mnie od potrzeby wiary, i tak nic już nie wiem; waham się między Freudem a Kościołem, rozumem a uczuciami. Należałem nawet do typowo amerykańskiego klubu, który usiłuje pomagać nastolatkom w rozwiązywaniu ich problemów. To był klub religijny i mówiono tam o Jezusie jak o zawodniku wygrywającym w bejsbol. Byłem tam szczęśliwy. Modliłem się do Jezusa, prosiłem go o drobne przysługi i wszystko wydawało się proste. Ale potem... Potem odkryłem, że istnieją być może bardziej niepokojące rzeczy. Na przykład wojna. A wy nie myślicie

o wojnie?

DAN: Pewnie, że myślę! To jest coś, co czyni nasze pokolenie wyjątkowym. To największy dylemat nas, nastolatków: dorośli wywołają tę wojnę czy nie? Bo jeśli ją wywołają, my będziemy musieli na nią iść. Dokąd uciekniemy? Dzisiaj nie możesz już uciec, nie ma już takiego miejsca, gdzie mógłbyś uciec. W czasach Hitlera uciekało się do Szwajcarii albo do Ameryki, albo do Australii, a dzisiaj? Odziedziczyliśmy świat, w którym wszelka ucieczka stała się niemożliwa, jesteśmy jak szczury w pułapce. I czujemy się sparaliżowani, bezsilni, na łasce czegoś, ale nie wiadomo czego. Być może śmierci. W tym sensie nasze pokolenie jest tragiczne. W gruncie rzeczy nie my jesteśmy odpowiedzialni za tak wiele lęku.

BERGEN: Ja jestem z was najstarszy i grozi mi, że pojedę do Wietnamu przed wami. Nienawidzę wojny. Nienawidzę perspektywy zabijania i bycia zabitym. Nienawidzę myśli o zniszczeniu świata; ale gdzie jest wybór? Jeśli dostanę wezwanie, muszę jechać. Groźba zwana komunizmem istnieje. Nie żebym się bał komunizmu, jeśli chodzi o teorię albo jego praktyczne zastosowanie; boję się komunizmu jako imperialistycznej potęgi. Wolę więc walczyć z nim w Wietnamie niż na progu własnego domu.

LINDA: Nie wiem, co powiedzieć, ale sądzę, że Bergen ma rację.

RAY: Kiedy słyszę syreny albo warkot samolotów, które przelatują jeden za drugim, zaczynam drżeć. Kiedy zaś myślę o wojnie atomowej, muszę usiąść, nie mogę się utrzymać na nogach. I siedzę tak, niezdolny poruszyć nawet palcem; jest w tym coś wręcz przesadnego, śmiesznego. Ale gdybym dostał wezwanie i kazano by mi jechać do Wietnamu, sądzę, że pojechałbym. W fatalnym stanie, ale pojechałbym. Zauważcie, że jestem na tyle obiektywny, by dostrzec oba aspekty sprawy, by zrozumieć, że w Chinach próbują czegoś nowego, chociaż nie wiemy jeszcze, czy mają rację, czy się mylą. Ale ten Ho Chi Minh mi się nie podoba. Budzi we mnie niepokój i wrogość, i, jak sądzę, trzeba mu dać

nauczkę.

DAN: To najbardziej przygnębiające słowa, jakie można usłyszeć. Za każdym razem, kiedy wybucha wojna, ludzie mówią: byliśmy zmuszeni, nie było wyboru. Bzdury. Odkąd ludzie nauczyli się zabijać, powtarzają te same bzdury. I im bardziej doskonałą sposób zabijania się nawzajem, tym bardziej rezygnują z posługiwania się rozumem; nigdy nikt spokojnie nie usiądzie i nie powie, porozmawiajmy o tym. Po co masz walczyć z komunistami w Wietnamie? Zastanawiam się, co by się stało, gdyby wszyscy zastrajkowali i powiedzieli tak jak ja: nie. Nie, bo nie trzeba się zabijać, żeby rozwiązać jakiś problem. Nie rozumiem komunizmu, ale nie pojmuję, dlaczego mam zabić pana Mao Tse-tunga albo dlaczego mam dać się zabić panu Mao Tse-tungowi tylko z tego powodu, że się nie rozumiemy. Skoro wydano mnie na świat, chcę na nim pozostać. I nie chcę, żeby mi włożono karabin do ręki, odmawiam i mam gdzieś cały ten komunizm, chciałbym, żeby chłopcy z krajów komunistycznych rozumowali tak jak ja i żeby powiedzieli: mam gdzieś cały ten kapitalizm, na wojnę idźcie sobie wy, ja idę z Danem na ryby.

DENNIS: Ja w kapitalizmie świetnie się czuję. To jest może egoistyczne rozumowanie, skoro wielu ludzi czuje się w nim bardzo źle, ale wierzę w jednostkę, wierzę w bodziec ekonomiczny, który skłania ją do radzenia sobie samej, w wolne wybory. Zarazem zdaję sobie sprawę, że świat się zmienia, że w świecie dzieje się coś nowego, że nie można się obyć bez rewolucji; Ameryka nie byłaby Ameryką, gdyby nie było rewolucji francuskiej. Ale czy naprawdę rewolucje wymagają karabinu albo noża, albo bomby atomowej? Popieram Dana. Kiedy przyjdzie do mnie wezwanie, będę kląć jak wariat i krzyknę: nie. Nie czuję żadnej potrzeby umierania za świat. Nie chcę pomóc ani Ameryce, ani komunizmowi w umieraniu za świat. Śmierć z flagą w dłoni nie na wiele się zdała w przeszłości. Zawsze za coś umierano i wszystko toczy się po staremu. Dlatego szaleństwem jest strzelać do drugiego człowieka albo pozwolić, by ten drugi strzelał do ciebie. Jeśli nasz system jest dobry, dlaczego nie udowodnimy pokojowo, że demokracja jest czymś wspaniałym? Jeśli ich system jest dobry, dlaczego nie udowodnią

pokojowo, że komunizm jest czymś wspaniałym? Być może się pogodzimy.

RAY: Chłopaki, nie jedziemy przecież do Wietnamu, żeby im opowiadać, jaki cudowny jest kapitalizm. Jedziemy do Wietnamu, żeby ratować własną skórę.

DAN: Skórę uratują ci, co zostaną w domu. Ludzie tacy jak Lyndon i Ho Chi Minh mówią, że trzeba iść na wojnę, a potem posyłają nas. Cóż, chociaż mam dopiero szesnaście lat, chcę coś powiedzieć Lyndonowi i Ho Chi Minhowi. Chcę im powiedzieć: moi starzy, powtarzacie nam ciągle, że jesteśmy jutrem, jutrzejszą klasą kierowniczą, nadzieją na lepsze jutro; skoro jesteśmy tacy cenni, pozwólcie nam żyć.

DENNIS: Chłopaki, dajmy spokój. Mówiliśmy dotąd o miłości, o życiu i nagle zaczęliśmy mówić o wojnie, czyli o śmierci. Jak gdyby wszystko to, co powiedzieliśmy wcześniej, było zbędne. Bertrand Russell zauważył kiedyś, że lepiej żyć na kolanach niż umrzeć, stojąc. Zobaczmy, czy dałoby się żyć, stojąc, zamiast umierać na kolanach.

CZEŚĆ SZÓSTA

LISTY DO NACZELNEGO
(1967)

AFTRA MNIE OBRONI

Nowy Jork, marzec

Drogi Redaktorze,

To bolesne, ale muszę Ci wyjaśnić, że nie jesteś już moim szefem. Moim prawdziwym szefem jest teraz trzydziestu sześciu szefów, którzy podlegają przewodniczącemu Melowi Brandtowi, plus, dodatkowo, pierwszy wiceprzewodniczący, drugi wiceprzewodniczący, trzeci wiceprzewodniczący, czwarty wiceprzewodniczący, piąty wiceprzewodniczący Jack Costello, niebędący jednak krewnym gangstera Franka Costello. Wiesz, że nie przepadam za telewizją. A już najmniej przepadam za występowaniem w telewizji. Myśl, że można mnie oglądać na ekranie, działa mi na nerwy, sprawia, że dostrzegam w tym coś nieprzyzwoitego, i jest tylko jeden sposób, żeby złagodzić podobny uraz: zapłacić mi. Amerykańska telewizja płaci na ogół bardzo dobrze. A *Tonight Show* płaci doskonale. *Tonight Show* jest najpopularniejszym programem telewizyjnym w Ameryce. Można go oglądać każdego wieczoru we wszystkich stanach, występuje w nim niejaki Johnny Carson, który przeprowadza wywiady z najbardziej absurdalnymi ludźmi, aktorami, piosenkarzami, prestidigitatorami, pisarzami, mistrzami sportowymi, znanymi wdowami, słynnymi mordercami i płaci każdemu minimum trzysta dwadzieścia dolarów. Przyjemna sumka, jeśli się pomyśli, że chodzi o występ dwunastominutowy, podczas którego miałam mówić o mojej książce, właśnie wydanej w Stanach, *If The Sun Dies*, poszłam więc, porozmawiałam, opowiedziałam amerykańskiemu narodowi o konieczności szukania innych słońc, kiedy Słońce umiera, wróciłam do domu z jasną świadomością, że, co prawda, go nie przekonałam, lecz zainkasowałam trzysta dwadzieścia dolarów, to znaczy sumę, którą płacę co miesiąc za moje malutkie mieszkanko na Manhattanie. Zadowolona, spokojna. Do chwili, kiedy nadszedł czek. Czek opiewał tylko na dwadzieścia dolarów. Oczywiście uznałam, że to jakaś pomyłka.

Zadzwoiłam więc do *Tonight Show*, oznajmiłam im, że dostałam czek, lecz że zaszła jakaś pomyłka. Odpowiedzieli, że nie ma żadnej pomyłki; z trzystu dwudziestu dolarów dziewięćdziesiąt poszło na podatki.

– Dziewięćdziesiąt?!

– No, tak.

– Rozumiem, a reszta? Trzysta dwadzieścia minus dziewięćdziesiąt wynosi dwieście trzydzieści. Dwieście trzydzieści minus dwadzieścia wynosi dwieście dziesięć. Kto wziął te dwieście dziesięć?

– Cóż, związki zawodowe.

– Jakie związki zawodowe?!

– Związek zawodowy performerów, jednym słowem, aktorów. Szczególnie American Federation of Television and Radio Artists czyli AFTRA.

– Przecież ja nie jestem performerką, nie należę do AFTRA.

– Ależ tak.

– Pan się myli.

– Nie mylimy się; podpisała pani nawet podanie z prośbą o przyjęcie.

– Ja?! Kiedy?

– Przed wyjściem na wizję.

Istotnie, pamiętam jak przez mgłę, że kilka sekund przed wyjściem na wizję ktoś podał mi jakąś kartkę, mówiąc: „Niech pani tu podpisze, szybko. Chodzi o formalność bez znaczenia”. A ja, w panice, wstydząc się, że występuję na ekranie dla pieniędzy, myśląc, że chodzi rzeczywiście o czystą formalność, podpisałam. Z zamkniętymi oczami.

– Całe dwieście dziesięć dolarów! Ponad dwie trzecie mojego honorarium! To jakiś obłęd!

– Ach, i tak ma pani szczęście, droga pani. Pewnej Angielce zostało tylko sześć centów. Proszę spytać w AFTRA.

Dyrektor AFTRA, pan Michael Sage, potraktował mnie bardzo uprzejmie. Był tak dobry, że poinformował mnie, iż aby wystąpić w programie, jakimkolwiek programie, trzeba należeć do związku zawodowego artystów, a najlepszym związkiem zawodowym, o jakim może marzyć performer, jest AFTRA, gdzie wpisowe wynosi właśnie dwieście dziesięć dolarów.

– Ale ja nie jestem performerką, panie Sage. Jestem dziennikarką, pisarką.

Pan Sage wyjaśnił mi cierpliwie, że wielu dziennikarzy, wielu pisarzy jest również performerami, że, krótko mówiąc, jedna działalność nie wyklucza drugiej; niech pomyślę o Peterze Ustinovie, Clare Boothe Luce.

– Ale ja nie chcę być ani Peterem Ustinovem, ani Clare Boothe Luce. Chcę tylko odzyskać moje dwieście dziesięć dolarów.

Pan Sage westchnął, okazując coraz większą cierpliwość: nie jestem oczywiście ani Peterem Ustinovem, ani Clare Boothe Luce, jestem sobą. I z pewnością wzruszenie z powodu odkrycia prawdziwej siebie, talentu, o którym dotąd nie wiedziałam, talentu performerki, nie pozwoliło mi docenić ogromnych korzyści wynikających z przynależności do AFTRA. Nie sposób rozmawiać dalej. Napisze do mnie list. I nazajutrz napisał do mnie list. Dwie pełne kartki w przyjaznym tonie, zaczynające się od pytania o moje zdrowie, po czym następował opis negocjacji AFTRA w sprawie kongresów w Waszyngtonie, Chicago, Los Angeles, a na koniec prośba o kolejne dwadzieścia dolarów. Jak bowiem mi wiadomo, dwieście dziesięć dolarów to jedynie kwota wpisowego, które traci ważność bez comiesięcznej składki. Mam mu zatem wysłać kolejne dwadzieścia dolarów, wraz z moim nazwiskiem, pseudonimem artystycznym, datą urodzenia, imieniem męża albo żony, imionami dzieci, datą ślubu, żeby można było skontrolować (jak przypuszczam), że chodzi o dzieci z prawego łóża, numerem polisy ubezpieczeniowej na życie.

Moja odpowiedź, przyznaję, była dość gwałtowna. Zaczynała się od stwierdzenia, że nie mam polisy ubezpieczeniowej, nie mam żony, nie mam męża, nie mam dzieci, nie mam pseudonimu artystycznego, mam tylko jedno pytanie: ktoś mi powiedział, że związki zawodowe bronią pracowników przed kapitalistami, na przykład walcząc o ich wyższe płace. Zakładając nawet, chociaż to nieprawda, że jestem performerką, w jaki sposób związek zawodowy performerów broni mnie przed kapitalistami: zabierając mi podstępem pieniądze, które dają mi kapitał? I kto mnie obroni przed związkami zawodowymi, które bronią mnie przed kapitalistami? Jest może jakiś związek zawodowy, u którego mogłabym się poskarżyć na nadużycia ze strony mojego związku?

– Panie Sage, nie wyślę panu dwudziestu dolarów. Ponieważ jeśli prawdą jest, że należę do AFTRA, w takim razie występuję z AFTRA.

A skoro występuję z AFTRA, chcę z powrotem moje dwieście dziesięć dolarów, których nigdy nie zgodziłam się wpłacić.

Odpowiedź na odpowiedź była jeszcze bardziej gwałtowna. Brzmiała tak:

– Jeśli nie zapłaci pani dwudziestu dolarów, nie dopełni pani podpisanego przez siebie zobowiązania, wówczas nasz związek zawodowy będzie zmuszony wystąpić na drogę sądową i skonfiskować pani dwieście dziesięć dolarów wpisowego.

Redaktorze, zapłaciłam te dwadzieścia dolarów.

Zapłaciłam czekiem, co do którego uznałam, że został wypisany przez pomyłkę. W przyszłym miesiącu natomiast zapłacę gotówką. Jestem już członkiem AFTRA. I codziennie dostaję broszurki, listy, rozporządzenia AFTRA. Na ryżowym papierze, z herbem, w którym widać mikrofon, antenę telewizyjną i skrzypce. Listy zaczynają się tak: „Dear fellow Aftran...”. Drogi towarzyszu Aftranie... Dziś rano dostałam list od przewodniczącego Mela Brandta. Informował mnie, że szykuje się strajk: „Jeśli kapitaliści, którzy wyzyskują dobrych performerów, natychmiast nie przestaną, zastrajkujemy. Trwa gorączkowa działalność komitetu strajkowego, Strike Committee; towarzyszu, musisz wnieść swój wkład”. Spytałam, o jaki wkład chodzi, jestem bez pracy, po *Tonight Show* nikt mnie już nie zaprosił, nawet w charakterze szeregowej tancerki w teatrzykach Village. Powiedzieli mi: tym lepiej, masz czas, żeby pracować dla AFTRA. Redaktorze, czy to jasne? Nie mogę dłużej dla Ciebie pracować. Muszę pracować dla AFTRA. Słusznie, skoro jestem performerką, choćby bezrobotną. Nie mogę już słuchać twoich poleceń, co najwyżej mogą to być polecenia Antonella Falqui, Romola Sieny i podobnych im ludzi.

I tymi słowami Cię żegnam.

W Nowym Jorku tymczasem nadal jest zimno i walka między Bobem a Lyndonem się zaostrza. Mimo że Ted zaczął pracować dla Boba, tak jak Bob pracował dla Johna. Lyndon robi się coraz starszy, bardziej zmęczony. Zbrzydła także Lynda, jego córka. Może dlatego, że George się do niej nie odzywa. Może dlatego, że zaczęła uprawiać dziennikarstwo. Biedaczka. Pracuje, wiesz, naprawdę pracuje. Pisze rzeczy, których nikt nie czyta, podróżuje. Z osobistym ochroniarzem. Mieszka w *suites* przeznaczonych dla koronowanych głów. Nigdy mi nie

zafundowałeś *suites* przeznaczonych dla koronowanych głów.
Zasługujesz w gruncie rzeczy na to, by mnie stracić. Serdeczności, Twoja

Oriana Fallaci

CIA KICHA W MOIM TELEFONIE

Nowy Jork, marzec

Drogi Redaktorze,

Muszę Ci wyznać, że moje stosunki z CIA wcale się nie poprawiły. Przeciwnie, są bardzo chłodne. Sprowadzają się do „klik” rozlegającego się w moim telefonie, ilekroć zaczynam mówić o zabójstwie w Dallas. Wiesz, żeby chociaż ktoś słuchał moich uwag i nagrywał je na magnetofon. Pewnego razu, poza tym, co zwykle „klik”, usłyszałam również kichnięcie. Rozmawiałam z przyjacielem i usłyszałam kichnięcie. Spytałam:

– Mój drogi, jesteś zaziębiony?

Odpowiedział mi:

– Nie, to ty jesteś zaziębiona.

Powiedziałam:

– Nie, nie jestem zaziębiona.

Na to on:

– To dlaczego kichnęłaś?

Powiedziałam mu:

– To ty kichnąłeś.

Odpowiedział:

– Ja nie kichnąłem. Jeśli również ty nie kichnęłaś, cóż, to znaczy, że kichnęła CIA.

„New Yorker”, wyobraź sobie, umieścił nawet rysunek satyryczny na temat tej mojej historii, którą wszyscy znają. Tylko że zamiast CIA umieścił FBI. To nie było FBI, z FBI nie mam nic wspólnego. To była CIA. Ponieważ niechęć między mną a CIA trwa już od ponad trzech lat, to jest od dnia, w którym odmówiono mi stypendium naukowego w Ameryce. Ale nie zamierzałam szpiegować, tylko się uczyć.

Stypendium wypłacała (teraz to już wiem) jedna z fundacji finansowanych przez CIA. Skorzystał z niego nawet polski premier Piotr Jaroszewicz i prezydent Tanganiki Julius Nyerere. Żebym mogła je

jednak dostać, chcieli wiedzieć, czy jestem komunistką. Aby ustalić, czy jestem komunistką, chcieli wiedzieć, czy wierzę w Boga, gdyż dla CIA ktoś, kto nie wierzy w Boga, jest automatycznie komunistą. Pytanie znajdowało się na końcu formularza wraz z innymi niedyskretnymi pytaniami: „Czy cierpisz na jakąś chorobę zakaźną? Stosujesz specjalną dietę? Wierzysz w Boga?”. Odpowiedziałam, że wiara w Boga to bardzo skomplikowana kwestia, w każdym razie natury osobistej, i nie zamierzam z nimi o tym rozmawiać. Strasznie się wściekli. Wycofali propozycję stypendium naukowego. Straciłam okrągłą sumkę w dolarach, które (teraz to już wiem) pochodziły od CIA.

Nie ma nic nadzwyczajnego w fakcie, że CIA podsłuchuje moje rozmowy telefoniczne. To są niewinne rozmowy, w niektórych wypadkach czułe, i słuszne jest, by wysłuchiwała ich CIA, w ten sposób nie będzie się nudzić i zrozumie, jak miła potrafi być włoska kobieta, kiedy mówi miłe rzeczy mężczyźnie. W dodatku bywaliśmy przecież w świecie. Wiemy doskonale, że gdybym mieszkała w Moskwie, te same rozmowy podsłuchiwałyby KGB, radziecka CIA, gdybym mieszkała w Londynie, podsłuchiwałyby je Intelligence Service. Żyjemy w bardzo policyjnych czasach, rok 1984, przewidziany przez Orwella, już się zaczął bez względu na granice albo język. Ale jeśli CIA żywi podejrzenia z powodu tego, że nie chcę rozmawiać o Bogu, to znaczy, że uważa, iż jestem nastawiona antyamerykańsko; co jest najbardziej grzesznym grzechem, jaki istnieje w Ameryce, jedynym, za który idzie się do piekła. A ja nie jestem antyamerykańska, dobrze o tym wiesz. W Ameryce podobają mi się westerny, mosty, blondyni, konstytucja, chociaż często o niej zapominają, rostbef, który umieją tutaj upiec, niespalony na zewnątrz ani surowy w środku, lecz cały różowy z wierzchu i wewnątrz. Podoba mi się. I jeszcze podoba mi się uprzejmość telefonistek, które nie są tutaj opryskliwe, podoba mi się uśmiech, z jakim policjanci na lotnisku Kennedy'ego mówią mi za każdym razem, kiedy wracam do Nowego Jorku: „Welcome home”, witamy w domu. Rozumiesz? Wiedzą doskonale, że mój prawdziwy dom nie jest w Nowym Jorku, lecz we Florencji, a jednak, kiedy wracam, mówią mi: „Welcome home”. Na lotnisku w Rzymie czy w Mediolanie nikt mi niczego takiego nie mówi, nikt się do mnie nie uśmiecha. Przeciwnie, patrzą na mnie, jakbym była intruzem albo kryminalistką, której przestępstwo jeszcze nie wyszło na

jaw. Wbijają mi pieczętkę do paszportu z taką pogardą, że bardziej niż pieczętkę przypomina to cios. Wymierzony prosto w oczy. Czujesz się wtedy upokorzona, przygnębiona. Myślisz sobie: może pomyliłam samolot, może wylądowałam w kraju, który nie jest moim krajem? I w chwili, w której przekonujesz się, że nie, to jest twój kraj, masz ochotę oddać go do muzeum. Trudno, musisz przejść przez kontrolę celną i stawić czoło dzisiejszym Włochom. Czujesz się bardziej w domu wśród Amerykanów. Nie wiem, czy wyrażam się jasno: ja trawię Amerykę, chociaż z trudem. Trawię, wyobraź sobie, nawet CIA, no bo gdzie znajdziesz tajne służby tak mało tajne, służby zlecające szpiegostwo dzieciom, studentom z college'ów? Te chłopaki z długimi włosami, te dziewczyny w minispódniczkach, nierzadko o lewicowych poglądach, pełni buntu, marzeń, których potem się aresztuje z powodu rubli. Nie wiem, mam do tych młodych sympatię, Jest w nich coś świeżego, nowego. Nieodpowiedzialnego. A ja, jeśli mam wybierać między kimś nieodpowiedzialnym a łajdakiem, wolę nieodpowiedzialnego. Można mieć zawsze nadzieję, że wyrośnie, że się zmieni, nie sądzisz? W każdym razie teraz, kiedy CIA nawiązała ze mną bezpośredni kontakt telefoniczny, postanowiłam to wykorzystać. Co wieczór, kiedy słyszę owo sławetne „klik”, witam się z CIA i wyjaśniam powody, dla których bardzo by mi zależało, aby przemyślała na nowo swoją decyzję sprzed lat i przyznała mi wreszcie to stypendium. Jeśli nawet niektóre włoskie związki zawodowe dostały jakieś fundusze, czemu nie miałabym dostać ich ja? Dlaczego tylko ja mam być wykluczona z tak powszechnego i tak chwalebego rozdzielania funduszy? Cierpię z tego powodu: dowiedziałam się, że CIA dysponuje pięciuset milionami dolarów rocznie i rozdaje je jak cukierki wszystkim, z wyjątkiem mnie. To nie jest słuszne, jak wyjaśniłam to już przez telefon.

A teraz Cię żegnam. W Nowym Jorku jest zimno. Bob Kennedy skrócił nieco włosy w wyniku dyskusji, która przetoczyła się w telewizji; czego by ten Bob nie zrobił, żeby zostać prezydentem. Ale nadal jest jeszcze trochę długowłosym młodym człowiekiem i pewien anonimowy nadawca wysłał mu dwa dolary, żeby poszedł jeszcze raz do fryzjera. W Nowym Jorku pojawił się Maximilian Schell i plotka głosi, że jego kolejny romans będzie z Jackie: jest ona bardziej *à la page* od

porzuconej Sorai. Zaprosiłam go na drinka, spytałam, czy to prawda, a on odpowiedział: „Niestety, muszę wyjechać”. Ale kiedy wróci, chce, żeby go jej przedstawiono. Złapano dusiciela z Bostonu. Jest Włochem, kto by pomyślał. Krąży o nim zabawna historyjka. Dusiciel z Bostonu dzwoni do drzwi, otwiera mąż, Amerykanin. „Kim pan jest?” – pyta mąż. „Dusicielem z Bostonu” – odpowiada dusiciel z Bostonu. Mąż go wpuszcza, a potem woła do żony w kuchni: „Mary, do ciebie”.
Serdeczności, Twoja

Oriana Fallaci

POPROSILI MNIE O JAJECZKO

Nowy Jork, kwiecień

Drogi Redaktorze,

Masz absolutną rację, ciągle opowiadam Ci tylko o nieszczęściach, wypadkach, ale czy to moja wina, że w tym kraju przytrafiają mi się najróżniejsze rzeczy? Na przykład wczoraj. Dzwoni do mnie facet i mówi:

– Dzień dobry, jak się pani miewa, jestem współpracownikiem profesora Bentleya Glassa, który wykłada na wydziale biologii tutaj, w Stony Brook, czytam zawsze pani artykuły, wiem, jak bardzo interesuje się pani nauką, może mi pani poświęcić kilka minut?

– Oczywiście – odpowiadam – słucham pana.

– Cóż – zaczyna – przede wszystkim zastanawiam się, czy śledziła pani obrady Dziewięćdziesiątego Dziewiątego Kongresu American Association w School Administration, który odbył się, jak co roku, w lutym w Atlantic City, na temat „Czym może się stać człowiek”.

– Nie – odpowiadam – nie śledziłam.

– Cóż – mówi – szkoda, wyślemy pani sprawozdanie, tymczasem muszę pani wyjaśnić cel mojego telefonu, który jest częścią serii telefonów do starannie dobranych osób.

– Naprawdę? – odpowiadam z fałszywą skromnością, ponieważ, sam rozumiesz, robi to niejaki wrażenie, kiedy się dowiadujesz, że trafiłeś do grupy dobranych osób, chociaż nie wiesz jeszcze, o jaki dobór chodzi, i dodaję: – W czym mogę panu pomóc?

– Cóż – mówi – chcielibyśmy się dowiedzieć, czy jest pani gotowa podarować nam jajeczko.

– Jajeczko?! – jąkam się. Jasne jest, że przychodzi mi na myśl jajeczko wielkanocne, zbiórki dla biednych dzieci i tak dalej. Ale on na to:

– Tak, jajeczko, pani jajeczko.

Wpadam w złość, przekonana, że mam do czynienia z jakimś kretyńcem, któremu żarty w głowie, wrzeszczę więc:

– Nie jestem kurą, drogi panie, niech pan poprosi o jajeczka swoją żonę albo ciotkę. – I rzucam słuchawkę.

Po chwili dzwoni jeszcze raz. Cały zakłopotany, zmartwiony. Prosi, żebym go wysłuchała, jest naprawdę współpracownikiem profesora Bentleya Glassa, muszę mu wybaczyć, że był taki obcesowy, nie nawykł jeszcze do niektórych próśb, czy może mówić jaśniej?

– Zgoda – odpowiadam chłodno – niech pan mówi jaśniej.

– Cóż – zaczyna – krótko rzecz ujmując, możemy stwierdzić, że człowiek rodzi się z jajeczka: to znaczy z jajeczka matki zapłodnionego spermatozoidem ojca.

– Ładne mi odkrycie – mówię – wiedzą to nawet dzieci, a więc?

– A więc – powtarza – niedawne badanie, które przeprowadził profesor Bentley Glass nad jajeczkami usuniętymi z jajowodów myszek samic i zapłodnionymi w probówce nasieniem myszek samców pozwoliło stwierdzić, że możliwe jest uzyskanie w laboratorium embriona myszki, który później staje się *baby* myszką.

– Cóż – odpowiadam wciąż chłodno – także profesor Petrucci we Włoszech zrobił coś podobnego oraz jakiś uczyony w Tokio, tak czy nie?

– Tak – potwierdza – ale nie doszli oni do tego etapu, do którego doszliśmy my w Stony Brook. My możemy nie tylko zastosować tę procedurę do istot ludzkich, możemy zamrozić komórki rozrodcze w temperaturze ciekłego helu, następnie odmrozić je za dwadzieścia albo pięćdziesiąt, albo sto lat i powołać do życia dziecko, kiedy matka i ojciec, czyli dobrane osoby, dawno już nie będą żyli.

I powtarza historię z dobieraniem. Człowiek może powstać zarówno wtedy, kiedy przeniesiemy zapłodnione jajeczko do łona przybranej matki, jak i wtedy, kiedy pozostawimy jajeczko w probówce. Na oko chodzi o technikę, którą wyobraził sobie Aldous Huxley w *Nowym wspsianiałym świecie*.

– Przeróżające – odpowiadam – ale tak czy owak, co ja mam z tym wspólnego?

– Ma pani – zapewnia mnie współpracownik profesora Bentleya Glassa – w takiej samej mierze, w jakiej mają z tym coś wspólnego dobrane osoby, które, w drodze eksperymentu, chcielibyśmy prosić o oddanie jajeczka albo męskiego nasienia. Osoby zdrowe, nowoczesne, nastawione na przyszłość, takie jak pani. Osoby zdolne do zachowania

tajemnicy, takie jak pani. W dodatku osoby, które rozumieją zasadniczą sprawę: oddanie jajeczka niczym się nie różni od oddania krwi do banku krwi.

– Niech pan posłucha – mówię – jeśli chce pan mojej krwi, oddam ją panu, chociaż mam jej bardzo mało, ważę czterdzieści sześć kilo, jestem strasznie anemiczna, a odkąd zajmuję się zabójstwem Kennedy’ego, zżółkłam na twarzy, nie może pan sobie nawet wyobrazić jak bardzo. Ale jajeczka, otóż jajeczka, nie chciałabym się wydać egoistką, jajeczka panu nie oddam.

– Może nie lubi pani dzieci? – pyta oburzony.

– Lubię i to bardzo – odpowiadam – ale zrobione po staremu, tym samym sposobem, którym Adam i Ewa wydali na świat Kaina i Abla; inaczej mówiąc, oddanie jajeczka nie wchodzi w rachubę.

– Och – wykrzykuje – profesor Glass przewidział podobną obiekcję, odpowiedź znajdzie pani w sprawozdaniu: *Aren't the age-old ways of making babies good enough?* Czy stare sposoby robienia dzieci nie są wystarczająco dobre? Cóż, odpowiada profesor Glass, można przytoczyć wiele powodów, żeby wyjaśnić, dlaczego nowy sposób ma tak wiele zalet. Przede wszystkim bezpośrednia korzyść naukowa: jedynie badając rozwój embriona w probówce, lekarze mogą zrozumieć anomalie prenatalne. Następnie problem adopcji: skoro zapłodnione jajeczko można przenieść do łona przybranej matki, czyż nie lepiej urodzić dziecko adoptowane na tym etapie, zamiast adoptować dziecko już narodzone, a może nawet wyrosnięte? Na koniec zaś: korzyść z możliwości wydania na świat dzieci, kiedy my nie będziemy już żyć od stu, dwustu lat.

– Proszę pana – mówię – mamy już kłopoty z dziećmi, które rodzą się z osób żywych; jeśli dodamy jeszcze dzieci, które będą się rodzić ze zmarłych, jak rozwiążemy problem przeludnienia?

– Ale czy pani nie rozumie – krzyczy – że to jest jedyna metoda kontrolowania przeludnienia? – Potem łagodnieje. – Przypuśćmy, że teraz nie ma pani czasu urodzić dzieci albo uważa, że nie powinna tego robić, by nie przyczyniać się do przeludnienia: co pani szkodzi mieć dziecko na przykład w roku dwa tysiące sześćdziesiątym siódmym, kiedy społeczeństwo lepiej się zorganizuje?

– Słusznie – odpowiadam – lecz ja tego dziecka przecież nie zobaczę.

– Ależ – wykrzykuje – proszę nie być taką sentymentalną!

– Słusznie – odpowiadam – a co z ojcem?

– Jakim ojcem? – pyta.

– Ojcem – powtarzam. – Mogę go sobie teraz wybrać?

– Nie – odpowiada – ojca nie. O to zatroszczy się profesor Bentley albo ktoś, kto za sto, dwieście lat zajmie miejsce profesora Bentleya. Na podstawie badań chemicznych i elektronicznych, które ustalą właściwe powinowactwo. Możemy jedynie panią zapewnić, że wybór padnie na godnego ojca.

Redaktorze, czy wyrażam się jasno? Może istotnie tylko mnie przydarzają się podobne rzeczy, lecz życie w tym kraju staje się każdego dnia bardziej skomplikowane. Pomyśl tylko, że właściciel domu, w którym mieszkam, chce mi założyć wideofon. Wideofon jest telefonem, przez który nie tylko rozmawiasz, ale i widzisz osobę, z którą rozmawiasz. A ona widzi ciebie. Urządzenie składa się z normalnej słuchawki i małego wideo, w którym zainstalowana jest również kamera, rozmiarów połowy monety jednolirowej. Jest to dzieło Bell System Telephone Company i żeby zacząć rozmawiać, wystarczy nacisnąć guzik, na którym jest napisane „on”, potem guzik, na którym jest napisane „video”, potem guzik, który włącza kamerę, potem wystukać numer, naciskając inne guziki, w końcu usiąść w odległości około dwudziestu centymetrów od urządzenia. Bell System wypróbowało je już w Waszyngtonie, Chicago, Nowym Jorku. Koszt trzyminutowej rozmowy między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem wynosi osiem dolarów, między Waszyngtonem a Chicago dziesięć dolarów i pięćdziesiąt centów, między Chicago a Waszyngtonem trzynaście dolarów i pięćdziesiąt centów, podczas gdy koszt normalnej rozmowy miejscowej wynosi pięćdziesiąt centów. Odpowiedziałam właścicielowi domu, że wydatek jest doprawdy skromny, ale nie chcę wideofonu, wystarczy mi telefon. Odpowiedział, że jestem dobrą lokatorką i zasługuję na wideofon; koniec z telefonem, prehistorycznym narzędziem komunikowania się. Redaktorze, wpadłam w depresję. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Oznacza, że o jakiegokolwiek porze zadzwoni telefon, będę musiała biec się uczesać, umalować, ubrać, jeśli jestem naga. A kiedy ktoś zadzwoni, gdy jestem w łazience? Tutaj telefon jest również w łazience i powiedz

mi, co się stanie, kiedy podczas kąpieli w wannie podniosę przez roztargnienie słuchawkę i odpowiem. Albo kiedy ktoś zadzwoni, gdy leżę w łóżku i być może śpię. Czy wydaje Ci się słuszne, żeby ktokolwiek mógł zobaczyć mnie w łóżku, z włosami w nieładzie, rozchełstaną i tak dalej? Na tym nie koniec. Znasz moją starą sztuczkę. Kiedy dzwoni ktoś, kto mnie nic nie obchodzi albo z kim nie chcę rozmawiać, zmieniam głos i mówię: „Pomylił pan numer”. Albo: „Nie ma”. Ale jeśli ten ktoś zadzwoni i mnie zobaczy, jak mam mu powiedzieć, że ja to nie ja albo że mnie nie ma. Wychodząc poza zasięg kamery, powiesz. Ale czy to nie jest równoznaczne z przyznaniem, że jestem albo że wyglądam nieprzyzwoicie? Cóż, żegnam Cię. W Nowym Jorku leży śnieg, spadł pierwszego dnia wiosny. Cassius Clay pobił Zorę Follysa, ani razu go nie obrażając, co więcej, kiedy Zora Follys upadł na deski, pomógł mu wstać i pocieszał go, głaszcząc po ramieniu, a nawet dając mu całusa. W policzek. Widziałam na własne oczy. Byłam w Madison Square Garden, siedziałam między Sugarem Robinsonem a Ursulą Andress z Belmondem. Bilet kosztował pięćdziesiąt dolarów i Ursula była ubrana na srebrno. Zamiast Belmonda trzymała się kurczowo mojego ramienia. Co za historie. Nic już nie rozumiem. Wkrótce zobaczymy, jak ryby zakładają gniazda na drzewach, a ptaki pływają pod wodą. I nadejdzie koniec świata. Serdeczności, Twoja

Oriana Fallaci

JAK PALIĆ BANANA

Nowy Jork, kwiecień

Drogi Redaktorze,

To, co mam Ci do powiedzenia, najpewniej Cię oburzy, spróbuj więc się nie denerwować i pamiętaj, że nic na to nie możesz poradzić; nałóg jest nałogiem, a w dodatku trzeba iść z duchem czasu, żyć tak, jak dyktuje epoka, dostosować się. Redaktorze, ja również postanowiłam palić banany. A raczej skórki od bananów; jak z pewnością wiesz, zawierają one octan amylu, którego działanie jest porównywalne z działaniem marihuany. Jest to jednak lepsze od marihuany, która kosztuje mnóstwo pieniędzy, a kiedy ją palisz, nie wiesz, co ci się może przydarzyć, wyrażam się jasno? Mam na myśli, że banany nie tylko kosztują mało, ale mają i tę zaletę, że nie trafisz przez nie do więzienia. Możesz wylądować na lotnisku Fiumicino z bananem w torebce, a nawet i dwoma, przywieźć je przyjacielowi z Londynu albo skąd tylko chcesz i nikt cię nie zatrzyma, nikt ci nie powie: „Proszę iść z nami na posterunek”. Przyznało to nawet Federal Bureau of Drug Abuse w specjalnym komunikacie z Waszyngtonu: „Nie możemy nic poradzić, żeby uniemożliwić palenie bananów, posiadanie bananów, przewóz bananów z jednego stanu do drugiego, z jednego państwa do drugiego. Nie możemy legalnie powstrzymać tego procederu, możemy jedynie upowszechniać informacje o szkodach, jakie może spowodować palenie bananów, założywszy, że takie szkody rzeczywiście istnieją. Sytuacja jest poza naszą kontrolą”. Jeśli nie wierzysz, przeczytaj „The Wall Street Journal” z 30 marca, strona pierwsza, trzecia kolumna. Wiesz z pewnością, jak poważna jest to gazeta, pisze ona dokładnie, co następuje: „Banan nie tylko jest legalny, ale także nie można go zdelegalizować. Międzynarodowy handel bananami, w tym United Fruit Company, jest władny zablokować wszelkie restrykcje względem bananów. A który prawodawca ośmieliłby się użyć swego nazwiska ustawie na rzecz kontrolowania bananów?”. Żaden, Redaktorze. Tym

bardziej, że banany są bardzo zdrowe dla ludzi starych i dzieci, zarówno jedzone na surowo, jak i *flambé*. A jeśli stary człowiek albo dziecko kupi banana, żeby wypalić skórkę, zamiast zjeść miąższ na surowo lub *flambé*, co zrobisz, żeby im w tym przeszkodzić? Będziesz sprzedawał banany obrane?

Ale wróćmy do mnie, do początku całej historii. Wszystko zaczęło się od wiadomości na łamach „The Wall Street Journal”, który czytam skrupulatnie co rano. Dowiedziałam się z niej, że Mervin Garson, mąż Barbary Garson, autorki komedii *MacBird*, opublikował informacje o octanie amyłu w „Village Voice”, dzienniku dla młodzieży, która jest w awangardzie tego kraju i usiłuje przesunąć go na pozycje lewicowe lub przynajmniej centrolewicowe. Wsiadłam więc do taksówki i pojechałam do Mervina, który jest sympatycznym młodym człowiekiem, rudowłosym. Powiedziałam mu dzień dobry, drogi panie Mervinie, jak się pan miewa, jestem pańską koleżanką, pochodzę z kraju centrolewicowego, chciałabym prosić o pewną informację. Mervin od razu mi przerwał i uśmiechając się szeroko, spytał:

– Chcesz przepis?

Cóż, powiedziałam, że tak. „The Wall Street Journal” jest dość ogólnikowa, jeśli chodzi o wykorzystanie tego odkrycia, jednym słowem, o uzyskiwanie octanu amyłu.

– „The Wall Street Journal” – odpowiedział Mervin – należy do Wall Street, to gniazdo reakcjonistów, zainteresowanych wyłącznie tym, by lud jadł banany i wzbogacał Banana Distributors Company, nie zaś tym, by awangardowa młodzież w tym kraju znalazła szczęście w skórce od banana.

Poprosiłam go więc:

– Mervinie, powiedz mi, Mervinie, naprawdę skórka od banana daje szczęście?

– Spróbuj, a zobaczysz – szepnął Mervin, wkładając mi do rąk egzemplarz „Berkeley Barb”, organ zbuntowanego uniwersytetu w Kalifornii, następnie egzemplarz „Columbia Daily Spectator”, organ nie mniej zbuntowanego Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Istotnie, to w Berkeley i Columbii zaczęło się palenie bananów. – Czytaj – dodał.

Przeczytałam: „Bierze się banana. Ale świeżego. Obiera się banana.

Odkłada się skórkę od banana. Zjada się miąższ banana. Obskrobuje się białą wyściółkę przylegającą do skórki. Obskrobaną skórkę wkłada się do piecyka. Jeśli masz piecyk. Jeśli nie masz piecyka, kładziesz ją na kaloryferze. Trzeba ją dobrze wysuszyć. Pokruszyć, kiedy jest już sucha. Robi się z tego papierosa i się pali”.

– Nic więcej, Mervinie? – spytałam zdziwiona.

– Nic więcej – odpowiedział Mervin, ostrzegając mnie przed tymi, którzy zaprzeczają, by banan miał jakiegokolwiek działanie.

Między innymi New York Bureau for Addictive Diseases, biuro do spraw chorób spowodowanych narkotykami, insynuuje: „Wątpimy, aby banany zawierały wystarczającą ilość octanu amylu, a więc by mogły służyć jako środek halucynogeny. Działanie jest w istocie psychologiczne. Można je równie dobrze uzyskać za pomocą skórek od jabłek”. United Fruit na przykład, oznajmił Mervin, uwierzyło Bureau of Addictive Diseases i wydało następujące oświadczenie: „O ile wiemy, nie ma ani krzty prawdy w teorii na temat bananów”. Ale zaraz potem poleciło swoim ekspertom od bananów zbadać trzy lub cztery banany w laboratorium w Bostonie i chemiczna diagnoza brzmiała: „Teoria na temat bananów nie jest pozbawiona podstaw. Obawiamy się, że nielegalna farmacja pracuje gorączkowo, żeby rozwinąć i udoskonalić wykorzystanie bananów jako środka halucynogennego”.

Podziękowałam Mervinowi i poszłam do mojego sklepu z owocami, żeby kupić banany. Starłam się panować nad sobą, byłam jednak zdenerwowana. Żeby właściciel sklepu z owocami nie zaczął czegoś podejrzewać, kupiłam mnóstwo owoców, które do niczego nie służą, jabłka, gruszki, winogrona, ananasa z Hawajów, potem szybko zapłaciłam, nie patrząc właścicielowi w oczy. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że wie, rozumie. Banany mają już tutaj fatalną reputację. W domu od razu otworzyłam „Berkeley Barb” i „Columbia Daily Spectator” i zaczęłam robić to, co zalecają przepisy. Wysuszyłam skórkę, skręciłam papierosa, zapaliłam. Od razu zaczęłam strasznie wymiotować. Wydawało mi się, że wdycham smród oleistej benzyny, jaki wydobywa się z silników samolotów, kiedy nastąpiła awaria, i zaraz spadnę na ziemię. W głowie zaczęło mi się kręcić i zemdlałam. Kiedy wróciłam do przytomności, zadzwoniłam trochę zła do Mervina, a Mervin poradził mi, żebym się nie zniechęcała:

– Za pierwszym razem tak to wygląda, trzeba być cierpliwym.

Nadmieniłam, że skoro nie toleruję bananów, mogę spróbować z meksykańską papryczką albo gałką muszkatołową, co nie jest niczym nowym; niedawny raport Sekcji Narkotyków ONZ podaje, że na wielu uniwersytetach LSD zastępuje gałka muszkatołowa, „której skutkiem działania jest poszerzenie umysłu”. Spróbowałam gałki muszkatołowej oraz meksykańskiej papryczki, ale jedna i druga były dla mnie za mocne, gryzący dym szczypał mnie w gardło; wróciłam więc do bananów. Mervin się nie myli: trzeba być cierpliwym, banany są lepsze od marihuany. Nie przypadkiem Banana Distributors Company sprzedała w marcu tylko w Nowym Jorku osiem tysięcy skrzynek bananów po osiemdziesiąt kilogramów każda, a jej akcje podskoczyły na Wall Street o dwadzieścia pięć procent. Dziś, kto chce się wzbogacić, nie stawia już na General Motors, stawia na Banana Distributors. Jak możesz sobie wyobrazić, ma to swoje polityczne skutki: wszystkie ciepłe kraje, zagrożone komunizmem, eksportują banany. Z Wietnamem włącznie.

Na tym kończę: w stanie euforii, wręcz ekstazy. W Nowym Jorku nadeszła wreszcie wiosna, a wraz z nią pojawił się burmistrz Florencji Piero Bargellini. Musi podziękować Amerykanom za pieniądze, które dali na Florencję, a które trafiły do Rzymu, następnie przyjmując honorowe obywatelstwo Long Branch w New Jersey, gdzie nazwali ulicę jego nazwiskiem i wymawiają Berghillain Street. Bargellini to wariat. Oprowadziłam go po Nowym Jorku, spytałam, co sądzi o tym mieście, a on mi odpowiedział, że Nowy Jork jest miastem cudownie spokojnym, cichym, odprężającym, czystym, miastem, gdzie samochody jeżdżą zgodnie z przepisami, a ludzie są uprzejmi. Żeby nie obrzucić go obelgami, ostatecznie to mój burmistrz, zostawiłam go na Times Square i poszłam do mojego związku zawodowego, to znaczy do AFTRA. AFTRA strajkuje, w telewizji nie ma prawie nikogo, kto by nam opowiedział, co się dzieje na świecie, i aby zatkać dziury, puszczają ciągle filmy dokumentalne o Związku Radzieckim: nowej miłości Amerykanów. Powinieneś zobaczyć dokument o Leningradzie. Kiedy należało zacząć mówić o Katarzynie II, komentator wyjaśnił, że caryca bardzo podziwiała Monteskiusza, którego poglądy miały wielki wpływ na amerykańską konstytucję; kiedy należało zacząć mówić o Aleksandrze II, wyjaśnił, że car uwolnił sześćdziesiąt tysięcy niewolników dwa lata

wcześniej niż Lincoln zdjął łańcuchy Murzynom; kiedy należało zacząć mówić o Leninie, nie wymówił ani razu słowa dyktatura. Spadła też konsumpcja whisky, kto jest *à la page*, ten pije wódkę. Czy coś z tego rozumiesz? Ja nie. Czasami mi się wydają, że śnię. Chyba przez te banany. Serdeczności, Twoja

Oriana Fallaci

WIZYTA U LEKARZA W AMERYKAŃSKIM STYLU

Nowy Jork, czerwiec

Drogi Redaktorze,

Piszę do Ciebie w łóżku, gdzie od tygodnia leżę chora i doświadczam cudów Nowoczesnej Medycyny, która w Nowym Jorku osiąga naprawdę oszałamiająco wysoki poziom: nie przypadkiem to tutaj zastępuje się prawdziwe serce sztucznym, szykuje do wyleczenia raka, przywrócenia wzroku niewidomym i robi się inne niewyobrażalne rzeczy, o których wy we Włoszech nie macie nawet pojęcia. Chorowanie w Nowym Jorku to niezwykle doświadczenie. Najbardziej ekscytujące na świecie po rosyjskiej ruletce. Opowiem Ci o nim, zaczynając od ubiegłego czwartku, kiedy dostałam trzydzieści osiem stopni gorączki i obawiałam się, że nie zobaczę więcej Ciebie ani swojej ojczyzny. A więc mam trzydzieści osiem stopni gorączki i wzywam lekarza.

– Halo – mówię – chciałabym rozmawiać z panem doktorem.

– Po co? – pyta mnie zdziwiona sekretarka.

– Bo źle się czuję – mówię.

– Jeśli źle się pani czuje, niech pani idzie do szpitala – odpowiada.

– Ale ja nie chcę iść do szpitala – mówię – chcę się zobaczyć z panem doktorem.

– Kalendarz wizyt u pana doktora – odpowiada – jest wypełniony do połowy lipca. Z wyjątkiem absolutnie pilnych przypadków.

– To właśnie – mówię – jest absolutnie pilny przypadek, zaraz umrę.

– Skoro tak – odpowiada – proszę się ubrać i przyjść tutaj. Spróbujemy poświęcić pani minutę.

– Do gabinetu?!

– Oczywiście. Nie chce pani chyba, by pan doktor fatygował się do pani.

Wstaję z łóżka i chwiejąc się na nogach, ubieram się, szukam taksówki, której oczywiście nie znajduję, i pieszo, ledwie żywa, docieram do gabinetu doktora, gdzie pielęgniarka chwyta

wydrukowany formularz, wkłada go do maszyny do pisania, zaczyna mnie przepytować na najdziwniejsze tematy, zawód, religia, stan cywilny, hobby, osoba, którą należy powiadomić na wypadek śmierci, rodzaj i miejsce pochówku na wypadek śmierci, wreszcie przekazuje mnie lekarzowi, który uprzedza mnie, że ma bardzo mało czasu, ledwo na mnie patrzy i mówi:

– Ale pani jest chora!

– No właśnie – odpowiadam.

– Ma pani niezłą gorączkę!

– No właśnie – odpowiadam.

– Powinna pani pędzić do domu i położyć się do łóżka!

– Już leżałam – odpowiadam.

– To proszę położyć się znowu – mówi. Potem wypisuje receptę i popycha mnie w stronę drzwi. Nie mówiąc mi, co mi jest ani dlaczego.

– Panie doktorze – błagam – co mi jest?

– Proszę się nie martwić – mówi.

– A na co jest ta recepta?

– Na proszki – mówi.

– Jakie proszki?

– Niech mi pani zaufa.

A zatem leżę znowu w łóżku, nie wiedząc, co mi jest, ale mam przy sobie buteleczkę, na której jest napisane „Proszki dla miss Fallaci”. Jak wiesz, w Ameryce ludzie są bardzo dyskretni, nie informują cię nigdy na temat lekarstw, które bierzesz, bierzesz je i już. Ja jednak biorę je od około dwunastu godzin i wcale nie czuję się lepiej; przeciwnie, gorączka wzrosła do trzydziestu dziewięciu stopni i dwóch kresek, w piątek wszystko mnie boli, głowa mi pęka, mam bóle. Ledwo mogę podnieść słuchawkę.

– Halo, czy mogę mówić z panem doktorem?

– Dlaczego?

– Bo czuję się gorzej.

– Pana doktora nie ma. Zadzwoń do pani.

Dzwoni, zgadnij kiedy, w sobotę wieczorem. Wesolutki, z lokalu, skąd dochodzi brzęk kieliszków i muzyka.

– Halo! Tu doktor! Jak się pani czuje?

– Źle – odpowiadam – bardzo źle. Boli mnie brzuch.

- Na górze czy na dole?
 - Raczej na górze, tak mi się zdaje.
 - W okolicy przepony?
 - A gdzie jest przepona?
 - Cóż, przepona jest między żołądkiem a jelitem.
 - Tak, w takim razie w okolicy przepony, panie doktorze.
 - A czy promieniuje w stronę wątroby?
 - Skąd ja to mogę wiedzieć, panie doktorze?
 - Proszę pomacać sobie wątrobę.
 - Panie doktorze, nie mógłby pan sam pomacać?
 - Ależ, proszę wybaczyć, jak mam to zrobić przez telefon?
 - Niech pan przyjdzie pomacać ją tutaj.
 - Nie ma żadnej potrzeby, żebym przychodził ją macać. Może to pani zrobić sama. No już, proszę zaczynać. Czy wie pani, gdzie jest wątroba?
 - Chyba tak.
 - Wątroba jest po prawej stronie. Znalazła ją pani?
 - Chyba tak.
 - Proszę naciskać. Boli?
 - Chyba tak.
 - Co to znaczy, chyba tak?
 - Nie wiem, czy wymacałam wątrobę, panie doktorze.
 - Ale zawracanie głowy. Proszę brać dalej proszki. Jutro zadzwonię.
- Nazajutrz mam czterdzieści stopni gorączki, naprawdę umieram i przyjaciele podają mi nazwiska lekarzy, do których dzwonię, a oni proponują mi, żebym udała się do ich gabinetu, kiedy zaś odpowiadam, że mam czterdzieści stopni gorączki, nie mogę, panie doktorze, zaczynają wizytę przez telefon. Moje łóżko przypomina już centralę telefoniczną, gdzie dźwięk dzwonka rozlega się co pięć minut, żeby przekazać głosy, które polecają mi pomacać wątrobę, żołądek, serce, obejrzeć sobie język w lusterku, przyjrzeć się także migdałkom, zakasłać, a kiedy odpowiadam, czy nie mógłby pan zrobić tego sam, obrażają się, jak gdybym ich obrzuciła wyzwiskami. Jeden z nich wykrzyknął:
- Moja pani, w Nowym Jorku jest dziesięć milionów mieszkańców, codziennie rozchorowuje się przynajmniej milion, ostatnio nawet dwa, czy może pani sobie wyobrazić, że lekarz odwiedza ich wszystkich

w domu?

– Ale panie doktorze, przez telefon...

– Co ma pani przeciwko telefonowi? W Nowym Jorku wszyscy się leczą przez telefon!

Przyjaciółka, która przychodzi od czasu do czasu mnie odwiedzić, przynieść mi pomarańcze, jest tego samego zdania.

– Żyjemy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku – wyjaśnia – w epoce telefonu, przez telefon załatwia się interesy, przeprowadza wywiady, uprawia miłość; co jest takiego nadzwyczajnego w tym, że przez telefon leczy się chorego?

– A jeśli chory jest staroświeckim dziwakiem i chce widzieć się z lekarzem?

– Cóż, wtedy niech idzie do szpitala.

W poniedziałek mam już czterdzieści stopni i siedem kresek i decyduję się na szpital. Przyjaciółka dzwoni do szpitala prezbiteriańskiego, który jest podobno najlepszy.

– Halo, czy to szpital prezbiteriański? Chciałabym zarezerwować pokój.

– Dobrze, słucham.

– Prywatnie, jeszcze dziś.

– To niemożliwe, mamy komplet.

– Do kiedy?

– Do września. Proszę spróbować w metodystycznym.

– Halo, czy to szpital metodystyczny? Chciałabym zarezerwować pokój.

– To niemożliwe, mamy komplet.

– Do kiedy?

– Do sierpnia. Proszę spróbować w luterańskim.

Ale również szpital luterański ma komplet. Również baptystyczny. Dobra sytuacja jest tylko w szpitalu anglikańskim, który mógłby mnie przyjąć w połowie czerwca.

– Co o tym sądzisz? Mam zamówić na połowę czerwca? – pyta przyjaciółka, dodając, że wydaje się jej to dobrym terminem, naprawdę rozsądnym, i obraża się, kiedy odpowiadam jej przekleństwem. Faktem jest, że tymczasem gorączka wzrosła do czterdziestu jeden stopni, niemal nie słyszę i nie widzę, drzemię i śnię mi się wariackie sny,

w których widzę starego doktora z wąsami, brodą i w kolasce, powozi kolaską, przyjeżdża do mnie, pochyla się nad moim łóżkiem, bada mi puls, osłuchuje mi płuca, każe mi zakasłać, prosi o łyżkę, przytrzymuje nią język i zagląda w gardło, potem zajmuje się moją wątrobą, jelitem, aż w końcu zdrowieję. Z takiego snu budzę się tylko wtedy, kiedy dzwoni telefon, i to jest mój doktor, a raczej moi doktorzy, którzy polecają mi samej się osłuchać, uciskać, postawić diagnozę, brać dalej proszki, aż minie gorączka, a „kiedy gorączka minie, proszę wstać, ubrać się i przyjść do gabinetu, wtedy zobaczymy, co pani jest, a raczej, co pani było”.

Co mi jest, wyjaśniła mi Heckel, moja czarna sprzątaczką. A raczej, co mi było. W środę Heckel przychodzi u mnie sprzątać. Ponieważ płacę jej cztery dolary za godzinę. Jako sprzątaczką Heckel jest do niczego, ale jako lekarz jest prawdziwym geniuszem. Wchodzi i woła od progu:

– *Baby*, co jadłaś? To jest przypadek zatrucia.

Po czym wyrzuca proszki do klozetu, daje mi na przeczyszczenie, przygotowuje mi pożywny rosół i wykonuje kilka egzorcyzmów, posługując się medalikiem z podobizną rozmodlonego św. Franciszka. Poczułam się od razu lepiej, w ciągu niecałych sześciu godzin gorączka spadła do trzydziestu siedmiu stopni i jednej kreski. Mogłam nawet posłać do diabła doktora, a raczej doktorów, którzy nadal dzwoniли i zawracali mi głowę. Jutro, jeśli Heckel mi pozwoli, wstanę; rozumiesz, co mam na myśli, kiedy mówię o niezwykłym doświadczeniu, doświadczeniu ekscytującym. Jeśli zachorujesz w Nowym Jorku, możliwości są dwie: albo umrzesz, co zdarza się w większości przypadków, albo przeżyjesz. Co zdarza się bardzo rzadko, ale kiedy się jednak zdarzy, jesteś potem tak zahartowany, że nie boisz się już niczego, stajesz się prawdziwym mężczyzną, nawet jeśli jesteś kobietą. Szczególnie w chwili, w której przychodzi rachunek, a raczej rachunki. Rachunki przyszły i opiewają na okrągłą sumę dwustu dolarów. Każda wizyta przez telefon kosztuje dokładnie dziesięć dolarów, a jeszcze była przecież wizyta w gabinecie: ta kosztuje trzydzieści.

Jednego nie rozumiem, Redaktorze, wierz mi, chodzi o wiadomość, którą przeczytałam dziś rano w „New York Timesie”. Wiadomość pochodzi od American Psychiatric Association i ujawnia, że najwyższy procent samobójstw występuje w Ameryce wśród lekarzy. Od maja 1965

do lutego 1967 roku na każde sto tysięcy zabiło się trzydziestu trzech lekarzy; wyższa liczba występuje jedynie wśród psychiatrów, których w ciągu ostatnich pięciu lat zabiło się pięćdziesięciu czterech, a w ciągu ostatnich dwudziestu – dwustu trzech. Doktor Samuel Aaronson, wykładający w Albany Medical College, oświadczył na łamach „The Journal of the American Medical Association”, że samobójstwa są wynikiem przepracowania, i rzeczywiście, większość tych nieboszczyków została znaleziona z telefonem w ręce.

Cześć, żegnam Cię. W Nowym Jorku świeci ciepłe słońce, a w skrzynce znalazłam kartkę od American Medical Association, w której informuje mnie, że ostatnie badanie na nowotwór dało wynik negatywny. Tutaj co pół roku musisz robić badanie na nowotwór w ramach prewencji, bo a nuż okazałoby się, że go masz. W tym kraju nowoczesna medycyna jest naprawdę fantastyczna. Jak wy sobie radzicie we Włoszech? Serdeczności, Twoja

Oriana Fallaci

PODPALANIE HOTELU SUROWO WZBRONIONE

Krótki przewodnik po sztuce mieszkania w hotelu na użytek podróżnych, uciekinierów i osób wykształconych

Ten słownik nie pretenduje do bycia kompletnym, nieomylnym i użytecznym. Przeciwnie, osoba, która go napisała, uważa, że jest on skandalicznie niekompletny, zdecydowanie omylny i doskonale bezużyteczny. Istotnie, w życiu na nic się nie zda udzielanie rad; uczymy się, popełniając błędy, na własnej skórze. Słownik ten jednak stanowi rezultat wyczerpującej pracy, którą dla was wykonałam podczas krajowej konferencji włoskich hotelarzy. Konferencja, zorganizowana przez FALAT, odbyła się kilka dni temu w trakcie wycieczki morskiej na pokładzie statku „Homeric” należącego do Home Lines. Hotelarzy było ponad czterystu. Wsiedli w Hawrze, zwiedzili Lizbonę, Tanger i Palmę di Majorca, uczestniczyli w koktajlach, oficjalnych obiadach i balach, a nawet omawiali ważne problemy przemysłu hotelarskiego. Z tych dyskusji, oficjalnych oraz innych, nieoficjalnych, lecz którym także się przysłuchiwałam, wywiadów, ripost, polemik powstało to vademecum niezamierzające naturalnie nikogo urazić.

A

Amerykanie – Jeśli w windzie mężczyzna zdejmuje kapelusz, nie oznacza to, że jesteś sławną kobietą albo że hotel pełen jest dobrze wychowanych osób. Oznacza, że mężczyzna jest Amerykaninem. W windzie wszyscy Amerykanie zdejmują kapelusze, gdyż jest w niej gorąco.

Anglicy – Jeśli sąsiad z pokoju obok wchodzi do łazienki i wydaje okrzyk przerażenia, nie sądźcie, że zobaczył wampira. Sąsiad jest Anglikiem i zobaczył bidet.

B

Baby (Pignatari) – Dobrze urodzone dziewczyny nie zatrzymują się nigdy w hotelu, gdzie mieszka Baby Pignatari. W hotelu, gdzie mieszka Baby, zatrzymują się jedynie dziewczyny, które mają męża, ponieważ Baby wcale nie ma zamiaru się żenić.

Bagażowy – Kiedy bagażowy wniósł walizki, nie mówi się: „Nie mam drobnych”, gdyż mógłby on odpowiedzieć: „To niech mi pan da grube”. Nie mówi się również: „Nie ma pan nic przeciwko temu, że dam panu drobne?”. Gdyż ma sporo przeciwko temu. Bagażowy to prawdziwy wielki pan i może was potraktować jak wielki pan właśnie. Kiedy hrabia Bedford podarował swoją podartą koszulę bagażowemu, ten oddał mu ją naprawioną, mówiąc: „Pięćset lirów cerowanie, proszę pana”.

Barman – Barmana nie można prosić o jednorazową pożyczkę wyższą niż równowartość dziesięciu tysięcy lirów. Barman jest przyjacielem, bratem, jest psychoanalitykiem, wizytówką, lecz nie Bankiem Angielskim. Co najwyżej mógł się trochę wzbogacić na napiwkach, ale to nie powód, byśmy mu je odbierali. Najgorszym klientem jest ktoś, kto twierdzi, że poznał barmana w Biarritz. Jeśli barman jest pozerem, może zawsze odpowiedzieć: „Ja spędzam wakacje na Florydzie, monsieur”.

C

Córka (hotelarza) – Najelegantszym sposobem, by udowodnić hotelarzowi, że jesteś zadowolony z pobytu, jest poślubienie jego córki. Córki hotelarzy są zawsze niezamężne, biegle w pracach domowych i w podróży poślubnej nie trzeba będzie wydać ani grosza na hotel, gdyż wystarczy się zatrzymać w hotelach przyjaciół tatusia. Po śmierci tatusia dziedziczą hotel. Synowie hotelarzy natomiast są żonaci. Ale czasami się rozwodzą, tak jak Nicky Hilton, syn wielkiego Hiltona i były mąż Elizabeth Taylor. Wyjść za Nicky’ego to nawet nie kwestia wdzięczności. To kwestia zdrowego rozsądku.

D

Dwanaście bis – Znaczą trzynaście (numer pokoju).

Dyskrecja – Kiedy wypełniamy tajną misję albo jesteśmy poszukiwani

z powodu jakiegoś popełnionego przez nas przestępstwa, albo wybraliśmy się na wakacje ze słynną gwiazdą, nie wchodzimy do hotelu, mówiąc: „Bardzo proszę o dyskrecję”. Bo recepcjonista źle to zrozumie i zadzwoni do gazety lub na policję, oznajmiając, co następuje: „Zwróćcie uwagę, tu jest taki jeden, ale bardzo proszę o dyskrecję”.

Dzieci – Dzieci nie zabiera się ze sobą do hotelu, podobnie jak opiekunek. Kiedy to absolutnie konieczne, zabiera się opiekunkę, a dziecko zostawia w domu. Hotelarze uważają, że dzieci psują wizerunek hotelu. Jedynym dzieckiem, które może poprawić wizerunek hotelu, jest Eloise, która mieszka w nowojorskim Plaza, lecz jest to literacki wymysł Kay Thompson.

Dziennikarz – To ktoś taki, kto w hotelu prowadzi przez telefon niekończące się rozmowy międzymiastowe i międzynarodowe, wykrzykując nieznośnie dramatyczne opowieści do głuchych stenografów. Kiedy nie telefonuje, pisze na maszynie. Na ogół pisze na maszynie po północy, zakłócając sen sąsiadom. Kto nienawidzi dziennikarzy, może wykorzystać sytuację, uciekając się do nader wyrafinowanej zemsty. Dzwoni się do recepcji i recepcjonista, bardzo uprzejmie, przenosi dziennikarza do garderoby albo toalety na parterze, gdzie może on sobie pisać na maszynie, nikogo nie budząc.

E

Ekstra – Wariant czasownika „zaskoczyć”, czyli rachunek się nie zgadza. Patrz: opłaty, ogrzewanie, klimatyzacja, śniadanie, obiad, herbata, kawa, woda mineralna, kanapki, prasowanie, pralnia, papierosy, telefon, bar, piwo, usługa, ekstra. Dobrego klienta poznaje się po ekstra. Dobry klient nie mówi: „Przy tych wszystkich ekstra mógłbym polecieć do Nowego Jorku”. Dobry klient milczy, robi pranie w łazience, prasuje ukradkiem podróznym żelazkiem, a rano robi sobie kawę, używając ciepłej wody z kranu nad umywalką, wstydząc się jak złodziej własnego skąpstwa.

H

Hotel – Kiedy pokłócisz się z przyjaciółką albo trzaśniesz drzwiami,

wołając: „odchodzę”; kiedy zgubisz klucze do domu i nikt, choćby nie wiem jak bardzo cię kochał, nie zamierza użyczyć ci gościny na jedną noc pod swoim dachem; kiedy ogarnęła cię szalona namiętność i nie dysponujesz garsonierą; kiedy jesteś na tyle nierozważny, by podróżować po to, aby poznawać świat, albo kiedy jesteś zmuszony podróżować, żeby zarobić na życie; kiedy jesteś wygnańcem, uciekinierem albo dotknęła cię eksmisja, pamiętaj, że nie ma na tym świecie innego rozwiązania oprócz tego, które zwie się hotelem. Dlatego ucz się i przestrzegaj następujących przykazań:

Po pierwsze – Nie proś znienacka o pokój, bo to tak, jakby zaproponować dziewczynie wspólny weekend i nie oświadczyć się jej wcześniej; usłyszysz odmowę. Wybierz okreśną drogę, staraj się uwodzić smutnym spojrzeniem, a kiedy już dopniesz celu (dostaniesz pokój), rozdawaj sute napiwki.

Po drugie – Nie popełniaj samobójstwa w hotelu, będą bardzo niezadowoleni. Nie zostawiaj trupów w hotelu, odkryją zaraz, że jesteś sprawcą. Nie umieraj w hotelu, pošlą cię do piekła.

Po trzecie – Nie kradnij cudzych butów. Nie wchodź do cudzego łóżka. Nie dopisuj tego, co wypijeś w barze, do cudzego rachunku.

Po czwarte – Nie przeklinaj, kiedy piecyk w łazience nie działa, kiedy telefon nie odpowiada, kiedy pokojowy nie przychodzi, kiedy twój paszport zaginął, kiedy łóżko w sąsiednim pokoju skrzypi nieprzyzwoicie; wszystko to jest normalne.

Po piąte – Nie zostawiaj dzieci, brudnej bielizny, sztucznej szczęki, kompromitujących listów, nudnych kochanek, których nie potrafiłeś się pozbyć; oddadzą ci to.

Po szóste – Nie oddalaj się bez zapłacenia rachunku, będą mieli ci to za złe i pewnego dnia rozpoznają cię na ulicy. Będziesz musiał i tak zapłacić.

Hotelarz – Ten, który może przebywać w hotelu i nie przestrzegać przykazań, które spisał dla tych, którzy mieszkają w hotelu.

K

Kategoria – Ktoś, kto mieszka w hotelu drugiej albo trzeciej kategorii, wcale nie musi tego ukrywać. Musi mówić: „Byłem w hoteliku, takim niby nic, ale ślicznym, żebyś widział, jakim ślicznym, czystym, żebyś

widział, jakim czystym, przysięgam-ci-że-świetnie-się-bawiliśmy”.

Kemping – Nie mieszka się na kempingu. Mieszka się w hotelu. Jak twierdzą hotelarze, kemping jest niemoralny, rozpustny, nielegalny, niewygodny, niszczy krajobraz, a poza tym chodzimy tam brudni, bo nie ma łazienki.

Klient – Nie jest wcale prawdą, że klient ma zawsze rację; na ogół klient racji nie ma. Najbardziej nieznośnym klientem jest stary klient, gdyż wysuwa żądania niczym żona, która nie chce przyjąć do wiadomości, że można mieć skłonność do zdrad. Klientów zmienia się jak kobiety.

Komary – Nieprawdą jest, że komary to istoty boże. Kiedy hotelarz tak mówi, zgnieć mu wyimaginowanego komara na lewym policzku.

L

Luksus – Nie jeździ się do luksusowych hoteli, gdzie jeżdżą Soraya, Farah Diba, Chruszczow i Liberace, gdyż kosztuje to za dużo i w dodatku nie jest szykowne. Poza tym nie ma tam prywatności. Ale jeśli okoliczności życiowe zawiodą nas bez możliwości ucieczki do luksusowego hotelu, unikajcie w Mark Hopkins w San Francisco apartamentu, który przypadł Chruszczowowi i gdzie klozet jest wyłożony płytkami z najczystszej złota. To żenujące.

M

Maître – Nie prosi się maître'a o befsztyk z wieloryba, nawet jeśli figuruje w menu. Odpowie: „Już nie ma, proszę pana”. Nie pyta się go, co znaczy *le filet majestueux du boeuf sacrifié au caprice de Cleopatre avec les petites reines de beauté*. Mamy obowiązek wiedzieć, że chodzi o mięso z rusztu z ziemniakami.

Michelin (przewodnik) – Jeśli hotelarz znajdzie w nim swoje nazwisko: „Nie bez racji jestem w Michelinie”, jeśli nie znajdzie: „Kto by tam zaglądał do Michelina”.

N

Nie ma miejsca – Trudno.

Niemcy – Jeśli w twoim hotelu mieszka jakiś bardzo uprzejmy pan, który nie wrzeszczy, nie narzeka, nie kradnie, nie strzela i nie zabije

nawet muchy, to nie jest to święty, lecz Niemiec, były kapitan Wehrmachtu. Nie upoważnia cię to do wymierzania mu kukuksów, żeby się zemścić, ani do zgrzeszenia z nim po to, by wybaczyć mu jego przeszłość.

O

Ogień – Podpalanie hotelu jest surowo wzbronione. Nic tak nie irytuje hotelarza, jak klient, który podpala hotel. Jeśli klient ma zamiar podpalić hotel, powinien przedtem uprzedzić innych klientów, by włożyli na tę noc piżamy, gdyż widok ludzi uciekających bez piżam jest doprawdy wulgarny.

Olimpiada – Nie jedź do Rzymu na olimpiadę. Czy pamiętasz Rok Jubileuszowy?

Oplaty – Oplaty za usługi, opłaty za pobyt, opłaty za luksus, podatki IGE itd. Kiedy masz zamieszkać w hotelu, pamiętaj, że opłaty nie mają nic wspólnego z cennikiem, który nie ma nic wspólnego z rachunkiem, który nie ma nic wspólnego z sumą, którą zamierzałeś zapłacić. To jest niedelikatny temat.

Ostatni raz mnie widzicie (płacę, ale...) – Tego się nie mówi.

P

Poczucie humoru – Ważne, by również w hotelu mieć poczucie humoru. Ten, kto wpada w złość, bo go nie obudzono i spóźnił się na ostatni samolot albo dlatego, że pokojowy wchodzi, kiedy wieszaliśmy się zrozpaczeni z powodu miłostnego zawodu, dowodzi, że nie ma poczucia humoru. Kiedyś w mediolańskim hotelu pewną Amerykankę zamordował pokojowy, który zamierzał ją okraść. Dyrektor oznajmił: „To był przykry incydent”. Miał on duże poczucie humoru.

Podróże poślubne – Nie jest niczym dowcipnym udać się w podróż poślubną wraz z niemowlęciem, dla którego uregulowało się związek: wszyscy bowiem to rozumieją. Dowcipnie jest udać się w podróż poślubną do hotelu, gdzie byliśmy z kimś, kto nie jest naszym mężem; stanowi to jednak również źródło nieustannych szantaży.

Pokoje (połączone) – Kiedy chcemy dwa pokoje połączone ze sobą, nie

mówimy, czerwieniąc się: „Chciałbym dwa pokoje, o ile to możliwe, na tym samym piętrze”, inaczej pomyślą, że jesteście bratem i siostrą i dadzą wam naprawdę pokoje na tym samym piętrze, ale na korytarzach bardzo od siebie odległych, i będziecie musieli krążyć po nich w szlafrokach, robiąc fatalne wrażenie. Mówi się stanowczym tonem: „Chciałbym dwa pokoje połączone”.

Pokojowy – Prawdziwa dama nie zakochuje się w pokojowym, szczególnie jeśli zachorowała na serce. Inaczej zainteresują się całą sprawą dziennikarze, jak zdarzyło się to Shirley Comparini, która musiała za pokojowego wyjść, a następnie zabrać go ze sobą do Anglii. Złości to hotelarza, który potrzebuje co najmniej dwóch lat, by wykształcić dobrego pokojowego.

Pokojówka – Prawdziwy dżentelmen nie uwodzi pokojówki. Prawdziwy dżentelmen żeni się z pokojówką, tak jak Rockefeller, albo przynajmniej obiecuje się ożenić.

Policja – Nie złość się, jeśli: „Zgłoszenie pobytu musi być dokonane na piśmie za pomocą formularza zgodnie z załączonym wzorem i zaopatrzone w podpis zgłaszającego, trzeba w nim wskazać: a) kompletne dane osobowe; b) datę i miejsce przekroczenia granicy państwa; c) cel przyjazdu do Włoch; d) narodowość i kraj pochodzenia; e) czas pobytu; f) miejsce zamieszkania; g) ewentualne posiadane nieruchomości na wsi lub w mieście; h) ewentualny zawód, jaki zamierza się wykonywać, albo zakład przemysłowy lub sklep, jaki zamierza się prowadzić w państwie...” (z zalecenia służby bezpieczeństwa publicznego, zatwierdzonego królewskim dekretem z 6 maja 1940 roku i wciąż jeszcze obowiązującego). Pewnego razu Hildegard Neff, która chciała przyjechać do Włoch z Davidem Cameronem, spytała: „Czy to prawda, że skoro nie mamy ślubu, aresztują nas?”.

Portier – Ważne jest, by wzbudzić sympatię portiera i wmówić mu, że jesteście prawowitymi dziećmi króla na wygnaniu. Jeśli obrzuci cię spojrzeniem od góry do dołu, bo naklejasz znaczek na pocztówce, spytaj go od razu: „Czy ma pan numer telefonu księcia Norfolk? Zgubiłem swój notes”. Pamiętaj w dodatku, że on wie wszystko. Nocny portier liczy się mniej, ale on dopiero wie wszystko.

Psy – Hotel niechętnie przyjmuje psy, chyba że jest się Marią Callas albo

księżną i księciem Windsoru. Kto pragnie zabrać psa do hotelu, musi najpierw: 1) zrezygnować z tronu; 2) wydać się za króla; 3) przejść przyspieszony kurs śpiewu i pokłócić się z Metropolitan; 4) zakochać się w Onassisie.

R

Reputacja – Najpewniejszym sposobem na uratowanie reputacji niezamężnej dziewczyny, kiedy śpi z nieżonatym mężczyzną, gdyż zabrakło pojedynczych łóżek, jest tak zwany *bundling*, modny w Nowej Anglii mniej więcej wiek temu. Bierze się dziewczynę i obandażowuje ją niczym mumię. Potem pieczętuje się bandażem i wrzuca do łóżka nieżonatego mężczyzny, pamiętając o postawieniu lampy w oknie, aby wszyscy wiedzieli i mogli sprawdzić. Na środku łóżka umieszcza się jednak co najmniej trzydziestocentymetrową deskę, aby „nie przyszła ochota na grzech”. Takie prawo, podobnie jak zalecenie służby bezpieczeństwa publicznego, zatwierdzone królewskim dekretem z 6 maja 1940 roku, obowiązuje wciąż jeszcze w Ameryce. Tam jednak nikt go nie przestrzega.

Rezerwacja – Pomyśleć, że Anglicy rezerwują nawet kurczaka w sklepie mięsnym, Amerykanie zaś miejsce na cmentarzu. Dlatego nawet jeśli jesteś Włochem, musisz zarezerwować hotel listownie i potwierdzić to telegramem, potwierdzonym z kolei w rozmowie telefonicznej, potwierdzonej wreszcie przez twój przyjazd; tak czy owak, pokoju nie dostaniesz.

S

Sezon (wysoki i niski) – Ponieważ w sezonie wysokim hotel kosztuje o wiele więcej niż w niskim, nie próbuj przyjechać w niskim, bo i tak jest zawsze sezon wysoki. Pewnego razu klient usiłował wyjaśnić zagadkę, lecz skończył fatalnie: zdarzyło się mu mniej więcej to samo, co policjantowi Ignazio Melone po tym, jak wlepił mandat szefowi policji Marzano. Odkryto, że udusił także własną babkę.

Szkoła hotelarstwa – To oryginalna szkoła, gdzie młodzi ludzie uczą się i nie strzelają do nauczycieli. Dostarcza przede wszystkim włoskich pokojowych, którzy, zaraz po chińskich, są najbardziej cenionymi

pokojuowymi na świecie. Czy to zaszczyt? No cóż.

W

Waldorf Astoria – Nie jeździ się do Waldorf Astorii, chyba że stać nas na apartament w *suite* księcia i księżnej Windsoru albo w *tower* Dimitriego Mitropoulosa, gdyż nie poprawia to naszego wizerunku. Lepiej już wsiąść w samolot odrzutowy i udać się na noc do George V.

Winda – Elegancki klient nie jeździ windą. Wchodzi na piechotę. W ten sposób unika przygnębiających banałów typu: „Ta winda nigdy nie nadjedzie”. „Ta winda nie działa”. „Ta winda to skandal”. I dzięki temu ma prawo do zniżki.

Wyjście (służbowe) – Zabrania się wychodzić wyjściem służbowym, jeśli nie ma się tytułów szlacheckich, pierścionka z diamentem od Tiffany’ego na małym palcu lub przynajmniej futra z szynszyli podbitego dzikimi norkami. Zabrania się korzystania z tego wyjścia także wtedy, kiedy oczekuje na ciebie, właśnie tam, mniej niż czterdziestu siedmiu fotografów, dwudziestu trzech dziennikarzy i trzynastu policjantów, wysłanych przez burmistrza; kiedy nie jesteś gwiazdą bigamistką, słynną morderczynią, narzeczoną cesarza. Czyli każdemu wyjście, na jakie zasłużył.

Z

Złodzieje – W hotelu nie kradnie się prześcieradeł, perskich dywanów, abażurów, świętych obrazków, barometrów ani gaśnic przeciwpożarowych, bo hotelarze mieliby o to pretensje. Nie kradnie się nawet ręczników, biżuterii, srebrnych łyżeczek ani popielniczek, bowiem uchodzi to za nieeleganckie. Można natomiast kraść: papier listowy, zapomniane butelki whisky, cudze żony i cudzych mężów. Ale również i w tych wypadkach trzeba uważać, żeby nas nie nakryto, bo inaczej będą problemy.

Bibliografia

- Bradbury Ray, *Kroniki marsjańskie*, tłum. A. Kaska, Prószyński i Ska, Warszawa 1997.
- Cartier Raymond, *Le cinquanta Americhe*, Garzanti, Milano 1962.
- Cheever John, *Pływak*, w: *Wykształcona Amerykanka*, tłum. M. Sroczyńska, KiW, Warszawa 1974.
- De Stefano Cristina, *Oriana Fallaci. Portret kobiety*, tłum. A. Pawłowska-Zampino, Sonia Draga, Warszawa 2014.
- Demaris Ovid & Reid Ed. *The Green Felt Jungle*, Trident Press, New York 1963.
- Gilbert Eugene, *Advertising and Marketing to Young People*, Printers Ink Books, New York 1957.
- Gunther John, *Inside USA*, Harper & Brothers, New York 1947.
- Huxley Aldous, *Nowy wspaniały świat*, tłum. B. Baran, Muza, Warszawa 2010.
- Kant Immanuel, *Krytyka czystego rozumu*, tłum. R. Ingarden, Antyk, Warszawa 2001.
- MacLaine Shirley, *Non cadere dalla montagna*, Sperling & Kupfer, Milano 1990.
- Orwell George, *1984*, tłum. T. Mirkowicz, Muza, Warszawa 2013.
- Schuman Reice Sylvie, *The Ingenue Date Book: Everything Every Teen-Age Girl Wants and Needs to Know About Boys, Dating, Love and Sex*, Dell Publishing, New York 1965.
- Schwarz-Bart André, *L'ultimo dei Giusti*, Feltrinelli, Milano 1960.
- Southern Terry (pseudonim Maxwella Kentona) & Hoffenberg Mason, *Candy*, Olympia Press, Paris 1958.
- Verne Jules, *Z Ziemi na Księżyc*, tłum. L. Duninowska, Klub dla Ciebie, Warszawa 2010.
- Zavattini Cesare, *Le cronache di Hollywood*, Editori Riuniti, Roma 1996.
- Zola Emile, *Zdobycz*, tłum. K. Dolatowska, PIW, Warszawa 1956.

Indeks nazwisk

A

Aaronson Samuel
Accardo Tony
Adonis Joe
Albee Edward
Alberico Isabella
Aldrin Edwin Eugene (Buzz)
Aleksander II, car rosyjski
Ali Muhammad (Cassius Clay)
Amato Giuseppe (Peppino)
Anastasia Albert
Anderson Dusty
Andress Ursula
Apollinaire Guillaume
Ardilouze Marie-Antoinette
Ariosto Ludovico
Arnold Jim
Auer Mischa
Augustyn, św.
Aumont Tina
Avedon Richard (Dick)

B

Bacall Lauren
Balenciaga Cristobal
Bardot Brigitte
Bargellini Piero
Barrymore John Drew
Barzini Benedetta
Batelle Kenneth
Beatty Warren

Belafonte Harry
Belmondo Jean-Paul
Benattar Cecilia
Benton William Burnett (Bill)
Bergen
Bernstein Leonard
Bianchi Iris
Bjorn
Blau Herbert
Bob (numer jeden)
Bob (numer dwa)
Boccaccio Giovanni
Bogart Humphrey
Bogart Stephen
Bogart Leslie
Bono Sonny
Boothe Luce Clare
Borman Frank
Boswell Emerett
Bradbury Ray
Brando Christian
Brando Jocelyn
Brando Marlon
Brandt Mel
Braun Wernher von
Brazier Alice, matka Gary'ego Coopera
Brennan James
Brewer Fonda Susan
Browning
Browning Mattie
Bryan Brian
Burgess LaRue Noel Mildred, matka Jacka Lemmona
Burton Christopher Sybil
Burton Jessica
Burton Kate
Burton Richard

Byard Leo R.

C

Callas Maria

Cameron David

Campbell-Walter Fiona

Cansino Rita, patrz Hayworth Rita

Capone Alphonso Gabriel (Al)

Capp Al (Alfred Gerald Caplin)

Capra Frank

Carmen, siostra Charo

Carol, wnuczka Edith Martínez

Caron Leslie

Carpenter Scott

Carroll Diahann

Carson Johnny

Carter Pete

Cartier Raymond

Caruso Enrico

Castro Fidel

Cernan Eugene

Chaffee Roger

Chagall Marc

Chaplin Charlie

Chaplin Geraldine

Charo

Cheever John

Cher

Christopher Jordan

Chruszczow Nikita

Churchill Winston

Chute Joy

Clark Freeman Faith

Clay Cassius, patrz Ali Muhammad

Clayton Dick

Colbert Claudette

Collins Joan
Comparini Shirley
Connery Sean
Conrad Charles jun. (Pete)
Conrad Jane
Cooper Gary
 – matka, patrz Brazier Alice
Cooper LeRoy Gordon (Gordo)
Costello Frank
Costello Jack
Courrèges André
Crowley Anthony
Cugat Xavier
Cukor George
Cunningham Ronnie Walter
Curtis Tony
 – matka

D

D'Arenberg Margaret (Peggy)
Daiute Colette
 – matka
Dalí Salvador
Daly Thomas
Dan
Dandridge Dorothy
Danova Cesare
Dante Alighieri
Darwin Charles
Davis Sammy jun.
Day Doris
 – matka, patrz Welz Alma Sophia
De Stefano Cristina
De Sica Vittorio
Dean James
Delma

Delon Alain
Demaris Ovid
Denevue Catherine
Dennis
Diba Farah
Dietrich Marlene
Dolly
Dominguín Miguel
Duffy Francis P.
Duilio, patrz Pallottelli Duilio

E

Eckl Louis
Eco Umberto
Edward, wnuk Edith Martínez
Eisenhower Dwight D.
Emogene Lela, matka Ginger Rogers
Esfandiary-Bakhitari Soraya

F

Fairbanks Douglas
Falqui Antonello
Fanfani Amintore
Farrow Mia
Faubus
Faulkner William
Fay
Fermi Enrico
Fink Jack
Fischetti Charlie
Fisher Eddie
Fitzgerald Ella
Fleming Ian
Follys Zora
Fonda Henry

Fonda Jane
Fonda Peter
Ford Henry
Forth Gladys
Fox James
Franco Francisco
Frankenheimer John
Free Freddy
Freeman Faith Huntington
Freeman Faith, patrz Clark Freeman Faith
Freeman Theodore Cordy
Freud Sigmund
Fürstenberg Ira von

G

Gabor Zsa Zsa
Galitzine Irene
Garbo Greta
Gardner Ava
Garland Judy
Garson Barbara
Garson Mervin
Gaynor Mitzi
Genovese Vito
George z Paryża w stanie Arkansas
Gerini, markiz
Gershwin George
Getty Paul
Ghirlandaio
Gilbert Eugene
Gillmann Nicole
Ginsberg Alen
Giotto
Giuseppe
Glass Bentley H.
Glenn John

Goldwater Berry
Gordon Barbara
Gordon Richard Francis (Dick)
Grable Betty
Greene Milton
Gretchell
Gunther John
Guy Jim

H

Haines Asa
Hall Judy, patrz Jackson Judy
Hall Penelope
Hall Peter
Hamilton George
Hammerstein Oscar
Harris Julie
Harrison Rex
Harvey Fred
Harveyowie, rodzina
Haver June
Haver Maria
Hayward Brooke
Hayworth Rita
Heckel
Hefner Hugh
Helene, patrz Hoskinnini
Hemingway Ernest
Herrera Helenio
Hicks
Higgins Marguerite
Hilton Conrad
Hilton Nicky
Hitler Adolf
Ho Chi Minh
Homer

Honahni Dalma
Honahni Frank
Honahni Ramson
Honahni Supia
Hopper Denis
Horne Lena
Hoskinnini (Helene)
Humphrey Hubert
Huston John
Hutton Barbara
Huxley Aldous

I

Ischam William
Istia Mary

J

Jackson Andrew
Jackson Jack
Jackson Jack
Jackson Judy
Jackson Priscilla
Jackson Suzanne
James Harry
James Jesse
Jaroszewicz Piotr
Jeremiasz, mąż Unity
Jeremiasz z Gallup w Nowym Meksyku
Jerry, fryzjer Kennetha Batelle'a
Jessica, wnuczka Edith Martínez
Jim
Johnson Rob Lynda Bird
Johnson John
Johnson Lyndon
Johnson Robert

K

Kane Art

Karl

Katarzyna II, cesarzowa Rosji

Kashfi Anna

Kavafis Konstantinos

Kaye Danny

Kefauver Estes

Kennedy Edward Moore (Ted)

Kennedy Jack, patrz Kennedy John Fitzgerald

Kennedy Jacqueline, z d. Lee Bouvier

Kennedy John Fitzgerald

Kennedy Joseph P.

Kennedy Patricia Helen (Pat)

Kennedy Robert Francis (Bob)

Kenneth, patrz Batelli Kenneth

Kerwin Joseph

King Martin Luther

Kinney

Kitty la Belle

Kolumb Krzysztof

Kubrick Stanley

L

La Pira Giorgio

Lamb Ralph

Lane Abbe

Larry, wnuk Edith Martínez

Lawford Peter

Lemmon Jack

– matka, patrz Burges La Rue Noel Mildred

Lenin Włodzimierz

Leonardo da Vinci

Lewis

Lewis Jerry

Liberace (Władziu Valentine)

Liliana
Lincoln Abraham
Linda
Lindsay David
Lindsay George
Lindsay John
Lisi Virna
Little Pay
Loren Sofia
Lori, sekretarka Shirley MacLaine
Lovell James Arthur Jr. (Jim)
Lovell Marilyn
Lucchese Tommy
Luciano Charles (Lucky)

M

Machado Antonio
MacLaine Shirley
MacMurray Fred
 – matka, patrz Martin MacMurray Maleta
Magliocco Joe
Magnano Vincenzo (Vincent)
Malaparte Curzio
Małgorzata, księżniczka angielska
Mao Tse-tung
Marcello Carlos
Marcos de Niza
Marcos de Niza
Margriet
Maria, wnuczka Edith Martínez
Maricopa (Wilbert)
Marks Karol
Marquand Christian
Marquand Tina, patrz Aumont Tina
Martin MacMurray Maleta, matka Freda MacMurraya
Martin Dean

Martínez Edith
Marx Groucho
Mary
Marzano Carmelo
Masaccio
Mayer Louis
Mazie
McDivitt James
McDivitt Patricia
McLoughlin James
Melone Ignazio
Melville Herman
Mercader Forcada María
Michael, wnuk Edith Martínez
Michał Anioł
Miller Glenn
Mineo Sal
Minelli Denise
Minelli Liza
Minelli Vincente
Miranda Carmen
Miranda Mike
Mitropoulos Dimitri
Modigliani Amedeo
Mohammad Reza Pahlawi, szach Iranu
Monroe Marilyn
Montesquieu Charles de
Morante Elsa
Moreau Jeanne
Moretti Willie
Morgan Dewett
Morris Charles W.
Morton Clotilde
Mountbatten Louis
Mulligan Robert
Mussolini Benito

Mussolini Romano

N

Neff Hildegarde

Negulesco Jean

Nichols Mike

Nolan Val

Nyerere Julius

O

O'Neill Oona

O'Toole Peter

Olson Norma

Onassis Aristotelis

Oppenheimer Robert

Orwell George

Osiris Wanda

P

Pacelli Eugenio, patrz Pius XII

Pallottelli Duilio

Paweł z Tarsu św.

Parker Sachi

Parker Steve

Pasolini Pier Paolo

Paul Steve

Peppard George

Petrarca Francesco

Petrucci

Picasso Pablo

Pickford Mary

Pierce Bob

Pierre Bill

Pignatari Francesco (Baby)

Pignatelli Luciana

Pius XII (Eugenio Pacelli), papież
Pino Lorenzo
Pisano Lil
Poitier Sidney
Porębowicz Edward
Power Tyrone
– matka, patrz Reaume Helen Emma
Presley Elvis
Price Salomon
Pucci Frank
Putteet Carl

R

Rasmussen Ruth
Ray
Reaume Helen Emma, matka Tyrone'a Powera
Reid Ed
Remick Lee
Reynolds Debbie
Richard Luther
Rico Norma, patrz Olson N.
Rimbaud Arthur
Riotta Gianni
Rizzo Jilly
Robards Jason
Robards Sam
Robinson Sugar
Rockefeller Nelson
Rodgers Harold
Rodgers Richard
Rodríguez Pedro
Rogers Cass
Rogers Ginger
– matka, patrz Emogene Lela
Rooney Mickey
Roosevelt Franklin Delano

Rosenbaum Stanley
Rothemberg
Rubirosa Porfirio
Russell Bertrand
Ruth

S

Safona
Sage Michael
Saint Eva Marie
Saint Laurent Yves
Salinger Pierre
Samuel
Sannoner Ferdinando
Saragat Giuseppe
Schaeler
Schell Maximilian
Schiaffino Rosanna
Schirra Walter jun. (Wally)
Schneider Romy
Schuman Reice Sylvie
Schwartz-Bart André
Schweickart Russel (Rusty)
Scicolone Sofia, patrz Loren Sofia
Secchiaroli Tazio
Shaw Samuel (Sam)
Shields Gene
Siena Romolo
Simmons John
Simpson Joe
Sinatra Frank
Sinatra Nancy
Skidoo Babe
Sokrates
Sontag Susan
Soraya, patrz Esfandiary-Bakhtiari Soraya

Spaulding Anne
Spellman Francis Joseph
Spiegel Sam
Stafford Thomas (Tom)
Steinbeck John
Steinberg Saul
Strasberg Fonda Susan
Strøyberg Annette
Swanson Gloria

T

Taylor Elizabeth
Teller Edward
Tessie La Blonde
Thompson Kay
Thompson Tommy
Thorpe Jim
Thysse
Thyssen Fiona von, patrz Campbell-Walter F.
Todd Burton Liza
Todd Michael (Mike)
Tracy Spencer
Trujillo Molinas Rafael Leónidas
Twain Mark

U

Unita
Ustinov Peter

V

Vadim Roger
Vajo Alla
Valentino
Van Pennington Johnny
Vanderbilt Gloria

Vàzquez de Coronado Francisco
Verrazzano Giovanni da
Verne Jules
Vespucci Amerigo
Violet, patrz Yonimana

W

Wagner Robert
Walker Robert jun.
Wayne John
Wehr Mike
Welles Orson
Welz Alma Sophia, matka Doris Day
Wergiliusz
White Edward Higgins
White Judy
White Suzanne
Wilbert, patrz Maricopa
Williams
Wood Walker Ellie
Wood Natalie
Wren Christopher
Wright Frank Lloyd
Wyatt Phillis

Y

Yellowbird
Yonimana (Violet)

Z

Zavattini Cesare
Zola Emile
Zukor Adolph